

MOC CZYTANIA NA ŚWIĘTA WIELKIEJ NOCY

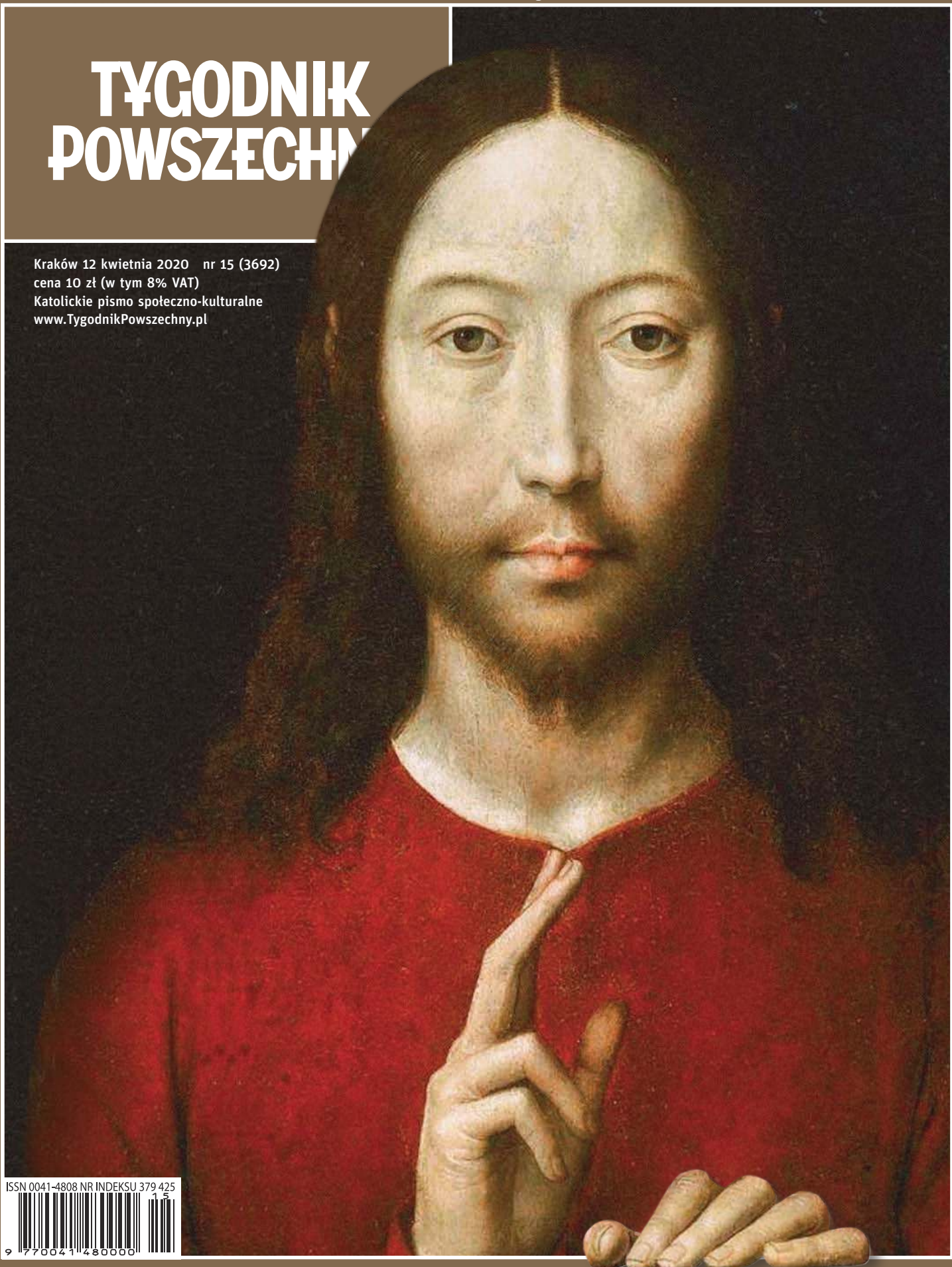
TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 12 kwietnia 2020 nr 15 (3692)

cena 10 zł (w tym 8% VAT)

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480000

MAŁE SAMOCHODY STWORZONE DLA WIELKIEJ IDEI



HYBRID

HYBRYDOWE FIAT 500 I PANDA
OD **599** ZŁ NETTO/MIES. W ABONAMENCIE BEZ
WPŁATY WŁASNEJ

TERAZ Z EKOLOGICZNYM NAPĘDEM HYBRYDOWYM



fiat.pl

Wynajmujący: Leasys Polska Sp. z o.o. Oferta wynajmu jest skierowana wyłącznie do przedsiębiorców. Rata wynajmu 599 zł netto dotyczy samochodu Fiat 500 Pop 1.0 70 KM Hybrid w umowie na 36 miesięcy, z limitem 10 000 km rocznie, bez wpłaty własnej, oraz samochodu Fiat Panda City Cross 1.0 70 KM Hybrid w umowie na 84 miesiące, z limitem 10 000 km rocznie, bez wpłaty własnej. W racie zawarte jest ubezpieczenie OC. Szczegóły promocji są dostępne u autoryzowanych dealerów Fiata. Promocja ograniczona w czasie. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów Kodeksu cywilnego i ma charakter wyłącznie informacyjny. Rzeczywisty wygląd i cechy pojazdu mogą się różnić od prezentowanych w materiale reklamowym. Szczegóły i informacje dotyczące spełniania wymogów ochrony środowiska są dostępne u dealerów sieci FCA Poland. Fiat 500: emisja CO₂ 88 g/km, średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym: 3,9 l/100 km. Fiat Panda: emisja CO₂ 89 g/km, średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym: 4,0 l/100 km.

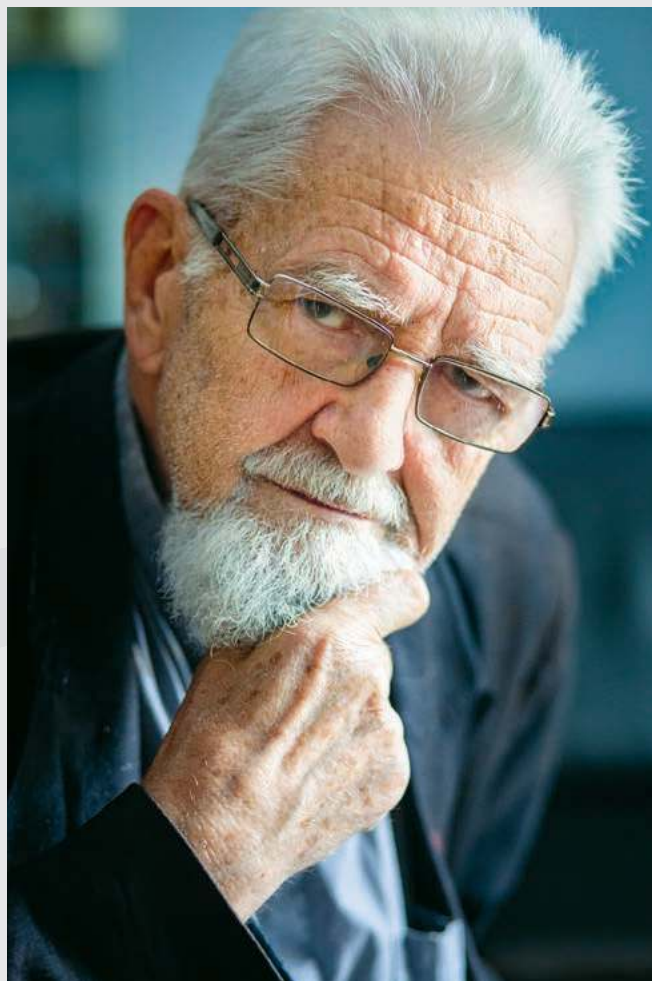
LEASYS
Polska Sp. z o.o.

Przyjaciele!

Bez Was i Waszego wsparcia nie
moglibyśmy robić takiego pisma,
jakie byśmy chcieli Wam dać
i jakiego oczekujecie.

Szczególnie w tym roku, naszego
75-lecia, prosimy o przekazanie nam
1% w rozliczeniu rocznym, a także
o darowizny – aby „Tygodnik” mógł
trwać kolejne 75 lat, tak jak do tej
pory, niezależnie od okoliczności.

ks. Adam Boniecki



FOT. GRAŻYNA MAKARA

Przełącz 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

a w rubryce **Cel szczegółowy 1%: TP75**

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar



KS. ADAM

Boniecki: *Moje Wielkanoc*

WIELKANOC, ZWŁASZCZA TE W CHARKOWIE i Rzymie, nauczyły mnie znaczenia wspólnoty dla mojej wiary.

W tyle głowy kołacze się myśl, że to może być moja ostatnia Wielkanoc na ziemi. Jeśli nie, i tak będzie dla mnie najdziwniejszą Wielkanocą w życiu. Przeżyłem ich dobrze ponad osiemdziesiąt. Wspomnienia trochę się mieszają, jedno święta zachodzą na drugie, trzydzieste na czterdzieste piąte.

Mimo to napiszę o moich zwykłych Wielkanocach. Po to, żeby lepiej zrozumieć tę niezwykłą, tegoroczną.

Z pierwszych dwunastu lat zachowałem tylko wspomnienie świątecznych pisanek, bab i mazurków, nic religijnego. Wprawdzie rodzice jakoś się otarli o inicjowany przez benedyktynów ruch liturgicznej odnowy (posługiwali się łacińsko-polskim „Mszałem Rzymskim” Lefebvre’a wydanym przez benedyktynów z Tyńca w 1932 r.), jednak nie sądzę, żeby uczestniczyli w *Triduum Sacrum*; a już na pewno nas, dzieci, na te długie, odprowadzane po łacinie nabożeństwa nie zabierali.

WYRAZISTE WSPOMNIENIE wielkanocne mam dopiero z roku 1946. Jako ofiary reformy rolnej mieszkaliśmy kilka miesięcy w Mogielnicy, miasteczku w powiecie grójeckim. Jako ministranci, z bratem, pełniliśmy dyżury przy Grobie Pańskim (my w komzach i strażacy w lśniących hełmach). Ale wspomnienie dotyczy głównie wielkanocnego, lanego poniedziałku. Nigdy, ani przedtem, ani potem, takiego śmigusa nie przeżyłem. Przemoczeni do nitki biegaliśmy z wiadrami wody po uliczkach Mogielnicy i oblewaliśmy, kogo tylko się dało.

W seminarium mieliśmy niekończące się przygotowania do skomplikowanej i oczywiście po łacinie liturgii Wielkiego Tygodnia. Towarzyszył temu słyszany w całym domu głos diakona, szykującego się do odśpiewania wielkanocnego orędzia *Exsultet*.



Jednak jako klerycy zwykle byliśmy na Wielkanoc wysyłani do parafii. Tu zlecano nam budowanie Grobu Pańskiego i przygotowanie oraz uświetnienie liturgii. Z tych Wielkanocy pozostało mi nade wszystko wspomnienie zmęczenia.

PIERWSZA WIELKANOC po święceniach – mordercze godziny w konfesjonale, zbieranie sławetnych kartek, poświadczających przystąpienie do „spowiedzi wielkanocnej”...

Kraków. Z wielkotygodniowych nabożeństw u św. Anny najsilniej w pamięci zapisały mi się obchody wielkoczwartkowe. Przewodniczył im proboszcz, biskup Jan Pietraszko. Zawsze czekałem na jego homilie, ale na te wielkoczwartkowe czekałem podwójnie. Były wyjątkowe. Są w zbiorach jego kazań, lecz zbyt dobrze je pamiętam, by nie zauważyć, że w druku zostały – być może przez autora – wygładzone. Ale i tak je gorąco polecam. Po mszy była kolacja, jakby Ostatnia Wieczerza. Biskup Jan przychodził na nią ubrany uroczyście – w sutannę z fioletowym obszyciem i pasem, w piusce na głowie i z biskupim krzyżem (zwykle chodził w czarnej sutannie). Do kolacji zasiadali wszyscy księża współpracujący ze św. Anną, wśród nich Tischner i Macharski.

PIĘKNO LITURGII przemówiło do mnie później. W 1973 r. na wielkotygodniowe obrzędy poszedłem do paryskiego kościoła Saint-Séverin. Miejskowa *équipe pastorale* (Francuzi zawsze są w „ekipach”) opracowała własną wersję liturgii. Wszyscy otrzymaliśmy powielone teksty, częściowo dzieło *équipe*, a częściowo zaczerpnięte z rytów Kościoła.

Niezwykłą Wielkanoc przeżyłem w latach 90. – w Charkowie na Ukrainie. Katolicy dopiero co odzyskali neogotycki kościół przerobiony przez Sowieców na biura.

Niewielka wspólnota w pocie czoła przywracała budynkowi sakralny charakter. Była to grupa młodych ludzi, świeżo



Wydanie jubileuszowe na 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Piszą: Brzeziński, Dukaj, Jagielski, Kuźmiński, Lamża, Lem, Napiórkowski, Ochędowska, Okoński, Prusak, Rabij, Tischner, Turowicz, Żyła

„Raport z przyszłości” dostępny w sklepach z dobrą prasą i jako e-wydanie na powszech.net/raport

ochrzczonych studentów, entuzjastów odkrytej wiary. Kościół podczas wielkotygodniowych nabożeństw wypełnili ludzie starsi, niektórzy powrócili tu po latach zesłania. Spotkałem kobietę, która jako dziecko, nazajutrz po pierwszej spowiedzi, została z rodziną wywieziona na Syberię. Do pierwszej komunii przystąpiła podczas tych świąt.

Liturgia Wielkiego Tygodnia w Charkowie, we wspólnocie pierwszych (po upadku Związku Sowieckiego) chrześcijan, była nieco zmodyfikowana. Jak w paryskim Saint-Séverin sporo było twórczej inwencji, tu głównie młodego proboszcza, księdza Jerzego. Było to wymuszone brakiem przygotowanego personelu. Tak na przykład: zarezerwowany od zawsze dla diakona śpiew *Exsultet* śpiewała dziewczyna. Pięknie śpiewała. I jeszcze tło. Tę ubogą i żarliwie przeżywaną Wielkanoc obchodzono według kalendarza gregoriańskiego.

Prawosławni obchodzą ją według kalendarza juliańskiego, zwykle nieco później – dlatego w tych dniach nie było znanego mi z Polski i Włoch klimatu świątecznego. Ot, dzień jak co dzień. Świętująca wspólnota rzymskich katolików była jakby maleńką wyspą.

W RZYMIE przeżyłem 18 lat i 18 razy uczestniczyłem w papieskiej liturgii wielkotygodniowej.

W pamięci pozostały obrazy bazyliki św. Piotra wypełnionej pielgrzymami przybyłymi z całego świata, a w Wielki Czwartek rano mieszkającymi w Rzymie księżmi różnych nacji. To msza św. poświęcenia olejów. Chociaż stoimy blisko siebie, nie wiem, jakiej narodowości są moi sąsiedzi. Nie wiem, jakim mową językiem i jakie pełnią funkcje, co studiują. Wszyscy jesteśmy tak samo ubrani i wszyscy w dniu ustanowienia sakramentów Eucharystii i kapłaństwa sprawujemy, pod przewodnictwem papieża, tę samą mszę św. Wieczorem u św. Jana na Lateranie – msza św. Wieczerzy Pańskiej. W świątyni unosi się delikatny zapach znakomitych perfum – to korpus dyplomatyczny przy Stolicy Apostolskiej.

WIELKI PIĄTEK. U św. Piotra surowa liturgia Męki Pańskiej. W tym dniu zgromadzeni nie klaszczą nawet na wejście papieża. Raz jednak zaklaskali. W tym dniu zawsze przemawiał kaznodzieja Domu Papieskiego, ojciec Raniero Cantalamessa, kapucyn. I raz byłem świadkiem tego, jak oklaskiwano jego kazanie. Mówił o historii antysemityzmu w Kościele. O tym, że św. Paweł, który mówił Żydom rzeczy straszne, sam będąc Żydem, mówił je z miłością i bólem, bo swój naród kochał. Potem – mówił o Cantalamessa – nastał czas Ojców Kościoła. I oni, za św. Pawłem, mówili Żydom i o Żydach rzeczy straszne. Nie byli Żydami, mówili bez miłości. Cantalamessa, patrol, znawca Ojców Kościoła, doskonale wiedział, o czym mówi. Kiedy skończył, zgromadzeni zapomnieli, że to dzień bez oklasków. Potem poszedłem do ojca Raniera i poprosiłem o tekst kazania dla „Tygodnika Powszechnego”. Po tygodniu czy dwóch polski przekład ukazał się na naszych łamach.

Zawsze będę pamiętał piękno wielkosobotniej wigilii celebrowanej w epoce Jana Pawła II czasem w bazylice, czasem na placu przed nią. Mam zapisane w pamięci: ciemność i – po wniesieniu świecy paschalnej – jasność rozjarzonej światłem świątyni, śpiewy, czytania, ład i harmonię tej liturgii, doskonały, nieprzegadany komentarz i powolny rytm liturgii. Wigilia nawiązuje do tradycji nocnych czuwań na modlitwie w przededniu święta. Udział aż do nocy w watykańskich nabożeństwach Wielkiego Tygodnia wprowadza w rytm wieczności. Trwa modlitwa i medytacja, nikt się tu nie spieszy, jakbyśmy się znaleźli poza czasem.

Wielkanocne i wielkotygodniowe obchody są doświadczeniem wspólnoty wierzących. W Rzymie, w Charkowie i w Krakowie u św. Floriana. W długich nabożeństwach uczestniczą ci, którzy chcą być razem, chcą być z Kościołem na modlitwie. Wielkanoc, zwłaszcza te w Charkowie i Rzymie, nauczyły mnie znaczenia wspólnoty dla mojej wiary.

Ufam, że w tym roku też tego doświadczę. Nie wiem jak. Na pewno inaczej. ©

Spokojnie, jest „Tygodnik”

Czytaj specjalny cykl „Tygodnika”
na kwarantannę
na powszech.net/kwarantanna

weź, czytaj!



WIELKANOC

16 Gdy Bóg umiera

EDWARD AUGUSTYN

Wielka Sobota to pytanie o kolejny dzień. Czy uwierzemy słowu i obietnicy, czy zostaniemy wierni własnej rozpaczy, śmiercią Boga odpowiadając na pytanie o każde zło i cierpienie.

18 Wpadniemy w Jego ręce

ROZMOWA Z O. MACIEJEM

BISKUPEM OP:

Najstarsze teksty Nowego Testamentu nie używają sformułowania, że Chrystus zmartwychwstał, tylko że został wskrzeszony przez Ojca mocą Ducha. Jezus wchodził w śmierć z niepewnością, jak każdy człowiek.

22 Znikający Bóg

PIOTR SIKORA

Zmartwychwstały jest Życiem – mówi Pismo Święte. Życia nie da się zatrzymać. Można tylko po prostu żyć.

24 Zupełnie nowe wydarzenie

MARCIN MAJEWSKI

Reakcja uczniów na zapowiedź zmartwychwstania pokazuje, że nie byli lepsi niż reszta społeczności żydowskiej. Nie pojmowali, kim On jest.

28 Dzieła, które mają głos

MAGDALENA ŁANUSZKA

Wiele średniowiecznych krucyfiksów przemawiało do pobożnych wiernych. Dosłownie.

33 Mary Love Story

MARCIN ŻYŁA

Śmierć przychodziła po nią trzy razy, ale życie trzymało silniej. Na dwóch kontynentach, dzięki sieci dobrych ludzi, czasem niewiedzących o sobie nawzajem.

Najświętszy Zmartwychwstały Chrystus, figura z kościoła św. Juliana, niesiona przez 151 mężczyzn. Wielka Niedziela, Malaga, Hiszpania, 21 kwietnia 2019 r.

FOT. GRAZYNA MAKARA



8 Nasze wolności tylko pożyczamy
PAWEŁ BRAVO, MARCIN ŻYŁA

9-15 Obraz tygodnia

36-37 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

38 Sztukmistrz z Anina
MAŁGORZATA SOLECKA o ministrze
zdrowia Łukaszu Szumowskim

42 Mniej to nowe więcej
ROZMOWA Z IGĄ KAZIMIERCZYK,
PEDAGOGKĄ: Kwarantanna to
szansa, by przekierować uwagę
w stronę fascynacji uczniów

46 Dekada katastrofy
DARIUSZ KOŚNICKI: W teatrze
posmołżeńskim do podsumowania
dramatu wciąż daleko

50 Złe sprawowanie w kosmosie
ADAM ROBIŃSKI gapi się w gwiazdy

■ ■ ŚWIAT

54 Afryka czeka na pandemię
NATALIA OJEWSKA Z UGANDY
I RWANDY

59 Epidemia. Dziennik hiszpański
LILIANA NIEŚPIAŁ Z MADRYTU

62 Nie możemy ciągle umierać
PAWEŁ PIENIAŻEK Z AFGANISTANU
o trudach pojednania

66 Mały Bagdad w Ameryce
MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII
Republikańskie miasto – dom dla
uchodźców z Bliskiego Wschodu

■ ■ HISTORIA

70 Nie grały jej surmy bojowe
PIOTR SAUTER-ZAWADZKI:
On na wojnie, ona została z dziećmi.
Spotkali się osiem lat później

GRAŻYNA MAKARA



91 Ks. Adam Boniecki: „Tam, gdzie rozbiję swój namiot, jestem w domu”

W dodatku specjalnym pokazujemy kulisy powstawania filmu dokumentalnego o ks. Bonieckim: wywiad Anity Piotrowskiej z Aleksandrą Potoczek, reżyserką filmu, oraz zdjęcia Grażyny Makary z planu filmowego.

125 Dodatek Kantorowski: „Czterdzieści razy awangarda”

■ FELIETONY ■

53 ANNA DZIEWIT-MELLER 69 WOJCIECH BONOWICZ
116 JAN KLATA 117 PAWEŁ BRAVO
130 STANISŁAW MANCEWICZ
130 BARTOSZ MINKIEWICZ

Oktadka:
HANS MEMLING
„CHRYSZTUS BŁOGOSŁAWIĄCY”, 1481 R.
ARTEPICS / ALAMY / BEW

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

Szanowne Prenumeratorki, Szanowni Prenumeratorzy!

W najbliższych tygodniach mogą powstać problemy z dostawą „Tygodnika Powszechnego” do Państwa skrzynek. Dokładamy wszelkich starań, by druk i dystrybucja odbywały się bez opóźnień, jednak nie mamy wpływu na cały łańcuch dystrybucji. Prosimy serdecznie o wyrozumiałość oraz cierpliwość.

■ ■ Z ODDECHEM

74 Trzy lekcje na kwarantannę
NATALIA DE BARBARO

86 Muchty barachy
ROZMOWA Z LIDIĄ MIEŚCICKĄ,
PSYCHOTERAPEUTKĄ: Nie wolno iść
przed pacjentem, tylko z nim. Obok.

■ ■ NAUKA

78 Pożar pod wodą
SZYMON DROBNIĄK Z AUSTRALII
Co się dzieje z Wielką Rafą Koralową

82 Strzeż się oszust!
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
o samooszukiwaniu się

■ ■ KULTURA

98 Kłębek
ROZMOWA Z IWONĄ CHMIELEWSKĄ,
ILUSTRATORKĄ I PISARKĄ:
Jestem życiową szczęściarą

104 Cud w czterech ścianach
DOROTA KOZIŃSKA:
Czego słuchać na Wielkanoc

108 Przebudzenie mocy
MONIKA OCHEŃDOWSKA o nowej
płyce Pauliny Przybysz „Odwilż”

110 Miecz Omara
WOJCIECH JAGIELSKI: Niegdyś
kolonizatorzy i zwroty dzieł sztuki

114 Wystarczająco dobrze
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Rodzice”

116 Rozmowy o dobrym życiu
LEKTOR o książce Błażeja Strzelczyka
„Moja żona głaszcze jeże”

■ ■ ZMYŚŁY

118 Pochwała kolacji
MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI:
Teraz liczy się tylko chęć
domowników do rozmowy przy stole

123 W dziuplach
MAREK BIEŃCZYK o wiewiórczetch

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Woś się jeży

A gdyby tak Unia Europejska solidarnie zrzuciła się w czasie pandemii na dochód podstawowy dla wszystkich swoich obywateli? – pyta i analizuje **RAFAŁ WOŚ** w autorskim cyklu tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ Rozmowy o byciu razem [Podkast Powszechny]

Chodziliśmy z dziećmi do wspaniałej pani doktor pediatry, która na nasze przerażenia mówiła: „Przeczekać”. I to dotyczy też dzisiejszej pandemii – opowiada **JAN PESZEK** w cyklu o tym, co daje i dawać będzie fakt, że stanowimy wspólnotę. powszech.net/rozmowy-razem



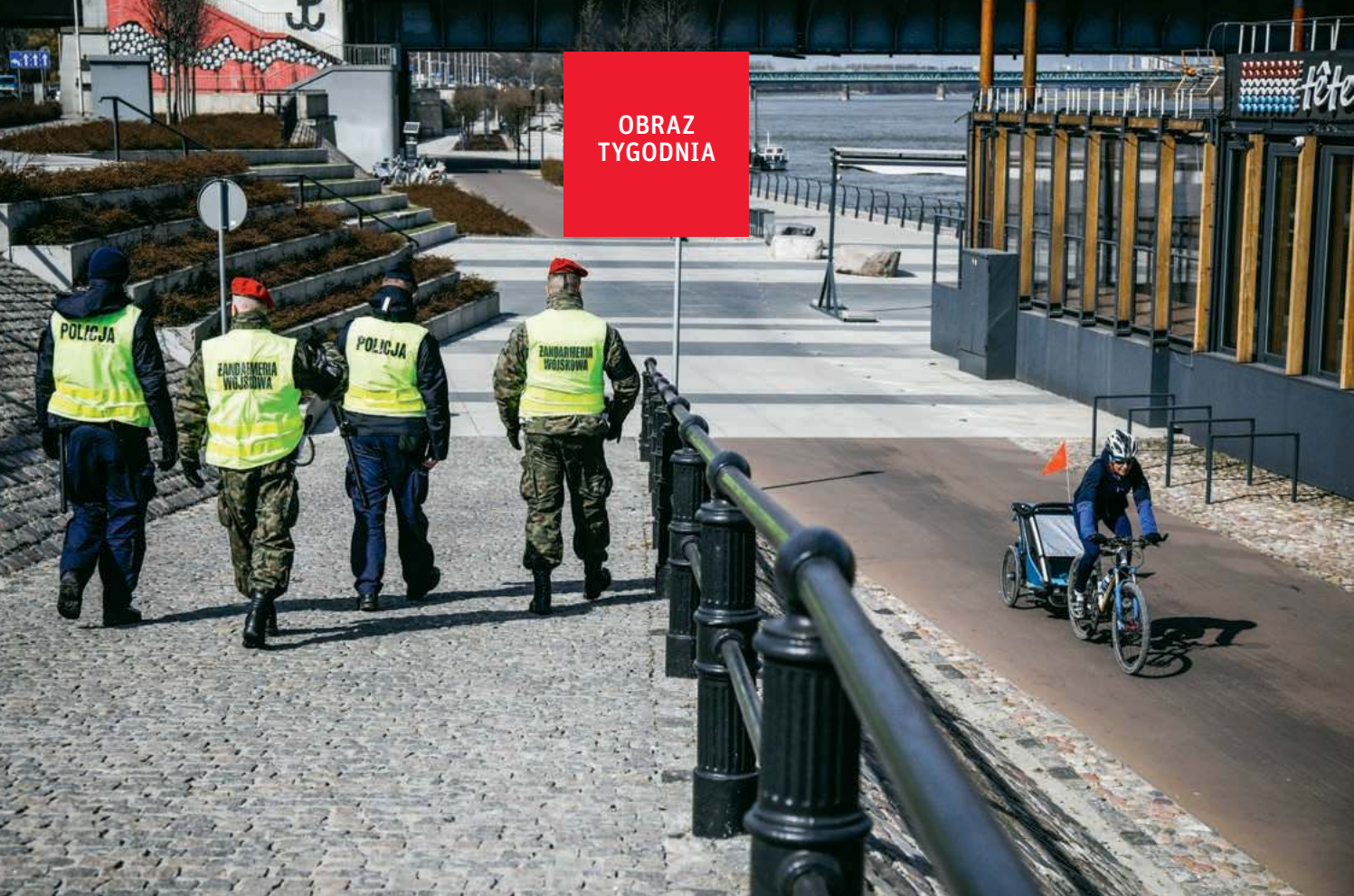
Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

NASZE WOLNOŚCI TYLKO POŻYCZAMY

W czasie pandemii ufajmy regułom demokracji,
ale zapewnienia rządów traktujmy ze zdrową,
obywatelską nieufnością.

PAWEŁ BRAVO, MARCIN ŻYŁA

JUŻ PONAD CZTEREM MILIARDOM LUDZI, WIĘCEJ niż połowie mieszkańców planety, załecano lub nakazano pozostanie w domach. Kolejne rządy ograniczają obywatelom możliwość poruszania się, ogłaszają surowe kary za łamanie reguł, przekładają wybory. Po to, by, jak zgodnie deklarują, ograniczyć skutki pandemii COVID-19 – według sekretarza generalnego ONZ największego wyzwania dla ludzkości od zakończenia II wojny światowej.

W tym nadzwyczajnym czasie ufajmy regułom demokracji, ale zapewnienia rządów traktujmy ze zdrową, obywatelską

nieufnością. Bo w chaosie kryzysu zdrowotnego, w lęku o bliskich i przed spodziewanym krachem gospodarki, łatwiej niż zwykle pójść na ustępstwa wobec roszczeń władzy, również tych niekoniecznych. I stracić bezpowrotnie coś, co zwykle gubi się niepostrzeżenie – nasze wolności.

Szesnaście państw Unii Europejskiej ogłosiło w minionym tygodniu wspólną deklarację, w której przestrzegają rządy przed nadużywaniem specjalnych uprawnień. To reakcja na działania Viktora Orbána. Polska, nauczona doświadczeniem Włoch, ograniczenia wprowadziła już na wczesnym etapie

*Patrol policji
i żandarmerii
wojskowej
na bulwarach
wiślanych.
Warszawa,
1 kwietnia 2020 r.*

epidemii. W czasie, gdy w trosce o bezpieczeństwo mobilizujemy się solidarnie wszyscy, trudniej zgłaszać do nich wątpliwości. A tych jest przecież sporo: drakońskie (nawet do 30 tys. zł) kary za naruszanie przepisów, nakładane w trybie administracyjnym, bez możliwości odwoływania się; zakaz poruszania się osób niepełnoletnich – środek niedostosowany do celu, wyraz bezradności państwa w przekonywaniu ludzi młodych, by zrezygnowali z rozrywek wśród rówieśników; albo przesadne – jak twierdzą organizacje monitorujące ochronę prywatności – uprawnienia aplikacji nadzorującej osoby w kwarantannie. Dlaczego rząd i jego służby potrzebują przechowywać zdjęcia naszych twarzy i mieszkań przez następne sześć lat?

Mamy naturalną skłonność do akceptowania wyrzeczeń w imię „stanu wyższej konieczności”. Ale jak mamy wyznaczyć jego granice i czy ci, którzy tym argumentem operują, zdają sobie sprawę, że nadwyżenie zasad współżycia w demokracji to, obok spadku PKB, również koszt, jaki trzeba brać pod uwagę przy końcowym rachunku zysków i strat?

Te pytania podnoszą już konstytucjoniści i Rzecznik Praw Obywatelskich. Są uprawnione zwłaszcza w odniesieniu do władzy, która w przeszłości wykazywała tendencję do działania na granicy prawa. Ich zadawanie nie jest buntiem czy działaniem na szkodę wspólnoty. Prawnicy wskazują, że mamy do czynienia z hybrydowym stanem nadzwyczajnym: władza korzysta z wielu dodatkowych uprawnień, ale nie bierze na siebie ograniczeń, które przewidują w razie ogłoszenia takiego stanu konstytucja i odpowiednie ustawy.

Jeśli w kolejnych dniach zostanie wprowadzony stan klęski żywiołowej lub stan wyjątkowy, to tylko po to, by władze mogły lepiej przeciwdziałać kryzysowi, a potem szybko przywrócić obywatelom przysługujące im prawa i wolności. Nie znosimy bowiem zasad funkcjonowania państwa demokratycznego, zgadzamy się tylko na czasowe rygory. To różni stany nadzwyczajne od dyktatury i autorytaryzmu: obywatel zakładać przejrzyste intencje rządzących i są gotowi pożyczyć władzy – a nie zrzec się – niektóre kluczowe swoje uprawnienia. Są one do zwrotu w całości. Tak szybko, jak się da. ©

Parcie na wybory

ANDRZEJ STANKIEWICZ



PRZEPROWADZONA PRZEZ JAROSŁAWA Gowina operacja obliczona na stordowanie wyborów prezydenckich w maju to jedna z najbardziej zdumiewających wojen w obozie władzy. Pokazała nie tylko to, jak bardzo podzielona jest Zjednoczona Prawica. Przede wszystkim okazało się, że w obliczu kryzysu obóz władzy zajęty jest głównie wojną wewnętrzną, choć przez lata przekonywał, jak bliski jest ludzkich spraw.

Głosowaniu 10 maja początkowo sprzeciwiała się grupa polityków na czele z premierem, którego wspierał minister zdrowia Łukasz Szumowski. Przekonywali oni, że wysłanie 30 mln ludzi do urn to epidemiczne i polityczne samobójstwo. Wycofali się, gdy Kaczyński tupnął nogą. Wtedy do gry wkroczył Gowin. Korzystając z sytuacji – bez 18 posłów jego partii PiS nie ma większości w Sejmie – postawił weto. Nie przekonało go nawet to, że Kaczyński postanowił zorganizować głosowanie 10 maja wyłącznie korespondencyjne. Gowin zaproponował własne rozwiązanie: zmianę konstytucji przedłużającą kadencję Andrzeja Dudy do siedmiu lat, po której nie mógłby się on już ubiegać o reelekcję.

Taki wariant był dla PiS do przyjęcia. Trzeba zrozumieć tok myślenia Kaczyńskiego: on chce wyborów jak najszybciej lub jak najpóźniej. Nie tylko spodziewa się spadku notowań PiS za kilka-kilkanaście miesięcy. Przede wszystkim potrzebuje pełni władzy na czas kryzysu, gdy trzeba będzie podejmować niepopularne decyzje.

Kłopoty zaczęły się, gdy Gowin nie zrealizował swoich zapowiedzi. Otóż obiecał on Kaczyńskiemu poparcie PSL dla zmiany konstytucji. To miało zwiększyć presję na PO, żeby także poparła taki sposób na przełożenie wyborów – bez jej zgody to niemożliwe. Tyle że ludowcy zostawili Gowina na lodzie. Kaczyński był wściekły. Nie tylko wrócił do pomysłu wyborów korespondencyjnych 10 maja, nie tylko postawił na czele Poczty Polskiej wiceministra obrony, ale jeszcze był gotów wyrzucić Gowina z rządu.

To pokazuje, że Kaczyński jest zdeterminowany, aby przeprowadzić wybory 10 maja. Jego stanowiska nie zmienia ani sceptyczna opinia Kościoła, ani poparcie prezydenta dla pomysłu Gowina. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem”.

Polska szkoła zdalnie niezdolna

„RADZIE SOBIE SAMI” – zgodnie z tą doktryną resort edukacji przedstawił szkołę czasu epidemii na tryb pracy zdalnej. Jeśli ktoś miał wątpliwości, że MEN wrzuciło nauczycieli na głęboką wodę bez uprzedniego zorganizowania kursu pływania, teraz dostaje kolejny dowód: ogłoszony pod koniec ub. tygodnia raport Instytutu Badań Edukacyjnych na temat międzynarodowego badania umiejętności 15-latków PISA 2018. Raport będący skądinąd fotografią spektakularnego sukcesu: polscy nastolatki są w światowej czołówce i w rozumieniu tekstu czytanego, i w rozumowaniu z dziedziny nauk przyrodniczych, i w matematyce.

Ale świeże opracowanie IBE pozwala też na bardziej szczegółowy wgląd w mniej dotąd znane aspekty życia szkoły – np. korzystanie z nowych urządzeń. I tak np. polscy

uczniowie uważają, że umiejętności odbioru tekstów cyfrowych zyskują głównie poza szkołą; że na lekcjach polskiego nie korzysta się z urządzeń cyfrowych (nieco ponad połowa pytan); że równie niechętnie po tego typu metody sięgają matematycy: aż 58 proc. uczniów nie pamiętało, by nastąpiło to choćby raz w ciągu typowego tygodnia.

Marnym pocieszeniem jest fakt, że nie zawsze korzystanie z nowych technik ma związek z nabytymi umiejętnościami (w przypadku matematyki związku brak) lub że wiele innych krajów równie opornie wprowadza urządzenia cyfrowe do klas. Marnym zwłaszcza teraz, gdy edukacja zawisła na internetowych łączach, a MEN – nie bacząc na cyfrowe wykluczenie wielu dzieci – rozkazało uczącej się i nauczającej Polsce realizować programy tak, jakby nic się nie stało. © PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



JACEK JASSEM, ONKOLOG:

Nie zapominamy o innych chorych

MACIEJ MÜLLER: Część szpitali zajmuje się wyłącznie chorymi z koronawirusem.

Odwołuje się zabiegi, lekarze rodzinni funkcjonują w trybie telemedycyny. Czy ochrona zdrowia przestawiła się na walkę tylko z COVID-19?

PROF. JACEK JASSEM: Epidemia COVID-19 jest obecnie dla wszystkich systemów ochrony zdrowia na świecie największym wyzwaniem, ale nie zapominamy o pozostałych chorych. Rozważając decyzję o ewentualnym odroczeniu planowych zabiegów, badań diagnostycznych czy kontrolnych, lekarze wazą związane z tym ryzyko oraz ryzyko wynikające ze skutków zakażenia. W nagłych chorobach leczenie trzeba podjąć natychmiast. Niektóre przewlekłe choroby mają natomiast przez długi czas stabilny przebieg i tam odroczenie leczenia może być bezpieczniejsze niż ryzykowanie skutkami zakażenia.

Onkologia jest uprzywilejowana?

Nie używałbym takiego określenia. Specyfika onkologii polega na tym, że nowotwory z natury mają postępujący charakter i leczenia na ogół nie da się odroczyć. Jeżeli więc chory wymaga bezzwłocznego leczenia, to trzeba je podjąć. Nie przerywa się też leczenia, które już rozpoczęto. Trzeba jednak pamiętać, że chorzy na nowotwory mają podwyższone ryzyko zakażeń i związanych z tym powikłań. Sama choroba nowotworowa często osłabia układ odpornościowy, a leczenie, zwłaszcza chemioterapia, bardzo obniża odporność. Na stronie Polskiej Ligi Walki z Rakiem opublikowaliśmy zalecenia oparte na doświadczeniach włoskich.

W Lombardii, gdzie jest 108 szpitali, 90 przeznaczono wyłącznie dla zakażonych COVID-19, pozostałe zajmowały się przypadkami nagłymi lub chorymi na nowotwory. Nawet w skrajnie trudnych sytuacjach onkologia była tam chroniona. Sądzę, że podobnie będzie w Polsce.



JAKUB KAMIŃSKI / PAP

Każde wyjście chorego z domu wiąże się z poważnym ryzykiem.

Dlatego modyfikujemy schematy leczenia, tam gdzie to możliwe, zastępujemy wizyty w szpitalu leczeniem w warunkach domowych. Pewne leki można stosować doustnie zamiast dożylnie, chemioterapię można podawać co trzy tygodnie, zamiast co tydzień, w wielu przypadkach da się skrócić radioterapię. W naszym szpitalu wizyty kontrolne, na które pacjent w normalnych warunkach przychodzi przez kilka lat po leczeniu, zastąpiliśmy telefonicznymi wywiadami. Ryzyko związane z wizytą w poradni jest bowiem większe niż ewentualne skutki przeoczenia czegoś istotnego. Nie dotyczy to jednak chorych, którzy zgłaszają nam niepokojące objawy – tych oczywiście wzywamy na badanie. Pacjenci mają do nas kontakt telefoniczny i mailowy. Zapewniamy telefoniczne porady psychologów klinicznych i dietetyka. Na stronie Ligi zamieściliśmy praktyczne wskazówki dla chorych. Staramy się, żeby nie zostali sami z poczuciem zagrożenia. ©P

JACEK JASSEM jest onkologiem, profesorem Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Sygnatariusz apelu lekarzy i ludzi nauki o przesunięcie wyborów prezydenckich z powodu epidemii COVID-19.

Rodzic ma prawo

CZĘŚĆ ODDZIAŁÓW PEDIATRYCZNYCH i neonatologicznych zamknięto dla odwiedzających. Dla wszystkich jest to sytuacja konfliktu tragicznego. W jakikolwiek sposób postąpi personel medyczny, może złamać prawo. Co wolno lekarzowi, biorąc pod uwagę obostrzenia prawne, np. RODO? Czy może udzielać szczegółowych informacji na temat stanu zdrowia przez telefon? Omawiać wyniki badań, plan terapii? Czy może wysłać fotografię dziecka, kiedy pacjentem jest np. wcześniak, który co kilka dni się zmienia, i po kilku tygodniach będzie nie do poznania? Co zrobić, kiedy dziecko umiera? Nie pozwolić mu na śmierć w ramionach mamy i taty? „Rodzic ma prawo być z dzieckiem nawet w trakcie epidemii” – uważa rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar.

Zamknięcie oddziałów wydaje się wyborem mniejszego zła. W całym kraju są szpitale, których personel poddano kwarantannie. Pacjentów przenoszono do innych placówek. W przypadku dzieci jest trudniej – miejsc i personelu brakowało i w „zwykłych” czasach. Transport chorych dzieci mógłby się wiązać z pogorszeniem ich stanu zdrowia.

Rodzice na oddziale szpitalnym są terapeutami swojego dziecka. Kiedy przytulają wcześniaka, reagują urządzenia monitorujące czynności życiowe: pacjent potrzebuje mniej tlenu, uspakaja się. Maluchy odwiedzane i przytulane szybciej zdrowieją. Można było wcześniej zadbać o odpowiednie zabezpieczenie oddziałów i personelu, uruchomić odpowiednie procedury. Ale to nie leżało w gestii lekarzy, którzy teraz są ofiarami tej sytuacji. © MAŁGORZATA NOCUN

Dziurawa tarcza

JEŚLI ODRZUCIMY POLITYCZNY TEATR, z tarczy antykryzysowej zostanie jedna dobra i dwie złe wiadomości. Ta dobra jest taka, że skorzystają mikroprzedsiębiorcy (w tym wypchnięci na samozatrudnienie). Im zwolnienie ze składek i odroczenie podatków pomoże. Wielu z nich i przed kryzysem działało na tak niskich marżach, że comiesięczne zobowiązania były za każdym razem egzystencjalnym wyzwaniem. Niestety, ta dobra wiadomość prowadzi do wiadomości złej. Zwolnienie z ZUS czy odroczenie PIT wzmocni przeświadczenie – rozpowszechnione wśród przedsiębiorców – że daniny to „haracz”, którego w zasadzie płacić nie trzeba.

I druga zła wiadomość: tarcza wygląda niedobrze z punktu widzenia pracowników. Postojowe dla zatrudnionych na śmieciówkach jest niskie, jednorazowe, wygląda jak ochłap. Możliwość zwiększania czasu pracy brzmi wręcz niebezpiecznie. Brakuje też mechanizmów, które by sprawiły, że gdy kryzys uderzy w pracowników (np. pojawi się bezrobocie), nie będzie można tak łatwo zwalniać ludzi ani obniżać im wynagrodzeń, szafując argumentem „mam na twoje miejsce pięciu chętnych”. Bez takich rozwiązań gospodarki nie uratujemy. Przeciwnie: sami wepchniemy się w recesyjną spiralę.

© RAFAŁ WOŚ

KRAJ W SKRÓCIE

LAS

Rząd przychylił się do stanowiska Polskiego Związku Łowieckiego, zgodnie z którym „odstrzał sanitarny wspierający polskie rolnictwo, a zwłaszcza walkę z epidemią ASF, jest istotnym powodem opuszczenia domu”, i złagodził w tym punkcie nałożone wcześniej na obywateli obostrzenia. W chwili zamknięcia numeru „TP” nie było jasne, na ile decyzja rządu pozostaje w sprzeczności z wydanym kilka dni później zakazem wstępu do lasów.

PIWO

Media lokalne donoszą o notowanych przez policję przypadkach naruszenia kwarantanny. Powody bywają prozaiczne: w Grawie 23-latek, a w Warszawie 61-latek uciekli ze szpitali po piwo; w Niepołomicach 37-latek udał się do bankomatu. Kwoty, którą może zapłacić za ten wyskok, raczej nie zdołałby wypłacić.

PŁYN

Szeroko promowanego w mediach płynu do dezynfekcji marki Orlen nie można wprawdzie kupić na stacjach koncernu, ale odnalazł się (i kosztował o 50 proc. więcej) w sklepach Intermarché i E.Leclerc. Po ujawnieniu tej informacji obie sieci przeprosiły za „pomyłkę”.

HOŁD

Nie z powodu epidemii, lecz trudności w komunikacji z Rosją rząd zdecydował o przetożeniu podróży premiera na miejsce katastrofy smoleńskiej w jej 10. rocznicę.



LILIANA NIEŚPIAŁ, autorka korespondencji z Hiszpanii (s. 59), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopoglądzie” Radia Tok FM, w środę 8 kwietnia, o godz. 16.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl



DAVID TALUKDAR / ZUMA PRESS / FORUM

DO INDYJSKICH POCIĄGÓW codziennie wsiadało ponad 20 mln pasażerów. Teraz, gdy zawieszono ich ruch, w ramach walki z epidemią Kolejy Indyjskie przekształcają wagony sypialne w oddziały izolacyjne; będą rozmieszczone w różnych częściach kraju. Z popularnych „sleeperów” usunięto środkowe koje, zamontowano dodatkowe uchwyty na leki dożylnie i sprzęt medyczny, zawieszono kurtyny między łózkami.

Na zdjęciu: wagon izolacyjny na dworcu Kamakhya w Guwahati, Indie, 30 marca 2020 r.

© © MaG

Chińska miłość i chińskie porządki

NA LOTNISKU W PEKINIE podróżnych wita dziś wielki banner: „Izolujemy wirusa, ale nie izolujemy miłości”. Po ogłoszeniu zwycięstwa nad koronawirusem władze Chińskiej Republiki Ludowej próbują obdarzać swoim uczuciem inne kraje zmagające się z pandemią – i co najmniej w jednym przypadku mogą liczyć już na wzajemność. Po otrzymaniu wsparcia medycznego z Chin, prezydent Serbii Aleksandar Vučić ucałował nawet chińską flagę, dodając, że „solidarność europejską można włożyć między bajki”. Serbia nie jest jednak w Unii i Chinach próbują tworzyć tu własną strefę wpływów. Inne kraje, jak Hiszpania czy Holandia, nie tylko musiały zapłacić za chińską „pomoc”, lecz sprzęt, który im przysłano, okazywał się często bezużyteczny.

Intencję Chińczyków, by wspomóc innych, można było z początku odczytywać jako formę rekompensaty, może nawet skruchy – w końcu to od nich epidemia rozlała się na cały świat, za sprawą początkowych zaniechań władz i tuszowania. Jednak szybko okazało się, że górę wzięła stara komunistyczna tradycja, wedle której winny jest zawsze ktoś inny. Najpierw sugerowano więc, że to armia USA przywlekle koronawirusa do Wuhan, potem zaś, że pochodzi on z Włoch. Toporność tej propagandy i szybka riposta z Waszyngtonu oraz Brukseli wymogły zmianę narracji: dziś Pekin mówi tylko o potrzebie międzynarodowej współpracy w walce z pandemią.

Taki jest przekaz dla świata. Na potrzeby wewnętrzne władze kreują natomiast obraz Chin jako oblężonej twierdzy. Media skwapliwie podkreślają, że nieliczne przypadki nowych infekcji pochodzą niemal wyłącznie z zagranicy. Coraz więcej restauracji w Chinach odmawia obsługi obcokrajowcom – nawet tym, którzy mieszkają tam od lat. Informacje o rosnącej szybko liczbie ofiar we Włoszech, Hiszpanii i USA zestawia się z opiniami o skuteczności chińskiego modelu walki z epidemią. Władze Wuhan zaproponowały nawet wprowadzenie „edukacji dziękczynnej” dla Xi Jinpinga, przewodniczącego państwa i szefa partii, który „z miłości do narodu” kierował tą zwycięską batalią.

Życie w Chinach rzeczywiście wraca powoli do normy. Nawet w Wuhan ruszyła komunikacja miejska i ludzie zaczynają chodzić do pracy. Jednak czy naprawdę jest już bezpiecznie? Czy też może władze tak po prostu zadekretowały, by uniknąć krachu w gospodarce i niepokojów społecznych? Kolejki przed szpitalami zakaźnymi i zamieszczane anonimowo w internecie wyniki testów na koronawirusa każą z dystansem podchodzić do oficjalnych danych. Liczba zaś urn z prochami w krematoriach Wuhan sugeruje, że ofiar może być wielokrotnie więcej, niż podaje miasto. Podobnych pytań i spekulacji jest więcej. Tak dzieje się w kraju pozbawionym wolnych mediów, w którym władze przez kilka tygodni ukrywały epidemię, narażając zdrowie i życie swoich obywateli.

© PIOTR BERNARDYN z Tokio

Włochy: spacer pierwszej potrzeby

FRANCESCO M. CATALUCCIO Z MEDIOLANU



PO TRZECH TYGODNIACH TOTALNEGO zamknięcia Włosi marzą, żeby wyjść. Nie jest łatwo, pomimo strachu przed chorobą, usiedzieć w domu. Rząd, który w całkowicie nieprzewidywalnej i dramatycznej sytuacji musiał wziąć pod uwagę rozmaite braki strukturalne systemu opieki zdrowotnej, wydawał dekrety z kolejnymi restrykcjami. Wychodzić można więc tylko w razie „uzasadnionej konieczności”. Ale gospodarka nie może całkiem stanąć; szacuje się, że w samym Mediolanie ok. 190 tys. ludzi nadal udaje się codziennie do – całkiem fizycznej – pracy.

Jedna osoba na rodzinę może iść po zakupy. Ale prawo stanowi, że tylko po „artykuły pierwszej potrzeby” i nie dalej jak kilometr od miejsca zamieszkania. Policja sprawdza i wlepia wysokie grzywny. Dwa dni temu koło mojego domu ktoś dostał wysoki mandat, bo w torbie z zakupami miał tylko cztery butelki wina, które nie wchodzą w zakres pierwszej potrzeby. W supermarketach alejki z przyborami szkolnymi, gospodarstwem domowym czy sprzętem ogrodniczym są zamknięte.

Wyjście na zewnątrz może się okazać niebezpieczne także z powodu złe pojętego i niepokojącego „nadzoru społecznego”. Sąsiedzi fotografują ludzi wychodzących więcej niż raz dzien-

nie albo wracających bez zakupów, po czym wrzucają te zdjęcia-donosy na serwisy społecznościowe. Ludzie jadący do pracy słyszą za plecami obelżywe wezwania, by zostali w domu. Na biegnących leżą z góry wiadra wody...

Dla wielu osób, które pracują przy komputerze w domu (np. nauczycieli), problemem jest upilnowanie własnych dzieci. Ostatni dekret, w którym rząd utrzymał blokadę wszystkiego do 13 kwietnia (a premier Giuseppe Conte w tele wizyjnym orędowni dał po raz pierwszy tak jasno do zrozumienia, że aż do połowy maja nic się raczej nie zmieni), zezwala wreszcie wyprowadzać dziecko – ale pojedynczo! – na odległość 200 m od domu. Nawet i to wzbudziło polemiki jako zbyt śmiały krok. Pewien komik zapelował zaś do władz, żeby uściśliły, że nowe prawo zabrania porzucenia dziecka na ulicy.

To, co nastanie potem, będzie na pewno trudne: ludzie potracą pracę, gospodarka z trudem będzie się rozkręcać, Unia Europejska może się rozlecieć. Ale już teraz niebezpieczeństwo – nie tylko z powodu rosnącej liczby zgonów – zaczyna być coraz cięższe i wydaje się nie mieć końca. Psychoterapeuci – pracujący oczywiście tylko przez Skype’a – mają mnóstwo klientów i pełne ręce roboty.

© Przetłóżył PB

Orbán poszerza swą władzę i kpi z krytyków

PANDEMIA WYMAGA podjęcia przez państwo środków nadzwyczajnych, jednak mało które posunęło się tak daleko jak Węgry. Od 31 marca rząd może rządzić dekretami, a dziennikarzom grozi więzienie za szerzenie informacji fałszywych lub takich, które budzą niepokój społeczny. Największe kontrowersje wywołał brak ograniczenia czasowego dla tych uprawnień. W kraju i za granicą odebrano to jako kolejny krok w demontażu demokracji przez rządzący od dekady Fidesz. Kilkanaście partii centroprawicowych wezwało do wykluczenia Fideszu z Europejskiej Partii Ludowej (od marca 2019 r. jest zawieszony).

Ale premier Orbán niewiele sobie z tego robi. Opozycję oskarża o utrudnianie walki z wirusem, a Brukselę o zajmowanie się sprawami drugorzędnymi. Osobiście odebrał dostawę masek z Chin, za to nie wspomina o kwocie 6 mld euro, którą Węgry otrzymają w ramach unijnego pakietu. I otwarcie kpi z krytyki: deklaracja 16 państw UE, że pod pozorem walki z pandemią nie należy naruszać demokracji (niewymieniająca jednak Węgier z nazwy), została dzień później poparta przez sam rząd Węgier.

© ANDRZEJ SADECKI z Budapesztu

Zbieraj dla Brytanii!

SEZON SZPARAGOWY już za chwilę, potem przyjdzie pora na ogórki i truskawki. Tymczasem w całej Europie jest problem: owoców i warzyw nie ma kto zbierać. W Wielkiej Brytanii o ryzyku związanym z brakiem pracowników sezonowych mówiono już przy okazji brexitu (w 2019 r. ludzi na polach było za mało). Teraz pandemia i zamknięte granice zatrzymały Rumunów i Bułgarów. A to nie tylko problem brytyjski: na Wyspach potrzeba 80-90 tys. takich pracowników, we Francji 200 tys., w Niemczech aż 300 tys.; z kolei Hiszpania i jej truskawki polegały dotąd na 20 tys. Marokańczyków.

Komisja Europejska wzywa kraje Unii, by umożliwiły transfer pracowników sezonowych, przy zachowaniu bezpieczeństwa (w Wielkiej Brytanii i RFN rozważane są loty czarterowe). Jednak ratunkiem mieliby być zwłaszcza rodzimi pracownicy, np. ci, którzy tracą dziś pracę. Na potrzeby rekrutacji na Wyspach wymyślono nawet slogan: „Pick for Britain” (Zbieraj dla Brytanii), przypominający hasło z czasu II wojny światowej „Dig for Victory” (Kop dla zwycięstwa; zachęcano tak, by obywatele uprawiali warzywa). We Francji minister rolnictwa apeluje, by dołączyć do „wielkiej armii francuskiego rolnictwa”. Te quasi-wojenne apele mogą jednak niewiele pomóc; wcześniejsze doświadczenia z rekrutacją rodaków były rozczarowujące.

© P. PATRYCJA BUKALSKA

Kontrola policyjna mieszkańców na Piazza del Popolo w Rzymie, 2 kwietnia 2020 r.



FILIPPO MONTEFORTE / AFP / EAST NEWS

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

APEL PRZEWODNICZĄCEGO

„Apeluję do wszystkich ugrupowań i komitetów wyborczych o ograniczenie i czasowe zawieszenie wszelkiej rywalizacji politycznej dotyczącej wyborów prezydenckich” – napisał przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski w reakcji na forsowanie wyborów w okresie pandemii. Abp Stanisław Gądecki przypomniał, że „w sytuacji związanej z niebezpieczeństwem dla życia i zdrowia ludzkiego zasadniczym przedmiotem troski powinno być dobro człowieka”.

APEL PAPIESKIEJ RADY

Do wspólnego tworzenia kultury współczucia i braterstwa w służbie poranionej ludzkości i Ziemi wezwwała buddystów Papieska Rada ds. Dialogu Międzyreligijnego. Apel znalazł się w dorocznym przesłaniu na święto Vesakh/Hanamatsuri, upamiętniające najważniejsze wydarzenia z życia Buddy. Rada wskazuje m.in. na podobieństwa między postępowaniem księcia Siddharthy i św. Franciszka z Asyżu.

APEL TEOLOGA

„To jest moment, żebyśmy na serio podjęli refleksję nad możliwością przyjmowania pragnieniem sakramentu chorych (analogicznie do innych sakramentów służących osobistemu zbawieniu)” – wezwał teologów i teologów na swoim profilu społecznościowym ks. Grzegorz Strzelczyk. „Piszę to siedząc na



GRAŻYNA MAKARA

korytarzu szpitala zakaźnego. Jakież 100 metrów dalej leżą ludzie w wielkiej potrzebie duchowego umocnienia w chorobie” – wyjaśniał teolog z Uniwersytetu Śląskiego i proboszcz parafii św. Maksymiliana Kolbego w Tychach.



ABIB SULTAN / EPA / PAP

Z UŻYCIEM SPRZĘTU OCHRONNEGO wyjęto karteczki z modlitwami spomiędzy kamieni Ściany Płaczu, a sam mur przed obchodami Pesach spryskano środkiem odkażającym (31 marca). Mimo surowych restrykcji rząd izraelski zezwala na modlitwy pod Ścianą 10-osobowym grupom (minjan) ortodoksyjnych Żydów.

© P MAM

Teologia zarazy



PIOTR SIKORA

NA TEOLOGICZNE BŁĘDY NIEKTÓRYCH POBOŻNYCH reakcji na epidemię wskazała Komisja Nauki Wiary KEP. „W czasie pandemii ludzie doświadczają lęku, który przybiera różne kształty” – piszą biskupi i sprzeciwiają się wspieraniu tych lęków „przez współczesnych proroków pesymizmu, apokaliptycznego końca świata i rzekomej »godziny działania karzącego Boga«, którzy bezpodstawnie powołują się »na prywatne pseudoobjawienia i sny»”.

Błędne jest ukazywanie Boga jako „niemiłosiernego sędziego” lub „obojętnego władcy świata”, głoszenie „magicznej koncepcji sakramentów”, która nie rozróżnia „porządku natury i łaski, wymiaru duchowego i materialnego”, co prowadzi „do lekceważenia zasad bezpieczeństwa podczas liturgii”.

Misją Kościoła, podkreśla Komisja, „jest głoszenie Chrystusa jako źródła nadziei, pociechy i umocnienia”, a sam Kościół ma być „sakramentem nadziei” oraz „domem i szkołą komunii”.

Taki głos polskiego Episkopatu stawał się coraz bardziej potrzebny. Dobrze, że się go wreszcie doczekaliśmy. Nawet jeśli z komunikacyjnej perspektywy dokument jest zbyt długi i zawiły, to stanowi dobry punkt odniesienia pracy duszpasterskiej i debaty publicznej. W każdym razie propagatorom lękowej teologii zarazy trudniej będzie się teraz powoływać na nauczanie Kościoła. © P

Skarga kasacyjna chrystusowców odrzucona

SĄD NAJWYŻSZY oddalił skargę kasacyjną wniesioną przez Towarzystwo Chrystusowe dla Polonii Zagranicznej w sprawie zasądzono odszkodowania w wysokości miliona złotych i dożywotniej renty 800 zł dla ofiary, która jako trzynastolatka przez kilkanaście miesięcy była więziona i gwałcona przez byłego już zakonnik Romana B.

Wyrok, przyznający kobiecie odszkodowanie od chrystusowców, wydał w styczniu 2018 r. Sąd Okręgowy w Poznaniu. Powołał się na art. 430 kodeksu cywilnego, wskazujący na współodpowiedzialność przełożonego za szkodę spowodowaną przez podwładnego w ramach zleconych mu działań. W odwołaniu obrońcy chrystusowców próbowali podważyć odpowiedzialność zastosowania tego artykułu do relacji między przełożonymi i podwładnymi w zakonie. Jednak Sąd Apelacyjny w Poznaniu w październiku 2018 r. nie podzielił tych wątpliwości i podtrzymał zasądzone kwoty.

Mimo głosów w Kościele wzywających chrystusowców do powstrzymania się od dalszych działań prawnych, Towarzystwo wniosło do Sądu Najwyższego o kasację wyroku. SN oddalił ją na posiedzeniu 31 marca.

Wielu komentatorów uważa, że wyrok ten otwiera możliwość zasądzania odszkodowań za przestępstwa seksualne popełnione w Kościele nie tylko od sprawców, ale także od ich przełożonych. © P ARTUR SPORNIAN

Maseczki: nosić czy nie?

WIĘKSZOŚĆ ORGANIZACJI naukowych i medycznych rekomenduje obecnie używanie maseczek w szpitalach i zatłoczonych miejscach przez osoby chore, z objawami COVID-19, oraz przez opiekunów i pracowników służby zdrowia. Ponadto zaleca się zachowanie odległości przynajmniej metra od potencjalnego chorego. W świetle doniesień naukowców z MIT o stworzeniu nowego dynamicznego modelu rozprzestrzeniania kropelek śliny i śluzu, zalecenia te mogą zostać zmienione. Poprzedni model pochodzi z lat 30. XX w.

Badacze twierdzą, że krople mogące zawierać wirusa są zdolne przemieścić się na około sześć metrów w trakcie kaszlu i nawet osiem metrów



po kichnięciu. Dodatkowo zauważono, że pozostałości kropelek z wirusem, wydychane w postaci chmury, są w stanie unosić się w otoczeniu jeszcze przez kilka godzin. Takie ślady śliny z wirusem znaleziono np. w systemach wentylacyjnych szpitali, w których leżeli chorzy na COVID-19.

Część ekspertów uważa, że powszechne noszenie masek skutecznie ograniczyłoby rozprzestrzenianie wirusa przez osoby z bezobjawową infekcją, szczególnie przy tak wysokiej liczbie przypadków.

George Gao, dyrektor Chińskiego Centrum Kontroli i Prewencji Chorób, w wywiadzie dla czasopisma „Science” stwierdził nawet, że nienoszenie masek przez społeczeństwo uważa za duży błąd krajów Europy i USA.

© BARTOSZ KABAŁA

Wolno mi tęsknić za piłką nożną

MICHAŁ OKOŃSKI



MIESIĄC MINĄŁ OD OSTATNICH DUŻYCH IMPREZ sportowych – skądinąd imprez, które (jak np. świetny mecz Atalanty Bergamo z Valencią w piłkarskiej Lidze Mistrzów) wiązały się nie tylko z kibicowskimi emocjami, ale także z zarażaniem się koronawirusem przez sąsiadów z trybun. W tym czasie podjęto zrozumiałe decyzje o przełożeniu na przyszły rok futbolowych mistrzostw Europy czy igrzysk olimpijskich. Wiele sportowych instytucji, skonfrontowanych z perspektywą utraty dochodów ze sprzedaży biletów czy transmisji telewizyjnych, ograniczyło pensje pracowników – choć często pomijało przy tym najlepiej zarabiające gwiazdy (wypada jednak podkreślić, że znalazły się takie, które same zredukowały własne pensje, a także – jak polscy piłkarze Jakub Błaszczykowski czy Robert Lewandowski – przekazały

szczodre datki na walkę z COVID-19). Po tym miesiącu wiadomo już: nie wszystkie instytucje sportowe przetrwają obecny kryzys.

Najmocniej rzuca się w oczy skwapliwość, z jaką przedstawiciele wielkich lig piłkarskich dyskutują o możliwości dokończenia sezonu – z pewnością bez publiczności, być może w ramach jednej wielkiej kwarantanny dla biorących udział drużyn. Krytycy podobnych koncepcji mówią, że samo ich zgłaszanie w chwili, gdy wokół dziesiątki tysięcy ludzi walczą o życie, jest niemoralne. Z drugiej strony jednak: poczucie więzi i azylu, jakie daje sport, radość i zachwyt związane z możliwością śledzenia zmagania jego bohaterów, może być w tym czasie źródłem nadziei i wsparcia na równi z obcowaniem z dziełami kultury. O nadzieję i wsparcie z pewnością warto zadbać. ©P

Z kota na kota

NAUKOWCY UWAŻAJĄ, że SARS-CoV-2 zmutował u nietoperzy z rodziny podkowcowatych – a potem, być może za pośrednictwem jakiejś innej grupy zwierząt, przeszedł na ludzi. Zasadne jest więc pytanie, jakie gatunki – zwłaszcza zwierząt domowych – mogą być rezerwuarem tego wirusa i czy może być on dla nich niebezpieczny.

Chińscy weterynarze (Jianzhong Shi i współpracownicy) przeprowadzili badanie, w którym zwierzęta różnych gatunków celowo za-

rażano koronawirusem. U psów wirus bardzo słabo się namnażał – są one niemal całkowicie na niego odporne. Znacznie bardziej podatne na zakażenie okazały się fretki, a także koty, które mogą nawet zarażać inne koty drogą kropelkową. Jedne i drugie nie miały jednak poważnych objawów. Znałe są wprawdzie przypadki kilku kotów, które zakażyły się wirusem w warunkach domowych, jednak jak dotąd nie stwierdzono, by mogły one przenieść patogen na człowieka.

Zwierzęta hodowlane – kury, świny i kaczki – okazały się odporne na zakażenie. ©Ł ŁK

KULTURA W SKRÓCIE

CAŁY TEN ZGIEŁK

Fotografka Kasia Idżkowska wygrała międzynarodowy konkurs Jazz World Photo. Zwycięskie zdjęcie zostało zrobione w Nowym Jorku i przedstawia grającego na jednej z ulic Manhattanu kontrabasistę Russella Halla.

60. KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY

Odbędzie się!

Potrwa od 31 maja do 7 czerwca i w całości przeniesie się do sieci. Szczegółowy program poznamy w połowie kwietnia.



NA DŁUGIEJ LIŚCIE

Przekład powieści Olgi Tokarczuk „Prowadź swój pług przez kości umarłych” autorstwa Antonii Lloyd-Jones (na zdj.) znalazł się na liście książek nominowanych do amerykańskiej nagrody translatorskiej Best Translated Book Award. Finalistów poznamy na początku maja. W zeszłym roku o tę nagrodę walczyli „Bieguni” Tokarczuk w tłum. Jennifer Croft.

RATUJMY KSIĘGARNIE

Jeśli stan epidemii utrzyma się do końca czerwca, 64 proc. księgarzy i wydawców zapowiada zwolnienia, a 27 proc. likwidację firmy – wynika z ubiegłotygodniowej ankiety Polskiej Izby Książki. Ponad połowa branży nie jest już w stanie regulować płatności kontrahentom. Wydawcy i księgarze zaapelowali do premiera m.in. o zniesienie składek ZUS i podatku VAT na książki oraz wprowadzenie ustawy o stałej cenie książki.



Gdy Bóg umiera

EDWARD AUGUSTYN

„**WIELKA CISZA SPOWIŁA ZIEMIĘ**; wielka na niej cisza i pustka (...) Bóg umarł w ciele” – mówi starożytna homilia na Wielką Sobotę. Od najdawniejszych czasów Kościół zna siłę milczenia. Wie, że jest ból, którego nie da się wyrazić słowami, i pytania, na które nie ma odpowiedzi. Na ten jeden dzień w roku zawiesza nawet sprawowanie liturgii – Bożego kultu. Po zakończeniu nabożeństwa Wielkiego Piątku czeka w milczeniu na kolejny wieczór, by zacząć świętowanie Niedzieli Zmartwychwstania. Pomiedzy jednym a drugim dniem zapada cisza.

W tym roku będzie szczególnie dotkliwa: zabraknie obrzędów i zwyczajów, którymi ludzie na całym świecie próbują ją oswoić. Na ulice włoskich i hiszpańskich miast nie wyjdą procesje z figurą Matki Bożej Bolesnej ani inscenizacje Męki Pańskiej, nie będzie święcenia pokarmów ani zwiedzania Bożych Grobów. Zawsze powinna być dniem milczenia, ale dopiero teraz, pozbawieni tradycyjnych przymiotów Wielkiej Soboty, odczuwamy grozę tej ciszy. Bóg umarł.

To święto wszystkich, którzy doświadczają śmierci Boga. Wierzących i niepodzielających ich wiary. Jedyny dzień w roku, gdy jedni nie próbują drugich nawracać ani pouczać. Gdy jedni i drudzy stają w milczeniu.

Wielka Sobota nie dla wszystkich skończy się Niedzielą Zmartwychwstania. Dla wielu z nas ten



dzień trwać będzie dłużej. Przekonanie, że Bóg umarł, czasem nie opuszcza nas latami.

Różne są tego powody. Cierpienie dziecka. Śmierć najbliższej osoby. Wojna, katastrofa, epidemia. Trudno wierzyć i mieć nadzieję, trudno zachować obraz dobrego, miłosiernego Boga, gdy ludzie umierają przypadkiem, bo „tak chciał los”, bo znaleźli się w złym miejscu, w niewłaściwym czasie, bo zabrakło respiratora, lekarza.

Kościół milczy wraz z nimi. Cóż więcej może zrobić wobec cierpienia? Co mówić w obliczu śmierci? Milczenie jest ludzkie. I bardziej uczciwe niż wszelkie przekonywanie, że „Bóg tak chciał”, czy wątle (teo)logiczne próby powoływania się na Boży plan, pedagogię zbawienia, grzech pierworodny.

W Wielką Sobotę czas się zatrzymał. Patrząc na martwe ciało Jezusa, dochodzimy do granicy wiary.

Czasem po latach szukania odpowiedzi po jednej czy po drugiej stronie. A gdy wreszcie, po tysiącu prób nieudolnego wyjaśniania tego, co niewytłumaczalne, i nadawania sensu temu, co bezsensowne, po cierpliwym zdrapywaniu kolejnych warstw wyobrażeń, wierzeń i zwyczajów, stajemy wobec śmierci Boga – musimy zadać sobie to jedno, najważniejsze pytanie: co dalej?

„Jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, próżna jest nasza wiara” – napisał Apostoł Paweł.

Wielka Sobota to pytanie o kolejny dzień. Czy uwierzmy słowu i obietnicy, czy zostaniemy wierni własnej rozpacz, śmiercią Boga odpowiadając na pytanie o każde zło i cierpienie. Wszyscy je sobie stawiamy, przez całe życie. Ci, którzy błakają się po bezdrożach wiary, i ci, którzy ufnie stąpają po jej drogach. Prędzej czy później każdy z nas trafi na Wielką Sobotę. ©©

Wpadniemy w Jego ręce

O. MACIEJ BISKUP OP:

Najstarsze teksty Nowego Testamentu nie używają sformułowania, że Chrystus zmartwychwstał, tylko że został wskrzeszony przez Ojca mocą Ducha. Jezus wchodził w śmierć z niepewnością, jak każdy człowiek.

MACIEJ MÜLLER: Na sześć dni przed paschą Jezus przyszedł do Betanii i w domu jego przyjaciół doszło do dziwnego zdarzenia: Maria namaściła mu stopy drogocennym olejkiem. Po co to zrobiła?

MACIEJ BISKUP OP: Według ewangelisty Jana Maria z Betanii symbolicznie namaściła Jezusa na dzień pogrzebu – który przypadł w szabat, kiedy nie wolno było wykonywać żadnych rytualnych czynności. Ojcowie Kościoła pisali, że Maria tym gestem przyspieszyła paschę. Bóg jest zawsze gotowy do hojności – ale potrzebuje do tego przyzwolenia człowieka. W Pierwszym Liście do Koryntian (3, 9) św. Paweł wskazuje na potrzebę synergizmu w dziele zbawienia: „Wszyscy jesteśmy współpracownikami” (gr. *synergoi*). Nie bombarduje miłością, tylko czeka na znak od nas. Ojcowie widzieli w geście Marii taką właśnie ukrytą prośbę.

To może przejaw niedostępnej mężczyznom empatii, połączonej z kontemplacyjną uważnością. Podczas jednej z wizyt Jezusa Maria słuchała z uwagą Jego słów, podczas gdy Marta się krzątała: i teraz wiadać, jakie to słuchanie przyniosło owoce. Pamiętamy, że to kobiety są pierwszymi świadkami zmartwychwstania i pierwszymi posłanymi do jego ogłoszenia. Kobiety szybciej pojęły służebny charakter misji Jezusa – podczas gdy apostołowie tkwili przy wizji mesjasza zwycięskiego, który wyzwoli Izrael. Tak to widział Piotr, tak to widział Judasz – ostatecznie tak rozgoryczony, że zdecydowany na zdradę. Dla mnie nieprzypadkowe jest to, że ta scena z Betanii poprzedza opis umywania nóg w czasie ostatniej wieczerzy.

**Czyli Maria wyczuła, że Jezusa naprawdę czeka śmierć?
Bo uczniowie go strofowali,
kiedy o tym mówił.**

Myślę, że widziała Jego udręczenie. Dla mnie ta scena jest przykładem „mistyki z twarzą”, o której pisze papież Franciszek w dokumencie skierowanym do osób konsekrowanych. Gdy Judasz potępia marnowanie olejku nardowego, który można było sprzedać, a pieniądze rozdać ubogim, Maria pokazuje najgłębszy sens miłosierdzia.

**Zarzut Judasza jest logiczny:
butelka tego olejku kosztowała tyle,
ile zarabiał rocznie robotnik.**

Franciszкови czy kardynałowi Krajewskiemu zarzuca się, że robią z Kościoła organizację charytatywną. Tymczasem to właśnie Franciszek reprezentuje „mystykę z twarzą” – gdy mówi, że lepiej zwolnić tempo ewangelizacji i zatrzymać się przy człowieku, by mu spojrzeć w twarz.

Maria widzi Jezusa, który odczuwa lęk – i pochyla się nad nim. To jest pełnia miłosierdzia. Kiedy na ulicy mijam bezdomnego, to nie moja efektywna pomoc jest najważniejsza, tylko to, że zatrzymam się, podam rękę, zapytam, czego potrzebuje. Judasz mówi o potrzebach biednych, a nie zauważa siedzącego obok Jezusa.

Św. Jan Chryzostom pisał, że sakrament ołtarza musi być połączony z sakramentem brata. Benedykt XVI, komentując ten patrystyczny tekst, wskazał, że miłość bliźniego, troska o sprawiedliwość i o biednych to nie tyle tematy moralności społecznej, ile raczej wyraz sakramentalnego pojmowania moralności chrześcijańskiej. Podczas Eucharystii padają słowa „na moją pamiątkę”. To zachęta, aby upodobnić się do tego, co celebруемy. Ostatnia wieczerza, podczas której Jezus umył nogi uczniom i mówił „bierzcie i jedzcie”, „bierzcie i pijcie”, pokazuje jedność między sakramentem Eucharystii i sakramentem brata. Chodzi o naszą

odpowiedzialność za życie innych. Wymiar szczególnie istotny dzisiaj, kiedy nie mamy możliwości pójścia na mszę i przyjęcia komunii. I teraz, i kiedy kwarantanna się skończy, nie wystarczy przyjąć Jezusa w komunii, jeżeli nie przyjmuje się go w sakramencie brata.

**Do sceny obmycia uczniom nóg podczas ostatniej wieczerzy Jan wprowadza komentarzem, że Chrystus „chciał pokazać tym, których pokochał w tym świecie, że ich kocha bez reszty”.
Dlaczego w taki sposób?**

Bo to gest służącego wobec pana. Trudno o większe uniżenie Boga wobec człowieka. Jezus przez całą Ewangelię tłumaczy uczniom, że przyszedł, żeby służyć; mówi „kochajcie jedni drugich tak, jak ja was ukochałem” – i pokazuje tę miłość. Ona polega na tym, że będziemy sobie nawzajem służyć. Jest też w niej intymność: Jezus dotyka ludzkiej stopy, brudnej od pyłu z drogi; ona symbolizuje to, co w nas kruche, poranione, słabe, wstydlive. Jezus wie, że Piotr się go zaprze, że Judasz go zdradzi – i obmywa im stopy. To antycypacja bezwarunkowego Bożego miłosierdzia.

Izajasz pisze: „Czyż może niewiasta zapomnieć o swym niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona? A nawet gdyby ona zapomniała, Ja [Bóg] nie zapomnę o tobie”. *Rahamin* to starotestamentalne pojęcie miłosierdzia Boga, które pochodzi od słowa określającego „łono matczyne” i wyraża wierną miłość matki wobec dziecka, nasyconą kobiecą troską i czułością. Jezus w geście obmycia nóg pokazuje miłość, od której – jak z matczynego łona – nic nas nie jest w stanie wyrwać.

To dlaczego przestrzega Piotra, że jeśli nie pozwoli sobie umyć nóg, to „nie będzie miał z Nim udziału”?

Bo człowiek zaproszony jest do tego, żeby przed Bogiem się odsłonić. Piotr zatrzymuje się na poziomie swojego honoru, który każe mu uciszać Jezusa, kiedy ten zapowiada swoją śmierć, i zapewniać, że go obroni, nie opuści. Myśli o swojej sile, ambicji. A Jezus nie tego oczekuje. On chce, żebyśmy pozwolili dotknąć w nas tego, co najsłabsze. Franciszek kiedyś powiedział, że łatwiej jest kochać Boga, niż pozwolić się Bogu kochać. Na tym polegał dramat Judasza, który zrozumiał swoją winę, ale zamknął się w roz-



MICHAŁ NIEDZIELSKI DLA „TP”

MACIEJ BISKUP (ur. 1972) jest dominikaninem, byłym przeorem klasztoru w Szczecinie, dziś mieszka w Łodzi. Doktor teologii, wykładowca Studium Chrześcijańskiego Wschodu w Warszawie, zaangażowany w dialog ekumeniczny i dialog z judaizmem oraz w pomoc uchodźcom.

paczy. Nie pozwolił się objąć tej miłości, która została mu ofiarowana w geście obmycia stóp.

I to go zamknęło na Boże miłosierdzie?

Nie wiem. Mam nadzieję, że jednak nie. Znamy zakończenie historii Piotra: Jezus, trzy razy pytając go o miłość, trzykrotnie sam mu ją wyznaje. W ten sposób uzdrawia. Myślę, że Piotr tęsknił za takim miłosierdziem przez wszystkie dni od chwili nieszczęsnej zdrady: pamiętał przecież, że kiedy pytał Chrystusa, ile razy wybaczyć, usłyszał, że aż siedemdziesiąt siedem razy. Liczył więc, że tego przebaczenia dostąpi. Judasz natomiast zamknął się w swojej rozpacz. Benedykt XVI w „Jezusie z Nazaretu” pisze, że „światło, które wychodziło od Jezusa i przeniknęło do duszy Judasza, nie zgasło całkowicie. Widoczny jest u niego pierwszy krok prowadzący do nawrócenia: »Zgrzeszyłem«, mówi swym zleceniodawcom. Próbuje ocalić Jezusa i zwraca pieniądze. Jego druga tragedia – po dokonaniu zdrady – polega na niemożności uwierzenia w przebaczenie. Jego skrucha zamienia się w rozpacz”. Największym nieposłuszeństwem Judasza nie było błędne rozumienie mesjanizmu Jezusa, tylko niedopuszczenie do siebie miłosierdzia.

Nie znamy ostatnich chwil Judasza, wiemy natomiast, że Jezus zstąpił do piekieł – jak to ujął św. Piotr, „do duchów kiedyś nieposłusznych” – do największej ciemności, gdzie nie ma Boga. Mam w sobie nadzieję, że do tej otchłani zstąpił też po to, aby odnaleźć Judasza.

Nie bez powodu Kościół ogłasza kanonizowanych, ale nigdy nie orzeka, kto został potępiony. Wielcy święci, jak Teresa z Lisieux czy Katarzyna ze Sieny, modlili się za potępionych.

Na dziedzińcu arcykapłana Jezus popatrzył na Piotra, a ten wtedy się rozplakał.

Może płakał nad sobą, bo przypomniał sobie, jak obiecywał, że nie odstąpi Jezusa, a właśnie się go wyparł? A może nad Jezusem, którego czeka sąd i męka? Możliwe, że rozsypały się jego marzenia o mesjaszu-wyzwoliciele. Tak czy inaczej, ten płacz był początkiem skruchy Piotra. Mówi się, że skrucha to dalszy ciąg oczyszczającego chrztu. I tak jak podczas ↪

→ chrztu, najważniejsze nie jest obmycie wodą, tylko wyznanie miłości. Dlatego Piotr będzie mógł po zmartwychwstaniu Chrystusa ponownie się otworzyć na wyznanie miłości.

A co było w spojrzeniu Jezusa? Potępienie?

Raczej smutek. W opowieści Jana o ostatniej wieczerzy czytamy, że zanim Jezus wyznał, iż jeden z uczniów go zdradzi, „doznał głębokiego wzruszenia”. Większość tłumaczeń polskich spłyca sens tych słów. Natomiast np. mesjanijski Żyd Dawid Stern w żydowskim komentarzu do Nowego Testamentu tłumaczy bardzo dosłownie, że Jezus był „udręczony w duchu”. Myślę, że Jezus nie tyle wzrusza się naszymi dramatami, co cierpi z ich powodu. Największa jego udręka nie ma charakteru fizycznego, związanego z bólem, jest to udręka duchowa, doświadczenie opuszczenia, ale i wzięcia na siebie osobistych dramatów poszczególnych ludzi – także Piotra i Judasza. Kiedy Jezus mówi o Judaszu: „byłoby lepiej dla tego człowieka, gdyby się nie narodził”, nie żałuje powołania go do życia, bo to byłoby przeciwne naturze Boga, który nigdy nie porzuca człowieka. Lepiej, żeby się nie narodził, bo zostałyby mu oszczędzone dramat zdrady i rozpacz.

Abp Grzegorz Ryś powiedział kiedyś, że Piotr dlatego został pierwszym wśród apostołów i głową Kościoła, ponieważ miał doświadczenie przeczłotkania przez grzech.

Zgadzam się: miał osobiste doświadczenie tego, że zdradził, że potrzebował przebaczenia i że dostał miłosierdzia. Możemy wyobrazić sobie inny scenariusz, w którym Jezus mówi: „wiesz, Piotrze, pomyliłem się, to Jan wytrzymał pod krzyżem, on jest bardziej stabilny i na nim oprę swój Kościół”. Tylko że nie o to chodzi w Kościele: Chrystus wybrał terapię Piotra przez miłość. Piotr był potem w stanie oddać w Rzymie życie za Kościół, bo doświadczył tego, co opisał św. Paweł – że „moc w słabości się doskonali”.

Żeby unieść krzyż, trzeba wewnętrznie pozostać dzieckiem – w sensie ufności. Jeśli człowiek jest zbyt dorosły, za bardzo pewny tego, że da sobie radę, że wszystko ogarnie – to może nie unieść cierpienia. Nie wszystko od nas zależy, nie musimy „zbawiać świata”. Jezus powiedział do Piotra: „Gdy byłeś młodszy, opasywałeś

się sam i chodziłeś, gdzie chciałeś. Ale gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce swoje, a inny cię opasze i poprowadzi, dokąd nie chcesz”. Młodszy – czyli infantylny, pewny siebie. Poprzez doświadczenie porażki, a nawet traumy, a potem przebaczenia, Piotr dojrzewa do przewodzenia Kościołowi. Doświadczył ogromnej miłości i będzie wiedział, jak mówić o miłosierdziu. Dlatego do przywódców Izraela potrafił zwracać się bez złości, mimo iż zarzuca im: „zabiliście Jezusa”.

Każde spotkanie człowieka z Ewangelią to sąd.

Rozmowa Samarytanki z Jezusem osądziła jej życie – ale to nie jest sąd ludzki, tylko Boży, ocalający.

A co to znaczy: „mieć udział” z Jezusem?

Wejść do Królestwa Bożego. Piotr tego nie dostąpi, jeżeli nie otworzy się na dar służby. Bo Królestwo Boże – i Kościół – polega na służbie. Nie zrozumiesz Kościoła i nie będziesz jego częścią, jeżeli nie pozwolisz czynić wobec siebie posługi, a potem samemu służyć innym. Lubię myśl z pamiętników Anny Kamieńskiej, że człowiek zbyt silny zachowuje się jak zamek warowny, który nie chce się poddać. Taki człowiek nie może pokochać, będzie uczniem Jezusa na dystans, nie wejdzie z Nim w relację.

Jezus zapowiada: „nastąpiła godzina, aby został uwielbiony Syn Człowieczy”. Uwielbiony? Zamordowany po sfigowanym procesie?

W Ewangelii Jana godzina jest pojęciem teologicznym. Kiedy w Kanie Galijskiej Maryja prosi Jezusa, żeby dokonał cudu, On odpowiada, że jeszcze nie nadeszła jego godzina – czyli czas działania Bożego. W innym miejscu mówi: „widzę Ojca czyniącego i ja też czynię”. Czyli Ojciec już zbawia świat i Chrystus odzwierciedla w sobie to działanie Ojca.

Miłość Boga objawia się w Jezusie, począwszy od wszystkich uzdrowień, do puszczania grzechów, a finałem jest „wy-

wyższenie Syna Człowieczego”: ukrzyżowanie, czyli moment najwyższego uwielbienia. Odkrywamy wtedy, że Bóg daje nam siebie.

Życie w Trójcy Świętej polega na istnieniu Osób w wiecznym obdarowywaniu się nawzajem. Istnienie i dawanie są w Bogu tożsame. Ukrzyżowanie Jezusa to objawienie tego życia, a my, ludzie, zostajemy włączeni do wymiany darów w Trójcy Świętej. Jezus oddaje życie za nas, i w tym geście jest całkowicie posłuszny Ojcu: w ten sposób okazuje mu uwielbienie.

Gorzkie to uwielbienie, skoro według św. Pawła Bóg „uczynił dla nas grzechem tego, który nie znał grzechu, abyśmy się stali w nim sprawiedliwością Bożą”.

Syn Boży staje się grzechem.

Z perspektywy życia Trójcy wcielenie i pascha Chrystusa są objawieniem i uwielbieniem Ojca. Natomiast jako człowiek Jezus zostaje przeklęty i odrzucony. Tak nazywa Księga Powtórzonego Prawa każdego, kto zawisnie na drzewie, i do tego nawiązuje Paweł. Jezus zostaje odrzucony jako człowiek, ale nie jako Bóg – bo Ojciec nie może odrzucić Syna. Dla naszego zbawienia on stał się grzechem, a my świętością. On przeklęty, my błogosławieni. On odrzucony, my przygarnięci. Ceną tej wymiany było zdruzgotanie na krzyżu człowieczeństwa Jezusa. Żydz, patrząc na ukrzyżowanego, sądzili, że Bóg go opuścił.

On sam to czuł, skoro modlił się: „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił”.

Na poziomie zawierzenia był jednak z Ojcem, o czym świadczy Jego pełna zmagania modlitwa: „jeśli możesz, oddal ode mnie ten kielich” czy też „w Twoje ręce powierzam ducha mego”. Nie nastąpiła więc utrata łączności z Ojcem, nie mniej na poziomie psychiki Jezus odczuwał opuszczenie. To było doświadczenie „nocy ciemnej”, znane choćby Matce Teresie z Kalkuty, która pisała w pamiętnikach: „Panie, mój Boże, kim jestem, że mnie opuszczasz (...) Wołam, lgnę, pragnę – nie ma Nikogo”.

Zbawia nas ukrzyżowanie czy zmartwychwstanie?

Jedno i drugie. Bóg wszedł w nasz los, przyjął naszą historię, ale ta miłość byłaby

niepełna, gdyby wszystko się skończyło ukrzyżowaniem. Nasz los przełamuje dopiero zmartwychwstanie.

Najstarsze teksty Nowego Testamentu nie używają sformułowania, że Chrystus zmartwychwstał, tylko że został On wskrzeszony przez Ojca mocą Ducha. Bo jeżeli człowiek umiera, to już niczego nie może dla siebie zrobić. Jezus wchodził w śmierć z niepewnością, jak każdy człowiek. O „samodzielnym” zmartwychwstaniu Chrystusa (pamiętając, że w zmartwychwstaniu bierze udział cała Trójca Święta) mówią późniejsze warstwy Nowego Testamentu, zapewne w reakcji na poglądy podważające Jego bóstwo. Pierwszym takim tekstem jest List do Rzymian (1, 3–4), gdzie Paweł używa słów *he anastasis*.

To w końcu komu wierzyć?

W myśleniu żydowskim, charakterystycznym dla ewangelistów, to Bóg może wskrzeszać do życia. Nic dziwnego, że używali sformułowań starotestamentalnych, trudno od nich oczekiwać warsztatu teologicznego greckich Ojców Kościoła. Niemniej nie można powiedzieć, żeby nie wierzyli w prawdziwy powrót Jezusa do życia. Św. Paweł pisze, że jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, próżna jest nasza wiara. Życie Kościoła byłoby zredukowane do pustych gestów i magii. Objawienie chrześcijańskie opiera się na zmartwychwstaniu, ewangelie są na-

pisane w kluczu paschalnym. Punktem wyjścia do opisu wszystkich wydarzeń w Ewangelii jest prawda o tym, że Jezus zmartwychwstał i żyje. Na przykład opis przemienienia na górze Tabor świadomie sugeruje zapowiedź zmartwychwstania i wniebowstąpienia.

Czyli przemienienia tak naprawdę nie było?

Było, ale ewangelisci opisali je w kluczu teologicznym żydowskiego święta Namiotów, z perspektywy zmartwychwstania: już wiedzieli, że Jezus żyje i wstąpił do Ojca. I połączyli z prorocstwami Starego Testamentu. Stąd postacie Mojżesza i Eliasza, z którymi rozmawia Chrystus.

Jeszcze przed swoją męką Chrystus zapowiada, że właśnie odbywa się sąd nad światem. Na czym on polega?

Ten sąd trwa przez całą misję Jezusa. Każde spotkanie człowieka z Ewangelią to sąd. Rozmowa Samarytanki z Jezusem osądziła jej życie – ale to nie jest sąd ludzki, tylko Boży, ocalający. Już w Starym Testamencie instytucja sędziów powstała jako ratunek przed tym, żeby nikogo nie osądził tłum. A jeszcze lepiej, jeśli – jak mówił św. Paweł – wpadniemy w ręce Boga, a nie ludzi. Sąd Boży wydobywa z człowieka to, co w nim najcenniejsze, co jest prawdą, miłością i życiem,

a odrzuca zło. Według Apokalipsy „oskarżyciel naszych braci, ten, który dniem i nocą oskarża ich przed Bogiem, został strącony”. Dostaliśmy natomiast Pocięziela – Ducha Świętego.

Ci, którzy czczą Boga w duchu i w prawdzie, otwierają się na Ducha, który ich osądza. Ale ten Duch to Parakletos – Obrońca. Który objawia, że „jeśli nawet ktoś zgrzeszył, mamy rzecznika wobec Ojca, Jezusa Chrystusa”. „A jeśli nasze serce nas oskarża, to Bóg jest większy od naszego serca”.

Czyli nikt nie będzie sprawdzać, czy mamy więcej dobrych, czy złych uczynków?

Wyobrażenie o ważeniu uczynków jest czysto ludzkie. Szkoda, że naszą świadomość religijną tak mocno ukształtowało sformułowanie z XIX-wiecznego katechizmu dla dzieci, że „Bóg za dobre wynagradza, a za złe karze”, *nota bene* nieobecne w oficjalnym nauczaniu Kościoła. Dobre czyny są odpowiedzią na miłość Boga, a nie kartą przetargową wobec Niego. W domyśle: przekupnego.

Myśląc o sądzie, przywołajmy raczej prośbę Dobrego Łotra: „Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego Królestwa”. Jest zbrodniarzem, człowiekiem złym, nie ma już czasu na poprawienie swojego życia, na zadośćuczynienie. Ale wzywa Boga na pomoc. A Bóg go ocala.

©® Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



#ŁączyNasPamięć
#AkcjaŻonkile

Ksiądz Adam Boniecki
Ambasador Akcji Żonkile
od 2016 roku



19 IV 1943

POWSTANIE
W GETCIE
WARSZAWSKIM

TYGODNIK
POWSZECHNY



19 kwietnia to rocznica powstania w getcie warszawskim. W tym roku obchodzimy ją w odosobnieniu, ale łączy nas pamięć i symbol rocznicy – żonkil. Pokażmy, że pamiętamy!

Do następnego numeru „Tygodnika Powszechnego” (od środy 15 kwietnia w kioskach) dołączamy **6 naklejek** z rocznicowymi żonkilami.

Przyklejcie je w widocznym miejscu, podzielcie się z innymi oraz pokażcie w mediach społecznościowych!



GRAZYNA MAKARA

Znikający Bóg

PIOTR SIKORA

**Zmartwychwstały jest Życiem
– mówi Pismo Święte.
Życia nie da się zatrzymać.
Można tylko po prostu żyć.**

NIE MA GO TU – POMIMO ROZMAITYCH RÓŻNIC w opisie tego, co spotkało w poranek po szabacie kobiety pragnące namaścić ciało Jezusa – ten przekaz posłańców Boga powtarza się zgodnie we wszystkich trzech ewangeliach synoptycznych (Mk, 16, 6; Mt 28, 6; Łk 24, 6).

Aporia

Okazuje się, że zmartwychwstanie jest wydarzeniem, które – najpierw i po pierwsze – niweczy oczekiwania najwierniejszych uczniów Jezusa i kruszy religijne koncepcje, na których oczekiwania te są oparte. Choć przecież były to oczekiwania i koncepcje najpobożniejsze i płynące z głębi ich szczerych serc.

Kobiety pobiegły jak najszybciej do grobu, gdyż Jezus był dla nich bardzo bliską osobą. Ich związek z Nim wydaje się nawet silniejszy – przynajmniej na poziomie emocjonalnym – niż w przypadku Dwunastu. To one czują wewnętrzne przynaglenie, by dopełnić pogrzebowego rytuału względem ukochanego Rabbiego. Właśnie przywiązanie do Mistrza staje się siłą wprawiającą je w ruch, która doprowadzi je – pierwsze – do odkrycia zmartwychwstania. Ale odkrycie to zaczyna się od zakwestionowania ich dotychczasowej pobożności i religijnej wizji świata.

Najbardziej wyraźny przekaz znajdujemy w Ewangelii Łukasza. Odkrycie, że grób jest pusty, sprawia, że kobiety są „zmieszane” – *aporeis-thai* (Łk 24, 4). W tej aporetycznej beznadziei słyszą głos posłańca Bożego: „Dlaczego szukacie żywego wśród umarłych?” (Łk 24, 5). Zapamiętajmy to zdanie. Ujawnia ono bowiem jeden z fundamentalnych błędów naszego religijnego poszukiwania i zaangażowania – próby budowania relacji z żywym Bogiem tak, jak gdyby był On martwy.

Aby lepiej zrozumieć, na czym dokładnie ów błąd polega, warto zwrócić się do czwartej z ka-

*Procesja Wielkiego Tygodnia
z figurą Chrystusa od Cudów, Malaga, Hiszpania,
Wielki Czwartek, 18 kwietnia 2019 r.*

nonicznych ewangelii – według Jana. W jej tekście słów tych – „nie ma Go tu” – brak, ale w sens, które niosą, jeszcze głębiej wprowadzają nas skomponowane przez ewangelistę narracyjne obrazy. Oto dwaj uczniowie – Piotr i ten, którego Jezus kochał – zaalarmowani przez Marię Magdalenę biegną do grobu. Wchodzą i widzą, że ciała Jezusa nie ma. Ucznia, którego Jezus kochał, właśnie dostrzeżenie tego braku doprowadziło do wiary.

Jeszcze dokładniej cały ów proces opisany jest w paschalnym doświadczeniu Marii Magdaleny. Gdy – po odejściu uczniów – stoi ona nadal nad grobem płacząc, lży przemysławia jej oczy i dostrzega „dwóch aniołów w bieli, siedzących tam, gdzie leżało ciało Jezusa – jednego w miejscu głowy, drugiego w miejscu nóg” (J 20, 12). Dla pierwszych czytelników Ewangelii był to bardzo jasny obraz – przywołanie Arki Przymierza, którą przykrywała płaska, podłużna płyta, przeblągalnia. Na obu jej krańcach znajdowały się figury cherubów, a pusta przestrzeń pomiędzy nimi była najświętszym miejscem wszechświata – przestrzenią, gdzie spoczywała Szechina – Obecność JHWH.

Arka Przymierza zaginęła wiele wieków przed opisywanymi wydarzeniami. Czytelnik Ewangelii jest w tym momencie prowadzony do uświadomienia sobie, iż zniknięcie ciała Jezusa tworzy miejsce na pojawienie się w świecie boskiej Szechiny. Maria Magdalena, choć jest tak blisko i widzi wszystko (a więc Nic) na własne oczy – jeszcze sobie tego w pełni nie uświadamia. Dopiero weszła na drogę.

Droga

W dalszy ruch po tej ścieżce wprawia ją pytanie aniołów: „kobieto, czemu płaczesz?” (J 20, 13). Odpowiedź Marii: „Zabrano mego Pana i nie wiem, gdzie został położony” – wyraża nie tylko niewiedzę, ale właśnie zaskoczenie, iż rzeczywistość jest inna, niż się spodziewała, oraz frustrację oczekiwań – frustrację, która prowadzi do smutku i płaczu. Zrozumiałwszy głębiej stan swojego ducha, Maria się odwraca – *estraphē* – czyli (bo to znaczy tu użyte przez ewangelistę słowo) wchodzi w proces nawrócenia. Zmienia nie tyle swoje położenie w przestrzeni, co sposób patrzenia na rzeczywistość. Nawracając się, dostrzega stojącego (czyli powstałego z martwych) Jezusa. Jego tożsamość jednak nadal jej umyka. Jest dla niej ogrodnikiem.

To nie jest całkiem fałsz – wracamy właśnie do Początku, do rajskiego ogrodu, do prawdziwego, nie-upadłego Adama – do Tego, który dba o ogród świata. A jednak Prawda jest większa.

Teraz dopiero słyszymy kluczowe pytanie. Zadaje je sam Jezus, nie Jego posłańcy: „Kogo szukasz?” (J 20, 15). Pytanie, na które odpowiedź wydaje się prosta. A jednak odpowiedź nie pada. Pytanie o kogoś nie dopuszcza bowiem odpowiedzi – „szukam zwłok”. A przecież Maria tak naprawdę ich szukała. Pytanie Jezusa rozsądziło obraz świata kobiety. Musi Magdalena teraz uprzytomnić sobie – zupełnie na nowo – kogo szuka, szukając Jezusa.

Punktem przełomowym drogi Magdaleny nie jest jednak żaden z kroków, które ona stawia, ale to, co słyszy z ust ogrodnika – swe prawdziwe imię: „Mario” (J 20, 16). Maria zaczyna rozumieć, że szuka nie tego, którego zna lepiej lub gorzej, ale Jedyne, który w pełni ją zna. Nie wiemy, kogo tak naprawdę w życiu szukamy, dopóki nie będzie nam dane poznać siebie. Poznanie Boga jest echem tego daru.

Rozpoznawszy siebie, Magdalena rozpoznała Jego. Ale nawet teraz Prawda się wymyka. „Nie zatrzymuj mnie, nie chwytaj” – mówi Jezus – widzisz bowiem i rozpoznajesz moją postać, w której nie wstąpiłem jeszcze do Ojca; tylko ona jest ci znana, ale Ojciec większy jest. Puść mnie – pozwól zniknąć ku Niemu (por. J 20, 17). I Maria puściła Jezusa, a gdy On jej znikł – i dopiero wtedy – rozpoznała Jego prawdziwą tożsamość: „widziałam Pana” (J 20, 18).

Teologii Bożego znikania nie przeczą wcale te fragmenty ewangelicznych narracji, w których Jezus się pojawia – choćby pośród uczniów zamkniętych w wieczniku (por. J 20, 19-29). Nie można bowiem przeoczyć podsumowania tych historii przez wieczny Logos: „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli” (J 20, 29). Widzenie Zmartwychwstałego wcale nie jest przywilejem. Raczej świadectwem słabości ducha, (jeszcze) niezdolności do wiary dającej prawdziwe błogosławieństwo. Dlatego historia Marii Magdaleny może być czytana jako wzorzec drogi wiary każdego chrześcijanina. Tak jak i historia uczniów idących do Emaus. Oni przez całą drogę nie byli w stanie rozpoznać Jezusa. Gdy zaś wreszcie „oczy im się otworzyły i poznali Go” – w tym samym momencie „On

stał się dla nich niewidzialny – zniknął im z oczu” (por. Łk 24, 31). Na poziomie świadomości zostali niemal z niczym – jedynie ze wspomnieniem płonącego serca (por. Łk 24, 32).

Trud i pokój

Czy to jednak nie smutne, że Ukrzyżowany zmartwychwstając znika? Byłoby smutne, gdyby nie to, że – jak mówi Pismo – znika, ale przychodzi (por. J 14, 28) i pozostaje z nami „po wszystkie dni do skończenia świata” (Mt 28, 20). Jest, ale skoro – jak sam o sobie powiedział – jest „zmartwychwstaniem i życiem” (J 11, 25), znika z wszelkich „grobów” – miejsc i sposobów, w których próbujemy go schwycić, zamknąć, przywalić kamieniem jasnego i wyraźnego rozpoznania: „tu”.

Mimo wszystko było to dla uczniów trudne doświadczenie, czego zapis został w Pismach, choćby w tym fragmencie Ewangelii Jana, w którym Jezus mówi: „Pokój zostawiam wam. Pokój mój daję wam, nie tak jak świat daje. Niech się nie trwoży wasze serce, ani niech się nie lęka. Słyszeliście, jak wam powiedziałem: »Ochodzę i przychodzę do was«. Gdybyście mnie kochali, ucieszylibyście się, że idę do Ojca, bo Ojciec większy jest ode mnie” (J 14, 28).

Tekst ten pokazuje, że nie tylko Maria Magdalena i kobiety idące do grobu, ale wszyscy uczniowie pragnęli doświadczać uchwytnej, konkretnej, namacalnej obecności Mistrza. Bali się sytuacji, w której będą tego pozbawieni. Członkowie pierwszej wspólnoty czytelników Ewangelii nie byli od nich pod tym względem różni. Zapewne zazdrościli ludziom, którzy parędziesiąt lat wcześniej mieli okazję zobaczyć Jezusa na własne oczy, może nawet dotknąć. I my zapewne niezbyt od nich się różnimy. Dlatego ewangelista, natchniony przez Ducha, napisał powyższe wersety: o pokoju, który został nam dany i leczy trwogę serca i zmieszanie umysłu, któremu wymyka się Bóg, oraz o błogosławionej wierze niewidzących.

Groby

Także bowiem dzisiaj, w naszych poszukiwaniach Boga podejmowanych ze szczerego serca i niesionych pobożnym religijnym zaangażowaniem, możemy odkryć (jeśli usłyszymy głos posłańców Boga), że „tu Go nie ma”, że „szukamy żywego wśród umarłych”.

→ Pierwszym z grobów, w którym Go szukamy, jest daleka przeszłość. Czytamy Pisma jako opowieści, jak to kiedyś było. Wspominamy Jezusa, gdy „chodził po świecie”. Rozważając współczesne dylematy doktrynalne lub etyczne, zastanawiamy się, czego Jezus chciał i co mówił – wtedy. A nawet jeśli na podstawie zapisanych Jego słów spekulujemy, co by dzisiaj powiedział, ów czas przeszły dominuje nad naszym tokiem myślenia i jest podstawą użytego trybu warunkowego: co by powiedział i zrobił – gdyby dzisiaj żył. Owo „gdyby” jednoznacznie wskazuje: szukamy Go (Jego słów, gestów, działań) wśród umarłych.

Prawda, nie wszyscy i nie zawsze jesteśmy uwięzieni w pułapce historii. Wierzmy, przynajmniej niektórzy, że On nie tyle żył gdzieś i kiedyś, ile jest i działa tu i teraz. Jeśli czytamy Pismo – to szukamy w nim Jego głosu rozbrzmiewającego we współczesnych okolicznościach życiowych. Uczestniczymy w liturgicznych rytuałach – przekonani, że możemy Go tam spotkać żywego. Praktykujemy osobistą modlitwę, zwracając się do Niego, obecnego, jak wierzymy, teraz – i szukamy Jego odpowiedzi w spotykających nas życiowych doświadczeniach albo w pojawiających się w nas myślach, uczuciach, pragnieniach: wszelkich poruszeniach psychiki i ducha. Czyż to nie jest – można by zapytać – ta właściwa droga: Żywy znajdowany w życiu? Z rezultatów takich poszukiwań chyba już się nie wymyka?

A jednak.

W swojej religijnej drodze, chcąc utrzymać jej właściwy kierunek, używamy wielu znaków, pojęć i symboli. Począwszy od Pisma – na podstawie tekstów tam zawartych tworzymy sobie obraz Tego, którego szukamy. Wyrażamy go – jako wspólnota Kościoła – w słowach *Credo*, doktrynach, ikonach. Każdy z nas, uczestnicząc jakoś w chrześcijańskiej tradycji, tworzy sobie osobisty obraz Chrystusa, do którego się zwraca. Zaczynamy zatem myśleć: oto Jezus jest taki. Każdy z tych obrazów jest kolejnym grobem. W którym Go nie ma.

Podobnie jest wówczas, gdy chcemy odnaleźć Boga w jakimś konkretnym przeżyciu, które potrafimy – jako to, nie co innego – uchwycić w swojej świadomości. Czy to będzie jakieś zewnętrzne

wobec nas zjawisko albo wydarzenie, czy nawet wewnętrzne, duchowe doświadczenie. Gdy tylko czynimy z niego przedmiot swojej świadomości, „wycinamy” je z tła – czyli wszystkiego, co wokół nas się dzieje – zakreślamy jego granice, które pozwalają skierować naszą świadomość w tym, a nie innym kierunku, nazwać, ustalić tożsamość, uzyskać choćby pewne zrozumienie, co to było – i szykujemy się do uznania, że tu właśnie, w granicach tego oto zdarzenia, znaleźliśmy Boga. Znika stamtąd w tym samym momencie, gdy to ustalimy. To, co ustalone, martwe jest – Życia w tym nie ma.

Wcale nie lepiej, gdy chcemy doświadczyć Boga w przeżyciu wewnętrznym. Gdy tylko bowiem w procesie autorefleksji uświadamiamy sobie, co przeżywamy – chwytny tak naprawdę to, co przeżyliśmy kiedyś – choćby to „kiedyś” znaczyło: ułamek sekundy temu. Bywa, że modląc się doświadczamy czegoś konkretnego. Czy to Bóg? – pytamy. Czy to On był obecny w tym właśnie uczuciu? Czy to konkretne poruszenie – przecież do dobrego – to ślad Jego przejścia?

Ślad – być może. Ale przecież nasze ślady nie są nami. Gdy widzimy czyjeś ślady – to jest pewny znak, że tej osoby już tu nie ma. Przeszła. I poszła. Jest teraz gdzie indziej. Idąc po śladach jesteśmy zawsze trochę spóźnieni. Zawsze nie tam, gdzie ten, którego śledzimy.

Życie

Co zatem zrobić? Jak się nie spóźniać? Gdzie spotkać Tego, którego nie ma w żadnym grobie?

„W owym dniu – mówi Jezus w Ewangelii Jana o dniu „po szabacie” – poznacie, że Ja jestem w Ojcu moim, a wy we Mnie i Ja w was” (J 14, 20). Ja, który nie tyle zmartwychwstałem, co sam „jestem zmartwychwstaniem i życiem” (J 11, 25). Możecie je mieć w sobie – jeśli tylko spożyjecie i strawicie Mnie – moje Ciało i Krew (por. J 6, 53-57). Eucharystia pokazuje, na czym polega ten proces. Kiedy patrzymy – widzimy wino i chleb. Kiedy te postacie – spożyte – w nas znikają, zanurzamy się w Życiu.

Życie z martwych się zbudziło, Życie (także w nas) płynie. Nie da się pochwycić, nie da się zatrzymać. Znika i przypływa, przypływa i znika. Żyje.

©© PIOTR SIKORA



Zupełnie nowe wydarzenie

MARCIN MAJEWSKI

Reakcja uczniów na zapowiedź zmartwychwstania

– „nie rozumieli tych słów, a bali się Go pytać” – pokazuje, że uczniowie nie byli lepsi niż reszta społeczności żydowskiej. Nie pojmowali, kim On jest.

WYDARZENIE ZMARTWYCHWSTANIA Jezusa było dla uczniów kompletnym zaskoczeniem. Ewangelie pokazują, że nie brali nawet pod uwagę takiej możliwości; przerażeniem i niewiarą re-



GRAZYNA MAKARA

Procesja Legionistów Kompanii Honorowej niosąca figurę Chrystusa od Dobrej Śmierci, Malaga, Hiszpania, Wielki Czwartek, 18 kwietnia 2019 r.

agowali na świadectwa pustego grobu: „Kobiety nas przeraziły, mówiąc, że były u grobu i był on pusty” (Łk 24, 22); „słowa te wydały im się częstą gadaniną i nie dali im wiary” (Łk 24, 11). A przecież czytamy, że Jezus kilkakrotnie zapowiadał swą mękę, śmierć i zmartwychwstanie. Mamy przynajmniej trzy precyzyjne zapowiedzi wydarzeń paschalnych, które padają z ust Jezusa: „I zaczął ich pouczać, że Syn Człowieczy musi wiele cierpieć, że będzie odrzucony przez starszych, arcykapłanów i uczonych w Piśmie; że będzie zabity, ale po trzech dniach zmartwychwstanie” (Mk 8, 31-32; podobnie w Mk 9, 31-32 i Mk 10, 32-34 oraz w tekstach paralelnych, znajdujących się w innych ewangeliiach). Dlaczego apostołowie zachowywali się tak, jakby tych zapowiedzi zupełnie nie słyszeli lub nie zrozumieli?

Odpowiedź wydaje się obejmować kilka możliwości. Albo takie zapowiedzi ze strony Jezusa nie padły, lecz zostały dodane przez popaschalną wspólnotę. Być może też padły, lecz ich realizacja wykroczyła poza to, czego uczniowie mogli się spodziewać. A może taka strategia nar-

racyjna autora ma jakiś strategiczny cel w ewangelii. Rozważmy je zatem po kolei.

Czy Jezus zapowiadał swoje zmartwychwstanie?

Ewangelie wskazują, że tak. Wiemy jednak, że zostały spisane kilkadziesiąt lat po śmierci Jezusa i są zapisem nie tyle historycznych wydarzeń, co opracowanym literacko nauczaniem pierwszego Kościoła na temat Jezusa Mesjasza. Ewangelie nie są biografią Mistrza z Nazaretu czy kroniką Jego dzieł i słów, o czym świadczy choćby fakt, że najdłuższy etap Jego ziemskiego życia – dzieciństwo, młodość, dorastanie i wczesna dorosłość – został w nich całkowicie pominięty. Ich schemat przypomina raczej sposób opowiadania o innych bohaterach Biblii i literatury starożytnej: najpierw liczne przekazy o cudownych okolicznościach narodzin bohatera, potem główna oś: opowiadanie o dokonanej misji.

Nierówne potraktowanie życiorysu Jezusa widać także w opowiadaniu o Jego misji. Tu na czoło wysuwają się narracje o męce i śmierci. Publiczna działal-

ność Nauczyciela z Nazaretu jest ujęta w pojedyncze opowiadania o czynach i słowach, ostatni tydzień zaś jest opowiadany dzień po dniu, a nawet godzina po godzinie. Narracje o męce, śmierci i zmartwychwstaniu zajmują nieproporcjonalnie dużą część każdej z czterech ewangelii, co szczególnie widać u św. Jana, gdzie tematyka wielkiego tygodnia zaczyna się już od rozdziału jedenastego – jednemu tygodniowi z życia Jezusa autor czwartej ewangelii poświęcił połowę swej księgi.

Po co to wprowadzenie? Z perspektywy współczesnych badań nad ewangeliami nie jest pewne, czy Jezus przewidywał swoją tragiczną śmierć oraz następujące po niej zmartwychwstanie. Biblisty biorą tu pod uwagę kilka aspektów.

Po pierwsze, zdają sobie sprawę, że ewangelie zostały spisane z perspektywy nauczania wspólnoty uczniów w drugiej połowie I wieku, zawierają zatem raczej kerygmat (głoszenie, świadectwo) niż kronikę poszczególnych wydarzeń czy słów. Wypowiedzi Jezusa są w jakiejś mierze tworem czy rekonstrukcją powielkanocnej gminy i trudno jest dotrzeć do

→ własnych słów Jezusa historycznego (tzw. *ipsissima verba Jesu*).

Po drugie, ewangeliczne sceny z Wielkiego Tygodnia Jezusa bywają uzgadniane z prorocत्वami mesjańskimi Starego Testamentu i opisywane tak, by stałoby się ich wypełnienie. Widoczne jest to choćby w scenie uroczystego wjazdu do Jerozolimy. Zachariasz, który prorokuje o wkroczeniu Mesjasza do Jerozolimy, używa popularnego w poetyce hebrajskiej środka literackiego – paralelizmu: „Raduj się wielce, córo Syjonu! Wołaj radośnie, córo Jeruzalem! Oto twój Król przybywa do ciebie. Sprawiedliwy i zwycięski – jako pokorny jedzie na osłátku, na źrebięciu osłicy” (Za 9, 9; tłum. własne). We fragmencie tym każde kluczowe słowo jest wzmocnione jego synonimem (paralelizm): raduj się/wołaj radośnie, córo Syjonu/córo Jeruzalem, przybywa/jedzie, król/sprawiedliwy i zwycięski, osiołek/źrebię osłicy.

Osiołek oraz źrebię osłicy oznaczają tu to samo, jedno zwierzę. Tymczasem ewangelista Mateusz opisał tę scenę w sposób kuriozalny, jakoby Jezus jechał jednocześnie na osle i na osiołku (zob. Mt 21, 2-7). Dlaczego w jego opisie Jezus każe uczniom przygotować dwa zwierzęta? Otóż ewangelista, tworząc narrację o wjeździe do Jerozolimy, ma przed oczami tekst Septuaginty, greckiego przekładu Biblii, gdzie prorocत्व Zachariasza o osiołku przetłumaczono niedokładnie i wstawiono dwa zwierzęta: osła i źrebię osłicy. Ewangelista nie sięga tu do pamięci ani nie rekonstruuje zdarzenia, ale posługuje się prorocत्वem Biblii, by opisywaną scenę do niego dopasować. Podobne zjawisko można dostrzec w innych narracjach męki i śmierci Jezusa. Ewangelistom zależy na wyrażeniu wiary w Jezusa jako prawdziwego Mesjasza, który wypełnia prorocтва Starego Testamentu, bardziej niż na kronikarskim relacjonowaniu wydarzeń.

Podobnie jest z wypowiedziami Jezusa, w tym o Jego własnej męce. Dzisiaj już nie twierdzi się, iż ewangelie przekazują je w brzmieniu dosłownym. Konstytucja soborowa „Dei verbum” w numerze 19. przyjmuje ich esencjalną historyczność, ale dopuszcza możliwość ich adaptacji do nowej sytuacji w okresie popaschalnym. Jezus mógł dawać uczniom do zrozumienia, że wie, co go czeka, ale tak konkretne i precyzyjne zapowiedzi śmierci i zmartwychwstania wydają się klasycznym

Z perspektywy współczesnych badań nad ewangeliami nie jest pewne, czy Jezus przewidywał swoją tragiczną śmierć oraz następujące po niej zmartwychwstanie.

„prorocत्वem z wydarzenia” zredagowanym już po samym fakcie.

Spór o autentyczność poszczególnych wypowiedzi Jezusa trwał w biblistyce długie dekady i pozostał w wielu kwestiach nierozstrzygnięty. Dziś dominuje inne podejście do ewangelii: traktuje się je jako dzieło literackie – w pełnym tego słowa znaczeniu – a nie kronikę wydarzeń czy stenogram. Spróbujmy je potraktować w taki właśnie sposób.

Nowość w historii świata

Przyjmijmy, że zapowiedzi Jezusa o zmartwychwstaniu padły. Ewangelisci zaznaczają, że w reakcji na nie uczniowie „nie rozumieli tych słów, a bali się Go pytać” (Mk 9, 32 i par.). Przede wszystkim ci, którzy szli za Jezusem, nie wierzyli, że może On niedługo zostać zabitym, a następnie powstać z martwych. Już rychła śmierć wydawała się nieprawdopodobna, a co dopiero samoistne zmartwychwstanie – to wymykało się wszelkiej logice. Piotr nawet próbował karcić Jezusa za te nonsensownie brzmiące słowa (por. Mk 8, 32n). Skąd te reakcje uczniów?

Jezus próbował powiedzieć im o czymś, czego nie znali. O czymś, co nie ma dobrej analogii czy też adekwatnego modelu ani w Starym Testamencie, ani w literaturze międzytestamentalnej. Mówiąc wprost: w świecie hebrajskim takie coś nigdy wcześniej się nie wydarzyło. A nawet nie było wprost zapowiedziane. Na pytanie, czy Stary Testament zapowiada zmartwychwstanie Mesjasza, można odpowiedzieć pozytywnie tylko zakładając jego chrześcijańską, alegoryczną lekturę. Same teksty – jak Ezechielowi wizja wysuszonych kości – czytane w obrębie religii Izraela nie pozwalają na tak daleko idące interpretacje. Autorzy Biblii hebrajskiej pisali o wskrzeszeniu, przywróceniu

komuś zwyczajnego życia mocą Bożą (np. 1 Krl 17, 17nn) czy o wzięciu do nieba (jak w przypadku Eliasza). Jak jednak mogli opisać zmartwychwstanie, jeśli w ogóle nie mieli takiego pojęcia?

Chodziło bowiem o samoistne, pełne mocy powstanie z martwych – okazanie władzy nad śmiercią i boskiej mocy władcy życia. To nie miało być przywrócenie życia zwłokom, jak miało to miejsce w przypadku młodzieńca z Nain (Łk 7, 11-17), Łazarza (J 11, 1-44) czy córki Jaira (Mk 5, 25-43). Ich życie bowiem któregoś dnia definitywnie zakończyło się śmiercią. To miało być nowe, wieczne życie, w ciele ziemskim, ale przemienionym. Po zmartwychwstaniu Jezus ma prawdziwe „ciało i kości” (por. Łk 24, 39), ale jest to ciało uwielbione, niepodlegające prawu śmierci. Zmartwychwstały Chrystus w swoim uwielbionym ciele jest poza czasem i przestrzenią i nie podlega ograniczeniom materii. Apostoł Paweł powie, że „Chrystus zmartwychwstał jako pierwszy z tych, co pomarli” (1 Kor 15, 20; podobnie w Kol 1, 18) – jest to więc wydarzenie zupełnie nowe, pierwsze, inne niż wszystko, co do tej pory znano. Prawda ta w tamtym momencie całkowicie uczniów przerosła, a ich niezrozumienie podkreśla tylko nowość tego faktu.

Czy jednak sam temat cielesnego zmartwychwstania był im zupełnie obcy? Wydaje się, że nie.

O tych, którzy zmartwychwstali

W mitologiach basenu Morza Śródziemnego pojawiały się legendy o boskich istotach, które umarły i następnie powróciły do życia. Jednym z najbardziej czczonych bogów Lewantu był Baal, znany z Biblii, a szerzej: z mitologii ugaryckiej. Był to młody, porywczy bóg, który co roku ginął w wyniku walki toczzonej z Motem – bogiem śmierci i wysuszonej letnim skwarem ziemi – i zstępował do świata podziemnego, aby z nastaniem wiosny powstać z martwych. Wybuch wiosny był czasem, gdy świętowano zmartwychwstanie Baala w uroczystościach analogicznych do żydowskiej Paschy.

Innym bardzo popularnym mitem był ten o Adonisie – pięknym młodzieńcu, ulubieńcu bogini Afrodyty. Adonis często wybierał się na polowanie; niestety, pewnego dnia zginął poszarpany przez dziką. Zrozpaczona bogini poprosiła Zeusa,

aby dusza jej kochanka przyoblekła się w ciało i wróciła na ziemię. Ten sprawił, że Adonis zmartwychwstał w ciebie, choć miał również odwiedzać regularnie Hades. Kult Adonisa istniał u ludów semickich Babilonii i Syrii (pod kilkoma postaciami), a Grecy zapożyczyli go od nich już w VII wieku przed Chr. Odprawiano nawet Adonie – ośmiodniowe uroczystości upamiętniające śmierć i zmartwychwstanie młodzieńca.

Jeszcze inne świadectwo przynosi najstarszy zachowany w całości romans grecki „Historia Chaireasa i Kalliroe” autorstwa Charitona (najprawdopodobniej I wiek przed Chr.). Akcja rozgrywa się na Sycylii i opisuje postaci oraz wydarzenia historyczne (wojnę między Syrią a Egiptem). Znajdujemy tu opis sceny odnalezienia pustego grobu głównej bohaterki romansu. Choć – jak się okazuje – dziewczyna wcale nie umarła, to jej kochanek przez pewien czas był przekonany o rzeczywistej śmierci i powstaniu z martwych ukochanej.

Z kolei Flegon z Tralles (II wiek po Chr.) w swoim zbiorze „O dziwacznych i ludziach długo żyjących” zebrał i opracował 35 historii dotyczących antropologicznych fenomenów, do których należały m.in. przypadki zmartwychwstań. Pierwsza i zarazem najdłuższa narracja to list opowiadający historię młodej dziewczyny, Filinnion, która zmarła, a następnie powstała z martwych, aby spędzać noce ze swym kochankiem Machatesem. Gdy została nakryta przez domowników, musiała ponownie oddać ducha w alko wie kochanka. Na miejscu pozostały jedynie jej zwłoki. Filinnion nie była duchem, jej spotkania z ukochanym miały charakter obcowania cielesnego, jej ciało zaś było w stanie przenikać przez zapieczętowany od chwili pogrzebu grobowiec (por. J 20, 9). Materiał Hieronowy, do którego prawdopodobnie zalicza się opowieść o Filinnion, jest datowany na przełom IV i III wieku przed Chr.

Znany jest też wątek wskrzeszenia Glaukosa, który będąc dzieckiem, go nił za myszą, wpadł do kadzi z miodem i utonął. Jego ojciec Minos, odnalazszy ciało syna, wymusił na wieszczu Polydosie sposób na przywrócenie Glaukosa do życia. Sposobem tym okazały się magiczne zioła. Magiczne ziele jest również atrybutem Asklepiosa (rzymskiego Eskulapa) w jego funkcji wskrzesiciela. Asklepios przywrócił do życia wielu zmar-

W narracji Mateusza
o wjeździe do Jerozolimy
Jezus każe uczniom
przygotować dwa zwierzęta:
ośła i źrebię oślicy.

**To translatorskie
nieporozumienie.**

łych, otrzymując przydomek Zbawiciela (gr. *Soter*).

Czy te mityczne i literackie motywy zmartwychwstań znane były Żydom czasów Jezusa? Historyk z Uniwersytetu Warszawskiego Sławomir Poloczek, który zajmował się tym tematem, sugeruje, że tak („Pusty grób Kalliroe i Chrystusa”). Badacze wskazują np. na chronologiczne pierwszeństwo tych narracji wobec chrześcijańskiej tradycji o pustym grobie, na ich popularność w połowie I wieku po Chr. oraz na pewne analogie literackie. Pozostaje to jednak w sferze domniemań.

Powszechne zmartwychwstanie

Nie mamy za to wątpliwości, że uczniom znana była wiara i oczekiwanie na zmartwychwstanie sprawiedliwych szeroko obecne w judaizmie przełomu er. W późnej, spisanej po grecku Drugiej Księdze Machabejskiej jeden z młodzieńców wypowiada wobec oprawcy takie słowa: „Ty, zbrodniarzu, odbierasz nam to obecne życie. Król świata jednak nas, którzy umieramy za Jego prawa, wskrzesi i ożywi do życia wiecznego” (2 Mch 7, 9). Jego brat zaś kieruje do oprawcy ostrzeżenie: „Dla ciebie bowiem nie ma wskrzeszenia do życia”, co należy rozumieć jako pozostawienie go w Hadesie – Szeolu. Podobne wypowiedzi znajdujemy w późnej Księdze Daniela (Dn 12, 2). Apokryficzne Psalmi Salomona również wieszczą zmartwychwstanie sprawiedliwych; podobnie Apokalipsa Barucha; a Czwarta Księga Ezdrasza i Apokalipsa Mojżesza zmartwychwstanie wszystkich, także pogan. Również w literaturze rabinistycznej tego okresu (Miszna, Tosefta, niektóre z midraszów) panuje przekonanie o powszechnym zmartwychwstaniu. Tego samego oczekuje św. Paweł

(1 Kor 15, 20). Można stwierdzić zatem, że judaizm epoki międzytestamentalnej wierzył głęboko, że Dzień Mesjasza będzie dniem przywrócenia do życia umarłych, dniem ich zmartwychwstania. Motyw zmartwychwstania jako wskrzeszenia do nowego, innego życia był nie tylko obecny w kulturze żydowskiej czasów Jezusa, ale znacznie ożywił się w tym okresie.

Czy uczniowie zatem, słysząc zapowiedzi Jezusa o Jego zmartwychwstaniu, skojarzyli je z tymi oczekiwaniami? Czy je znali i sami żywili?

Dialog niezrozumienia

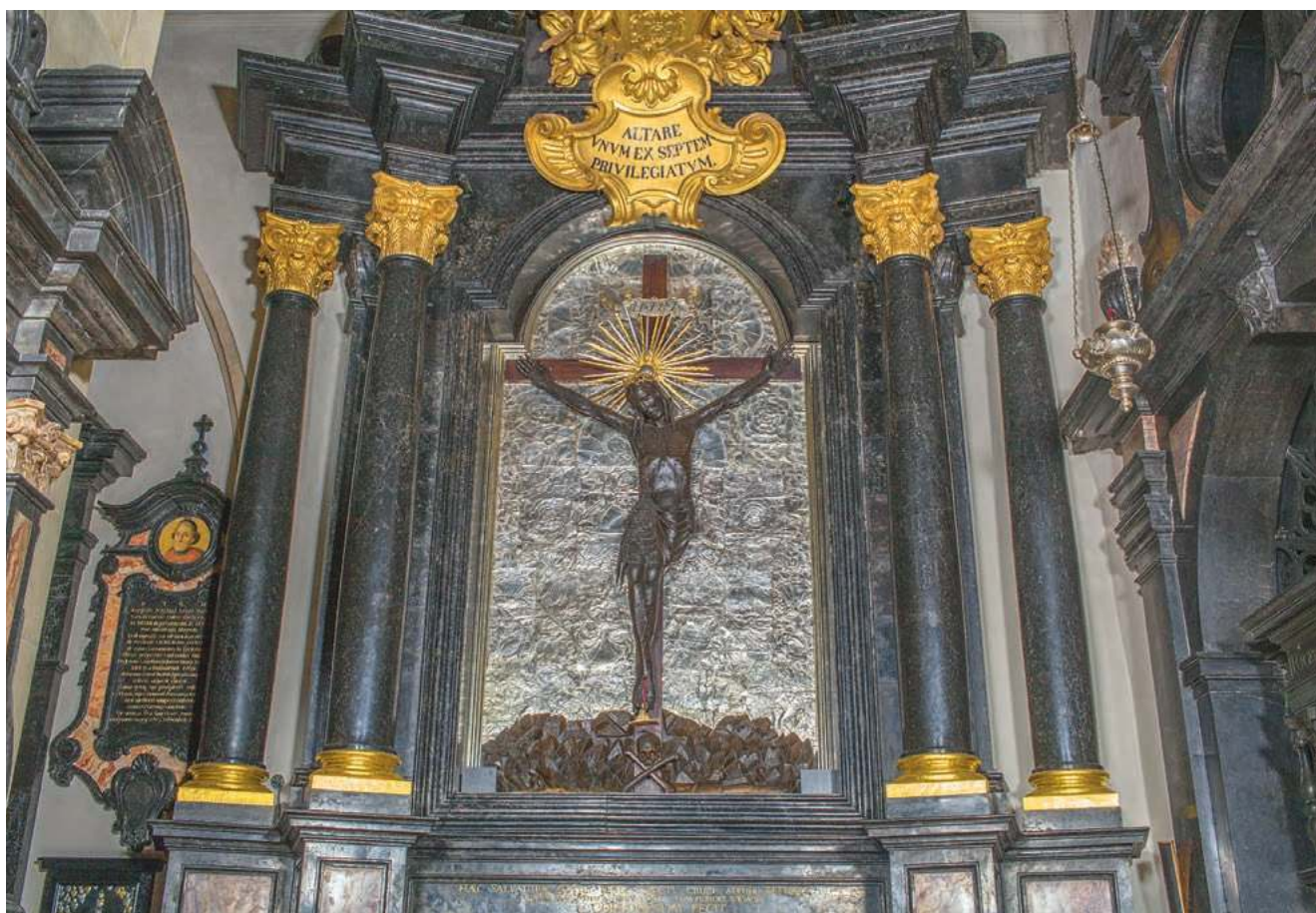
Ewangelisci nie podnoszą tych pytań, idą bowiem w inną stronę. W niezrozumieniu uczniów chcą wyrazić zderzenie ludzkich kalkulacji słuchaczy z boską samowiedzą Jezusa. Reakcja uczniów na zapowiedź zmartwychwstania – „nie rozumieli tych słów, a bali się Go pytać” – ma pokazać, że uczniowie nie byli lepsi niż reszta społeczności żydowskiej; również na tamtym etapie nie rozumieli, kim On jest. Nie rozumieli tajemnicy, która ujawni się dopiero po dopełnieniu wydarzeń Triduum Paschalnego.

Niezrozumienie uczniów stanowi typowe w strategii narracyjnej ewangelii zderzenie – tzw. „dialog niezrozumienia”. Jezus tłumaczy; uczniowie nie rozumieją. Jezus mówi na poziomie tajemnic mesjańskich; uczniowie słuchają na poziomie ludzkich dywagacji. Jezus powiedział o potrzebie ponownego narodzenia; Nikodem zapytał o możliwość wejścia starca do łona matki. Jezus zapowiedział, że świątynia jego ciała zburzona po trzech dniach powstanie na nowo; słuchacze oburzyli się na gorszące słowa o świątyni jerozolimskiej.

Dialog, w którym Jezus wprost zapowiada swoją mękę, śmierć i zmartwychwstanie, nie jest stenogramem z dyktafonu. Jest strategią narracyjną, w której objawia się tajemnica Mesjasza, tego, kim jest Jezus. Czytelnik jest tu zaproszony do jej nieustannego odkrywania.

© MARCIN MAJEWSKI

Autor jest teologiem, biblistą, wykładowcą Pisma Świętego, archeologii biblijnej i języka hebrajskiego na UPJPII i UJ. Jego najnowsza książka „Pięcioksiąg odczytany na nowo” otrzymała w 2019 r. tytuł Teologicznej Książki Roku, przyznawany przez Polską Akademię Nauk.



WIRTUALNE MUZEUM MAŁOPOLSKI / DOMENA PUBLICZNA X2

Ołtarz z połowy XVIII w. (F. Placidi (?), 1743-45) z XIV-wiecznym cudownym krucyfiksem królowej Jadwigi, Kraków, katedra na Wawelu

Dzieła, które mają głos

MAGDALENA ŁANUSZKA

Wiele średniowiecznych krucyfiksów przemawiało do pobożnych wiernych. Dostownie.

WŚRÓD LEGEND ZWIĄZANYCH Z DZIEŁAMI SZTUKI sakralnej ważne miejsce zajmują opowieści o cudownym ożywieniu świętego wizerunku. Fenomen popularności legend o mówiących krucyfikсах łączy się szczególnie z późnym średniowieczem.

Był to czas przemian religijności Europejczyków. Nastąpił zwrot ku duchowości indywidualnej, osadzonej w koncepcjach mistycznych, określanej mianem *devotio moderna* (nowa pobożność). W rezultacie w XIV i XV w. powstawały nie tylko krucyfiksy, które miały do kogoś przemówić, ale także rozmaite przedstawienia popularyzujące legendy o tego

typu cudach. Niektóre z tych dzieł nie przetrwały, ale wiemy o nich dzięki zachowanemu źródłom pisany.

Ożywienie krucyfiksu nie musiało ograniczać się jedynie do słów. Według legend św. Jadwigi Śląskiej oraz Jadwigi Andegaweńskiej Chrystus nie tylko do każdej z nich przemówił, ale także pobłogosławił, odrywając rękę od krzyża. Ten akurat motyw mógł zagościć w wyobraźni odbiorców pod wpływem dramatyzacji liturgicznych, szczególnie wielkopostnych i wielkanocnych, do których używano często figur animowanych, z ruchomymi kończynami.

Zaginione skrzydła

Jednym z najcenniejszych źródeł dla badacza zajmującego się dawną sztuką sakralną są protokoły wizytacji biskupich – dzięki nim możemy się dowiedzieć, co znajdowało się w świątyniach kilkaset lat temu. Wiele ciekawych informacji o wyposażeniu katedry na Wawelu znajdziemy w protokołach wizytacji biskupa Andrzeja Trzebieckiego z lat 1670–1672. Należy do nich opis niezachowanych niestety skrzydeł ołtarza, w którego środkowej części znajdował się tzw. Krucyfiks królowej Jadwigi. Dziś rzeźba ta wstawiona jest w XVIII-wieczny ołtarz, ale w XVII w. istniała jeszcze gotycka nastawa w formie tryptyku. Wówczas gotyckie malowidła na skrzydłach były widoczne tylko na rewersach, czyli stronie ekspozycyjnej po zamknięciu ołtarza, podczas gdy awersy, widoczne przy otwarciu, były obite czarnym aksamitem – na którym

wisiał wota, jako że krucyfiks uchodził za cudowny i otoczony był kultem.

Po zamknięciu ołtarza można było obejrzeć cztery malowane kwatery (po dwie na każdym skrzydle), ukazujące pobożne kobiety, do których przemawia krucyfiks. Były to święte Brygida oraz Jadwiga Śląska, a także Jadwiga Andegaweńska i krakowska księżna Kinga. Dwie ostatnie ukazano na ołtarzu, choć kanonizacji doczekały się dopiero w XX w. (Kinga została jednak beatyfikowana w 1690 r.).

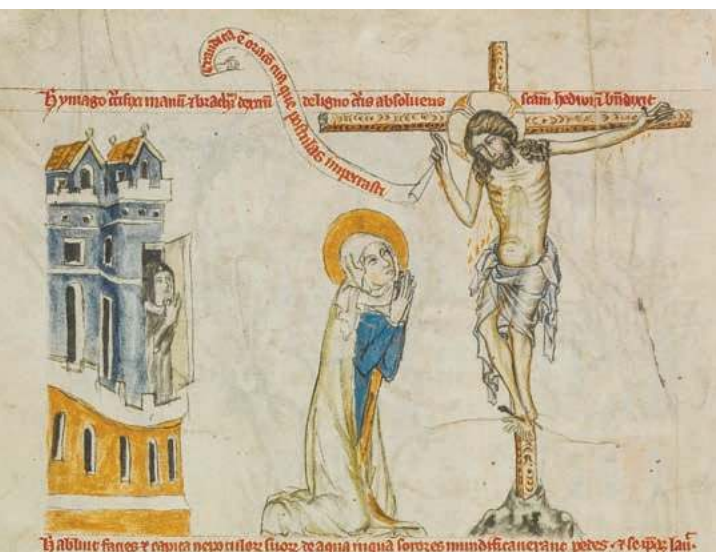
Trudno powiedzieć, kiedy powstały zaginione skrzydła tryptyku; wiemy jednak, że w ramach procesu beatyfikacyjnego księżnej Kingi spisano w 1684 r. ekspertyzy dzieł sztuki potwierdzających jej kult. W roli rzeczoznawców wystąpiło wówczas dwóch krakowskich malarzy. Ocenili oni malowidła z owych skrzydeł jako pochodzące sprzed dwustu lub więcej lat. Zakłada się zatem, że mogło to być dzieło z połowy XV w. Niewykluczone, że pierwotnie niewiasty z krucyfiksami zdobiły awersy skrzydeł, na rewersach zaś widniały inne przedstawienia – może Chrystus Mąż Boleści i Matka Boska Bolesna? Tryptyk poddano renowacji w 1634 r. (wtedy umieszczono w tle srebrną blachę) i wówczas prawdopodobnie zakryto zniszczone przez upływ czasu rewersy czarnym aksamitem, a skrzydła zamontowano odwrotnie, aby aksamit z wotami widoczny był w otwarciu nastawy.

Święte możne

Cztery wymienione niewiasty łączył nie tylko epizod rozmowy z krucyfiksem, ale także pochodzenie z wyższych sfer. Księżna Kinga (zm. 1292 r.), żona Bolesława Wstydliwego, przywdzawszy po śmierci męża habit, zakończyła życie w ufundowanym przez siebie klasztorze klarysek w Starym Sączu. Tam właśnie miał do niej – wedle legendy – przemówić Chrystus z krucyfiksu.

Święta Jadwiga Śląska (zm. 1243 r.) była córką księcia Bertholda IV von Andechs oraz żoną piastowskiego księcia Henryka I Brodatego; po urodzeniu siedmiorga dzieci złożyła wraz z małżonkiem śluby czystości. Zmarła w opinii święto-

Miniatura z rękopisu „Vita beatae Hedwigis”, Lubin 1353, The J. Paul Getty Museum, Ms. Ludwig XI 7 (83.MN.126), fol. 24v



ści w 1243 r. w ufundowanym przez siebie klasztorze w Trzebnicy, a już w 1267 r. została wyniesiona na ołtarze. Z połowy XIV w. pochodzi wyjątkowy zabytek: ilustrowany żywot św. Jadwigi (rękopis „Vita beatae Hedwigis”, powstały w 1353 r. z inicjatywy księcia Ludwika I brzeskiego, dziś w kolekcji J. Paul Getty Museum w Los Angeles). W górnej części rewersu karty 24. widnieje przedstawienie cudu: oto Chrystus z krucyfiksu, do którego modliła się księżna, oderwał dłoń od krzyża, pobłogosławił ją i zapewnił, że jej modlitwy zostaną wysłuchane.

Św. Brygida Szwedzka (zm. 1373 r.) również pochodziła z rodziny szlacheckiej, po kądzieli była nawet spokrewniona z władcami Szwecji. Była żoną Ulfa Gudmarssona, władcy prowincji Närke, któremu urodziła ośmioro dzieci. Owdowiawszy, zdecydowała się na życie zakonne; założyła zresztą nowy zakon: brygidek. Była mistyczką, a jej spisane wizje („Objawienia”, łac. „Revelationes”) cieszyły się wielką popularnością już w XIV w. (kanonizowana została w 1391 r.). Krucyfiks, który miał do niej przemówić, gdy przebywała w Rzymie, znajduje się w bazylice św. Pawła za Murami.

Chrystus zamalowany...

Niewątpliwie kult świętych Brygidy i Jadwigi Śląskiej oraz zmarłej w opinii świętości księżnej Kingi był bardzo ważny dla królowej Jadwigi Andegaweńskiej – a ostatecznie dołączyła ona do nich jako kolejna niewiasta, do której miał przemówić krucyfiks. Wedle legendy stało się to, gdy oczekiwano od niej zerwania zaręczyn z Wilhelmem Habsburgiem i poślubienia pochodzącego z pogańskiej Litwy Jagiełły. Chrystus miał wówczas powiedzieć do Jadwigi: „Czyń, co widzisz”. Mając przed oczami umęczonego Zbawiciela, królowa stwierdziła, że widzi cierpienie, które odkupiło świat. Uznała zatem, że Chrystus oczekuje od niej poświęcenia: poślubienia Jagiełły, dzięki czemu Litwini zostaną ochrzczeni.



Krucyfiks królowej Jadwigi, Italia (?), 2 poł. XIV w. Kraków, katedra na Wawelu

Drewniana rzeźba, powstała prawdopodobnie w Italii w drugiej połowie XIV w., do dziś znajduje się w katedrze na Wawelu, lecz nie wygląda już tak jak wówczas, gdy modliła się do niej królowa Jadwiga. To tzw. krucyfiks mistyczny, czyli charakterystyczny dla późnego średniowiecza typ przedstawienia ukrzyżowanego Chrystusa, w którym szczególnie podkreślano aspekt cierpienia. Kontemplowanie takich wizerunków było ważnym elementem ówczesnych praktyk pobożności, szczególnie tych osadzonych w mistyce zakonnej, zalecającej rozpamiętywanie Męki Pańskiej. Przedstawiały Chrystusa nienaturalnie wychudzonego, o zapadniętych policzkach i wystających żebrach, ale przede wszystkim o umęczonym ciele, pokrytym licznymi krwawiącymi ranami od biczowania, z wielkimi skrzepami

→ krwi zwisającymi z pięciu głównych ran. Realizmu dodawały tym rzeźbom takie elementy jak starannie modelowane uchylone usta, „naturalistyczna” polichromia czy też peruki z prawdziwych włosów.

Ekspresyjna sztuka późnogotycka nie odpowiadała raczej nowożytnym gustom i wiele średniowiecznych dzieł po prostu usuwano ze świątyń w XVII i XVIII w. Prawdopodobnie tę akurat figurę pozłożono w 1634 r., a na jednolity ciemny kolor pomalowano w 1826 r. – by estetycznie komponowała się ze srebrnym tłem i czarnym marmurem późnobarokowej nastawy. Gotyckie skrzydła przepadły, ale krucyfiks królowej Jadwigi przetrwał – choć pomalowany – dzięki opinii cudowności, jako dzieło otoczone kultem.

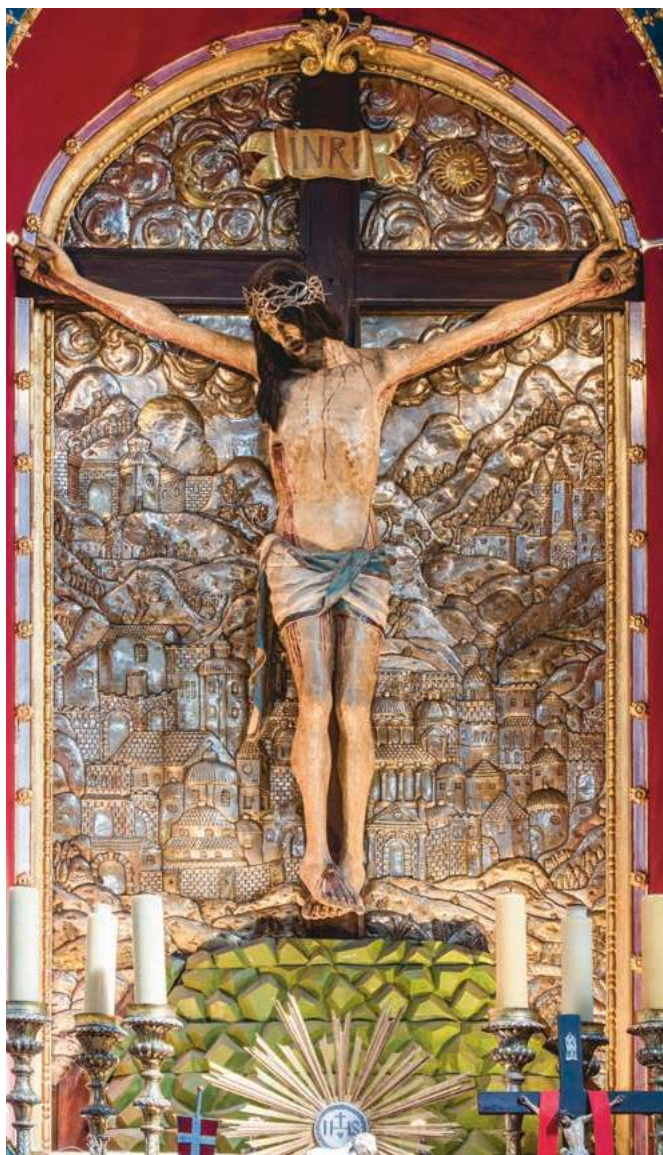
...w peruce...

Jak pierwotnie wyglądał Chrystus z tego krucyfiksu? Pomalowany był w realistyczny sposób: ciało w naturalnym kolorze, pokryte skrzepami czerwonej krwi. Miał też perukę: gładko pod nią opracowano górną część jego głowy. Nie było



to wcale szczególną rzadkością w przypadku średniowiecznych dzieł.

Aby dziś zobaczyć, jak wyglądał średniowieczny krucyfiks z włosami, wystarczy się udać np. do kościoła św. Marka w Krakowie. Tam w ołtarzu głównym znajduje się drewniany krucyfiks datowany na lata 60. XV w. Należy on do grupy małopolskich krucyfiksów, które powstały w jednym warsztacie; inne egzemplarze znajdują się u krakowskich dominikanów, w kościele w Dobczycach oraz w katedrze łacińskiej we Lwowie. Dla wywołania większego wrażenia realizmu Chrystus z kościoła św. Marka ma nie tylko perukę, ale też otwarte usta ze starannie rzeźbionymi zębami. Ponadto jest on rzeźbą opracowaną ze wszystkich stron, a więc pierwotnie nie był przeznaczony do ołtarza, lecz zapewne na belkę tęczową, na co wskazuje też jego rozmiar: figura ma niemal 2,5 m. Zgadza się to z legendą, która głosi, że błogosławiony Michał Giedroyc, aby porozmawiać z tym krucyfiksem, lewitował.



Po lewej:
krucyfiks
w ołtarzu
głównym
w kościele
św. Marka
w Krakowie,
lata 60. XV w.,
Wyżej – zbliżenie
głowy Chrystusa.

Po prawej:
M. Chodzicki,
„Bł. Michał
Giedroyc z k. Kan.
Reg. w Krakowie
+ 1475.
Nie raz od ziemi
podniesionym był
widziany [...]”,
litografia
wyd. po 1851,
Biblioteka
Narodowa
w Warszawie



Ów Michał Giedroyc był zakonnikiem przy kościele św. Marka i zmarł w 1485 r. w opinii świętości. Najprawdopodobniej nie miał szlacheckiego pochodzenia – wbrew XVII-wiecznej tradycji, która wywiodła go z książęcego litewskiego rodu Giedroyciów, zapewne po prostu przybył do Krakowa z miejscowości Giedrojc, położonej ok. 45 km na północ od Wilna. Nie przyjął też nigdy wyższych święceń kapłańskich.

Nie jest pewne, czy jego właśnie dotyczy zapisy w archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego mówiące o jakimś Michale z Giedrojci, który w 1465 r. został bakałarzem i jeszcze w 1466 r. zalegał z opłatami za uzyskanie tego stopnia. Wydaje się natomiast prawdopodobne, że brat Michał był niepełnosprawny: był bardzo niskiego wzrostu i wedle najstarszych przekazów poruszał się o kulach. Najwyraźniej jednak potrafił latać: tradycja mówi, że od czasu do czasu wznosił się ku Chrystusowi, który przemawiał do niego z krucyfiksu.

W listopadzie 2018 r. papież Franciszek beatyfikował Michała Giedroycia, potwierdzając kult sięgający niepamiętnych czasów. Według legendy, gdy po śmierci brata Michała zakonnicy głowili się, gdzie go pochować, do zakrystii kościoła św. Marka przyszedł przyjaciel zmarłego Świętosław Milczący, słynący z praktykowania cnoty milczenia. Podał im – ma się rozumieć, bez słowa – kartkę z informacją, że w chórze koło drzwi zakrystii znajdują gotowy pusty grób, który czeka na ciało błogosławionego.

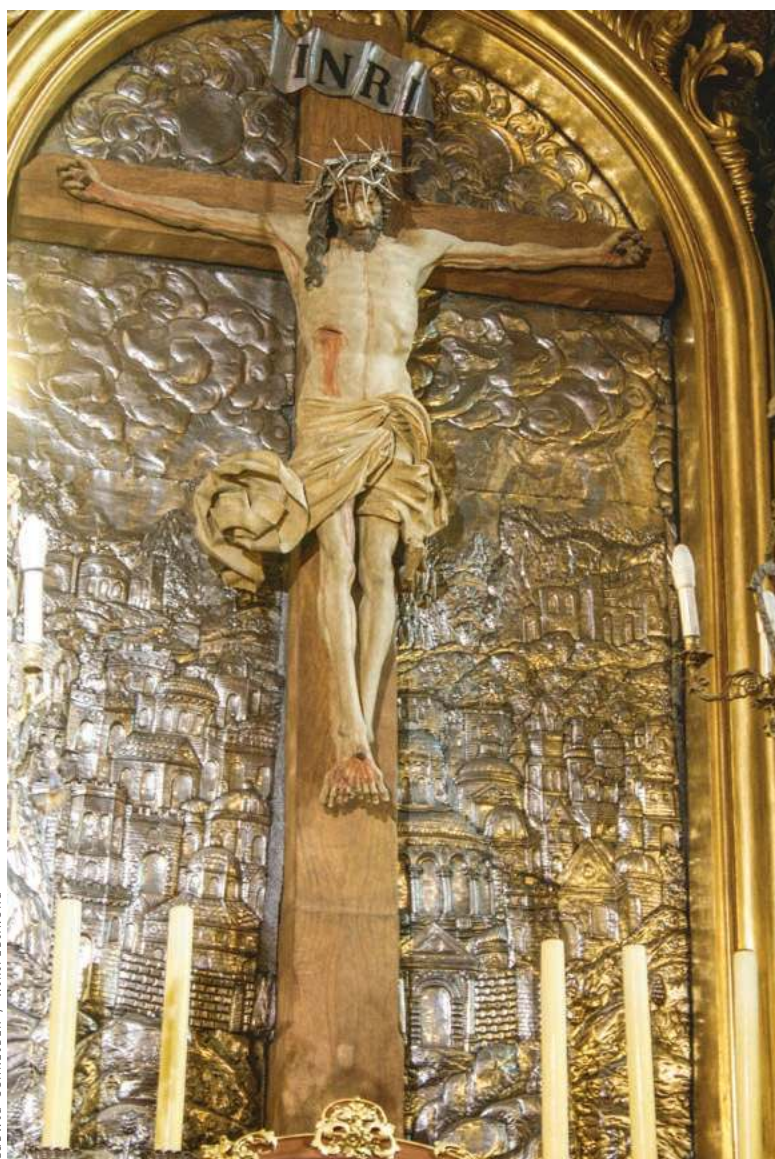
Do owego Świętosława, choć on sam milczał, też miał przemówić krucyfiks.

...i bez pępka

Jednym z najwspanialszych późnogotyckich krucyfiksów w naszych świątyniach i zbiorach jest niewątpliwie tzw. krucyfiks Slackera z kościoła Mariackiego w Krakowie – dzieło samego Wita Stwosza. Fundatorem tej rzeźby był królewski mincerz Henryk Slacker.

W połowie XVII w. Piotr Hiacynt Pruszczy wydał przewodnik „Kleynoty stołecznego miasta Krakowa abo kościoły, y co w nich iest widzenia godnego y znacznego, krotko opisane...”, uzupełniony o dodatkowe informacje niemal sto lat później (w 1745 r.). W jednym z XVIII-wiecznych dopisków jest wzmianka, że ten właśnie krucyfiks miał pewnego razu przemówić do wspomnianego Świętosława Milczącego, mansjonarza przy kościele Mariackim w Krakowie, również lokalnie otoczonego kultem. Po to, by – paradoksalnie – zganić go za milczenie, gdy ów zaniedbał śpiewania psalterza.

Dziś informację tę powtarzają nie tylko przewodniki, ale także niektóre naukowe publikacje. Jest tylko jeden problem: otóż Świętosław zmarł w 1489 r., a krucyfiks Slackera datowany jest na lata 90. XV w. A zatem jeśli jakiś krucyfiks przemówił do Świętosława, to chodziło o inną rzeźbę. A może krucyfiks Slackera odezwał się jednak do kogoś innego?



Wit Stwosz, krucyfiks Slackera, przed 1496 r., kościół Mariacki w Krakowie

Legenda o ożywieniu krucyfiksu Slackera nie dotyczy zresztą tylko opowieści o mówieniu; wspomniany Pruszczy napisał także (w swoim oryginalnym tekście z XVII w.), że gdy pewnego razu rzeźbę zdjęto z ołtarza do renowacji, okazało się, że ciało Zbawiciela jest ciepłe i miękkie niczym ludzka skóra – choć w rzeczywistości figura ta nawet nie jest z drewna, lecz z kamienia. To niewątpliwie zasługa kunsztu Wita Stwosza, który potrafił stworzyć rzeźbę tak realistyczną, że odbiorcom wydaje się prawdziwym ludzkim ciałem. Z jednym wszakże zastrzeżeniem: otóż przy całej staranności odwzorowania szczegółów anatomicznych Chrystus z krucyfiksu Slackera nie posiada... pępka.

Trudno założyć, że artysta niechcący zapomniał o jego wyrzeźbieniu. Musimy przyjąć, że była to świadoma decyzja Stwosza, a zatem stoi za nią teologiczne znaczenie. Zapewne chodzi o to, że Chrystus jest „nowym Adamem”, odkupicielem grzechu, który z pierwszego Adama przeniósł się na całą ludzkość. A jako że starotestamentowy Adam się nie urodził, lecz został stworzony, to pępka nie miał.

Przedstawienie Chrystusa z otwartymi ustami zwiększało szansę na wykształcenie się legendy o tym, że rzeźba ongiś ożyła.

Twarz Zbawiciela

→ Na wykształcenie się legendy o przemawiającym krucyfiksie Slackera wpłynęły niewątpliwie otwarte usta Zbawiciela – podobnie zresztą, jak to jest w przypadku innych tego typu dzieł. Przewodnik Pruszcza zawiera informacje o rozmaitych krakowskich krucyfiksach, a wydanie z XVIII w. wymienia krzyż w jednej z kaplic przy kościele dominikanów, zaznaczając, że „miał przemówić do pewnego Zakonnika Kapłana staruszka (...) Jako poznać z otwartych Jego ust”. Przedstawienie Chrystusa z otwartymi ustami znacząco zwiększało szansę na wykształcenie się legendy o tym, że dana rzeźba ongiś ożyła.

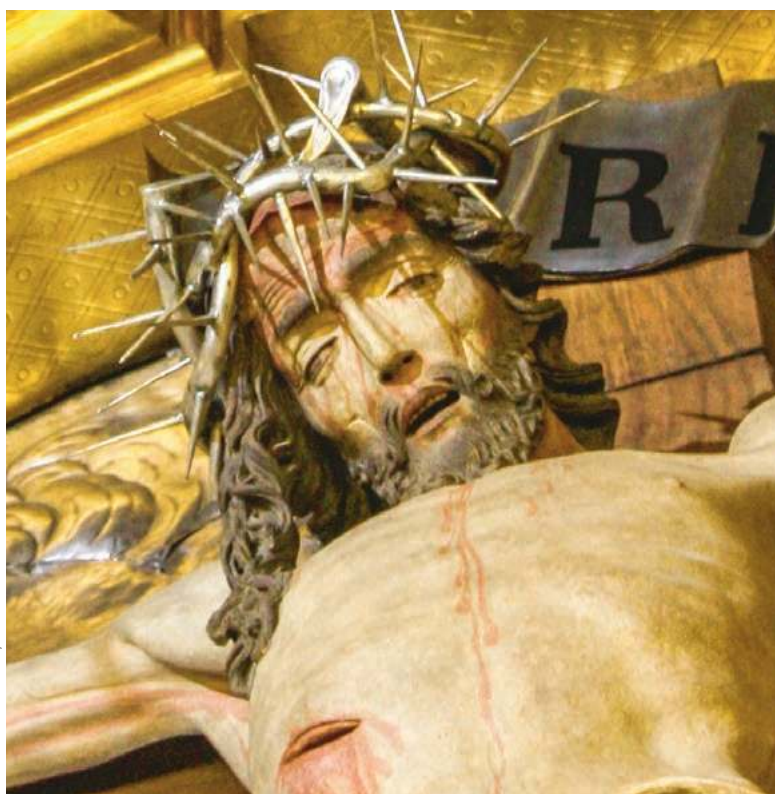
Krucyfiks Slackera powstał ponad sto lat po okresie największej popularności krucyfiksów mistycznych i nie reprezentuje już tego typu. Stwoszewski Chrystus nie zwisa bezwładnie (w przypadku XIV-wiecznych krucyfiksów mistycznych często nawet sam krzyż miał kształt litery Y, co potęgowało wrażenie bezwładności), nie jest wychudzony, a jego ciała nie pokrywają strupy.

A jednak dzieło to znakomicie mogło służyć mistycznym praktykom. Bo wrażenie ożywiania rzeźby Stwosz osiągnął dzięki starannie zaplanowanej kompozycji: Chrystus ma opuszczoną głowę i na wpół zamknięte oczy; kiedy patrzymy na figurę z większej odległości, widzimy po prostu martwego Zbawiciela na krzyżu. Jednakże w miarę zbliżania się do ołtarza i zmiany kąta patrzenia zaczynamy dostrzegać, że jego oczy są jednak otwarte. Efekt jest taki, jakby Chrystus unosił powieki, gdy podchodzimy.

Krucyfiks w czasach zarazy

Takie dzieło sztuki bardzo sprzyjało kontemplowaniu Męki Pańskiej, popularnemu szczególnie w ramach późnośredniowiecznego nurtu nowej pobożności. A nie bez znaczenia dla rozwoju tego modelu religijności była trauma czarnej śmierci: pandemii, która w latach 40. i 50. XIV w. zabiła niemal połowę ludności Europy.

Z drugiej strony, duża część legend o przemawiających rzeźbach wydaje się pochodzić ze znacznie późniejszych czasów. Na gruncie krakowskim szczególnie interesujące jest porównanie wspomnianych wydań „Kleynotów...” Pruszcza – z 1650 i z 1745 r. W XVII-wiecznej publikacji znajdziemy bowiem jedynie wzmianki o dwóch krucyfiksach, które przemówiły: tym w katedrze i tym w kościele św. Marka. Tymczasem poszerzone wydanie z XVIII w. dodaje opowieść o krucyfiksie Slackera i Świątostawie Milczącym, oraz o krzyżu u dominikanów. A także o tym, że krucyfiks z kościoła św. Bar-



Wit Stwosz, krucyfiks Slackera, przed 1496 r., kościół Mariacki w Krakowie

bary miał się odezwać do świątobliwej panny Barbary Langi, podczas gdy w oryginalnej publikacji przeczytamy tylko, iż w tym kościele „Jest y ciało świątobliwie żyjący P. Barbary Langowney (...) y krucyfiks przed którym modlitwy swe czyniła”.

Niewykluczone, że liczne legendy o cudach, dodane do książki z 1745 r., powstały dopiero w pierwszej połowie lub początkach XVIII w. Pytanie, na ile ówczesni mieszkańcy miasta łaknęli takich opowieści ze względu na fakt, że na przełomie XVII i XVIII w. Kraków przeżywał okres drastycznego upadku, przypieczętowany epidemią dżumy. Zaraza rozpoczęła się na kresach Rzeczypospolitej w 1702 r., rozprzestrzeniła się na kolejne tereny państwa i do 1711 r. pochłonęła życie być może nawet 25 proc. ludności. W Krakowie od jesieni 1707 r. do wiosny 1708 r. zamknięty był uniwersytet, ustał też handel, bractwa zawiesiły działalność. Pozostawało siedzieć w domu i się modlić, licząc na cud.

A jak na religijność i jej odzwierciedlenie w sztuce wpłynęła pandemia koronawirusa w XXI w.? To się dopiero okaże; nie spodziewam się mistycznej nowej pobożności prowadzącej do wizji przemawiających krucyfiksów, lecz raczej „nowej pobożności cyfrowej” i rozwoju religijności online. Może nawet i sztuka sakralna przejdzie do świata wirtualnego?

© MAGDALENA ŁANUSZKA

Autorka jest doktorem historii sztuki, mediewistką. Prowadzi blog www.posztukiwania.pl. Stale współpracuje z „Tygodnikiem”, w Podkaście Powszechnym tworzy cykl Sztuka Powszechnie Nieznana.

Mary Love Story

MARCIN ŻYŁA

Śmierć przychodziła po nią trzy razy, ale życie trzymało silniej. Na dwóch kontynentach, dzięki sieci dobrych ludzi, czasem niewiedzących o sobie nawzajem.

NIE BYŁOBY JEJ TU, A MOŻE NIE BYŁOBY jej w ogóle, gdyby nie przypadkowe osoby. Niektórych znamy z imienia: Kevin, Ben, Justyna, Mohamed i Kasia. Innych tylko z funkcji: urzędnik ministerstwa w Dżubie, egipski steward, pracownik na stanowisku odprawy bagażu ateńskiego lotniska.

Ona – teraz odżywiona i silna – biega po ogrodzie, z dwiema jasnobrązowymi plamami wokół uszu i smukłymi łapami, jak u psów myśliwskich. Zdominowała domowników, czasem warcknie na obcych. Może wtedy, gdy przypomni jej się coś z tamtego życia.

Wabi się Mary. Oto jej historia.

Trzy kolory

Zaczęło się w Dżubie, stolicy Sudanu Południowego. Na ulicy, jakich wiele: droga z szutru i czerwonej gliny, domy z blachy, dwa sklepiki z pomidorami i cebulą oraz punkt, gdzie dziewczyny przyjmowały odzież do prania.

Gdzieś tu, pod jednym z murków, na kupie piachu, żyła Mary – suka o jasnej sierści i dużych, uważnych oczach – i trójka jej małych, czarnych jak węgiel. Zobaczyła je Polka, Małgorzata Ołasińska-Chart, pracująca tu na misji w organizacji humanitarnej. Od razu się w zwierzętach zakochała.

Wspomina: – Mary nigdy nie jadła pierwsza, zawsze czekała, aż zjedzą małe. Dzieci szybko przerosły matkę. Z czasem została z nią tylko jedna córka. Sudańczycy nazwali ją Rihanna, od piosenkarki.

Potem przypłyła do niej koleżanka Rihanny, cała brązowa. Mówili na nią Zoe. Łagodna, lubiła się bawić, Małgorzacie

ściągała gumkę z włosów. Siedziały tak, we cztery, a sąsiedzi się z nich śmiali.

– W pobliżu była knajpka hinduska. Przez trzy tygodnie przychodziłam pytać o resztki dla psa, ale chcieli za nie pieniądze. Aż wróciła z urlopu właścicielka knajpy, Kevin, Kenijka, która też kochała psy. Ustawiła tych chłopców do pionu.

Odtąd codziennie po południu Małgorzata zabierała od nich kości i resztki jedzenia, obmywała je w rynsztoku z ostrych przypraw – i dawała psom.

Dzieci przestały w nią rzucać kamieniami. „Kiedyś się z ciebie śmialiśmy, że dokarmiasz te psy, teraz szanujemy cię za

to” – powiedziała jedna z matek. Teraz, kiedy ktoś chciał dokuczyć psom, sąsiedzi stawali w ich obronie. „To są nasze psy!” – krzyczeli do obcych.

Szkielet na trzech łapach

Wypadek zdarzył się wieczorem. Mary potrąciło auto, prawie ją zabijając. Zgruchotało jej tylną część ciała, uszkodziło łapę. Nie mogła nią ruszać, przestała jeść, skomlała z bólu.

Małgorzaty nie było wtedy w Sudanie. Po kilku dniach, widząc, jak pies się męczy, jej koleżanki z misji podjęły decyzję o uśpieniu. Umówiły się z weterynarzem



ARCHIWUM PRYWATNE X2

Małgorzata Ołasińska-Chart i Mary, Dżuba, styczeń 2015 r.

Poniżej: Mary w podróży z Sudanu Południowego do Polski, lotnisko w Kairze, 28 lutego 2015 r.



na sobotę. Nie przyszedł. Postanowiły zawieźć do niego Mary po weekendzie. Ale w poniedziałek psa nie było na ulicy.

– Zniknęła, wygrzebała się z tej kupy piachu, jakiś instynkt musiał jej podpowiedzieć, że wywiezienie do weterynarza oznacza dla niej koniec – mówi Małgorzata.

Tak Mary po raz drugi uciekła śmierci. Gdy dwa tygodnie później Małgorzata przyleciała z Polski, psa wciąż nie było: – Myślałam, że umarła z głodu. Rozpytywałam po domach. Wtedy jeszcze nie znałam jej imienia. Miała plamkę na grzbiecie, więc nazwałam ją Spoty. W końcu któraś z Sudanek krzyknęła „Mary” – i z za rogu wyszedł ten szkielet na trzech łapach.

Mary miała złamaną miednicę i staw biodrowy, chodziła z bezwładną tylną łapą. Małgorzata wyciąła z plastikowej butelki po wodzie szyjkę, unieruchomiła łapę. – Ale ona ciągle orała nią po ziemi, ➔

→ łapa była we krwi. Przywoziłam bandaż. Gryzła mnie. Karmiłam ją. Nie chciała jeść. Tak przetrwałyśmy półtora miesiąca.

Kraj się zgadza

Małgorzata zdecydowała, że wróci z psem do Polski. Przedłużyła kontrakt o miesiąc, wykorzystując krótki urlop przywozła z kraju: paszport psa, czipa, sportową torbę do transportu i środek uspokajający, żeby Mary weszła do samolotu.

W Dżubie jeździła z Mary na odświeżanie. – Facet przywiązywał psy na łańcuchu – opowiada. – Najpierw dostawały zastrzyk przeciw pasożytom, potem, przy pomocy węża ogrodowego, łał po nich płynem. Psy skręcały się, Mary wyła z bólu, miała jeszcze tę łapę uszkodzoną. To było straszne. Zabieg trzeba było przeprowadzić trzykrotnie.

Konieczne były zgody na wywóz Mary: szczepienie przeciw wściekliznie, white tuż przed lotem zaświadczenie, że pies jest zdrowy. I najważniejsze: *exit permit*, specjalne pozwolenie z Ministerstwa Zasobów Zwierzęcych i Rybnych Republiki Sudanu Południowego.

– Miałam przygotowaną formułkę: „Jestem Margaret from Poland, ale Sudan Południowy jest moim drugim domem, a Sudańczycy drugą rodziną. Kocham ten kraj, chciałabym tu zostać, ale potrzebuje mnie rodzina w Polsce”. Urzędnik w ministerstwie słuchał, zadowolony, że tak kocham Sudan. Dodałam: „Szukam też wydziału od psów”. Spochmurniał. „Od psów, proszę pani, tu nikogo nie ma. Od ryb, kóz, krów i owiec – tak, od psów nikogo”. Rozpłakałam się. Ten człowiek był moją jedyną szansą na wywiezienie psa.

Koniec końców, znów się udało. Kilka telefonów, rozmowa z głównym weterynarzem kraju, ekspresowo wystawiony glejt: „Zgadza się na wywiezienie z kraju psa rasy południowosudańskiej, transportem powietrznym”.

Zaproszenie do ambasady

Oslabiona Mary musiała lecieć w kabinie samolotu. Umieszczenie w ładowni mo-



głoby ją zabić. Małgorzata: – Napisałam do jednej z polskich agencji biuletowych. I znów trafiłam na kogoś, kto uratował mi psa.

„Proszę Pani, kocham zwierzęta, wolę je nawet od ludzi, zrobię wszystko, żeby pani tego psa stamtąd wywozła, proszę się nie martwić, wszystko się uda. Pozdrawiam serdecznie” – brzmiał e-mail od pani Justyny. Psa zgodziły się wziąć linie egipskie i greckie. Bilet Mary wystawiono na trasę: Dżuba – Kair – Ateny – Warszawa.

Pies ważył za dużo, aby go wpuścić do samolotu. – Powiedziałam, że schudłam ostatnio 3 kilo, i nas puścili. Później, na lotnisku w Atenach, nic nie musiałam mówić. Pan zobaczył chudego psa, machnął ręką.

Zostało załatwienie dwóch noclegów w Kairze. Małgorzata: – Hotele nie przyjmowały zwierząt. Znajoma odmówiła mi gościny. Zapytałam naszą ambasadę. Odpisali, że pokoje gościnne mają zajęte, ale zapraszają mnie z psem na materac w sa-

lonie. Mary, która żyła na kupie gruzu przy ulicy w Dżubie, miała spać w salonie ambasadora!

W Kairze zaczynał się jednak weekend, ambasada stała pusta, wszystko było trudne logistycznie. Małgorzata uprzejmie podziękowała. Ale kiedy kilka lat później, w innej części świata, spotkała się z jednym z polskich konsulów, ten wciąż pamiętał: prośba o nocleg z psem była długo tematem rozmów w MSZ.

Ratunek w Egipcie

Na Couchsurfingu znalazła w końcu Mohameda, mieszkańca Kairu, który napisał, że ją chętnie przenocuje. Wymienili maile. Małgorzata do Mohameda: „Jest pewne utrudnienie. Przyjadę z psem”. Mohamed do Małgorzaty: „Nie ma problemu”. „Ale on nigdy nie mieszkał w domu, może coś pobrudzić”. „Naprawdę, nie ma problemu!”.

W Kairze chłopak przyjechał na lotnisko. Mieszkał na najwyższym piętrze w bloku na przedmieściach.



MARCIN ŻYŁA będzie gościem Grzegorza Chłasty

w środę 8 kwietnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia. Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



MARCIN OGRABEK / ARCHIWUM PRYWATNE

Małgorzata Ołasińska-Chart z Mary i Sake nad Jeziorem Ślesińskim, czerwiec 2015 r. Z lewej strony mąż Rafał Chart, w kapeluszu Marcin Woelli, szwagier.

– Gdy weszłam do jego mieszkania, zrozumiałam, czemu nie przeszkadzał mu pies. Takiego brudu i nieporządku nigdzie jeszcze nie widziałam. Stosy niepranych ubrań wszędzie, na stołach, na krzesła. Wyszurana w brudzie butami ścieżka z pokoju do kuchni, jakby nieco jaśniejsza. W lodówce dawno zgniłe owoce. Kuchenska gazowa tak zalepiona brudem, że nie działały palniki.

Dwie noce w takim miejscu nie były łatwe. Ale Mohamed autentycznie przejął się Mary. Potem przez jakiś czas pytał o nią w mailach. – Nie wiem, co bym zrobiła w Kairze, gdyby nie on – mówi Małgorzata. – Po wszystkim napisałam mu bardzo dobrą recenzję.

Przyduszone serce

Najbliżej śmierci Mary była jednak już w Polsce.

Przez pół roku po przyjeździe do Krakowa, dwa razy w tygodniu, Małgorzata wozila ją na rehabilitację. Bieżnia wodna, pole magnetyczne, zabiegi rozciągające... Lekarze uznali, że zabieg na stawie biodrowym przyniosłby Mary niepotrzebny ból. A rehabilitacja zadziałała – zaczęła chodzić na czterech łapach.

Małgorzata: – Dziś biega po łące jak chart, nie da się zauważyć, że jedną łapę ma o pół centymetra krótszą. Z Kasią, rehabilitantką, która mi tego psa „wyciągnęła”, utrzymuję kontakt do dziś.

Ale po przylocie Mary wciąż prawie nic nie jadła. Po Sudanie nie rzucała się na kurczaki czy wołowinę. – Na kolanach ją błagałam, karmiłam z ręki – mówi Małgorzata. – I nic.

Któregoś dnia o szóstej rano znajduje Mary w ogrodzie, bliską uduszenia. Jedzie do weterynarza, krzyczy pod jego domem, gabinet jednak zamknięty. W końcu Mary trafia na dyżur do lecznicy, od razu pod namiot tlenowy. USG, prześwietlenie, jakiś czas później telefon od lekarza: „Nigdy nie widziałem psa w takim stanie. Ma dziurę w przeponie, jelito przeszło przez nią do klatki piersiowej, opłotło serce i płuca. Za każdym razem, gdy pies coś je, jelito pęcznieje, uciska wnętrzności, dusi go. Musimy ją natychmiast otworzyć”.

Szansa, że Mary przeżyje: pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Operacja trwa sześć godzin, przeprowadza ją trzech lekarzy. Udaje się. Po dwóch dniach Mary wraca do domu.

Po dalszych pięciu latach wciąż wygląda na najszcześliwszego psa świata.

■ ■ ■

Małgorzata: – Wiesz, po tym, jak już przywiozłam Mary, chciałam wywieźć stamtąd jeszcze dwa psy. Ale dziś nie da się już tak łatwo pojechać do Sudanu Południowego. Czasem jednak myślę: jak by było fajnie, żeby tamte trzy psy, czarny, brązowy i biały, były razem.

Patrzmy jeszcze na zdjęcie do paszportu. Jedyne, jakiego można było użyć, pochodziło z tamtej ulicy w Dżubie: Mary stoi w piachu i brudzie, wokół walają się śmieci. Błoto z jej łap udało się usunąć w photoshopie.

Mary, która trzy razy uciekła śmierci, wygląda na nim bardzo elegancko.

© P MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmieńska (kierownik),
Anna Dziurdziłowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patrik Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Fetietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziwili-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Hałik, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocun, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna
Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna
Rusińska, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Świątek, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmieńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad/graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Pierwsza ofiara



„PO NIEJAKIM CZASIE KAIN ZŁOŻYŁ OFIARĘ Panu z plonów rolnych”. Ofiara nie jest Boskim nakazem. Bóg jej nie oczekiwał. Dopiero z czasem, gdy już Hebrajczycy znaleźli się na pustyni, została przez Boga dopuszczona, ale pod konkretnymi postaciami i w ściśle wyznaczonych miejscach. Ofiara jest ludzkim wynalazkiem. Pierwszym, który ją ustanowił, był Kain, morderca brata. Słowo „ofiara” ma dwa znaczenia. W tradycji chrześcijańskiej oznacza „uświęcić”. W hebrajskim oznacza „podzielić się”, czasem też może oznaczać hołd, daninę.

Kain był pierwszym człowiekiem, który, nie spotkawszy Boga, jak jego rodzice, poszedł za intuicją, że władza nami Najwyższy, a pobudzony lękiem przed Nim uznał, że Jego potężną moc daje się opanować, a nawet zyskać przychylność, ofiarowując Mu coś wyjątkowego. Jest w tym coś z magii, przekupstwa w dobrym sensie tego słowa, i wyraz wdzięczności. Kain i kolejni biblijni bohaterowie (Noe) wdali się w taką dziwną grę z Panem Bogiem. Chcieli zbliżyć się do Niego i zbliżyć Go do siebie. Pragnęli zwięzić przepaść dzielącą nas od Najwyższego. Ustanawiali w swoim mniemaniu trwałą więź między sobą a Elohim. Jest to zrozumiałe i godne podziwu. Tym bardziej dzisiaj, gdy epidemia uruchomiła siły, nad którymi zdaje się nikt nie panuje, nie możemy być pewni swego życia, myślimy o ofierze, jaką Mu składamy z ludzkiego życia, strachu, niepewności.

Ta więź w istocie nie opiera się na żadnych kalkulacjach. Nie ma tu reguł. Kain szukał „w ciemno” związku z Bogiem, nie będąc pewnym swej intuicji. Szukał Go, wierząc, że Pan będzie nam przychylny, jak my zwykle jesteśmy wdzięczni i zobowiązani za dary, które nam ktoś ofiarowuje. Jest w tym nasza uległość, chęć oddania się Bogu, ale też i pycha, wiara w to, że zadowolony z tłustych kąsków, ulegnie naszej woli i będzie służyć naszym pragnieniom. Nie wiemy, dlaczego Kain złożył ofiarę. Tora nie wyjaśnia nam, kiedy to było (wedle komentatorów mogło to być na święto Pesach, które będziemy rychło obchodzić). Kain wiedział, że plony zależą od czynników znajdujących się poza ludzkim zasięgiem. Chciał, co jasne, by natura mu sprzyjała.

Najpierw Kain złożył ofiarę z owoców ziemi. Za nim Abel ofiarował zwierzątko. W Torze czytamy, że Pan przyjął ofiarę młodszego brata. Ale skąd o tym wiedzieli Kain i Abel? Czy powiedział im to dym z ofiary całopalnej? Czy ziemia Kaina nagle stała się jałowa, a stado Abela cudownie się rozmnożyło? Nie ma na to odpowiedzi. A może w ogóle nie chodziło o rodzaj ofiary, ale o tych, którzy ją składają. Bóg mógł ukarać Kaina, pierworodnego, za to, kim był. Tora milczy. Tylko w midraszach komentatorzy odnajdują klucze do tej dziwnej i niezrozumiałej opowieści.

©

O. WACŁAW

Oszajca: Przepaść



KLEOFAS I JEGO TOWARZYSZ W DRODZE DO Emaus spotykają innego podróżnego. Namawiają go, żeby z nimi zanocował: „Zostań z nami, gdyż zbliża się wieczór i dzień dobiega końca. Wszedł więc, aby pozostać z nimi. Gdy zasiedli do stołu, On wziął chleb,

odmówił modlitwę uwielbienia, połamał i dawał im. Wtedy otworzyły się im oczy i rozpoznali Go. Lecz On stał się dla nich niewidzialny”. Coś podobnego od paru tygodni nam się przydarza. Z wiadomego powodu wiele z tego, co uważamy za najważniejsze, skłania się „ku wieczorowi”, „dobiega końca”. Dotychczasowe kanały łączności z ludźmi i Bogiem zostały przerwane.

Kleofas z towarzyszem, po powrocie do Jerozolimy, zastali Jedenastu w Wieczerniku i „kiedy opowiadali o tym, co im się przydarzyło w drodze i jak dał się im poznać przy łamaniu chleba, (...) Jezus sam stanął pośród nich i powiedział: »Pokoź wam!«. Zatrwożeni i przestraszeni sądzili, że widzą ducha. Lecz On im powiedział: »Czemu jesteście zmieszani i czemu wątpliwości budzą się w waszych sercach? Spójrzcie na moje ręce i nogi! To Ja jestem! Dotknijcie Mnie i przekonajcie się. Duch bowiem nie ma ciała ani kości, a widzicie, że Ja mam«”. W ten obrazowy sposób Łukasz przypomina Kościołowi, że Jezus zmarł twychwstał jest tym samym Jezusem, który został poczęty w łonie Maryi, narodził się w Betlejem, żył w Nazarecie, nauczał w Galilei i Judei, i umarł w Jerozolimie. Jest tym samym, kim był, ale nie takim samym, gdyż przybrał taki sposób istnienia, który umożliwia Mu bycie zawsze, wszędzie jednocześnie.

Niemożliwość dotychczasowego kontaktowania się z Jezusem sprawiła, że niektórym z nas zniknął z oczu. Stawia też przed nami nowe wyzwanie. Kleofas i drugi uczeń mówią do Nieznajomego, czyli do Jezusa: „Wyżsi kapłani i nasi przywódcy wydali na niego wyrok śmierci i ukrzyżowali Go. A my mieliśmy nadzieję, że to On wyzwoli Izraela”. Z nami bywa podobnie. Spodziewamy się wiele po Bogu, ale nie chcemy pamiętać, że Bóg nie obiecał nam długiego i łatwego życia. Na pewno obiecał, że będzie z nami, dokąd będzie istnieć Ziemia i ludzie. Przeprowadzi też świat i ludzi przez ich wielki piątek, czyli śmierć. Jezus odziedziczył imię po Ojcu, Jego imię to „Jest” – i nie zjawia się dopiero wtedy, gdy sprawujemy liturgię. Odwrotnie, to dlatego, że jest On zawsze i wszędzie, możemy sprawować liturgię. Przecież my we mszy, przepraszam za wyrażenie, nie wytwarzamy Jezusa.

Kiedy mówimy o komunii duchowej, o spowiedzi powszechnej, dyspensach, mamy na uwadze to właśnie, że dla Jezusa nie ma żadnych przeszkód, żeby być z nami. Rzecz w tym, żeby w taką Jego obecność uwierzyć i zobaczyć Go również poza murami kościołów i poza obrzędami. Czas uwierzyć, że między *sacrum* i *profanum*, między Bogiem i światem, nie ma przepaści, gdyż to świat jest świątynią Boga.

©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Zuzanna i starcy

Jezus mówi:
„żyjący z Żyjącego
nie zobaczy śmierci,
albowiem kto znalazł siebie,
tego świat nie jest wart”.

EWANGELIA TOMASZA



Póki jesteś w więzieniu
ułudy, serce, nie widzisz
różnicy między tym
a tamtym światem.
Odsuń się na chwilę
od tej studni tyranii,
stań na zewnątrz.

DŻALALUDDIN RUMI



PRAWDZIWIE Z DUCHA
Świętego jest mądrość
Liturgii, która łączy
ze sobą dwa wydarze-
nia biblijne: historię
Zuzanny zapisaną

w Księdze Daniela (Dn 13) oraz spotkanie
Jezusa z kobietą oskarżoną o cudzołó-
stwo (J 8). Obydwie kobiety zostały pu-
blicznie oskarżone o cudzołóstwo; oby-
dwie też zostały uratowane przez Boga od
grożącej im za ten czyn śmierci przez
ukamienowanie. Od tych podobieństw
ważniejsze są fundamentalne różnice.

Zuzanna została oskarżona fałszywie.
Była niewinna. Oskarżenie sprokurowało
dwóch starców, pełniących w społeczno-
ści żydowskiej funkcję sędziów. Obydwaj
pożądali Zuzanny, a kiedy ta nie zgodziła
się na współżycie z nimi – oskarżyli ją fał-
szywie o zdradę męża z młodzieńcem,
który miał zbiec z miejsca przestępstwa.
W ostatniej chwili, już po wydaniu ska-
zującego ją wyroku, Zuzanna została oca-
lona przez Daniela, który wykazał fałszy-
wość oskarżenia na podstawie sprzecz-
nych ze sobą zeznań jeszcze raz przesłu-
chanych starców. „Tego dnia – zamyka
opowiadanie Autor Księgi – ocalono krew
niewinną” (Dn 13, 62).

W wydarzeniu ewangelicznym Chry-
stus ocalił od śmierci kobietę, która
faktycznie dopuściła się cudzołóstwa
– schwytano ją „co dopiero” („podczas
samego czynu” – jak mówi tekst grecki).
Nie ma czego dowodzić. Jest winna! I Je-
zus wcale temu nie zaprzecza. Ale wła-
śnie taką – ewidentnie winną – ocala od

śmierci. Dwie sceny – i dwa różne (nie
sprzeczne; raczej komplementarne: na
zasadzie paradoksu) obrazy Boga. Pierw-
szy raczej nas nie dziwi: to obraz Boga
Prawodawcy i Sędziego – to Bóg, który
ustanowił przykazania (nie tylko VI: nie
cudzołóż, ale także V i VIII: nie zabijaj,
i nie mów fałszywego świadectwa prze-
ciw bliźniemu swemu) i, konsekwent-
nie, „sądzi sprawiedliwie”: niewinna Zu-
zanna zostaje uwolniona od oskarżenia,
starcy zostają skazani.

Bóg objawiony w Jezusie Chrystusie na
dziedzińcu świątyni nie jest ani Prawo-
dawcą, ani Sędzią. Jest Adwokatem (Pa-
rakletem) – broni osoby, która złamała
Prawo i popełniła grzech. Nie potępia jej;
wierzy, że może ona odtąd żyć inaczej:
„Idź, i od tej pory już nie grzesz” (J 8, 11).

Jeśli z tym obrazem Boga – objawio-
nym w Jezusie Chrystusie – wrócimy te-
raz do opowiadania z Księgi Daniela, to
odkryjemy prawdę, która być może nas
zszokuje, być może zgorzyszy, albo (co daj
Boże) ocali i wzbudzi w nas nadzieję. Tak,
Jezus z całą pewnością staje przy Zuzan-
nie („ocala krew niewinną”) i ratuje ją od
śmierci; ale sam umiera na krzyżu, przybi-
jając doń grzechy starców: ich nieczystość
i żądzę, ich kłamstwa i niegodziwe sądy,
ich mściwość posuwającą się aż do mor-
derstwa. Tak. Jezus umiera nie za niewin-
nych; umiera za cudzołożników, kłam-
ców i morderców. Umiera za mnie.

I to jest właśnie wielkanocna nadzieja.
To właśnie jest wydarzenie Paschy. Orę-
dzie nie dla Zuzanny. Orędzie dla starców.
Alleluja! ©

CYTANIA LITURGICZNE (12 – 19 IV)

Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego: Dz 10,
34a. 37-43; Ps 118; Kol 3, 1-4; J 20, 1-9;
Poniedziałek: Dz 2, 14. 22b-32; Ps 118; Mt 28, 8-15;
Wtorek: Dz 2, 36-41; Ps 33; J 20, 11-18;
Środa: Dz 3, 1-10; Ps 105; Łk 24, 13-35;

Czwartek: Dz 3, 11-26; Ps 8; Łk 24, 35-48;
Piątek: Dz 4, 1-12; Ps 118, J 21, 1-14;
Sobota: Dz 4, 13-21; Ps 118; Mk 16, 9-15;
2. Niedziela Wielkanocna (Miłosierdzie Bożego):
Dz 2, 42-47; Ps 118; 1 P 1, 3-9; J 20, 19-31.

Wybrał PIOTR SIKORA

SZTUKMISTRZ Z ANINA

W jego rękach jest dalsze trwanie rządu
i całej formacji politycznej.
Niektórzy twierdzą, że również los pacjentów,
ale to akurat nieprawda, bo ten zależy od ludzi,
których Łukasz Szumowski od dwóch lat
wodzi na pokuszenie i wystawia na próbę.

MAŁGORZATA SOLECKA

PROFESOR, KARDIOLOG. TRZY LATA TEMU szerzej nieznany wiceminister nauki, skoncentrowany na innowacjach. Niedawno, jakby od wczoraj – minister zdrowia. Dziś: twarz rządu w wojnie z epidemią i najbardziej decyzyjny, po Jarosławie Kaczyńskim, polityk obozu rządzącego. Jutro, można to sobie wyobrazić, kandydat Zjednoczonej Prawicy do prezydentury.

Bo choć Prawo i Sprawiedliwość nie ustaje w próbach forsowania rozwiązań, które umożliwiłyby przeprowadzenie wyborów w terminie, obóz władzy w tej sprawie pęka. Prawdopodobnie staje się przesunięcie ich o rok. Gdyby ten scenariusz był realny, oznaczałoby to rozpoczęcie gry o Pałac Prezydencki od początku.

W pierwszych tygodniach epidemii buduje swoją pozycję i zdobywa społeczne wsparcie. Jeszcze w lutym ufał mu niespełna co piąty Polak. Pod koniec marca – niemal co drugi, co daje Szumowskiemu podium tuż za Dudą, a przed premierem Mateuszem Morawieckim. Minister budzi też dużą sympatię, nawet wśród części wyborców nieprzychylnych PiS. Mógłby być dla partii rządzącej kandydatem marzeń. O ile

oczywiście wyjdzie z tarczą z pojedynku z patogenem.

Prawicowe – i nie tylko – media od początku epidemii kreują ministra niemal na zbawcę narodu. Chwalą za sprawność komunikacyjną: konkretny, powściągliwy, spokojny, nawet jeśli ma do przekazania trudne informacje. Budzący również współczucie: kolejne doby z minimalną ilością snu odciskają na jego twarzy coraz większe piętno.

Sprawność komunikacyjna to nie wszystko. Ktoś przypomina sobie o artykule z „Małego Gościa Niedzielnego”. Zdjęcie Łukasza Szumowskiego i jego przyszłej żony Anny ze spotkania z Matką Teresą króluje w mediach społecznościowych. Młodzi medycy (żona ministra jest anestezjologiem w Centrum Zdrowia Dziecka) przepracowali część wakacji w jednej z tzw. umieralni prowadzonych przez świętą z Kalkuty. ➔

*Prof. Łukasz Szumowski,
kierownik Kliniki Zaburzeń Rytmu Serca
w Instytucie Kardiologii w Aninie,
Warszawa, styczeń 2015 r.*





⇒ W 2004 r., gdy powstaje artykuł, Łukasz Szumowski to młody, dobrze zapowiadający się lekarz i naukowiec, pnący się po szczeblach kariery w Instytucie Kardiologii im. Stefana kard. Wyszyńskiego w Aninie. Pracę w prestiżowej placówce rozpoczął zaraz po studiach w 1998 r. W tym samym, w którym prof. Zbigniew Religa objął stery w II Klinice Kardiologii. Gdy Religa w 2001 r. zostaje dyrektorem w Aninie, Szumowski przygotowuje doktorat.

Konserwatysta, człowiek deklarujący głęboką wiarę, ojciec czworga dzieci, miłośnik nart, żeglarstwa, a także boksu, o którym ma rozmawiać w wolnych chwilach z prezesem Kaczyńskim. Specjalista od spraw beznadziejnych. Prawdziwy sztukmistrz.

Sztuczka pierwsza: warto rozmawiać

Gdy w styczniu 2018 r. Szumowski zgadza się przyjąć tekę ministra zdrowia w rządzie Mateusza Morawieckiego, trwa najostrzejszy od ponad dekady protest lekarzy. Rezydenci, doprowadzeni do rozpacz, tygodniami upokarzani przez poprzedniego ministra zdrowia Konstantego Radziwiłła, po proteście głodowym, który zaangażował nielicznych, ale zyskał młodym lekarzom szacunek i sympatię opinii publicznej, przechodzą do ograniczenia czasu pracy. Bez dodatkowych dyżurów młodych lekarzy grafiki szpitalne trzeszczą w szwach. Wiadomo, że system przetrwa – większość lekarzy pozostaje bierna – ale wizerunkowo rząd wypada fatalnie.

Szumowski zaprasza młodych medyków do stołu. Robi to, co potrafi znakomicie – rozmawia. Przede wszystkim – słucha. Ba, przyznaje rację. Liderzy protestu są pod wrażeniem. Tłumaczą – sami sobie i tym, których reprezentują – że konieczny będzie kompromis. Ten, który wcześniej bezskutecznie proponował Radziwiłł. Mieli protestować, aż rząd zgodzi się na zwiększenie publicznych nakładów na zdrowie do 6,8 proc. PKB w ciągu trzech lat, ale nowy minister mówi, że to niemożliwe. Trzeba się zgodzić na 6 proc. do 2024 r.

Nie tylko w sprawie nakładów potrzebne jest miarkowanie żądań. Chcieli dla lekarzy w trakcie specjalizacji dwóch średnich krajowych, dla specjalistów – trzech. Minister oferuje znacznie mniej, ale dorzuca boni lojalnościowy dla rezy-

dentów – kilkaset złotych miesięcznie w zamian za zobowiązanie do pracy w Polsce po specjalizacji przez określony czas. No i – to dla młodych lekarzy równie ważne jak podwyżki – minister obiecuje, że będzie duża nowelizacja ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty. Projekt przygotowuje zespół z silną reprezentacją środowiska lekarskiego.

Przed kamerami minister i lekarze podpisują stosowny dokument. Na formalnych uściskach dłoni się nie kończy. Medycy symbolicznie wpinają ministrowi w kłapę znaczek Porozumienia Rezydentów. Jeden z liderów protestu wylewnie ściska Szumowskiego.

Profesor deklaruje dialog. „Zdrowie nie ma barw politycznych, potrzebne jest porozumienie” – mówi posłom Komisji Zdrowia, partnerom w Radzie Dialogu Społecznego. Wznawia zawieszone za Radziwiłła spotkania Zespołu Trójstronnego ds. Ochrony Zdrowia. Podpisuje zarządzenia powołujące kolejne zespoły eksperckie. Wreszcie ogłasza narodową debatę „Wspólnie dla Zdrowia”. Przez rok – od czerwca 2018 do czerwca 2019 r. w różnych miejscach Polski – teoretycy i praktycy mają dyskutować nad kluczowymi problemami ochrony zdrowia. Pokłosem debaty, obiecuje minister, będzie raport, a wnioski staną się podstawą do wypracowania strategii, na podstawie której ministerstwo przedstawi projekt...

Tak, rację mają ci, którzy jeszcze przed inauguracją debaty przeczuwają, że nic z tego nie będzie. Że chodzi o rozwodnienie w dziesiątkach konferencjogodzin zasadniczej kwestii: rząd nie zamierza przeznaczyć na zdrowie żadnych, a w każdym razie żadnych znaczących dodatkowych pieniędzy.

Istotnie, debata kończy się niczym. Raport i wnioski lądują w szufladzie u ministra i nie wiadomo, czy kiedykolwiek zostaną z niej wyciągnięte. Ale czas udało się kupić: trwa kampania parlamentarna, Szumowski jest lokomotywą listy w Płocku. PiS nie wysłał ministra na pierwszą linię frontu – okręg płocki to jeden z tych, w których może liczyć na świetny wynik.

Sztuczka druga: dowożenie

Szumowski nie prowadzi w Płocku dużej kampanii. To również efekt wewnętrzpartyjnych ustaleń – o głosy biją

się tam miejscowi działacze i zasłużeni posłowie. To ich plakaty wiszą na płotach i ogrodzeniach. Łukasz Szumowski plakatami walczyć nie musi. Jest stale obecny w mediach: a to jako minister ogłaszający istotne decyzje, a to z powodu awarii warszawskiej oczyszczalni Czajka, gdy troszczy się o jakość wody płynącej przez Płock Wisły, a to dzięki porozumieniu między PKN Orlen a Instytutem Onkologii w Warszawie. Koncern, zatruwający płockie powietrze, zobowiązuje się do finansowania programu profilaktyki onkologicznej dla mieszkańców. Firmy nie mogą wspierać finansowo kampanii, ale na tydzień przed wyborami Szumowski jest specjalnym gościem dwudniowego pikniku zdrowotnego na Orlen Arenie.

Ostatecznie minister zdobywa nieco ponad 35 tys. głosów – wynik, w porównaniu z innymi lokomotywami rządowymi, przeciętny, ale nieprzynoszący wstydu. PiS utrzymuje stan posiadania w okręgu – nikt jednak do Szumowskiego pretensji nie ma. Ministerstwo Zdrowia to niewdzięczny kawałek chleba. Zewsząd i stale pretensje – że płace niskie, mało pieniędzy, długi szpitale rosną, w kolejkach do badań i zabiegów czeka się nie miesiącami, ale latami. Minister zdrowia w rządzie może zaś niewiele, żeby nie powiedzieć – nic.

To nie jest specyfika rządów PiS. Ministerowie zdrowia na przestrzeni ostatnich trzech dekad, poza nielicznymi wyjątkami, nie byli ani filarami kolejnych gabinetów, ani też przesadnie mocnymi osobowościami. Te wyjątki to na pewno Franciszka Cegielska (rząd Jerzego Buzka), której misję po kilkunastu miesiącach przerwała śmierć z powodu raka trzustki, oraz prof. Zbigniew Religa (rządy PiS 2005-07). Z nimi liczyli się i premierzy, i ministrowie finansów. Ci drudzy oczywiście w ramach kultywowanego w swoim resorcie przekonania, że zdrowie to studnia bez dna, więc nie ma co przesadnie dosypywać do niej pieniędzy, bo znikają.

Mateusz Morawiecki jako wicepremier i minister finansów na zdrowie patrzy dokładnie tak samo: obcina wszelkie zapędy Konstantego Radziwiłła zmierzające do zwiększania udziału ochrony zdrowia w wydatkach publicznych. – Macie swój budżet, szukajcie w nim pieniędzy na nowe zadania – słyszy np. resort zdrowia, gdy planuje reorganizację systemu ratownictwa medycznego.

Ale jesienią 2017 r. rezydenci mówią: „Dość!”. Wpisują na sztandary hasło „6,8 proc. PKB na zdrowie”. Dlaczego tyle? To, według WHO, minimalny poziom finansowania w krajach rozwiniętych. Polska na zdrowie wydaje 4,5 proc. PKB. Rząd, przyparty do muru, obiecuje 6 proc. – za kilka lat. I stopniowe podnoszenie wskaźnika. Konstanty Radziwiłł, autor ustawy, mówi o setkach miliardów dodatkowych środków, które w ciągu dekady wpłyną do systemu. Po cichu jednak – jeszcze za Radziwiłła – rząd zmienia ustawę. Wskaźnik z roku na rok będzie rosł (w 2020 r. Polska ma wydawać już ponad 5 proc.), ale punktem odniesienia będzie PKB sprzed dwóch lat. Zapis przechodzi przez parlament niezauważony (niewielkim usprawiedliwieniem dla posłów opozycji jest to, że ustawę Sejm uchwała na jednym posiedzeniu, w ciągu kilkudziesięciu godzin). Nie zauważają go również rezydenci.

Dopiero po wielu miesiącach – już za kadencji Szumowskiego – staje się jasne, że dzięki ustawowemu kruczkowi nie będzie dodatkowych środków na zdrowie z budżetu państwa. Nie tylko dziesiątek miliardów, którymi budżet miał zasilać kasę NFZ, ale nawet kilkumiliardowych transferów. Ani w 2019, ani w 2020 r. budżet – by osiągnąć ustawowe minimum – nie musi dokładać do NFZ ani złotówki. Co więcej, realnie wskaźnik wydatków względem PKB praktycznie się nie zmienia. Budżet NFZ rośnie, ale ponieważ równolegle idą w górę koszty świadczeń, więcej miliardów złotych wystarcza na tyle samo świadczeń, co kilka lat wcześniej. Albo nawet na mniej.

Rezydenci czują się zdradzeni. Zarzucają ministrowi oszustwo. „Nikogo nie oszukałem” – grzmi Szumowski. Ministerstwo konsekwentnie twierdzi, że na zdrowie Polska wydaje coraz więcej. I to nie jest jeszcze ostatnie słowo. „Co obiecujemy, dowozimy!” – przekonuje jesienią 2019 r. minister.

Ale z tym „dowożeniem” jest trochę tak, jak z zakupem sukienki na chińskiej platformie AliExpress. Na zdjęciu stylowa kreacja. W paczce – smętna ścierka. Tak właśnie jest z ustawą o zawodach lekarza i lekarza dentystry, na którą liczyli w lutym 2018 r. młodzi lekarze. Miała być gotowa w marcu 2019 r. Minął marzec, kwiecień, sierpień, październik. Ministerstwo Zdrowia nie dotrzymywało kolejnych terminów, by w końcu przedsta-

Pod koniec lutego,
gdy już wiadomo było,
że północne Włochy
dotyka kataklizm,
minister nadal utrzymuje,
że koronawirus
jest porównywalny
pod względem zjadliwości
i powikłań z wirusem grypy.

wić projekt, a w nim – ułatwienie zatrudniania lekarzy spoza Unii Europejskiej. Konkretnie – z Ukrainy. To działanie nie tylko niezgodne z oczekiwaniami środowiska lekarskiego, ale całkowicie wbrew jego interesom. Sami lekarze mówią, że również wbrew interesom pacjentów, bo trudno będzie zweryfikować poziom wiedzy i przygotowania praktycznego specjalistów ze Wschodu.

Sztuczka trzecia:

hokus-pokus, koronawirus

Tak czy inaczej, minister kolejną obietnicę uznał za wypełnioną. Sejm rozpoczął prace – ale ich nie skończył i prędko nie skończy. Bo, oczywiście, SARS-CoV-2.

Jeszcze pod koniec stycznia minister zdaje się nie dowierzać w powagę zagrożenia. Podczas spotkania z dziennikarzami (to zresztą jeszcze jeden świetny zabieg PR Łukasza Szumowskiego: od początku urzędowania systematycznie zaprasza wybranych dziennikarzy na śniadania prasowe, by w nieco swobodniejszej atmosferze porozmawiać o planach czy projektach ustaw) tonuje nastroje. „Wirus z Wuhan to jeden z koronawirusów, które wywołują przeziębienie. Nie jest groźniejszy niż grypa, a do grypy przygotowujemy się sezonowo” – mówi. I jeśli o coś apeluje, to po pierwsze – by media nie siały paniki. Po drugie – by zachęcały do szczepień przeciwko grypie.

W połowie lutego jedzie na narty. „Byłem we Włoszech” – mówi w rozmowie z Robertem Mazurkiem.

„– To jak pan wrócił z tych Włoch, to co? Pan się przebadał, zbadał, poszedł na kwarantannę?

– Ani się nie przebadałem, ani się nie zbadałem, nie poszedłem na kwarantannę, poszedłem do pracy...

– I rozsiewa pan.

– ...i kontrolowałem swój stan. Aczkolwiek to był jeszcze czas, kiedy nie było tzw. czerwonej strefy we Włoszech”.

Rzeczywiście, nie było. Jednak 26 lutego, gdy minister udziela tego wywiadu, już wiadomo, że północne Włochy dotyka kataklizm. Minister nadal utrzymuje, że koronawirus jest porównywalny pod względem zjadliwości i powodowanych powikłań z wirusem grypy.

Dwa i pół tygodnia później preferuje społeczną izolację i narodową, powszechną kwarantannę, zamknięcie granic. W całym rządzie on najlepiej wie, że każdy dzień zwłoki będzie powodował wysyp nowych zachorowań. A polski system ochrony zdrowia nie tylko nie przetrzyma takiej fali, jaka uderzyła w północne Włochy, ale załame się pod kilka razy mniejszym naporem. Stąd zamknięcie szkół, uczelni, instytucji kultury, restauracji i galerii handlowych. I kolejne zaostrożenia, obejmujące również wydarczenia religijne.

To zresztą przykład, jak Szumowski doskonale radzi sobie z trudnymi partnerami. Kościół katolicki w Polsce niechętnie patrzy w lutym na decyzje, jakie zapadają we Włoszech – zamykanie świątyń, zakaz odprawiania mszy. Episkopat wyraża zgodę, by w czasie niedzielnych mszy odczytano list ministra zdrowia nawołujący do bezpiecznych w czasie zagrożenia epidemii zachowań, ale nie ma decyzji choćby o opróżnieniu kiołkownic z wody święconej czy obligatoryjnym udzielaniu komunii na rękę. Nie ma mowy, przede wszystkim, o zamknięciu kościołów dla wiernych.

Choć wicepremier Jarosław Gowin publicznie mówi, że w czasach epidemii kościoły są szpitalami dla dusz i dlatego muszą zostać otwarte, Szumowski przeprowadza najpierw ograniczenie zgromadzeń religijnych do pięćdziesięciu osób, potem – do pięciu. Bez słowa sprzeciwu ze strony hierarchów. Ba – kurie same dyscyplinują księży, którzy próbują obchodzić epidemiczne rygory.

Rygory te są potrzebne nie tylko dlatego, że polska ochrona zdrowia od dekad niedomaga. W połowie marca 2020 r. jest kompletnie nieprzygotowana na skutki epidemii. Czas, jaki mieliśmy – ostatni tydzień stycznia i cały luty →

→ rząd zmarnował na pozorowane ruchy, spotkania i narady, zamiast: kontraktować laboratoria, kupować setki tysięcy testów, zamawiać (gdzie się da) środki ochrony dla pracowników medycznych i sprzęt ratujący życie. Z tej listy – tak oczywistej – nie zrobiono niemal nic, za co zresztą w połowie marca stracił stanowisko szef Agencji Rezerw Materiałowych. Koziół ofiarny, bo dla czego ARM miała dokonywać nadzwyczajnych ruchów, skoro nic nadzwyczajnego – według resortu zdrowia – Polsce nie groziło?

W stan epidemii wkraczamy więc praktycznie nieuzbrojeni. Laboratoria zwiększają swoją przepustowość od stu testów na dobę (początkowo zresztą wykonują ich po kilkanaście, kilkadziesiąt) do 5 tysięcy (stan na początek kwietnia). Eksperci nie mają wątpliwości: polskie dane na temat liczby potwierdzonych przypadków są na tle innych krajów wyraźnie niższe (30 marca – 2055, w tym samym czasie np. Czechy – nieco ponad 3 tys., Norwegia – 4,5 tys.), bo wykonujemy mało testów. Powinno ich być przynajmniej trzy, cztery razy więcej. Wątpliwości budzi też metodologia uznawania COVID-19 za przyczynę zgonów. Polska, po pierwsze, nie przeprowadza badań u zmarłych, u których nie zdiagnozowano zakażenia, a można przypuszczać, że zgon wiąże się z koronawirusem, np. u osób z zapaleniem płuc. Po drugie, jeśli można orzec, że osoba zakażona zmarła z innej przyczyny – tak właśnie raportuje się w statystykach, dzięki czemu nasz kraj zdawał się pod koniec marca zieloną wyspą w ognistej pandemii Europy. Ministerstwo

Zdrowia zarządza ograniczenie krytycznych wypowiedzi na tematy związane z epidemią.

Krytycznych głosów jednak nie brakuje. Zgodnie z zasadą, że najlepszą obroną jest atak, Łukasz Szumowski zarzuca „przespanie zagrożenia” Światowej Organizacji Zdrowia. WHO, jego zdaniem, szybciej powinna bić na alarm, zamiast wysyłać uspokajające komunikaty. Stawia też zarzuty Unii Europejskiej – za brak solidarności. Ale czy UE zawiniła, że polski rząd spóźnił się z przystąpieniem do procedury wspólnych zakupów, przez co wielka transza środków ochrony dla lekarzy i pielęgniarek przeszła nam koło nosa?

Szumowski broni się atakując, jednak nie przekracza cienkiej granicy śmieszności. Nie posuwa się, jak jego szef, do stwierdzeń, że Polska na epidemię „przygotowywała się od paru miesięcy”, gdy tylko w Wuhan zaraportowano pierwszy przypadek zakażenia.

I dobrze wie, że lepiej jest przedstawić rzeczywistość w nieco ciemniejszych barwach, niż bezpodstawnie uspokajać. „Możemy się spodziewać dwustu kilkudziesięciu, potem trzystu kilkudziesięciu, czterystu i pięciuset potwierdzonych przypadków na dobę – mówi pod koniec marca. – Tak wygląda rozprzestrzenianie się epidemii. Tego nie unikniemy. Możemy ograniczyć liczbę osób zarażonych. I to jedyne działanie, które spłascza tę krzywą, rosnącą jak fala tsunami”.

Czy on sam przetrwa uderzenie fali? Czy może, wykorzystując patent żeglarsza, zdoła ją okiełznać?

© MAŁGORZATA SOLECKA

Mniej to nowe więcej

DR IGA KAZIMIERCZYK, PEDAGOŻKA:

Czas kwarantanny to szansa, by przekierować uwagę w stronę fascynacji, jakie mają uczniowie. By dać im czytać, pisać, tworzyć filmy, teledyski, memy, gify – wszystko to, w czym są przecież świetni!

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Zdążyła Pani?

IGA KAZIMIERCZYK: Rzutem na taśmę. Kilka tygodni dłużej – i kto wie, być może czekałabym do października.

„Nuda szkolna i jej oblicza” – to tytuł obronionego przez Panią 14 lutego doktoratu.

Rzecz m.in. o tym, jak tę nudę postrzegają uczniowie i nauczyciele.

Temat tylko pozornie oderwany od czasu epidemii. Choćby dlatego, że w Pani badaniach pojawiają się obrazy nudy domowej.

Pojawiają się spontanicznie, bo nie były tematem mojej pracy. Ale rzeczywiście: zwłaszcza dzieci z klas 1-3 rzadko kojarzyły zjawisko nudy ze szkołą. Co ciekawe i smutne zarazem, bardzo często przedstawiały siebie nudzących się w otoczeniu rodziców.

Mama z tatą obok, ale z nosami nad klawiaturą. Brzmi jak symbol czasu kwarantanny.

To był dla mnie jeden z najsmutniejszych obrazów tych badań. Umysłowiłem, że nam się po prostu często zdarzają dzieci nieszczęśliwe. I to w domach, po których nigdy byśmy się tego nie spodziewali. Nie widzimy, że dziecko otoczone wszystkim, czego – jak by się zdawało – potrzebuje, włącznie z komputerem do pracy zdalnej, z jakiegoś powodu jest samotne. Takie problemy mogą się teraz pogłębić.

31 marca 2020 odszedł przedwcześnie
nasz przyjaciel

Ś.†P.

Franciszek de Doliwa Zieliński

Franc, czekaj na nas tam, gdzie jesteś.

RODZINA I PRZYJACIELE Z TOMASZOWIC

POŻEGNANIE



AGNIESZKA DĄBROWSKA

6-letnia Pola z Krakowa podczas przedszkolnych zajęć domowych, marzec 2020 r.

Pani i Pani dziecko się nie nudzicie.

Nie. Okazuje się, że praca zdalna to jakiś potwór, który pożera znacznie więcej czasu niż praca tradycyjna.

Wrzuciła Pani na Facebooka żart „Cele na kwarantannę”. Część pierwsza: „Gdy nie masz dzieci: nauczyć się języka, ćwiczyć jogę, przeczytać 5 książek, spędzić czas z partnerem” i kilka innych. Część druga: „Jeśli masz dzieci: zrobić siku za zamkniętymi drzwiami”.

To oczywiście przejawienie, ale coś w tym jest. Mam dziecko w wieku przedszkolnym i odnoszę wrażenie, że to z punktu widzenia tej kwarantanny najtrudniejszy wariant... Dzieci na tym etapie wymagają uwagi, towarzystwa. I ruchu: biegania, kręcenia się, wrzasku, siłowanek, podskakiwania, gadania. Danie dziecku przestrzeni do tego wszystkiego i równocześnie ogarnięcie własnej pracy to zadanie na granicy wykonalności.

Pani aktywności: matka, właścicielka żłobka, doktor pedagogiki, koordynatorka programów edukacyjnych, ekspertka Fundacji Przestrzeni dla Edukacji. Jak wygląda teraz Wasz dzień?

Robimy wszystko, by zachować mniej więcej jego rytuał. Około 9 zaczynamy zajęcia *online*. Ja ze swoimi dziećmi ze żłobka...

Ze żłobka?!

Możemy się zobaczyć, co jest dla tych dzieci ważne, bo stanowi rozwojowy bodziec. Coś sobie pokazujemy, o czymś rozmawiamy. Potem zajęcia *online* ma mój syn.

W ten sposób mijają nam czas mniej więcej do 12. Następnie dziecko może się zająć pracą samodzielną, a ja szybko ogarniam swoje bieżące aktywności zawodowe. Taki porządek udaje się utrzymać do godz. 15. Potem zaczyna się chaos...

...będący teraz doświadczeniem milionów Polaków, więc proszę go opisać.

To czas zmęczenia, wyczerpania, czasami frustracji. Każdy jest emocjonalnie wyeksploatowany, bardziej niż kiedyś zdenerwowany, każdy czegoś chce, czegoś się domaga. Dzwonią telefony, są nieustanne e-konferencje. O ile jeszcze miesiąc temu potrafiłam zamknąć dzień pracy w ośmiu, dziesięciu godzinach, teraz wydaje mi się to niemożliwe.

To oderwijmy się od tego i wróćmy do naszego poprzedniego świata. Zwłaszcza że widzimy go wyraźniej – gdy czegoś nie ma, widać lepiej, po co było. Po co była nam szkoła?

Choćby po to, by nasze dzieci wyszły z domu. Aby utrzymywały relacje. Z rówieśnikami, nauczycielami. By mogły w tym środowisku się uczyć. Nie tylko, a nawet nie przede wszystkim „materiału”, ale życia. Dźwigania sukcesów, porażek, rozczarowań. Zobacz pan, jeszcze za tą szkołą zatęsknimy.

Gdy czytam Pani doktorat, trudno mi tęsknić. Czego się Pani dowiedziała o szkolnej nudzie?

Że w pojęciu uczniów to nie tylko nicnierobienie, że ma różne oblicza i z różnymi rzeczami się kojarzy. I że jest silny społeczny oraz emocjonalny komponent znudzenia. Uczniowie, których badałam, podkreślali, że nuda to także poczucie odseparowania od innych.

Zapamiętałam z Pani pracy scenkę, niezwiązaną z meritem badań: chce Pani porozmawiać o nudzie z uczniem, ale na korytarzach nie ma gdzie usiąść.

Przestrzeń polskich szkół zwykle wcale nie jest ciasna, za to często monotonna. To przestrzeń, która nie jest zaprojektowana z myślą o uczniach. Nie wiem, czy pan to zauważył: nawet ogłoszenia umieszcza się na poziomie wzroku dorosłego człowieka!

No i – nie wszędzie, ale nadal w wielu szkołach – nieśmiertelny anturaż: trzy rzędy ławek, przy każdej dwa jakby przyspawane do podłogi krzesła, na froncie tablica, przed nią nauczycielka.

Tak jakby ktoś nawet poprzez tę przestrzeń chciał powiedzieć: tu będziemy cię dezaktywować, tu stracisz kontakt ze sobą. Gdy pytałam uczniów, jakie warunki powinna spełniać lekcja, by nie była nudna, słyszałam: to taka, podczas której możemy ze sobą rozmawiać, widzieć się. A ta przestrzeń jest przecież zaprojektowana tak, by widzieć swoje plecy! W dodatku ileż my, nauczyciele, tracimy czasu na komendy: „Siedź spokojnie!”, „Nie odwracaj się!”.

Jeden z uczniów w Pani pracy kojarzy nudę z przymusem.

A jeszcze więcej z brakiem wpływu na to, co się dzieje. Uczniowie mają różne strategie odreagowywania tego deficytu: jedni bujają się na krześle, inni budują konstrukcje z ołówków, jeszcze inni porządkują plecak. Słyszałam nawet o dzieciach zjadających patyczki do liczenia!

Niektórym uczniom nuda kojarzy się ze zmęczeniem.

Mowa o zmęczeniu emocjonalnym, ale też intelektualnej frustracji, przy równoczesnym pominięciu potrzeby fizycznego ruchu. To świadczy o tym, że wiele →

⇒ szkół nie potrafi zagospodarować potrzeb dzieci. Uczniowie mówili mi, że czasami wychodzą z klasy pod pozorem potrzeby fizjologicznej, bo nie są w stanie znieść lekcyjnej monotonii i bezruchu.

Wracamy zatem do opowieści z poprzedniego świata: o przeladowanych podstawach programowych, ciężkich tornistrach, bezlitośnie zadawanych pracach domowych?

Pytałam uczniów, co robi nauczyciel, gdy widzi ich znudzonych. Wielu odpowiadało: zadaje dodatkowe zadania. Gdy pytałam, co chcieliby, żeby w takiej sytuacji robił, pojawiała się potrzeba relacji, dialogu. Tymczasem „pani ciągle do nas mówi”.

Nuda, wynika z Pani pracy, to obszar tabu. Nauczycielka udaje, że mnie nie widzi, „a ja udaje, że się nie nudzę” – mówi jedno z dzieci.

To też podsumowanie opowieści o jakości relacji. W naszym systemie bardzo mało jest miejsca na informacje zwrotne. Prędzej już zaakceptujemy to, że ktoś zachowuje się karygodnie, niż że się nudzi. Z trudem przyjełbyśmy komunikaty: „Jestem zmęczony” albo „Nie ciekawi mnie to”.

Pisze Pani, że w większości przypadków zauważone przez nauczyciela przejawy nudy spotykają się z gwałtowną reakcją. Z przypadkami „wzywania do tablicy, straszenia jedynką, odwoływania się do sumienia ucznia (...). Reakcją są także krzyk i poniżanie”. Ci nauczyciele to sprawcy czy ofiary?

W pierwszej chwili miałam odruch kwalifikowania ich do pierwszej kategorii. Później się go wyzbywałam: nauczyciele także mogą czuć się w szkole źle. System nie nagradza ani tych wybitnych, ani nawet dobrych rzemieślników. Nie poświęca się także czasu na korygowanie pracy czy wzmacnianie kompetencji pedagogów słabych, dlatego wielu z nas tkwi w bezmyślnym mechanizmie: „Tak jest, bo tak zawsze było, więc tak będzie nadal”. Rozmawiałam z wieloma dobrymi nauczycielami: oni też czują się ofiarami systemu, w którym premiuje się realizację – choćby pozorną – podstawy programowej, a nie bierze się pod uwagę innych czynników: czy dzieci są szczęśliwe, czy się rozwijają i czy dobrze im się pracuje.

W tym sensie ta przymusowa kwarantanna to szansa.

Szansa, by przekierować swoją uwagę w stronę fascynacji i pasji, jakie mają uczniowie. By dać im czas, nawet na zajęcie się sobą. By pozwolić im czytać, pisać, tworzyć filmy, teledyski, memy, gify – to, w czym oni są przecież świetni!

Jarosław Pytlak, dyrektor Zespołu Szkół STO na warszawskim Bemowie, opowiedział w wywiadzie dla „TP” o swoim pomysśle z początku kwarantanny. Dał nauczycielom i uczniom tylko jedno zadanie: uczcie się tego, na co macie ochotę. Wyszywajcie, haftujcie, piszcie opowiadania, nagrywajcie filmiki.

Wróćmy na moment do nudy. Istnieje taki jej rodzaj, który można zakwalifikować jako zjawisko pozytywne. Mówimy o nudzie jako odwrotności powszechnego w systemie szkolnym przestymulowania; o takim „nicnierobieniu”, które pozwala nam od czasu do czasu sięgnąć do wewnętrznych zasobów, zastanowić się, czego chcemy. Thomas Goetz, psycholog i badacz tego zjawiska, pisał o „nudzie regulacyjnej”, takiej, kiedy śnimy na jawie, czujemy luz i nie chcemy tego „nicnierobienia” przerywać.

I właśnie tak odczytuję propozycję pana Pytlaka: odetchnijmy, pomyślimy, co nas cieszy. To też zaproszenie, również dla nauczycieli, by zastanowić się nad swoją pracą. Być może męczę się, bo moje działania są nużące i dla mnie, i dla innych? Słyszę też w tym pomysśle wezwanie: opamiętajmy się, zwolnijmy w tym naszym pędzie do regulowania młodym ludziom wszystkiego.

Nie tylko w szkole.

Naturalnie. My, rodzice, też zatraciliśmy się w nieustannym organizowaniu dzieciom życia: urodzin, spotkań, zajęć pozalekcyjnych. Balety, języki, gitary – za dużo tego wszystkiego! Te dzieci nie są nawet w stanie się zorientować, co je interesuje. W tym sensie kwarantanna była dla nas szansą.

No właśnie, była. A potem minister zarządził: realizujemy podstawy programowe, rozliczamy z tego nauczycieli, oceniamy uczniów...

A więc wracamy do zalepiania naszym dzieciom sensorów, tylko teraz za pośrednictwem internetowych łącz. Pewna

nauczycielka – to historia z edukacyjnego forum w sieci – zadała niedawno swoim uczniom pracę polegającą na wylepieniu wieńca na święta. Wśród materiałów do przygotowania tej pracy znalazły się liście, druciki, sztuczne kwiatki. Jedna z mam przytomnie zareagowała, że ona tego teraz, podczas kwarantanny nie zorganizuje. Nauczycielka odpowiedziała, że w takim razie dziecko dostanie jedynkę.

Rozmawiam z Panią i równocześnie – jak przystało na rodzica w czasie kwarantanny – przeglądam nadesłane świeżo przez jednego z nauczycieli zadania. Kilkanaście stron A4 wypełnione zadaniami. Fakty, daty, definicje. Po co to?

Po nic! A w zasadzie po to, by wykazać „przerobienie materiału”. To zaproszenie do pracy odtwórczej. I do wnikliwego wyszukiwania kolejnych odpowiedzi w Google’u. Na tym przykładzie doskonale widać, że sama praca zdalna niczego nam nie załatwia.

Zwłaszcza że co i rusz natrafiamy na techniczne bariery.

Z pracą zdalną w polskim wydaniu są dwa problemy: techniczny i poznawczy. Ten pierwszy nie sprowadza się tylko do braku komputera, ale też odpowiednio szybkiego łącza. Jak ktoś mieszka w wiosce nieopodal lasu, to nawet jeśli ma trzy nowe laptopy, niewiele to da.

Sprawa druga: kompetencje, także nauczycieli. Samo to, że ktoś potrafi włączyć komputer i obsłużyć aplikację, nie oznacza, że jest gotów do nauczania online. Mieliśmy okazję zobaczyć ilustrację tego problemu na popularnym filmiku wrzuconym do sieci: zaczyna się lekcja, a uczniowie dworują sobie z bezradnej nauczycielki. Instruuja ją, jak ma pogłościć sobie mikrofon, a ona wyrzuca się w ogóle z tego czatu. Nie opowiadałam tego po to, byśmy się teraz pośmiali z tej pani. Przeciwnie, solidaryzuję się z nią, bo została postawiona w fatalnej sytuacji. Nikt z nas nie jest z automatu przygotowany do tego, by prowadzić zajęcia w sieci, takie, w których byłaby relacja, intelektualny kontakt i coś więcej niż podawanie informacji.

Minister chwilę po zamknięciu szkół powiedział, że dyrektorzy powinni szkolić nauczycieli.

Trudno te słowa w ogóle komentować. Przecież tu chodzi o przedstawianie się

na zupełnie inny tryb pracy. Inną dynamikę zajęć, inną specyfikę komunikacji. Banalny przykład: naprawdę nie jest łatwo z godziny na godzinę przywyknąć do tego, że grupa może obserwować nauczyciela w zbliżeniu, widząc każdy grymas jego twarzy. Tego wszystkiego nie da się nauczyć w ciągu weekendu.

Wielu nauczycieli to umie. Ale nie dlatego, że dostali systemowe wsparcie.

Rządzący byli zajęci czymś innym. Reforma likwidująca gimnazja zepchnęła inne problemy na dalszy plan. Spożytkowaliśmy energię i miliony złotych na przesuwaniu dzieci z budynku do budynku, zamiast na coś, co przydałoby się na lata. Ile się mówiło o cyfryzacji szkół – skończyło się na „aktywnej tablicy” i e-zasobach Ośrodka Rozwoju Nauczycieli, czyli na przedsięwzięciu prowadzonym w nieskończoność od ponad dziesięciu lat, w czasie których program ten wielokrotnie zmieniał nazwę, ale co do zasady pozostał tym samym.

Ale dzisiaj minister edukacji – jak my wszyscy – działa w warunkach nadzwyczajnych. I mówi: mieliśmy do wyboru nie robić nic albo przywrócić szkolne wymagania.

Wybór między byciem rybą ugotowaną w zupie a usmażoną na patelni nie wyczerpuje wszystkich możliwości. Można było np. zrobić coś, czego domagają się od lat eksperci, nauczyciele, samorządowcy: oddać szkołom część autonomii. To też by był edukacyjny eksperyment, ale bez tak wielkich kosztów emocjonalnych.

Tymczasem minister oddaje tę autonomię tylko pozornie. Mówi mniej więcej tak: musicie realizować podstawę, sami zdecydujcie, ile w tych warunkach da się zrobić. Ale koniec końców i tak będziecie się musieli wykazać realizacją całego programu.

Brakuje fundamentalnej refleksji: po co to wszystko? Patrę na to z dużą dozą rezygnacji. My się w ogóle o młodych ludzi nie upominamy. Skoncentrowaliśmy się na narzędziach *online*, efektywności, nadganianiu programu. Zapomnieliśmy o wściekłości, bezradności, lęku zamkniętych w czterech ścianach dzieci.

My, rodzice, też się nie upominamy. Weszliśmy jak w masło w tę szaloną



IGA KAZIMIERCZYK

IGA KAZIMIERCZYK:

Większość dzieci w wąsko rozumianej „normie” się nie mieści. Nie potrafię określić skali zagrożenia dla ich rozwoju, ale musimy myśleć o tych dzieciach już teraz.

logikę realizacji programu. Jest trochę pokątnej frustracji, więcej pozorowania pracy. Buntu nie za wiele.

To prawda, nie zdajemy ważnego egzaminu. Gdyby rodzice powiedzieli dyrektorom: „Nie jesteśmy teraz w stanie tego robić. Nie znajdziemy na to czasu, sprzętu, kompetencji, energii. Stop, zatrzymajmy się, to jest szaleństwo” – świat by się chyba nie zawalił.

Do rodziców rozesłano ankiety.

Wynik: większość uczniów może korzystać z zajęć online.

Po pierwsze, konia z rzędem temu, kto udowodni mi, że odpowiedzi były szczerze. Po drugie, sam minister przyznał, że 8 proc. szkół nie jest przygotowanych do pracy zdalnej. Pomijam pytanie, na jakiej podstawie uzyskano te dane – chodzi mi o przejście do porządku dziennego nad faktem, że ważna jest większość. Gdyby minister powiedział, że nie ma problemu niepełnosprawnych uczniów, bo przecież większość jest pełnosprawna, to wszyscy by się na niego rzucili. Tymczasem teraz działaniom MEN towarzyszy bardzo podobna logika: nie przejmujemy się 8 procentami, skoro 92 proc. jest odpowiednio doposażona.

W ten sposób wykluczamy tysiące dzieci z edukacji. Na czele z ósmoklasi-

stami, którzy nie mają równych szans na przygotowanie się do egzaminu. W ogóle trzymanie ich oraz maturzystów w niepewności co do terminu egzaminu uważam za przejaw skrajnej nieodpowiedzialności.

Jest jeszcze inna grupa dzieci, tych ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi.

Dzieci w tzw. normie – czyli bez deficytów uwagi, wysokiej potrzeby pozostawania w ruchu, bez podwyższonego poziomu lęku, zaburzeń relacji społecznych – stanowią wedle niektórych szacunków około 30 proc. ogółu. Większość dzieci w wąsko rozumianej „normie” się nie mieści. Teraz nie mogą wyjść, spotkać się z rówieśnikami, pobiegać, pojeździć na rowerze. Nie wiem, co z nimi będzie, nie potrafię określić skali zagrożenia dla ich rozwoju, ale musimy myśleć o tych dzieciach już teraz. Te dzieci wymagają bieżącego wsparcia w uczeniu się i nagle je straciły.

Węższą grupą są dzieci z orzeczeniami wydanymi przez poradnię pedagogiczno-psychologiczną. One na co dzień przebywają w szkole, ale mają specjalne i indywidualne zajęcia. Z logopedą, fizjoterapeutą, zajęcia reedukacyjne. Zostały z nich, bo logopedii i fizjoterapii nie da się zrobić *online*. To są poważne sprawy, bo zatrzymanie takich zajęć może przynieść poważne konsekwencje, często trudne do nadrobienia.

Przekonała mnie Pani – zatęsknimy za szkołą.

Widzę też plusy tej kwarantanny.

Jakie?

Choćby integrację środowiska nauczycieli. Już w pierwszych dniach widziałam ogromną mobilizację – wymieniali się zasobami, informacjami. Stworzyły się grupy *online*. Po zeszłorocznym strajku mogło się wydawać, że te postawy solidarnościowe stworzyły się na próżno. Teraz odżywają. Być może nauczyciele wrócą do szkoły nie tylko z ulgą, ale też z chęcią zmieniania jej na lepsze.

A rodzice? Jaką radę by im Pani dała, żeby nie tylko nie zwariowali, ale by wyciągnęli z tego czasu coś dobrego? Aby serio potraktowali powiedzenie, że mniej to nowe więcej.

© Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



ANDRZEJ STAWIŃSKI / REPORTER

Protesty „w obronie krzyża” na Krakowskim Przedmieściu, Warszawa, 3 sierpnia 2010 r.

Dekada katastrofy

DARIUSZ KOSIŃSKI

**Choć w teatrze posmoleńskim spuszczone zostały kurtyny,
do zakończenia i podsumowania dramatu daleko.
Być może jednak i tu pandemia urzeczywistni niemożliwe.**

W sobotę, 21 marca Jarosław Kaczyński udzielił wywiadu stacji RMF FM. Rozmowa z Krzysztofem Ziembem odbiła się szerokim echem ze względu na deklarację prezesa PiS, że jego zdaniem wybory prezydenckie powinny się odbyć 10 maja. Nikt chyba nie zwrócił większej uwagi na fragment o katastrofie smoleńskiej i na zaskakującą odpowiedź na pytanie podstawowe, które wielu z nas zadaje od 10 lat – o nie polityczny, lecz metafizyczny sens tej tragedii: „Ja oczywiście się nad tym bardzo czę-

sto zastanawiam, jaki to miało sens w życiu, czy właściwie chodzi tu o koniec życia mojego brata i innych, którzy zginęli. Jaki to miało sens w tym wszystkim, co wydarzyło się i miało się wydarzyć w Polsce, co już dziś wiemy, a wtedy żeśmy tego nie wiedzieli. I oczywiście różnorodnych sensów można tutaj szukać. Ale tak naprawdę, ponieważ jestem wierzący, to też zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę tylko Bóg wie, o co tutaj chodziło”.

Szczerość i prostota tej odpowiedzi ma dla mnie przejmujący wymiar. Trzęsący

krajem lider rządzącej niepodzielnie partii, który ponoć wszystko w swym geniuszu politycznym przewidział i wszystko może, w najważniejszym chyba punkcie swego życia staje bezradny wobec tajemnicy tragedii osobistej i wspólnotowej. I ma odwagę powiedzieć: nie wiem.

Słowo stało się ciałami

Cisza, jaka od 10 lat trwa wokół posmoleńskich pytań metafizycznych i egzystencjalnych, z jednej strony nie jest zaskakująca, bo jej naruszenie wymagałoby spojrzenia w przepaść, czego społeczeństwa i jednostki wiedzione instynktem samozachowawczym starają się unikać. Z drugiej jednak dziwi: społeczeństwo wychowywane przez kontrreformacyjny katolicyzm z jego skłonnością do teatralizowanej mistyki, którą przejęło, znacjonalizowało i wzmocniło przez romantyczne „wieszczanie”, przez 200 lat żyło „czytaniem znaków” i dążeniem do rozwiązania tajemnic świata i historii. Najwięksi polscy przywódcy duchowi, od Adama Mic-

kiewicz po Jana Pawła II, uparczywie, czasem wręcz obsesyjnie pytali o transcendentny sens kolejnych klęsk i katastrof, a ich odpowiedzi tworzą głębokie pokłady, jeśli nie rdzeń narodowej kultury.

Ta katolicko-romantyczna szkoła interpretacji świata straciła wprawdzie głos wobec Auschwitz, ale Smoleńsk wydawał się dla niej materiałem wprost wymarzoną. Tymczasem poza kilkoma bardzo wczesnymi reakcjami, na czele z jakże romantycznym wierszem wielkiego interpretatora polskiego losu Jarosława Marka Rymkiewicza, wszyscy nagle zadowolili się naciągana i nieprzemyślaną analogią katyńską i po chwili przestali pytać.

W tym zdziwieniu, a nawet pewnej pretensji, nie chodzi mi o to, że odpowiedzi nie umieliśmy znaleźć. Wielkość tragedii (a twierdzą, że dramat smoleński jest tragedią w najgłębszym sensie) polega na tym, że nie da się jej sensu zamknąć w jednej formule. Ale zarazem wynika z tego, że tragedia wciąż prowokuje pytania i domaga się prób interpretacji. W przypadku Smoleńska to żądanie zostało zlekceważone i zagłuszone zgłębieniem politycznego konfliktu.

To jedno przecież nie ulega wątpliwości: najważniejszym skutkiem, więc i oczywistym historycznym sensem po-smoleńskiego dramatu, jest rozpad społeczeństwa na dwie, niemożliwe do spojenia części. Na pytanie „po co to było?” odpowiedź jest właśnie taka: by wymarzona po 1989 r. nowa polska wspólnota została zniszczona. Co najmniej od czasów „wojny na górze” wielu aktorów politycznych przez lata głosiło, że ta wspólnota jest szkodliwą fikcją i że trzeba ją zniszczyć, by wiadomo było, kto „swój”, a kto nie. Historia w końcu odpowiedziała i słowo stało się 96 ciałami.

Krzyżowy rokosz i koalicja rządząca

W tej perspektywie rzeczywistym momentem katastrofy była eksplozja, do jakiej doszło w sierpniu 2010 r. w okresie walki o krzyż stojący przed Pałacem Prezydenckim. To właśnie wtedy ostatecznie uległy rozbiciu iluzje, że żałoba, jaką wspólnie przeżywali Polacy po 10 kwietnia, może stać się punktem wyjścia do „innej polityki”, nieopartej na wojennej zasadzie zniszczenia przeciwnika. Oczywiście byłoby naiwnością twierdzenie, że pragnienie utrzymania konfliktu nie ujawniało się już wcześniej, a „rokosz

sierpniowy” stanowił eksplozję jakiegoś ludowego gniewu, który uniemożliwił podtrzymanie deklarowanej zgody. Choć uważam krzyżowych rokoszów i walczących z nimi szyderców za autonomiczne podmioty społeczne i daleki jestem od spiskowych sugestii obu stron konfliktu oskarżających się wzajemnie o manipulację i prowokację, to nie ulega wątpliwości, że to nie aktorzy sierpniowego dramatu byli władcami „sceny narodowej przy Krakowskim Przedmieściu” (sami się zresztą za takich nie uważali). Pozwolono im na rozegranie dramatu radykalnego rozpadu wspólnoty, bo wszystkim był on na rękę. Od 2005 r. Polską rządziła koalicja PO PiS, zgadzająca się w jednym: że dla obu stron korzystny jest nieustający i pogłębiający się konflikt, który zapewnia obu partiom monopol dwuwładzy.

Nie sądzę wprawdzie, że w tej kwestii zawarto jakieś porozumienie, że odbyła się jakaś PO PiS-owa „Magdalenka”. Ale jest dla mnie oczywiste, że obaj liderzy rozumiejący politykę jako nieustanną konkurencję na przedstawienia (i mający za sobą bolesne doświadczenia marginalizacji) błyskawicznie rozpoznali, że rywalizacja będzie dla nich i dla ich ugrupowań o wiele bardziej korzystna niż współpraca. Ba: mogli nawet uznać, że będzie bardziej korzystna dla Polski. Oparty na konflikcie duopol miał wszak wszelkie szanse na zablokowanie dostępu do władzy innym ugrupowaniom. Przede wszystkim miał doprowadzić do marginalizacji lewicy oraz uniemożliwić rozrost radykalnej prawicy, co się generalnie, jak dotąd, udaje. Od 15 lat PO PiS rządzi Polską niepodzielnie, stanowiąc najtrwalszą koalicję w dziejach politycznych kraju.

Jednego tylko politycy obu partii nie docenili – siły dramatycznej konfliktu,

który dla podtrzymania istnienia i wytworzenia efektu autentyczności potrzebuje wciąż nowych i coraz ostrzejszych sporów. Jego zasadą nie jest właściwy polityce twórczy antagonizm, ale dążenie do unicestwienia przeciwnika.

Smoleńsk boleśnie dowiódł, że ta dramatyczna polityka jest jak najdosłowniej zabójcza. Po katastrofie teoretycznie mogło nastąpić nawrócenie, refleksja i przejście nie do jakiejś utopijnej jedności, ale do względnie racjonalnej polityki państwowego sporu, do antagonizmu rozwiązań, a nie statusowych rzezi o to, kto jest prawdziwym Polakiem. Zamiast tego konflikt się pogłębił i przeszedł w fazę wojny kulturowej i aksjologicznej, którą, niestety, we własnym interesie podtrzymał Kościół katolicki. A ponieważ ostatecznie w tej wojnie nie chodzi o znalezienie najlepszego rozwiązania, ale o potwierdzenie obrazu siebie, o twarz (a więc jedno z najwyższych dóbr jednostek i zbiorowości), konieczne jest pozbawianie przeciwników wszelkich praw do zachowania ich odmienności.

Pragmatyk i ideowiec

Katastrofa smoleńska wzmocniła polityczny konflikt o silne energie związane z czymś, co nienegocjowalne – zobowiązaniem wobec zmarłych. W kwietniu życzeniowo zaklinano rzeczywistość, głosząc, że będzie ono siłą łączącą – w sierpniu stało się jasne, że jest dokładnie odwrotnie. Deklarowany wielokrotnie obojętny związek pamięci stał się podstawowym paliwem konfliktu i posłużył do zbudowania mocnej linii podziału na tych, którzy pozostają wierni swoim zmarłym, i tych, którzy chcą o nich jak najszybciej zapomnieć. Oczywiście pożądany powrót do normalności był koniecznością dla →

POŻEGNANIE

Kalino,
przyjmij wyrazy najgłębszego współczucia
z powodu śmierci

Babci
Agnieszki Narożnik

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA”

→ wszystkich, nawet dla najbardziej strau-
matyzowanych przez śmierć swoich bli-
skich, ale właśnie wobec tej konieczności
tak wielką rolę odgrywały comiesięczne
rytualizacje będące syntetyczną reaktua-
lizacją (by nie rzec – anamnezą) niemal
sakralnego doświadczenia kwietniowej
wspólnoty Krakowskiego Przedmieścia.

Niesiony zwykle na czele Marszów
Pamięci wielki baner „Smoleńsk pamię-
tam” był znakiem wierności zmarłym,
zachowywanej mimo tego, że poza dniem
miesięcznicy większość jej uczestników
już żyła „normalnie”. Jarosław Kaczyń-
ski w swych comiesięcznych przemó-
wieniach, wieńczących rytualno-prote-
stacyjne zgromadzenie, przekształcał tę
„normalność” w walkę, nadając rywali-
zacji politycznej znamiona misji, której
celem było nie przejęcie władzy, ale przy-
wrócenie etycznego i metafizycznego
ładu.

Gdy od katastrofy smoleńskiej minął
rok, a PiS nie zaprzestał organizowania
miesięcznic, wydawało się, że ten upór
jest nieracjonalny. Z każdym miesiącem
kolejne demonstracje smoleńskie przy-
ciągały coraz mniej uwagi. Pamiętam,
jak późną wiosną 2014 r. znalazłem się
na Krakowskim Przedmieściu i niemal
niespodziewanie nadziałem się na czoło
Marszu Pamięci – wyglądał jak zagubiona
w tłumie turystów wycieczka albo dziwna
pielgrzymka wędrująca przez turystycz-
nie rozbawione miasto. A jednak mie-
sięcznice, uznawane przez wielu za wy-
raz chorobliwej obsesji, okazały się sku-
teczne. Wierność wydarzeniu, trwałość
przyjętych postaw, zachowywane w stop-
niu niespotykanym w polskiej polityce,
a także opisywana już przeze mnie w „Ty-
godniku” („Wieczny nieodpoczynek”, nr
15/2018) rytualistyczna jedność czasu,
miejsca i akcji doprowadziły do tego, że
już, już – wydawałoby się – gasnące cere-
monie powróciły w chwale i przepychu
uroczystości państwowych.

O ile trudno uznać, że to posmoleńskie
oskarżenia stanowiły bezpośredni powód,
dla którego PO w ciągu kilku lat straciła
większość poparcia, o tyle właśnie sprawa
katastrofy stała się swoistym pudłem rezo-
nansowym nagłaśniającym wszelkie jej
potknięcia. I jeśli dziś komentatorzy zasta-
nawiają się, jak to możliwe, że Platformie
zaszkodził zegarek ministra Nowaka, Am-
ber Gold i ośmiorniczki, a PiS-owi zdają
się nie robić żadnej krzywdy afery równie
poważne, a nawet poważniejsze, to zaryzy-

Wymuszone przez pandemię
radikalne zawieszenie
normalności przez chwilę
**wydawało się nieść szansę
na zakończenie stanu wojny,**
a przynajmniej na wzięcie go
w czasowy nawias.

kowałbym twierdzenie, że działa tu efekt
posmoleńskiej „obsady ról”.

W jej efekcie Jarosław Kaczyński, po-
strzegany wcześniej jako polityczny
awanturник i intrygant, zajął na scenie
pozycję osobiście zaangażowanego ide-
owca, którego celem są wartości wyższe
niż pieniądze i władza. W roli „pragma-
tycznego” polityka, niekierującego się
osobistą wiarą i niemającego żadnych po-
ważnych zobowiązań, lecz zajmującego
się rozwiązywaniem problemów i obsłu-
giwaniem obywateli, obsadził się Donald
Tusk. Pozornie wybrał dobrze, ale wła-
śnie Smoleńsk doprowadził do tego, że
sprawność państwa, która stała się jedyną
racją działania jego i jego rządu, w pew-
nym momencie przestała wystarczać.

Można by się tu pobawić w psychoana-
lityczne hipotezy, że zadziało nieczyste
sumienie większości Polaków, którzy
powróciwszy do „normalności”, czuli się
winni wobec porzuconych z konieczno-
ści zmarłych i podświadomie odwrócili
się od reprezentującej ową normalność
Platformy. Ale ważniejszy (i bardziej na-
macalny) wydaje mi się efekt „pudła rezo-
nansowego”: skoro Tusk uczynił spraw-
ność państwa i dobrobyt obywateli jedy-
nymi wartościami przeciwstawianymi
wierności wobec zmarłych, to wszelkie,
nieuchronne przecież pomyłki i potknię-
cia uderzały w same podstawy jego poli-
tyki, kwestionowały jego uprawnienie do
władzy.

Kaczyński mógł i nadal może pozwo-
lić sobie na błędy, wypowiedzi i działania
problematyczne lub wręcz skandaliczne
(jak słynny wybuch sejmowy z 2017 r.),
bo zasadą jego działania nie jest spraw-
ność państwa i obsługa obywateli (to mu
zapewnia premier Morawiecki, którego
zaangażowanie do grania tej roli było po-

lityczno-performatywnym majsterszty-
kiem), lecz „wartości”.

W tym kontekście za przełomowy mo-
ment dramatu posmoleńskiego uznał-
bym odkrycie jesienią 2012 r. błędów
w identyfikacji ciał, co doprowadziło
do konieczności ekshumacji i ponow-
nych pochówków takich osób jak Anna
Walentynowicz czy Ryszard Kaczorow-
ski. Platforma skompromitowała się
tam, gdzie sama lokowała źródło swego
uprawnienia do sprawowania władzy
– w zakresie procedur i pragmatyki. Co-
miesięczne zgromadzenie Antygon nie
musiało już krzyczeć, że Kreon to ty-
ran i morderca. Wystarczało spokojnie
stwierdzić, że nie potrafi nawet dobrze
pochować umarłych.

Kurtyna i apoteoza

Po zwycięstwie w 2015 r. PiS przejął cał-
kowitą kontrolę nad sceną smoleńskich
ceremonii. Kontynuacja miesięcznic nie
miała sensu, bo z jednej strony groziły
im kontrmanifestacje, a z drugiej – ich
własna państwowa oficjalność. Dlatego
w kwietniu 2018 r., w 96. miesięcznicę,
Jarosław Kaczyński ogłosił, że to ostatnia
taka uroczystość. „To nasz ostatni marsz.
Doszliśmy do celu” – powiedział protago-
nista posmoleńskiego dramatu, spuszcza-
jąc kurtynę na scenie narodowej, której
wprawdzie nie ustanowił, ale którą opa-
nował i uczynił areną swojego tryumfu.

Jego materialnym znakiem i dowo-
dem są dwa pomniki, postawione wła-
śnie w 2018 r. na placu Piłsudskiego: ofiar
tragedii smoleńskiej i Lecha Kaczyń-
skiego. Ich układ jest taki, że figura pre-
zydenta, autorstwa Stanisława Szwecho-
wicza i Jana Raniszewskiego, wydaje się
iść w stronę stojącego niemal dokładnie
na wprost monumentu projektu Jerzego
Kaliny. Ten z kolei składa się z czarnych
schodów, stojących nad przykrytą szkłem
częścią podziemną, symbolizującą zbio-
rowe mogiły Katynia. Według wyjścio-
wej koncepcji oba pomniki miał połączyć
„chodnik” z czerwonego granitu, naśla-
dujący dywan, po którym głowa państwa
wchodziła do rządowego Tu-154. Całe za-
łożenie stanowi więc monumentalną re-
inscenizację chwili wylotu do Smoleń-
ska, a zarazem ma być jej symbolicznym
przekroczeniem: czarne schody do samo-
lotu interpretowane są też jako „schody do
nieba”, więc pomnikowy prezydent Ka-
czyński nie idzie ku nim, by zginąć w ka-
tastrofie, ale by zostać ocalonym i zbawio-

nym w niebie polskich bohaterów, do którego już zostali przyjęci – także dzięki niemu – pomordowani w Katyniu.

Ta zbawcza reinscenizacja stanowi ostatnią scenę dramatu smoleńskiego w wersji Jarosława Kaczyńskiego. Oczywiście została jeszcze kwestia wyjaśnienia przyczyn katastrofy i ukarania winnych, o czym prezes PiS mówi od lat, konsekwentnie wspierając „dochodzenie” Antoniego Macierewicza. Śledztwo nie należy jednak do porządku eschatologicznego, stanowiącego ramę dramatyzacji, których główną sceną było Krakowskie Przedmieście. Co miesiąc powtarzano przecież, że chodzi o pamięć ofiar, podstawowym znakiem protestujących był zaś krzyż, domagający się dopełnienia męczeńskiej śmierci aktem przeniesienia w wieczność i wniebowstąpienia. Gdy ten został zmaterializowany w pomnikach, żywi aktorzy mogli wreszcie zejść ze sceny.

Sprawy zamiast wartości

Trudno jednak uznać, że dramat posmoleński w ten sposób się zakończył. Trwa

wszak ustanowiony przezeń konflikt, z którego nie widać wyjścia tak samo, jak nie było go widać 7 lat temu, gdy kończyłem książkę „Teatra polskie. Rok katastrofy” gestem bezradnego oczekiwania na „coś”, co pojawi się nie wiadomo skąd i zakończy niedający żyć klincz.

Czy i dziś nic innego nie pozostaje?

Gdy kilka dni temu zaczynałem pisać ten tekst, miałem nadzieję, że może jednak nie... Ironicznie i paradoksalnie, tę nadzieję obudziła pandemia, zrównująca nas wszystkich w zagrożeniu chorobą i śmiercią. Wymuszone przez nią radykalne zawieszenie normalności przez chwilę wydawało się nieść szansę na zakończenie stanu wojny, a przynajmniej na wzięcie go w czasowy nawias. Było tego wiele symptomów, choćby poparcie i sympatia, jaką zaczął się cieszyć minister zdrowia Łukasz Szumowski. Oczywiście było i jest jasne, że ewentualny sukces walki z wirusem PiS zdyskontuje politycznie, ale nadzieja szeptała, że może to nie mieć znaczenia i że nawet najbardziej anty-PiS-owska opozycja rozumie, jak dosłownie samobójcze byłoby życzenie rządzącym niepowodzenia.

Naprawdę przez chwilę myślałem, że pandemia zdoła przekonać polskich polityków, że nie musimy być jednością, ale mamy wspólne cele, dla realizacji których trzeba zawierać choćby taktyczne sojusze, działając w perspektywie dłuższej niż kadencja własnej władzy; że polityczny przeciwnik też może być sojusznikiem, a nie rywalem do ogrania i wzięcia pod but. Przez chwilę zamiast o „wartościach” rozmawiano o sprawach. Dla polskiej polityki mogło to być doświadczenie ożywcze.

Ale w sobotę 21 marca Jarosław Kaczyński udzielił stacji RMF FM wywiadu, w którym powiedział, że nie ma powodów, by wybory nie odbyły się 10 maja. Tydzień później wierni wykonawcy jego woli, których przez trzy tygodnie bez żalu nie oglądaliśmy, przegłosowali zmiany w kodeksie wyborczym. Szansa na prawdziwie „dobrą zmianę” została znów zmarnowana i wszystko wskazuje na to, iż tylko kolejna katastrofa może sprawić, że wyjdziemy z cienia poprzedniej.

Czy wtedy będzie jeszcze sens pytać o sens? © DARIUSZ KOSIŃSKI

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 394/19 postępowanie z wniosku Bronisławy Banaszak o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości położonej w Witaszyczach o powierzchni 0,49,0 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 144 arkusz mapy 2, dla której była prowadzona księga wieczysta Witaszyczki k.35.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 408/19 postępowanie z wniosku Stanisława Szkudlarka o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości, położonej w Jarocinie, oznaczonej geodezyjnie jako działka 236 a. m. 5, o powierzchni 0,33,36 ha, dla której była prowadzona księga wieczysta Ciświca k.193.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie, sygn. akt I Ns 561/19, z wniosku Marka Kondrasiuka i Jadwigi Kondrasiuk o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia własności nieruchomości stanowiącej działkę gruntu oznaczoną nr 42 o powierzchni 0,20 ha, położoną w miejscowości Stanisławówka gmina Dubienka, obręb ewidencyjny nr 0015, dla której nie ma urządzonej księgi wieczystej, znajdującej się w posiadaniu Karola Radomskiego.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosiły i udowodniły swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięte w postanowieniu o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 397/19 postępowanie z wniosku Gminy Jarocin o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Zakrzewie, o powierzchni 1,61,00 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 76 a. m. 1, dla której nie jest prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Złe sprawowanie w kosmosie

ADAM ROBIŃSKI

Żeby się pogapić na gwiazdy, potrzebne jest odpowiednie miejsce. Im ciemniejsze, tym lepiej. Pojechałem w Góry Izerskie, żeby na twardej ławce przed schroniskiem Orle wypatrywać wieczności.

JEŚLI WIERZYĆ SAAMOM, ŚWIAT SKOŃCZY się, gdy Favtna, jedna z jaśniejszych gwiazd nieba, które widać nad Skandynawią, ustrzeli z łuku Boahjenąsti, Gwiazdę Polarną. Wtedy nic już nie będzie trzymać niebios w ryzach, gwiezdny szał z hukiem zwali się na ziemię, a świat stanie w ogniu. Wiemy to dzięki zapiskom Johana Turiego, pierwszej książki napisanej w północnoasaamskim, która ujrzała światło dzienne dokładnie 110 lat temu.

Turi zawarł w niej wiele opisów z pierwszej ręki dotyczących tradycji i wierzeń swojego ludu, całość kwitując paroma niezgrabnymi rysunkami. Znalazły się wśród nich dwie schematyczne mapy nieba. Raczej skromne: wyglądają jak wzięta pod lupę wysypka, na jednej jest jeszcze kilka zygzaków. Do tego szeregu nazw, które pozwalają nam spojrzeć na niebo tamtymi oczami. Jest więc ptasi szlak, który białą wstęgą przecina je na wskroś. Są łowcy na nartach, czyli Kastor i Polluks z gwiazdozbioru Bliźniąt. Jest stara kobieta z chmurą psów, w której Grecy – a za nimi i my – widzieli Plejady. Saamską apokalipsę też możemy prześledzić gwiazda po gwieździe. Favtna to bardzo jasny Arktur, a cięciwą, z której wypuści strzałę w Polaris, jest dyszel Wielkiego Wozu.

Lonely Planet

Tyle o końcach, w przedwiośniu wszyscy chcą przecież myśleć o początkach.



Ich można szukać w Orionie, pod trzema ułożonymi wzdłuż linii punkтами jego pasa. Gołym okiem widać tam wybijającą się z tła jasną plamę. To nawet budujące: stojąc twardo na Ziemi patrzysz na fabrykę gwiazd oddaloną o prawie półtora tysiąca lat świetlnych od ciebie. A może raczej przetwórnię gwiezdnych odpadów?

„Tu, z tego co pozostało po poprzedniej generacji gwiazd, które w potężnej eksplozji stały się supernowymi, tworzą się dziś nowe gwiazdy” – pisze Christopher Potter w „Tu jesteś!”, choć lepszym tytułem byłoby chyba „Lonely Planet”. Tak zresztą myślę o tej książce – jako o praktycznym przewodniku turystycznym po Wszechświecie. Powinni ją sprzedawać z księganianych pówek wypełnionych listami nazw własnych. Wenezuela, Węgry, Włochy, Wszechświat. To już nie są podróże palcem po mapie. Raczej po

wyobraźni. Jeśli jej brakuje lub ciężko się rozkręca, można się wspomóc zdjęciami z teleskopu Hubble’a. Wielka Mgławica Oriona wygląda na nich jak wiadro, w którym ktoś zamieszał tęczą.

Żeby po amatorsku pogapić się na gwiazdy, potrzeba zresztą niewiele więcej od wyobraźni. Oprócz niej liczy się jeszcze tylko miejsce. Im ciemniejsze, tym lepiej. Pojechałem kiedyś przez pół Polski w Góry Izerskie, żeby na twardej ławce przed schroniskiem Orle wypatrywać wieczności. Astronomom z Wrocławia wyszło, że to jedna z czarnych plam na nocnej mapie Dolnego Śląska, dlatego w 2009 r. powołano tam do życia Izerski Park Ciemnego Nieba. To nie jest żaden rezerwat, raczej przejaw dobrej woli grupy pasjonatów, którzy zadeklarowali dbać o tę ciemność jak o zapomniany skarb.

Była niedziela, środek turystycznego sezonu, a wraz z sygnałami końca pociągu



KRZYSZTOF SIWA / SUDETY PANORAMICZNIE

*Droga Mleczna widziana
spod schroniska Chatka Górzystów
w Górach Izerskich, wrzesień 2018 r.*

kwadransach. Szpiczasta wieża budynku dawnej osady hutniczej Karlsthal kłuła bezchmurne niebo.

Do zachodu były jeszcze dwie godziny, więc postanowiłem zabić czas spacerem do Czech. Granicy na Izerze pilnował św. Jan Nepomucen. Ręka na biodrze, druga na brzuchu, w niej krucyfiks, twarz raczej zasępiona. Tak patrona mostów wyrzeźbił artysta ze Szklarskiej Poręby, gdy w 2005 r. nad rzeką przerzucano któryś już z kolei most łączący dwa światy: ten śląski i ten czeski. Bo niby od paru dekad to była granica przyjaźni, ale taka grodzona drutem kolczastym i strzeżona nie przez „Nepomucka”, lecz wopistów. „Zatrzymanie do wyjaśnienia” na dwie doby skutecznie odstraszało turystów w czasach PRL.

Teraz wszystko wyglądało inaczej, o przyjaźni nikt nie mówił, ona po prostu była. Dawną drogę celną z Orla zamieniono na zielony szlak. Po polskiej stronie w dół doliny prowadziła klatka schodowa z korzeni smreków, w górę, po czeskiej, droga z jasnoszarych kamieni. Kończyła się w Jizerce. Las pachniał ściętym drewnem i padliną, którą przywiało gdzieś znad rzeki.

Dyskoteka

Pierwszy był Księżyc. W nowiu, cienki jak przyrost paznokcia, pojawił się na zachodnim niebie gdzieś nad Bukowcem, a może jeszcze dalej, nad Zielonym Wierchem. Resztą płowiejącego nieba podzieliły się dwa odrzutowce. Jeden leciał z północy na południe, drugi w przeciwną stronę. Ich drogi przecięły się, ale ta roszada nie przyniosła żadnej odmiany w wieczornej partii.

Kiedy moje oczy przyzwyczaiły się już do ciemności absolutnej, po dłuższej chwili gapienia się przez lornetkę na Drogę Mleczną uświadomiłem sobie, że na każdym skrawku nieba coś się porusza. Że nocne niebo jest dyskoteką, parkietem dla roztańczonych satelitów, których przez parę dekad eksploracji kosmosu wystaliśmy na orbitę multum. A potem, oglądając zrobione po ciemku zdjęcia zobaczyłem też, że te wszystkie obiekty mają kolory. Błękit, żółć, czerwień. Że to, co na niebie, nigdy nie jest po prostu białym punktem.

Zaadaptowane do ciemności oko widzi ostro, ale monochromatycznie. Wyłącza czopki, receptory odpowiedzialne za widzenie barwne, a do pracy zaprzęga pręciki. Czyli kształty i ruch. Wystarczy 30 sekund ekspozycji w aparacie, by te kolory odzyskać. Vincent van Gogh doszedł do podobnego wniosku w Prowansji. Malował to ciemne niebo, a potem pisał, że noc jest bardziej kolorowa od dnia. „Jeżeli natężysz uwagę, zauważysz, że niektóre gwiazdy są cytrynowożółte, inne otoczone są znów różową poświatą albo zielonym lub błękitnym jak niezapominajki blaskiem. Nie ma potrzeby się nad tym rozwodzić, to chyba oczywiste, że stawianie białych kropek na ciemnoniebieskiej powierzchni nie wystarczy”.

W 1888 r. van Gogh namalował słynną „Gwiazdzistą noc nad Rodanem”. Mrok, światło latarni ustawionych na nabrzeżu miasta Arles odbija się w toni rzeki. Para zakochanych już prawie wyszła z płótna. Wzrok przyciąga głównie niebo – nie jest jednolite, to raczej mur ustawiony z cegiełek o wszystkich odcieniach z cyjanometru. To nie są barwy widziane znad jasnego ekranu smartfona. Wielki Wóz – a raczej ogon i zad Wielkiej Niedźwiedzicy – niczym gwiazdny niszczyciel Imperium z uniwersum „Gwiezdnych wojen” wisi nad jakąś Tatooine.

Ten sam Wielki Wóz miałem teraz namalowany nad głową. Patrzyłem przez lornetkę i nie mogłem się nadszwić, że druga gwiazda jego dyszla to tak naprawdę dwa punkty, a nie jeden. Podobno zastępują astronomom wizytę u okulisty: widzisz Mizar i Alkor, masz zdrowe oczy. Tylko jedną z nich – pora na okulary. Ale to wszystko komplikuje fakt, że przez teleskop w tym samym miejscu na niebie zobaczymy tych gwiazd sześć.

Tajny atlas nieba

Kilkanaście wieków temu Chińczycy dostrzegali tylko jedną. Wiemy to dzięki najstarszemu atlasowi nieba, który przetrwał do dzisiejszych czasów. Powstał w drugiej połowie VII w., a współcześnie światło dzienne ujrział w roku 1900. Wtedy to w kompleksie jaskiń w Dunhuang w północno-zachodnich Chinach, na Jedwabnym Szlaku, pomiędzy tysiącami starochińskich manuskryptów, odnalazł go pewien mnich.

Dla Chińczyków astronomia to nie były przelewki. Cesarz zatrudniał urzędników, którzy w ramach obowiązków →

z pola widzenia uszło wszelkie życie, jeśli nie liczyć dwóch aut sierot na parkingu pod zamkniętą na cztery spusty wypożyczalnią rowerów i nart. W Jakuszykach z pociągu wysiadłem tylko ja. Szynobus jechał dalej na południe, w stronę Harrachova i Liberca, a tu na Przełęczy Szklarskiej hulał wiatr. Za torami, u podnóża wieży bazowej sieci komórkowych, droga wchodziła między smreki. Szeroka tak, że zmieściłoby się na niej pół peletonu. Ostre kamienie zamiast asfaltu sugerowały, że to już górski szlak.

Szedł odważnie w górę, trawersem przez jedno z wielu anonimowych przewyższeń. Na mapie miałem napisane „Samolot”. Domyślałem się jakiejś katastrofy, więc szukałem jej śladów, ale były tylko smreki i malownicze wypłaszczenie, za którym droga znów zapowiadała wysiłek. Potem szlak chował się między drzewami. Do Orla doszedłem po trzech

→ przeczesywali niebo pod kątem wszelkich anomalii. Szukali w nich analogii do tego, co pod nogami. Zapowiedzi triumfów i klęsk. Byli uważnymi i cierpliwymi obserwatorami. Kometę Halleya widać z Ziemi raz na siedemdziesiąt parę lat. Oni zanotowali wszystkie jej obserwacje na przestrzeni trzech tysięcy lat. Katalogowali supernowe – zwali je gwiazdami gościnnymi – które pojawiały się i znikły po raptem paru tygodniach.

Ich mapy nieba były tajne. Te z Dunhuang prawdopodobnie ktoś wyniósł z cesarskiego zaplecza, zachowując je tym samym dla potomności. Dziś znajdują się w Londynie. Na atlas składa się 13 fragmentów nieba, na których łącznie wyrysowano 1345 gwiazd. Mniej więcej tyle samo widać na polskim niebie z dala od większych miast. Wszystkie naniesiono z dokładnością co do kilku stopni.

Północne Chiny to ta sama szerokość geograficzna co południe Europy, można więc bez większych ceregieli porównywać atlas ze sporą częścią naszego nieba. Najłatwiej zacząć właśnie od Wielkiego Wozu. Był taki sam dla Chińczyków, van Gogha, saamskich szamanów wieszczących kataklizmy i jeszcze dla samotnego obserwatora pod nieboskłonem Gór Izerskich.

Zad losia

„Nie lubimy myśleć o Wszechświecie, bo boimy się bezmiaru, który jest wszystkim” – to ponownie Potter. W swojej

Oglądając zrobione po ciemku zdjęcia zobaczyłem, że wszystkie obiekty mają kolory. Że to, co na niebie, **niegdzie nie jest po prostu białym punktem na ciemnoniebieskiej tarczy.**

książce przyjął jeszcze szerszą perspektywę niż Chińczycy. Nie myślał tysiącami lat, lecz miliardami lat świetlnych. Potrzebował 26 rzędów wielkości, by od jednego metra przenieść się na krawędź widzialnego Wszechświata, do kwazarów, najstarszych znanych nam obiektów kosmicznych, które są „aktywnymi, bardzo starymi galaktykami, w których jądrze znajdują się supermasywne czarne dziury, ściągające całą materię z obszaru swego oddziaływania grawitacyjnego”.

A więc czas, nie dystans. Patrzenie w gwiazdy siłą rzeczy skłania do innego myślenia. Nie ma czegoś takiego jak widok nieba tu i teraz. Każda gwiazda mruga do nas z innej rzeczywistości. Każda ma inne „teraz”, a te wszystkie „terazy” składają się na monstrualną ułudę. Nie ma zapisu jednego konkretnego momentu w historii Wszechświata. Mówimy „kosmos”, czyli porządek, ale to

wszystko jest chaosem. Z tego chaosu wyłania się nasz wspólny kosmiczny adres, z którego patrzymy w zupełnie przeciwną stronę. Potter cytuje go wyjątkowo skrupulatnie: „Ziemia, Układ Słoneczny, Ramię Oriona, Droga Mleczna, Grupa Lokalna, Supergromada Panny”.

*Kosmiczny savoir-vivre
choć milczy na nasz temat,
to jednak czegoś od nas się domaga:
trochę uwagi, kilku zdań z Pascala
i zdumionego udziału w tej grze
o regułach nieznanym*

– konkludowała Wisława Szymborska w wierszu „Nieuwaga”. Wcześniej przyznawała się do złego sprawowania w owym kosmosie („Przeżyłam całą dobę nie pytając o nic / nie dziwiąc się niczemu”). Dobrze jest nie popełniać błędów poetki i postarać się o lepsze sprawowanie z bycia mieszkańcem Wszechświata. Szczególnie że teraz, wiosną, noce robią się cieplejsze i sterczenie z głową w gwiazdach nie mrozi uszu pod czapkę. Zresztą wcale nie trzeba się spieszyć, do armagedonu chyba jeszcze daleko.

Wpatrując się w niebo, Saamowie dużą część gwiazd łączyli w wielki gwiazdozbiór losia. Jego łopatom była Kasjopeja, ciałem Perseusz, a zadem dwie gwiazdy Woźnicy. Żeby zamiast w zwierza trafić w Polaris, gwiazdny łowca Favtna musiałby sporo przestrzelić.

© ADAM ROBIŃSKI

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze the best of – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@tygodnik.com.pl, my zajmiemy się resztą. **Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!**

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP”: „Do Betlejem!”, „Moc czytania”, „Polska Żydowska”, „Smak wolności”, „Zwierzenia zwierząt”, „Halo, tu Ziemia”, „Moc Kobiet”.

TYGODNIK
POWSZECHNY



ANNA

Dziewit-Meller: Żarcie



KIEDY MYŚLĘ O TYM, CO ZNIENAWIDZĘ NAJBARDZIEJ po szczęśliwym zakończeniu epidemii koronawirusa (jeśli to kiedyś w końcu nastąpi), będzie to na pewno moja komórka, która stanowi teraz nieodłączny, przyrośnięty na stałe element

dłoni. W czasach przed wirusem doprawdy szeroko znana byłam z tego, że nigdy nie miałam naładowanego telefonu. Żyłam więc w zasadzie głównie *offline*. Teraz, niestety, już nie, i strasznie mi źle z tym, że stałam się smartfonowym zombie. Ale niech tam: wierzę, że w końcu znowu będę mogła beztrudno obywać się bez telefonu i komputera, doprowadzając do szału różnych ludzi usiłujących się ze mną skontaktować.

Niestety, drugą ze spraw, które możliwe, że znenawidzę po tym przeklętym okresie, będzie gotowanie.

Właśnie wkraczamy w czwarty tydzień zamknięcia, znaczną większość tego czasu spędziłam zaś sama z dziećmi. Ojciec ich bowiem, po powrocie z Londynu, mimo braku (jeszcze) oficjalnego nakazu kwarantanny, został na dwa tygodnie w Warszawie i profilaktycznie nie przyjechał do nas na wieś, zanim nie okazał się zupełnie zdrowy. Od 12 marca zatem każdego ranka budziła mnie ta sama myśl: „to co dziś jemy?”.

W pierwszych dniach kwarantanny myśl ta miała nawet pozytywne zabarwienie – wyskoczywszy nagle z codzienności pełnej pospiesznych śniadań, robionych byle zdążyć do szkoły, prostych kolacji szykowanych po całym dniu, obiadów jedzonych w szkolnych i przedszkolnych stołówkach, możliwość obłożenia się książkami kucharskimi i pokazania całej palety swych możliwości powitałam z radością.

Francuskie tosty, drożdżowe bułeczki, chleb orkiszowy, wyszukane pasty twarogowe, pasztety pieczone z fasoli i ciecierzycy w puszcze, kupionych w koronawirusowym amoku – było naprawdę fajnie. Wydawało mi się też, że spokojnie uda mi się przekonać dzieci, by kosztowały kolejnych szaleńców zdrowych wytworów moich rąk, czynionych ze zgromadzonych zapasów.

Fajnie było mniej więcej przez dwa dni. Trzeciego dnia obudziłam się z myślą: „O jasna cholera, dziś niestety znowu jemy”, i jak na ścięcie poszłam do kuchni, wiedząc już, że znowu część z tego, co zaszerwuję, spotka się z oporem, choć przecież produkty spożywcze zdobyłam jadąc do większych delikatesów jak na wyprawę po złote runo. Nie uległam jednak presji, uznałam: trudno – jecie bachorza miłe, co pani matka wam dają, i basta. A jak nie chcesz jeść, jedno z dru-

gim, to poczekamy, aż naprawdę zgłodniejesz i przeprosisz się z matczyną bułeczką z twaróżkiem oraz zapiekanką z wczorajszych resztek.

I tak właśnie walczyliśmy od prawie czterech tygodni, próbując przemycić w posiłkach to, co zdrowe i wartościowe, miksuując do codziennej zupy tony warzyw, smak ich przykrywając groszkiem zielonym, niebudzącym, o dziwo, obrzydzenia na małych twarzyczkach, lepiąc, ugniatając, mieszając, zapiekając, przetwarzając, tak by jak najmniej zostawało na talerzach. A jak zostanie, to dawaj od początku – w końcu z resztek wczorajszej sałatki, zrobionej z resztek przedwczorajszej kaszy, można zrobić jeszcze całkiem smaczne placki, jak się doda jajko i dobrze usmaży.

Odkąd jesteśmy w domu już wszyscy razem, część koszmaru pt. „żywienie” spadło na męża. Bądźmy jednak brutalnie szczerzy – część nieco mniejsza, gdyż jego zadaniem jest głównie aprowizacja. Ot, tradycyjny, prehistoryczny podział ról.

Stojąc ostatnio nad zlewem, wyląśniałam z niego jakieś smutne farfocle i patrzyłam na ślubnego, jak wściekły dwoi się i troi, by fantazyjnie przyrządzić małym drugie danie. Doszłam w owej chwili do wniosku, że jeśli mam czegoś nauczyć te moje dzieci, to na pewno gotowania. Bo przecież w sytuacji kryzysu – czymże bowiem jest innym, niż kryzysem wszystkiego, ta przeklęta kwarantanna? – umiejętność dodania składników do zupy, która okaże się jadalna i nawet dobra w smaku, wyobrażenia umożliwiające przetworzenie umiarkowanie już świeżych warzyw w dobrze wyglądającą potrawkę, a resztek obiadu w nieohydłą kolację – to naprawdę ogromnie dużo.

Mając zaś w pamięci moją babcię, którą kochałam szalenie – co za wiele rzeczy, ale na myśl o jedzeniu obiadów przez nią szykowanych miałam ataki kolki – wiem, jak cenną rzeczą może być brak dwóch lewych rąk w kuchni. Gdybym została zamknięta na kwarantannę z babcią, skończyłabym jako sucharek, jako ta skórka z jabłka rzucona pod kredens, jako kosteczka z rosółu ogryziona do czysta – anemiczna, biała królowa nocy.

Za to mama mojego męża – Beata Meller – była mistrzynią gotowania z niczego, królową kuchni kryzysu, autorką świetnych książek kucharskich – i dziś czuję z nią większe pokrewieństwo dusz niż kiedykolwiek. Zatem – jako synowa mojej teściowej – mniej więcej cztery dni temu zaczęłam wdrażać smarkaczy bardziej intensywnie w prace kuchenne. *Home-schooling* nie zając, zdążymy, obiad jednak sam się nie robi. Stoją więc smarkacze z blenderem i miksują aż miło te zdobywcze mrożone bukiety warzyw za 4,99. I jak same zmiękają, to im, o dziwo, lepiej smakuje. Dziś starszy zaskoczył mnie, przyrządzając całkiem jadalny pasztet z dwóch puszek fasoli, jajka i czosnku. Trochę może przegiął z chili, starając się dostosować jego smak do swoich wyobrażeń na temat tego, co nam, dorosłym, smakuje. Jeśli jakkolwiek więc ma być pożytek z tego przeklętego cholerstwa – to surowa nauka u ponurej szefowej kuchni. U mrocznej matki stojącej nad garem. U mnie. ©

AFRYKA CZEKA NA PANDEMIE

W czarnym scenariuszu kontynent afrykański powinien się przygotować na najgorsze.

NATALIA OJEWSKA Z UGANDY I RWANDY

JEST PÓŹNE MARCOWE POPOŁUDNIE. NA placu przed halą głównego bazaru w Gulu – 150-tysięcznym mieście w Ugandzie – panuje tłok i harmider. Siedzące gęsto obok siebie kobiety sprzedają wszelkie możliwe owoce i warzywa, wyhodowane w przydomowych ogrodach – od afrykańskich i irlandzkich odmian ziemniaków, po ananasy, groch, ryż, fasolę czy pomidory.

Nagle ponad bazarowy hałas wznosi się donośny głos z megafonu. To przedstawiciel lokalnego samorządu: apeluje do sprzedawców, by w związku z ryzykiem zarażenia się koronawirusem natychmiast przenieśli się do wnętrza hali. Wśród kupujących i handlarzy przechodzi pomruk niezadowolenia. Wszyscy spoglądają z niechęcią na mężczyznę, nikt nie stosuje się do jego zaleceń. Jeszcze nie.

Położone na północy Ugandy Gulu jest zamieszkane głównie przez lud Aczoli, który w niedawnej przeszłości przechodził niejeden kryzys. Dopiero kilkanaście lat temu mieszkańcy regionu zaczęli układać sobie życie na nowo – po tym, jak zakończył się trwający ponad 20 lat konflikt między rzą-

dem i rebeliantami z Armii Bożego Oporu (LRA). Z kolei w latach 2000-01 wybuchła epidemia gorączki krwotocznej (eboli), zabijając tu ponad 200 ludzi. Choć minęło trochę czasu, Aczoli wciąż są wycieńczeni tym, co działo się w ostatnich dekadach.

A teraz to – widmo nie tylko pandemii, ale też prewencyjnych restrykcji. Wdrażane stopniowo w ciągu ostatnich dni rządowe dekrety – wydawane z nadzieją, że epidemię uda się zdławić w załazku – podważają ciężko wypracowane przez lud Aczoli poczucie stabilności i bezpieczeństwa. Stają się dla nich kolejną próbą – jakby poprzednich nie było dość.

Wciąż niewielki odsetek

Pierwszy przypadek infekcji koronawirusem w Afryce potwierdzono w Egipcie 14 lutego. Potem informacje o następnych, z reguły pojedynczych przypadkach zaczęły napływać z Burkina Faso, Nigerii, RPA, Togo, Senegalu czy Demokratycznej Republiki Konga. W połowie marca dziewięć afrykańskich krajów potwierdziło 47 przypadków. Niecałe dwa tygodnie później liczba infekcji przekro-

czyła 5 tys. – to wciąż niewielki odsetek z kilkuset tysięcy stwierdzonych na całym świecie.

Jednak Tedros Ghebreyesus, dyrektor generalny Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), jest sceptyczny wobec danych z Afryki. Ostrzega, że mogą być niekompletne i zaniżają skalę pandemii. „Prawdopodobnie wiele przypadków nie zostało wykrytych lub nie jest uwzględnionych w raportach” – mówi na briefingu w Genewie, siedzibie WHO. Ghebreyesus uważa, że Afryka



BADRU KATUMBA / AFP / EAST NEWS



Aby ograniczyć rozprzestrzenianie się koronawirusa, prezydent Ugandy Yoweri Museveni polecił społeczeństwu pozostać w domu przez 32 dni, począwszy od 22 marca. Policja przepędza sprzedawców owoców z ulic Kampali, stolicy Ugandy, 26 marca 2020 r.

powinna być przygotowana na najgorsze.

Być może podobnie uważają afrykańskie rządy – już od końca lutego wdrażają procedury mające nie dopuścić do wybuchu epidemii. Początkowo koncentrowano się na mierzeniu temperatury na lotniskach i przejściach granicznych oraz mobilizacji społeczeństw do mycia rąk.

Teraz, proporcjonalnie do wzrostu liczby infekcji, kolejne kroki są coraz bardziej restrykcyjne: od zamykania

szkół, kościołów i restauracji po zamykanie granic i ograniczanie transportu publicznego. Rządy RPA, Rwandy, Ugandy, Zimbabwe, Lesoto czy Kenii podjęły także decyzje o ogólnokrajowej kwarantannie, zakazując wychodzenia z domów.

Kwarantanna w slumsach?

W Europie i Ameryce podobne restrykcje uderzające w gospodarkę grożą recesją. W Afryce mogą mieć znacznie gorsze skutki. Bank Światowy szacuje, że

41 proc. mieszkańców kontynentu żyje poniżej progu ubóstwa – definiowanego jako dzienny dochód poniżej 1,25 dolara. Kolejnych 26 proc. mieszkańców tylko Afryki Subsaharyjskiej to ofiary konfliktów, żyjące w zatłoczonych obozach w Kenii, Ugandzie czy Czadzie. Dalej: w 2017 r. aż 28 krajów Afryki nie było w stanie wyżywić swych mieszkańców – ich przetrwanie możliwe było dzięki pomocy ONZ i organizacji pozarządowych. Ponad 25 mln Afrykańczyków jest zarażonych wirusem HIV.

→

➔ Ale, przede wszystkim, problem leży w slumsach.

Według danych z 2019 r. żyje w nich prawie połowa ludności miejskiej Afryki. Nawet w 30-milionowej Ghanie, kiedyś zwanej Złotym Wybrzeżem ze względu na zasoby złota, w takich warunkach mieszka 5 mln ludzi. W slumsach nie ma stałego dostępu do wody i sanitariatów ani do placówek medycznych. Samorządy nie wywożą z nich nieczystości – lokalne ogniska cholery są tam zjawiskiem codziennym.

– Mieszkańcy slumsów nie mogą stosować się do rekomendacji WHO dotyczących dbania o higienę – mówi mi Alhassan Ibn Abdallah, sekretarz Stowarzyszenia Mieszkańców Slumsów w Ghanie. – Niemożliwe jest też zachowanie dystansu, gdy wiele osób mieszka na mikroskopijnej powierzchni. Ludzie żyją z tego, co uda im się zarobić danego dnia. Nie mają oszczędności, aby przetrwać zakaz handlu i poruszania się. To mieszkańcy slumsów będą głównymi ofiarami koronawirusa.

Rząd Ghany zamknął granice i szkoły, zakazał zgromadzeń i wezwał obywateli do zachowania bezpiecznego dystansu. Jednak nie podjął żadnych form pomocy dla najuboższych – tych, dla których tragiczny może być nie tylko COVID-19, lecz także działania mające go zatrzymać. Potrzebę natychmiastowej pomocy dla najuboższych rozpoznały na razie tylko rządy Rwandy i Nigerii – jako pierwsze zapowiedziały rozdzielanie paczek z żywnością.

Dokąd pójdą dzieci ulicy?

W afrykańskich miastach ich liczba może sięgać kilku milionów – mowa o dzieciach ulicy, bezdomnych, a często także osieroconych, walczących co dzień o przetrwanie.

Na ulicach Akry, półtoramilionowej stolicy Ghany, żyje ich ponad 100 tys. – większość uciekła z domu przed przemocą i nie ma gdzie wrócić. W ciągu dnia sprzedają drobne rzeczy, jak prażone orzechy, owoce czy pieczywo. Wiezorami gromadzą się w wybranych dzielnicach, gdzie spędzają noc. Młode matki kąpią swoje maluchy w wielkich metalowych miskach, ustawionych przy miejskich kanałach (zwykle zanieczyszczonych). Noc przesypiają na cienkich bambusowych matkach, rozwiniętych przed zamkniętymi sklepami. Nie mają nic, co może je



NATALIA OJEWSKA

Rynek w mieście Gulu, Uganda, marzec 2020 r.

ochronić przed ukąszeniami moskitów i deszczem.

Te dzieci, zdane na siebie w walce o przetrwanie, nie mają miejsca, w którym mogłyby się schronić w trakcie kwarantanny (*de facto* blokady) miasta. W Ghanie nie ma rządowych instytucji, które mogłyby zaofiarować im pomoc.

Minimalnie lepiej wygląda sytuacja w Rwandzie, gdzie na ulicach żyje kilka tysięcy takich dzieci. Tutejsza Root Foundation – organizacja pozarządowa, działająca w stołecznym Kigali i pomagająca dzieciom wyjść z bezdomności – zaczęła niedawno sesje edukacyjne z podopiecznymi, uczulając ich na higienę. Mogłam obserwować, jak dzieci – w wieku od trzech do piętnastu lat, zgromadzone w kole na placu – uczyły się, jak prawidłowo myć ręce, po czym demonstrowały świeżo nabyte umiejętności. Jednak zanim jeszcze pierwsza infekcja została potwierdzona w Rwandzie, organizacja musiała zawiesić takie działania, gdyż programy dla dzieci zakładały ich bliski kontakt ze sobą.

Dzieci ulicy w Rwandzie śpią w kanałach i wykopanych dziurach. Żyją z tego, co ukradną lub zarobią, np. ze sprzedaży złomu. Dla nich wprowadzona przez prezydenta Paula Kagame blokada kraju i zakaz wychodzenia z domów mogą mieć fatalne skutki.

Anna boi się przyszłości

Zamykanie granic, hoteli, bazarów i wstrzymanie transportu publicznego

będzie mieć poważne konsekwencje także dla drobnych przedsiębiorców. Podobnie jak w Europie – choć tu zapewne bardziej. Bo to drobna przedsiębiorczość – jak handel i usługi, np. obsługa turystów – zapewnia egzystencję znacznej części tutejszych społeczeństw.

– Nie bałam się, dopóki nie poszłam na zakupy i nie zobaczyłam, że cena cukru skoczyła z 3200 szylingów do 4000. Następnego dnia było to już 5000 szylingów. Ceny idą w górę codziennie – mówi mi Anna Nagawa, właścicielka małego pensjonatu, położonego kilka minut drogi od lotniska w ugandyjskim Entebbe.

Anna wynajmuje pokoje zagranicznym turystom od roku. Jej pomysł na biznes okazał się sukcesem, rezerwacje spływały, Anna zatrudniła trzy pracownice i ochroniarza, by goście czuli się bezpiecznie. – Zaczęłam sobie zdawać sprawę, że sytuacja jest poważna z chwilą, gdy sąsiednia Rwanda ogłosiła obowiązkową kwarantannę dla przybywających turystów, a Kenia zamknęła lotnisko – opowiada teraz.

Turyści zaczęli odwoływać rezerwacje na początku marca. Najpierw Niemcy, następnie Holendrzy, Włosi i Hiszpanie. Gdy 20 marca prezydent Ugandy Yoweri Museveni ogłosił zamknięcie granic, właściciele pensjonatów musieli zamknąć swoje biznesy. Anna, matka trójki dorastających dzieci, boi się przyszłości: straciła jedyne źródło dochodu. – Prezydent apeluje do sprzedawców, by nie podnosili cen produktów. Ale to wszystko daremne. Oni przecież robią, co będą uważali – mówi z przerażeniem w głosie.

Za miesiąc Anna będzie mogła zebrać z przydomowego ogródka matokę – odmianę zielonych bananów, z których w Ugandzie gotuje się tradycyjną zupę. Nie wie jednak, na jak długo starczą jej te skromne zapasy i jak uda się przetrwać kryzys, być może wielomiesięczny.

Handel w zawieszeniu

W równie złej sytuacji są drobni sprzedawcy. Na bazarze Owino – największym w Kampali, stolicy Ugandy – swoje gęsto ułożone stoiska ma zazwyczaj aż 50 tys. handlarzy. Każdy obsługiwał codziennie setki klientów, a sprzedawano tu wszystko: od używanej odzieży, przez owoce, warzywa i drób, aż po drobne sprzęty domowe. Gdy rząd podjął decyzję o zakazie handlu, na bazarze pozwolono zostać tylko tym, którzy sprzedają



Pracownicy służb medycznych monitorują pasażerów na dworcu autobusowym w Kigali. Rwanda, 22 marca 2020 r.



Policja podczas sprawdzania mieszkańców w ich prywatnych domach w Johannesburgu. Republika Południowej Afryki, 28 marca 2020 r.



Wolontariuszka lokalnej organizacji pozarządowej w slumsach Kibera w Nairobi. Kenia, 18 marca 2020 r.

żywność – z zaleceniem, by utrzymywali dystans między sobą.

W sąsiedniej Rwandzie zakaz poruszania się komunikacją miejską sprawił, że tętniące życiem wioski i miasta błyskawicznie się wyludniły. Zniknęli nawet wszechobecni kierowcy takśówek i motocykli. Na ulicach pojawiły się za to liczne punkty kontrolne i patrole policyjne. Tylko pracownicy służby zdrowia i supermarketów oraz dziennikarze mogą opuszczać domy. Pojawiają się doniesienia, że zdesperowani handlarze, którzy stracili źródło dochodu, potajemnie uciekają z Kigali, by pieszo dotrzeć do rodzinnych wiosek i tam jakoś przetrwać kryzys.

Także tutaj branża turystyczna została sparaliżowana. Rząd zamknął m.in. trzy dochodowe parki narodowe, w których turyści płacili równowartość 4 tys. złotych za możliwość tropienia goryli górskich. Dla tych największych z małp już ludzka grypa to choroba śmiertelna. Tym bardziej koronawirus mógłby wyniszczyć ten tysiąc goryli, który zamieszkuje rwandyjskie lasy.

„Kryzys odbije się na nas bardzo mocno” – prognozuje również Najib Balala, kenijski minister turystyki. Kenia, która wśród krajów Afryki Subsaharyjskiej ma najsilniejszą gospodarkę, odnotowuje coraz więcej przypadków COVID-19. Zysk tutejszych przedsiębiorców zależał dotąd często od produktów importowanych z Chin (w Afryce mieszka łącznie milion Chińczyków, zarządzają dziesięcioma tysiącami firm na kontynencie). Brak dostaw z Chin generuje drastyczny wzrost cen, którym nie są w stanie podolać najubożsi.

Czy doświadczenie pomoże

Pracownicy służb medycznych w krajach Afryki wiedzą, że ich rodzime systemy opieki zdrowotnej będą mogły udźwignąć tylko symboliczny odsetek zarażonych – jeśli nowy wirus rozprzestrzeni się w zatłoczonych miastach, w oddalonych od szpitali wioskach, w obozach uchodźców oraz w slumsach i wśród dzieci ulicy.

Owszem, mają doświadczenie – to nie pierwszy śmiertelny patogen, z którym się mierzą. Od 1976 r. Uganda, Kongo, Nigeria, Liberia, Sierra Leone czy Gwinea toczą boje z ebolą. Jej ostatnia i najgorsza w skutkach fala, pięć lat →



NATALIA OJEWSKA

Fundacja Root Foundation uczy bezdomne dzieci, jak prawidłowo myć ręce, aby uchronić się przed koronawirusem. Kigali, Rwanda, marzec 2020 r.

→ temu, zabiła 11 tys. mieszkańców Afryki Zachodniej.

– Doświadczenia zdobyte w walce z ebolą są teraz w Ugandzie bardzo pomocne. Mamy kilka oddziałów zakaźnych, które są gotowe przyjąć pacjentów, wyszkolony personel, dobry system analizy próbek i system koordynowania po wybuchu epidemii. Mamy też centrum zarządzania kryzysowego, które jest w stanie śledzić rozwój epidemii – mówi mi dr Julius Lutwama, dyrektor departamentu ds. infekcji wirusowych przy Ugandyjskim Instytucie Badawczym Wirusologii.

Jednak Lutwama przyznaje: – Nie mogę powiedzieć, że Uganda jest gotowa, by poradzić sobie z tą pandemią. Mielśmy przygotowany plan działania, ale nie mieliśmy możliwości go przetestować. Nie otrzymaliśmy też na niego funduszy. Brakuje nam zestawów testowych, waczków do pobierania wymazów, płynu do transportu wirusów, środków ochrony indywidualnej. W wielu punktach opieki zdrowotnej brakuje lub za chwilę zabraknie środków dezynfekujących.

– W Ugandzie nie mieliśmy jeszcze przypadku śmiertelnego – pociesza się Lutwama.

Dobry system, złe perspektywy

Z ponad tysiącem infekcji Republika Południowej Afryki jest dziś epicentrum pandemii COVID-19 w Afryce.

Kraj ten ma jeden z najlepszych na kontynencie systemów opieki medycz-

Afryka żyje na ulicy.

Chyba nikt nie był w stanie wyobrazić sobie tych ulic pustych i cichych. Jednak teraz tak one wyglądają.

nej; m.in. posiada ponad 6 tys. łóżek na oddziałach intensywnej terapii, w ponad 500 szpitalach (prywatnych i państwowych). Mimo to minister zdrowia Zweli Mkhize ostrzega, że nawet solidne zaplecze medyczne nie uchroni 56-milionowego państwa przed kryzysem, jeśli koronawirus dotrze do townshipów – najbiedniejszych dzielnic na obrzeżach miast. Liczne rodziny, żyjące tam na klaustrafobicznej przestrzeni, nie będą mogły podjąć kwarantanny i skutecznie izolować chorych – jeśli w przypadku łagodnego przebiegu choroby hospitalizacja nie będzie konieczna.

Aby uniknąć takiego scenariusza, rząd prezydenta Cyrila Ramaphosy wprowadził 21-dniowy zakaz poruszania się, obowiązujący wszystkich obywateli. Niecałe 26 lat po zakończeniu apartheidu ulice Johannesburga znów opano wało wojsko i policja. Bynajmniej nie na pokaz: aby wymusić respektowanie zakazu wychodzenia z domu, mundurowi

ostrzelali gumowymi kulami sprzedawców na rynku.

W afrykańskim rankingu służby zdrowia wysoko plasuje się też Rwanda. 12-milionowy „kraj tysiąca wzgórz”, od lat notujący stabilny wzrost gospodarczy, ma ponad 40 dobrze wyposażonych szpitali i prawie tysiąc przychodni oraz punktów medycznych. Dostęp do świadczeń zdrowotnych jest tu powszechny. Problemem są natomiast braki kadrowe. Gdy WHO zaleca, aby na tysiąc mieszkańców przypadało co najmniej 2,5 lekarza, w Rwandzie jeden lekarz przypada na 12 tys. pacjentów.

Perspektywa epidemii, która może szybko rozlać się po tym małym kraju, mającym jedną z najwyższych na kontynencie gęstość zaludnienia, wymagała szybkich działań. Dlatego rząd Rwandy był pierwszym w Afryce, który ogłosił całkowity zakaz wychodzenia z domu i poruszania się transportem publicznym.

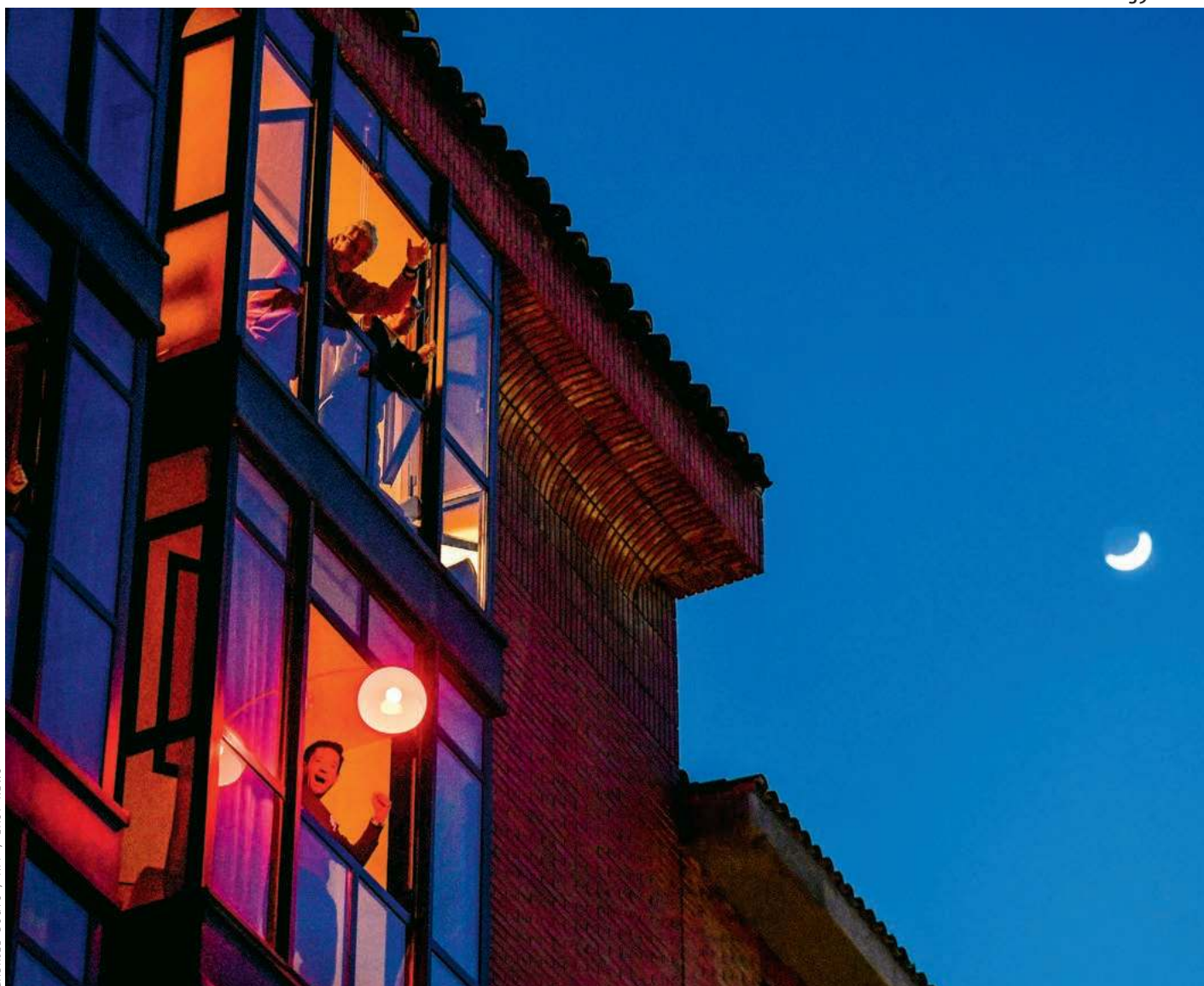
Ellen Johnson-Sirleaf – laureatka Pokojowego Nobla i była prezydent Liberii, za której rządów kraj wyszedł zwycięsko z dwuletniej walki z epidemią eboli – pisze w liście przesłanym do BBC: „Jest kwestią czasu, gdy najmniej przygotowane do walki z pandemią kraje afrykańskie będą musiały zmierzyć się z najgorszym”.

„W Liberii pokonanie wirusa eboli uczyniło nasze społeczeństwo silniejszym – dodaje Johnson-Sirleaf. – Wierzę, że wszyscy jesteśmy teraz na tej samej drodze”.

■■■
Afryka żyje na ulicy. W tym zdaniu nie ma przesady: w największych afrykańskich miastach życie faktycznie toczy się na ulicach. Są zawsze zatłoczone, zakorkowane, głośnie i nigdy nie śpią. Ulice to środowisko naturalne dla drobnych sprzedawców i ich klientów, dla kierowców taksówek motocyklowych, rowerzystów, minibusów transportu publicznego.

Chyba nikt nie był w stanie wyobrazić sobie tych ulic pustych i cichych. Jednak teraz tak one wyglądają. Widać na nich głównie patrole policji i wojska. Strach jest wszechobecny. Nie tylko rządy, ale też mieszkańcy krajów Afryki doskonale zdają sobie sprawę, że jeśli restrykcje nie przyniosą rezultatów, pandemia może uderzyć w kontynent mocniej niż wszystkie dotychczasowe plagi.

© NATALIA OJEWSKA



Hiszpanie zamknięci w swoich domach codziennie o godzinie dwudziestej klaszczą z okien, aby oddać hołd pracownikom służby zdrowia. Madryt, 28 marca 2020 r.

Epidemia.

Dziennik hiszpański

LILIANA NIEŚPIAŁ Z MADRYTU

Jest cicho, coraz ciszej. Mniej słyszeć sąsiadów, ucichł telefon, przestały docierać żarty. Jakby w ciągu dwóch tygodni świat stanął.

W POŁOWIE MARCA STOLICA HISZPANII tętni życiem, na ulicach i w barach tłok. Teoretycznie wszystko jest w porządku. Ale w marketach kupują-

cy wrzucają do koszyków, co popadnie, w masowych ilościach. Sklep wygląda jak po tajfunie, który przetrwał jedynie nietknięty brokuł. Nawet wobec zagro-

żenia nie jest w stanie przekonać Hiszpanów do swych walorów zdrowotnych.

Na ulicach widok znany mi z dzieciństwa: ludzie obwieszani rollkami papieru toaletowego. Wszyscy robią wymowne miny, ale nikt nic nie potwierdza. Jakby powiedzenie o TYM głośno przyspieszyło katastrofę. Za niecałe dwa tygodnie mam pracować na planie nowego filmu w Barcelonie. Nie zamierzam wypełniać lodówki w madryckim domu.

NAZAJUTRZ RANO wychodzę, by sprawdzić, co się zmieniło. Cisza niepokoi. Brakuje krzyków dobiegających ze szkół. Sklepy jeszcze otwarte. Pytam sprzedawców, co dalej. Bezradnie wzruszają ramionami. Gdy trzynasty dzień miesiąca wypada w piątek, taki dzień Hiszpanie uznają za →

⇒ pechowy. To dziś. Aby nie kusić losu, robię większe zakupy. Umawiam się z przyjaciółką Maru i ruszamy na targ Mercado de la Cebada, w dzielnicy La Latina.

Maru zastanawia się, co potrzeba do upieczenia biszkoptu cytrynowego. Dziwi mnie to, ona w życiu nic nie upiekła. Zatrzymujemy się na *aperitivo* w barze Martiny, gdzie Maru wyjaśnia: wizja epidemii sprawiła, że z chłopakiem, którego zna od kilku miesięcy, przyspieszyli decyzję o wspólnym zamieszkaniu. Wieczorem wprowadzi się do jej kawalerki. Martina zaprasza nas na kolejne wino, na koszt firmy. Mówi, że od jutra bary zamknięte. Zamknięcie barów, a także teatrów, kin i innych instytucji kulturalnych nie wróży nic dobrego.

W SOBOTĘ potwierdza się to, co wszyscy przeczuwali: zaczyna się ogólnokrajowa kwarantanna. Można wyjść tylko po zakupy spożywcze, do apteki lub z psem. Tego dnia Hiszpanie dowiadują się też, że król Filip IV rzekł się spadku po ojcu Juanie Carlosie. Tym samym pośrednio potwierdził to, czego nikt głośno nie mówił: fakt przyjęcia przez ojca 100 mln dolarów łapówki od Arabii Saudyjskiej. Podczas przemówienia króla chyba cały Madryt spontanicznie staje w oknach i biciem w garnki wyraża sprzeciw wobec monarchii. W sieci pojawiają się petycje, by Juan Carlos przekazał „brudne” pieniądze na ochronę zdrowia.

PONIEDZIAŁEK. Projekt, przy którym miałam pracować, wstrzymano. Artyści pracujący na własny rachunek zostali bez zaliczenia i dochodów. Mam ochotę bić głową w ścianę. Śledzę informacje. Na wszystkich kanałach telewizyjnych liczby, deklaracje, statystyki, zapewnienia, zarzuty, łzy, rozpacz, desperacja. Nie mogę tego znieść, zanurzam się w fikcyjny świat Netfliksa.

NASTĘPNE DNI przynoszą nowe obostrzenia: minimalna odległość między osobami, maksymalnie jedna osoba w aucie, przywrócone granice. W telewizji i na ulicach coraz więcej ludzi w mundurach. Wojna to czy epidemia? Patrole sprawdzają, czy obywatele, którzy opuścili dom, mają na to usprawiedliwienie. Jeśli wyszedłeś na zakupy, przygotuj się na sprawdzenie godziny zakupów na paragonie. Za łamanie przepisów grozi mandat lub więzienie.

Mandaty przyznane w pierwszym tygodniu: mężczyzna w sportowym stroju, który wyrzucał śmieci 5 km od domu; inny, który wracał z domu publicznego i tłumaczył, że chciał dać pracę zatrudnionym tam kobietom; trzech nastolatków palących marihuanę (tłumaczyli, że musieli zaczerpnąć powietrza); para przyłapaną w intymnej sytuacji w aucie. Ostatni przypadek skończył się pouczeniem. Para tłumaczyła, że w domu jest taki tłok, że nie ma szans na pobycie sam na sam.

KOLEJNY DZIEŃ. Mimo zamkniętego okna budzi mnie śpiew ptaków. W centrum miasta słyszę go po raz pierwszy. Na ulicy starsza pani wyprowadza psa. Nigdy nie myślałam, że posiadanie psa może być przywilejem. Przez chwilę muszę się zastanowić, jaki jest dzień tygodnia. Zaczynają się zlewać. Ze wszystkich stron jesteśmy uczulani na utrzymanie higieny – ma to uchronić przed TYM. Swoją lekko zakatarzony nos obserwuję z większą czujnością niż pierwsze zmarszczki.

Obdzwaniam przyjaciół. Blanca musi codziennie ćwiczyć, to zalecenie lekarza. Mieszka w pięciopiętrowej kamienicy, na piętrze są 4 mieszkania, ale 18 mieszkań to apartamenty turystyczne, teraz zamknięte. Jedyny sąsiad wyjechał do rezydencji na południu. Blanca może spokojnie chodzić po schodach w górę i dół, dopóki aplikacja w telefonie nie oznajmi, że przeszła zalecane kilometry.

Zaczynamy się osłajać z sytuacji. Telefon nie przestaje dzwonić, zasypują mnie żarty z TEGO, niektóre rozbawiają do łez. Przeciwwaga dla wiadomości, które dozują sobie jak tabletki, tylko dwa razy dziennie. Wszyscy mają nadzieję, że TO się niedługo skończy. Życie przeniosło się do sieci, możliwości są nieograniczone: kursy historii sztuki, robótek ręcznych, medytacji. Sąsiedzi nawiązują komunikację międzybalkonową: odbywają się występy rodzinnych orkiestr, dzielnicowych DJ-ów, partyjki bingo. Staramy się podtrzymać nawzajem na duchu.

Dzwonek do drzwi. Nikogo się nie spodziewam, pierwszy raz zamiast od razu otworzyć, używam wizjera. Widzę mężczyznę w masce i ochronnymombinezonie. To dostawca zakupów przez internet, przywiózł warzywa dla sąsiada, pomylił drzwi.

MIJA TYDZIEŃ, odkąd sytuacja zmusiła rodziny do zamknięcia się ze sobą. Na ra-

zie dla dzieci najważniejsze jest, że mają wolne. Rodzicom trudniej się przystosować. Rusza debata, dlaczego zwierzęta mają więcej praw niż dzieci. Rodzice domagają się możliwości wyjścia z nimi do parku, by mogły rozładować energię. Jedni marzą o samotnej kwarantannie. Inni wiele by dali, aby spędzić ją z ukochaną osobą. Dla mieszkających w tej samej dzielnicy markety stały się celem nielegalnych randek. Często to jedyna okazja do spotkania bez narażania się na mandat. Pracownicy marketów coraz częściej skarżą się na młodych ludzi ukrywających się między półkami; ci mniej wyrozumiali grożą zawiadomieniem policji.

Co się dzieje z bezdomnymi, których w Madrycie jest prawie 3 tys.? Władze twierdzą, że nikt nie zostanie bez opieki, organizowane są dodatkowe schroniska, adaptuje się hotele. Z okna widzę parę, która od dwóch dni koczuje w parku. Dzwonię do służb socjalnych, ale słyszę, że są zawałeni pracą i jeśli nie jest to zagrożenie życia, nie mogą pomóc.

Każdego wieczoru o dwudziestej otwierają się okna i rozbrzmiewają brawa: podziękowanie dla pracowników ochrony zdrowia, którzy walczą z wirusem i płacą za to dużą cenę – ponad 15 proc. zarazonych to pracownicy tego sektora.

CZWARTEK. Jest coraz ciszej. Słysząc jakby mniej sąsiadów, ucił telefon, przestał docierać żarty na TEN temat. Jakby świat od czasu do czasu ciszej przerywają tylko karetki na sygnale.

Jest nas mniej: przez ostatnią dobę zmarło 838 osób. W ciągu kilkunastu ostatnich dni – ponad 6500. Odeszli bez możliwości pożegnania się z bliskimi. Prawie 80 tys. chorych walczy o zdrowie. Halę targową IFEMA (miejsce największych targów sztuki współczesnej) zamieniono na szpital polowy dla 5 tys. pacjentów. 1800 metrów kwadratowych sztucznego lodowiska w madryckim Pałacu Łodu zamieniono na kostnicę, która wkrótce okaże się za małą. Media publikują zdjęcie Filipa VI podczas wizyty w szpitalu IFEMA: witająca go sanitariuszka nie ma rękawiczek, bo brakuje sprzętu. Wzbudza to oburzenie społeczeństwa.

Wieczne wiadomości: zdesperowana pielęgniarka potwierdza, że personelowi szpitalnemu zaoferowano profesjonalną pomoc i ona może znaleźć czas na psychologa, ale jak TO się skończy.

Czego teraz naprawdę potrzeba, to odzież ochronna. „Jesteście lepiej zabezpieczeni niż ja” – mówi do ekipy dziennikarzy.

Zastanawiam się, jak doszło do sytuacji, gdy bezpieczeństwo Europy leży w rękach chińskich producentów materiałów ochronnych. Rząd kupuje 640 tys. testów, które tydzień później zwraca chińskiemu producentowi: ich wykrywalność była za niska. Rząd Chin broni się, że Hiszpanie kupili je w firmie, która nie jest na liście autoryzowanych producentów. Nikt tego wcześniej nie sprawdził? Władze Madrytu ogłaszają, że wysłano do Chin dwa samoloty, które w ciągu 48 godzin przywiozły materiał ochronny, kupiony za 23 mln euro. Tydzień później materiał nadal nie dociera i nikt nie potrafi powiedzieć, co się z nim stało.

O TRZECIEJ NAD RANEM „angustia” (lęk, niepokój) to najczęściej wpisywane słowo w internetowych wyszukiwarkach.

Podobno sytuacje kryzysowe pokazują nas z najlepszej i najgorszej strony. Społeczeństwo

przejmuje inicjatywę. Kliniki chirurgii estetycznej, kliniki weterynaryjne, prywatne osoby przekazują materiał ochronny szpitalom. Wolontariusze są w stanie spełnić każdą prośbę potrzebujących, od zakupów po chwilę rozmowy. Sanitariusze oferują się jako „gołębie pocztowe”, przekazując chorym wiadomości od ich bliskich.

Ferran Adrià – założyciel sławnej restauracji El Bulli, uznany przez „Time” za jednego z dziesięciu najbardziej innowacyjnych kucharzy na świecie – na swoim koncie na Twitterze uczy Hiszpanów gotować. Przygotowuje codzienne menu, którego koszt nie przekracza czterech euro.

NIEDZIELA, 29 MARCA. Otwieram okno. Przynajmniej powietrze jest czystsze. Dziś zmiana czasu, kwarantanna będzie krótsza o godzinę.

ŚRODA, 1 KWIETNIA. Dzwoni Maru. Dzisiaj dostała mandat – 600 euro – za to, że robiła zakupy w supermarkecie razem ze

swoim chłopakiem bez zachowania przepisowej odległości. Jak ona ma to zapłacić? Maru jest aktorką, nie ma stałej pracy, żadnego etatu. Teraz została bez dochodów – i jeszcze 600 euro mandatu...

Śledzenie wiadomości wysysa energię. Niech TO już się skończy! Potrzebuję cudu. Albo przynajmniej dobrej wiadomości. Może krzywa zachorowań spada? Niestety, są tylko nowe restrykcje, obowiązujące od następnego dnia.

Gdy przyjechałam do Hiszpanii, zaskakiwał mnie fakt, że spada na mnie lawina pocałunków i uścisków od nowo poznanych osób. Pocałunek w oba policzki na powitanie to zwyczaj, do którego wrócimy nieprędko.

© LILIANA NIEŚPIAŁ

Autorka mieszka w Madrycie od 2003 r., gdzie zajmuje się produkcją filmową. Koordynatorka produkcji czwartego sezonu serialu „The Crown”. Współpracowała z wieloma reżyserami, takimi jak Patty Jenkins, Jacques Audiard i Pedro Almodóvar.

Pałac Lodu – największe lodowisko w mieście, mieszczące się w galerii handlowej – zamieniono na tymczasową kostnicę. Madryt, 23 marca 2020 r.





Nawab Chan (pierwszy od prawej) wraz z mieszkańcami wsi Garbaa w prowincji Nangarhar, marzec 2020 r.

Nie możemy ciągle umierać

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIAŻEK** Z KABULU, HERATU I PROWINCJI NANGARHAR

USA porozumiały się z talibami, teraz talibowie mają rozmawiać z rządem. Ale to, czy w Afganistanie skończy się zabijanie, zależy głównie od zwykłych ludzi.

OTO TRZY HISTORIE, Z TRZECH RÓŻNYCH zakątków kraju, z czterdziestoletnią już afgańską wojną w tle.

OPOWIEŚĆ PIERWSZA

NAWAB CHAN, 65 LAT, PROWINCJA NANGARHAR: *Cieszy nas porozumienie pokojowe. Modliliśmy się o nie przez niemal dwa miesiące. Nasz dobytek, rodziny i ziemia będą bezpieczne. Talibowie wciąż walczą przeciw rządowi, ale my jesteśmy temu przeciwni. To złe. Powinni zawrzeć pokój, bo z USA sprawa jest załatwiona. Cieszymy się, że Amerykanie wyjadą.*

To też dobre dla nich, bo przecież tu umierają. Mamy nadzieję, że nadchodzi pokój i będzie trwał. Nadzieja to jedyna rzecz, którą mamy.

GARBAUA TO POŁOŻONA NA PUSTKOWIU górską wieś na wschodzie Afganistanu. Od zachodu odcinają ją góry, od północy i wschodu rzeka. Do drogi, która łączy Dżalalabad (stolicę prowincji Nangarhar) z pakistańską granicą, są stąd 4 kilometry w linii prostej.

Ale do wsi trzeba jechać krętą drogą gruntową, kiepsko przejezdną, gdy pada deszcz lub śnieg. Przez tę izolację

mieszkańcy czują się zapomniani przez rząd w Kabulu, wobec którego mają wiele, choć niezbyt wygórowanych oczekiwań: zbudowanie szkoły, przychodni (teraz niby działa mobilna, ale – żartują mieszkańcy – tak mobilna, że nigdy jej nie widzieli), dostęp do wody pitnej i tej do irygacji, a także zbudowanie wreszcie betonowej drogi.

Mieszkańcy gromadzą się tłumnie, gdy widzą mnie, dziennikarkę i fotografa. We wsi rzadko są goście, a dziennikarze trafili do niej pierwszy raz. Wszyscy mówią naraz. Z upływem minut przychodzi coraz więcej osób, krąg wokół nas nabiera sporych rozmiarów.

Siedzimy pod drzewami w gronie mężczyzn w różnym wieku. Wkoło pola – rolnictwo to tutaj jedyne źródło utrzymania. Alternatywą jest miasto. Ale jeśli ktoś decyduje się na wyjazd, to raczej już za granicę. 23-letni Safijulla, który studiuje inżynierię na uniwersytecie w sąsiedniej prowincji Laghman, przyznaje, że niemal połowa młodych ze wsi ruszyła za pracą do Iranu. – Mam sześciu braci, czterech z nich jest w Iranie – mówi.

Wioski nie ominęła afgańska historia ostatnich 40 lat (czyli wojna). Ograniczmy się do tych kilkunastu. Najpierw rządili tu talibowie. Utracili władzę w kraju po inwazji USA w 2001 r., ale pozostali aktywni zwłaszcza wzdłuż granicy z Pakistanem, który dotąd ich wspiera.

Na pytanie, jak długo talibowie kontrolowali wioskę, mieszkańcy nie są w stanie dokładnie odpowiedzieć. Daty nie są ich mocną stroną. Mówią jedynie, że byli bardzo długo. W 2017 r. we wsi pojawiło się Państwo Islamskie – dwa lata po tym, jak ogłoszono powstanie lokalnego odłamu tej organizacji w Afganistanie. Do Garbau przyszli z gór, zaatakowali talibów i ich wyparli. Podczas walk zginęło we wsi wielu ludzi, wiele domów spłonęło.

Nawab Chan mówi, że mieszkańcy przeszli piekło. Dżihadysty początkowo obiecali, że zostawią ich w spokoju. Złamali słowo. Chan: – Zabijali na moich oczach. Kazali nam się zbierać i wtedy dokonywali egzekucji. Zginęło ponad stu ludzi. W końcu straciliśmy rachunek. To był nieustanny terror.

Postanowili uciec ze wsi. Nocą. Sąsiedzi informowali się nawzajem, czy droga jest czysta. Obserwowali góry. Gdy wiedzieli, że nikt ich nie widzi, ruszyli. Rodzina Chana jest liczna, ma pięciu synów, a każdy żonę i dzieci. Łącznie było ich ok. 50 osób.

Zostawili cały dobytek, zabrali tylko to, co mieli na sobie. Doszli do wsi Marko, tam wynajęli auta i dojechali do oddalonego o ponad 30 kilometrów Dżalalabadu. Tu na kilka miesięcy trafili do obozu. Gdy wrócili do wioski, zastali domy okradzione i zniszczone.

Państwo Islamskie znowu wyparli talibowie. Mieszkańcy mieli dość. Dorośli, starcy i chłopcy – sięgnęli po broń. Nie dostali wsparcia od władz, broń palną kupili sami. Dziś wsi broni milicja, złożona z mieszkańców Garbau. – Wygraliśmy dzięki naszemu duchowi i woli – mówi Chan.

Mają nadzieję, że już nie będą musieli walczyć. W ich lokalnym powstaniu zginęło 22 mieszkańców wsi. Dlatego ucieszyło ich porozumienie pokojowe, zawarte 29 lutego między USA i talibami. Zakłada, że w ciągu 14 miesięcy zagraniczne wojska opuszczą kraj. Talibowie zobowiązali się, że na kontrolowanych przez nich terenach nie będą działały grupy ekstremi-

styczne, takie jak Al-Kaida, które mogłyby zagrozić bezpieczeństwu Stanów (przed 2001 r. Al-Kaida miała tu obozy, w których planowała i organizowała ataki na USA). Największą słabością porozumienia jest to, że nie brała w nim udziału strona rządowa. Dlatego do dziś walki toczą się w 14 z 34 prowincji.

Mieszkańców Garbau cieszy wszystko, co przybliży koniec wojny. Jeśli nie w całym kraju, to przynajmniej w ich zapomnianej wsi.

OPOWIEŚĆ DRUGA

MAHBUBA SERADŻ, 72 LATA, KABUL:

Pokój to nie jakiś kontrakt podpisany między talibami i Amerykanami. Musimy sobie przebaczyć. Ale nie możemy zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Musimy przebrnąć przez krzywdy i żale, musimy zaakceptować siebie nawzajem. To nie jest łatwe. Ludzie robią sobie nawzajem naprawę straszne rzeczy.

SERADŻ OPUŚCIŁA AFGANISTAN W 1978 R., gdy komuniści dokonali zamachu stanu i zabili dyktatora Mohammada Dauda Chana; ostatecznie trafiła do USA. Było to na rok przed sowiecką inwazją.

Wejście armii sowieckiej było początkiem tragedii, która ciągnie się do dziś. Swoją brutalnością Sowieci skonsolidowali ruch oporu. Po 10 latach opuścili kraj pokonani. Jednak ruch oporu nie potrafił podzielić się władzą i zaczął o nią walczyć. W 1992 r. wybuchła wojna do-

mowa. Cztery lata później sytuację wykorzystali talibowie, rekrutujący się spośród fanatycznych studentów religijnych. Przejęli kontrolę nad większością Afganistanu. Ale opór wobec nich nigdy nie ustał. W 2001 r., po atakach na World Trade Center, do Afganistanu wkroczyły wojska USA – po tym, jak rząd odmówił wydania Osamy bin Ladena, przywódcy Al-Kaidy. Amerykanie wraz z afgańskim Sojuszem Północnym (koalicją antytalibską) szybko rozgromili talibów. Politycy Sojuszu przejęli władzę w Kabulu.

Seradż wróciła do kraju dwa lata po obaleniu talibów; jej emigracja trwała ponad ćwierć wieku. Zdecydowała się na powrót po tym, jak talibowie strzelili w plecy kobiecie na stadionie, na którym w młodości oglądała występ gwiazdy amerykańskiego jazzu Duke'a Ellingtona. Wynajęła swój dom w USA, spakowała kilka rzeczy, wróciła i zajęła się działalnością na rzecz afgańskich kobiet.

Dziś jest dyrektorką Centrum Rozwoju Umiejętności Kobiet Afganistanu. Działa na rzecz większej partycypacji kobiet w polityce. Wraz ze swoją organizacją otworzyła pierwsze schronisko dla kobiet, które uciekły z domów. Zwykle z powodów przymusowych małżeństw, konfliktów rodzinnych, gwałtów i innej przemocy (nie tylko w rodzinie; bywa, że także ze strony polityków czy żołnierzy). Dawniej, jeśli kobieta uciekała z domu, trafiała do więzienia, bo policja nie wiedziała, co z nią zrobić. Traciła →

Mehri Baradaran trzyma zdjęcie ojca, który zginął podczas zamachu na meczet w Heracie, marzec 2020 r.





Dzieci na posterunku miejscowej milicji, która strzeże wioski Garbaua, marzec 2020 r.

→ wszystko, wypierała się jej rodzina i wspólnota, a bez ich wsparcia trudno sobie poradzić. Dlatego schronisko (obecnie są dwa: tranzytowe w przypadku prostszych spraw i permanentne, w którym mieszkanki często spędzają lata) pomaga tego unikać. Kobiety, które tu trafiają, otrzymują schronienie, pomoc prawną i edukację. Maksymalnie przebywa w nich do 70 kobiet, z czego niecałe 30 na stałe.

Kraj, który Seradż pamiętała z młodości, odszedł w niepamięć. Kabul, wciąż noszący ślady wojny, nie miał w sobie dawnej energii, radości i piękna. Była zła, że świat na to pozwolił. Społeczeństwo też zmieniło się na niekorzyść. – Afgańczycy byli szczęśliwi i weseli, teraz są smutni. Mamy zranione serca i dusze. Dlatego nie możemy zobaczyć szans i możliwości, jakie są przed nami. Mamy w sercach strach i niepewność – mówi Seradż.

Właśnie to, według niej, doprowadziło kraj do obecnej sytuacji. Wybory prezydenckie odbyły się 20 lipca 2019 r. Jednak ich wyniki ogłoszono dopiero pięć miesięcy później. Inaugurację zwycięzcy przesunięto po naciskach USA –

Waszyngton bał się, że wpłynie to negatywnie na proces pokojowy. Ostatecznie 9 marca doszło do dwóch inauguracji. Oficjalnie prezydentem został Aszraf Ghani, drugi raz z rzędu. Ale jego rywal Abdullah Abdullah, który według oficjalnych wyników nieznacznie przegrał, też uważa się za zwycięzcę. Do podobnej sytuacji doszło w 2014 r., ale wtedy politycy podzieliли się władzą. Dziś żaden nie chce kompromisu. Polityczny klincz paraliżuje kraj w sytuacji rosnącej presji ze strony talibów i epidemii COVID-19, która rozprzestrzeniła się także w Afganistanie [patrz „TP” nr 14 – red.].

– Mamy dwóch cholernych prezydentów. Kto słyszał o czymś takim? – irytuje się Seradż. – To, co robią, jest złe. 35 milionów Afgańczyków jest przez nich w zagrożeniu.

Tymczasem po niemal dwóch dekadach od utraty władzy talibowie kontrolują dziś większość kraju i niewykluczone – co niedawno przyznał prezydent Donald Trump – że po wycofaniu się zagranicznych wojsk przejmą władzę nad krajem.

72-letnia Seradż uważa, że nadzieją są kobiety, szczególnie młode. Dlatego

uwielbia pracować dla nich. Wie, że potrafią przejść piekło, z którego nie da się wyjść, a one to robią. Dlatego chce, by głos kobiet był bardziej słyszalny podczas rozmów pokojowych. Ma nadzieję na odpowiednie reprezentantki, które będą mówić o ich pragnieniach i będą wyjaśniały, na jakie ustępstwa są gotowe, a na jakie nie. Seradż nie ufa obecnemu establishmentowi. Uważa, że to on odpowiada za sytuację Afganistanu, w tym afgańskich kobiet.

OPOWIEŚĆ TRZECIA

MEHRI BARADARAN, 42 LATA, HERAT:

Nie sądzę, by wojna w naszym kraju kiedykolwiek się skończyła. Władza się zmienia, ale sytuacja nie staje się lepsza. Lepiej by było, gdyby ludzie przebaczyli sobie nawzajem te wszystkie złe rzeczy, których doznali. Musimy żyć dalej. Nie możemy ciągle umierać.

MOHAMMAD REZA REZAJ, 32 LATA, HERAT:

Problemem nie są ludzie, nawet szyici i sunnici. Oni chcieliby żyć razem i myśleć, że są gotowi sobie przebaczyć. Jeśli będziemy wypominać sobie krzywdy



Na trasie łączącej Kabul z Dżalalabadem stoi na postumencie czołg produkcji sowieckiej. To wspomnienie trwającej od dawna wojny. Czołg stał się atrakcją dla młodzieży i dzieci. Specjalnie się tutaj zatrzymują, żeby się na niego powspinać i zrobić zdjęcia. Marzec 2020 r.

z przeszłości, życie będzie trudne. Myślimy o przyszłości naszych dzieci, dlatego lepiej jest przebaczyć i żyć w pokoju.

REZAJ JEST SZWAGREM o dekadę starszej Mehri Baradaran. Wyszedł z nią przed dom, bo nie wypada, by niezamężna kobieta była sam na sam ze mną, obcym mężczyzną.

Rezaj jest inżynierem, pracuje w Afgańskim Domu Robotów, gdzie uczą dzieci i młodzież budować roboty – od najprostszych po bardziej skomplikowane, które potrafią transportować przedmioty czy identyfikować rannych. Mieszkają w 400-tysięcznym mieście Herat na zachodzie kraju. Rezaj i reszta rodziny odwiedzili Baradaran z okazji Nouruzu, perskiego Nowego Roku (w 2020 r. był obchodzony 20 marca). Odkąd zginął jej ojciec, Nouruz już nie jest taki radosny jak dawniej.

Prawie trzy lata temu, 1 sierpnia 2017 r., ojciec Mehri Baradaran poszedł do meczetu na wieczorną modlitwę. Chodził na nie regularnie. Miał 65 lat i już nie pracował. Dawniej handlował częściami samo-

chodowymi. Baradaran została w domu. Usłyszała eksplozję. Podeszła do furtki. Na ulicy panował złowieszczy tumult, ludzie krzyczeli. Było ciemno i nie było widać, co się dzieje. Mówiono, że coś się wydarzyło w meczecie. Baradaran chciała tam iść, ale brat zabronił. Przerazona, stała przy furtce i czekała.

Potem dowiedzieli się, że dwóch mężczyzn wtargnęło do szyickiego meczetu i rzuciło w tłum improwizowane ładunki wybuchowe. Jeden miał kamizelkę samobójczą, wysadził się. Drugi, uzbrojony w karabin, strzelał do ocalałych i na koniec także się wysadził. Zginęły 33 osoby, 66 odniosło rany. Nikt nie wziął odpowiedzialności za atak, ale Baradaran i Rezaj są przekonani, że było to Państwo Islamskie – to sunnickie ugrupowanie często bierze na cel wyznawców innych nurtów islamu i innych religii.

Ojciec Baradaran miał stać w pierwszym szeregu podczas modlitwy. Wybuch rozerwał go na pół, korpus wyleciał przez okno, leżał na ulicy. Rodzina rozpoznawała zwłoki po pierścieniu.

Meczet do dziś nie został do końca odbudowany, jednak ludzie przychodzą

się do niego modlić. – My nigdy więcej nie poszliśmy do tego meczetu, bo straciliśmy tam naszego ojca – mówi Baradaran.

Kobieta ma dwóch braci, trzy siostry i matkę. Jeden z braci po śmierci ojca nie mógł dojść do siebie, miał problemy psychiczne. Próbowano go leczyć w kraju, ale nikt nie potrafił mu pomóc. Jakies pięć miesięcy temu wyjechał z Afganistanu – przez Iran i Turcję dotarł do Grecji. Rodzina nigdy do końca nie podniosła się po tej stracie. Podczas Nouruzu jego brak szczególnie im doskwiera, gdy spotykają się wszyscy i składają sobie życzenia. – Mimo tylu osób, w domu czuć pustkę. Gdyby dziś tu był, z okazji Nowego Roku rano pocałowałabym go w rękę. Zrobiłabym dla niego wszystko – mówi Baradaran.

Jednak, mimo bólu, nie czuje chęci odwetu. Mówi, że jest gotowa przebaczyć tym, którzy sprawili jej tyle cierpienia. Nawet jeśli nie zakończy to wojny, która wyniszcza Afganistan od tak dawna.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Współpraca:

AREF KARIMI, MOHSIN CHAN MOMAND

Mały Bagdad w Ameryce

TEKST I ZDJĘCIA MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNI

El Cajon to miejsce nietypowe. Bo jak wytłumaczyć fakt, że republikańskie miasto stało się domem dla uchodźców z Bliskiego Wschodu?

TUTAJ NIE TRZEBA KORONAWIRUSA, BY ulice opustoszały. Gdy przyjeżdżam do El Cajon – jeszcze przed wybuchem epidemii – przechodniów widać tylko przy stacji kolejki, która kursuje do pobliskiego San Diego. Tymczasem jest południe, godzina szczytu. Niezmotoryzowani mogą też skorzystać z autobusów, które jeżdżą zwykle co kwadrans. Na przystanku szukam kogoś, kto ma bliskowschodnie rysy. El Cajon to bowiem główne miejsce w południowej Kalifornii, dokąd trafiają przyjeźdźcy przez USA uciekinierzy z Bliskiego Wschodu.

To także jedno z największych skupisk Irakijczyków w Stanach. Najwcześniej, bo już w latach 50. XX w., zaczęli się tutaj osiedlać chrześcijanie należący do Kościoła chaldejskiego, jednego z katolickich Kościołów wschodnich. Ich licząca 15 tys. osób społeczność ma w El Cajon trzy kościoły. W tym stutysięcznym mieście, które w wyborach prezydenckich w 2016 r. głosowało na Donalda Trumpa, roi się również od irackich kafejek i sklepów. Można w nich kupić właściwie wszystko: od tureckiej kawy, po bliskowschodni serwis do herbaty, ceratę i kosmetyki.

Emigracja

– Kiedyś to nie był taki luksus! Gdy zamieszkałem w El Cajon w 1974 r., żyło tu może sto irackich rodzin – wspomina 64-letni Mark, Irakijczyk, który przedstawia się amerykańskim imieniem. Spotykam go w sklepie spożywczym przy zajeźdni autobusowej. – Nie mieliśmy swojego kościoła, niedzielną mszę odprawiał dla nas ksiądz z parafii w Spring Valley. Dziś to *no problem*. Jeśli zaśpię w niedzielę, mam do wyboru kilka mszy po arabsku, aramejsku i angielsku. *Do you know what I mean?* – dodaje z idealnym miejscowym akcentem.

Mark ma też uśmiech Amerykanina i równe białe zęby. Ale wychowywał się

w północnym Iraku. Mówi, że pochodzi z Tel Keppe – chrześcijańskiej miejscowości, w 2014 r. podbitej przez Państwo Islamskie.

– Wcześniej wiedziliśmy tam spokojne życie – Mark wspomina czasy Saddama Husajna, który umiejętnie rozgrywał podziały etniczne i religijne. – Nikt nas nie prześladował, mieliśmy muzułmańskich znajomych. Nigdy nie wyjechałbym z Tel Keppe, gdyby nie wysokie bezrobocie i brak perspektyw. Gdy kolejni znajomi decydowali się na emigrację, pomyślałem, że też spróbuję. Od tamtej pory nigdy nie byłem w Iraku i bardzo tęsknię. Chciałbym pokazać moją ojczyznę córkom. Wiem jednak, że to nigdy nie będzie możliwe – mówi ze smutkiem.

Ucieczka

Opowieści Marka przysłuchuje się Bashar, 46-letni menedżer sklepu. Wygląda tak, jakby jedną nogą tkwił jeszcze w Iraku. Podczas rozmowy co i raz wymykają mu się arabskie słowa. Mieszka w Stanach dopiero od ośmiu lat. Wcześniej przez ponad rok żył w Turcji, gdzie razem z żoną zakwalifikował się do prowadzonego przez ONZ programu przesiedleń. Traf chciał, że ich wniosek o azyl rozpatrzyły amerykańskie władze.

Jak większość irackich chrześcijan, małżeństwo uciekło przed prześladowaniami, które rozpoczęły się po obaleniu reżimu Husajna. Szacuje się, że po 2003 r. społeczność chrześcijańska w Iraku – tworzyli ją m.in. chaldejczycy oraz wyznawcy Kościoła prawosławnego i asyryjskiego, obecni tu od niemal 2 tys. lat – stopniała z półtora miliona do 120 tys. osób.

Życie chrześcijan nie oszczędzało: najpierw w pogrążonym w chaosie kraju ekstremiści uprowadzali ich dla okupu, atakowali kościoły i zabijali księży. Potem chrześcijanie znaleźli się na celowniku bojowników Państwa Islamskiego.



Szacuje się, że w strachu przed dżihadystami do irackiego Kurdystanu uciekło wówczas 100 tys. chrześcijan. Większość z nich trafiła do obozów dla uchodźców w Irbilu, stolicy kurdyjskiej autonomii.

Porwanie dla okupu

Bashar i jego żona Suhair zgodzili się opowiedzieć swoją historię późnym wieczorem, już przez telefon. Na co dzień są zbiegani: on pracuje w sklepie po kilkanaście godzin dziennie; ona, z wykształcenia chemiczka, jest kierowniczką w firmie biotechnologicznej. Można powiedzieć, że spełnili już swój *American dream*. Ale nie planowali życia na emigracji.

Opowiadają, że ich życie w Iraku zaczęło się sypać w 2007 r., gdy ekstremiści porwali dla okupu brata Suhair. – Porywacze zażądali od nas równowartości 20 tys. dolarów – mówi Irakijka. – Aby uezbiarać taką sumę, musieliśmy



Centrum El Cajon, 2020 r.

wyprzedać prawie cały majątek. Mój ojciec sprzedął rodzinny sklep z kosmetykami. Ja i Bashar oddaliśmy oszczędności życia.

Gdy okazało się, że to za mało, rodzice pożyczili pieniądze od krewnych. Suhair: – Mojego brata uwolniono, ale baliśmy się, że to nie koniec naszych problemów. Słyszeliśmy historie innych chrześcijańskich rodzin, które padały ofiarą kolejnych porwań. Gdy ekstremiści zobaczą, że kogoś stać na opłacenie okupu, próbują wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy – tłumaczy kobieta, której rodzina niedługo potem wyjechała z Bagdadu.

Rodzice Suhair uciekli do Jordanii, a ocalony brat do Syrii (przed wybuchem syryjskiej wojny w 2011 r. iraccy uchodźcy także tam szukali schronienia). Bashar i Suhair przeprowadzili się do Koy Sanjaq, kurdyjskiego miasta w północnym Iraku.

Msza z ochroną

– W Kurdystanie nie było łatwo – wspomina Irakijka. Choć bez problemu znaleźli pracę – ona wykładała chemię na uniwersytecie, a Bashar pracował w rafinerii – czuli się tam obco. Suhair: – Nie znaleźmy kurdyjskiego, co utrudniało mi pracę na uczelni. Większość studentów nie mówiła po arabsku. Pomagali ochotnicy, którzy na bieżąco tłumaczyli moje wykłady.

– Dopiero tu, w El Cajon, znaleźliśmy prawdziwy dom – dodaje Bashar. – Nasi sąsiedzi to Irakijczycy. Prawie wszędzie można dogadać się po arabsku. Może to dziwnie zabrzmieć, ale dopiero tutaj czuję się jak w Iraku sprzed amerykańskiej inwazji. Husajn był bezwzględny dyktatorem, ale za jego rządów chrześcijanie mogli żyć spokojnie. W niedzielę chodziliśmy do kościoła i nikt nas z tego powodu nie prześladował. Razem z żoną

śpiewaliśmy w chórze i pomagaliśmy w sklepie parafialnym.

Bashar opowiada, jak zmieniło się życie ich parafii po 2003 r.: – Wejścia do naszego kościoła zaczęli pilnować ochroniarze z bronią. W Boże Narodzenie i na Wielkanoc okolice patrolowały radiowozy. Czuliśmy się jak w więzieniu. Wszystkie msze, nawet pasterka, odbywały się nie później niż o godzinie siedemnastej. Aby nie ryzykować, przestaliśmy chodzić do kościoła na piechotę. Choć to z naszego domu tylko 25 minut spacerem, jeździliśmy taksówką z zaufanym kierowcą. Po mszy wracaliśmy od razu do domu. Nie było mowy o rozmowach na dziedzińcu kościoła – wspomina.

Suhair dodaje, że atmosferę strachu na co dzień najbardziej odczuwały kobiety. Jako chrześcijanki zwracały na siebie uwagę, bo nie nosiły hidżabu. Irakijka opowiada, że nieraz zdarzało jej się usłyszeć obraźliwe słowa. Aby uniknąć kolejnych zaczepek, przestała się malować i nosić biżuterię. Gdy kiedyś po wyjściu z pracy zobaczyła jadący za nią podejrzany samochód, zrezygnowała z samotnych powrotów do domu. Odtąd z pracy odbierał ją mąż lub krewni.

Modlitwa po arabsku

W Stanach Suhair czuje się wolna. Gdy spotykamy się przed mszą w kościele św. Michała w El Cajon, ma na sobie niebieską bluzkę z czerwono-białym haftem. Do tego idealnie dobrana granatowa torebka, jasnobieżowe tipsy i mocny makijaż. Szyku zadaje też Bashar, który założył elegancką granatową koszulę. Para najczęściej chodzi na poranną mszę do katedry św. Pawła. Dziś za moją namową spotykamy się w kościele św. Michała. Powód jest prozaiczny: w niedzielę do katedry nie kursują żadne autobusy, a spacer z kolejki podmiejskiej zająłby prawie dwie godziny w jedną stronę.

Jest już prawie południe i kościół wypełnia się po brzegi. Ci, którzy nie znajdują wolnego miejsca, mogą pójść do sąsiedniej sali, gdzie liturgia jest transmitowana na telebimie.

Na pierwszy rzut oka podczas chaldejskiej mszy wszystko wygląda inaczej. Na prawo od ołtarza siedzą ubrane w niebieskie stroje chórzystki. Każda ma zastrzyżone włosy białą koronkową chustą. W nabożeństwie biorą udział ministrantki, pomagają księdzu przy udzielaniu komunii. W odróżnieniu od →

→ obrządku rzymskokatolickiego, w świątyni chaldejskiej zamiast pateny przed przyjmującymi eucharystię trzyma się specjalny obrus. Ceremonii towarzyszą śpiewy w języku arabskim, a wiele kobiet przykrywa na ten moment włosy chustą.

Trwająca już nieco ponad godzinę msza wystawia na próbę nawet najbardziej wytrwałych. Niektórzy przegladają komórki, a dziewczynka z sąsiedniej ławki podjada chipsy. Suhair przygląda jej się z niezadowoleniem i szepcze mi do ucha: – Właśnie dlatego najczęściej chodzimy do katedry św. Pawła. Ludzie są tam bardziej skupieni na modlitwie.

Obrazy bez Saddama

– Tylko proszę nie robić zdjęć w kościele! – krzyczy do mnie na oko 60-letni brunet w niebieskim sweterku. Gdy słyszy, że jestem dziennikarką z Polski, zmienia zdanie i zgadza się na kilka zdjęć. Podkreśla z dumą, że jest członkiem rady parafialnej.

Szybko staje się jasne, że Salim Goro z parafii św. Michała lubi mówić na swój temat. Już w pierwszych minutach dowiaduję się, że jest inżynierem i nie wyjechał do Stanów za chlebem. – Miałem w Iraku dobrą pracę i mogłem utrzymać czteroosobową rodzinę. Po co tak wykształcony człowiek miałby opuszczać ojczyznę? – dodaje nieskromnie.

Mówi, że wyjechał z Iraku ze względów politycznych. Rządząca za czasów Husajna partia Baas miała go naciskać, by dołączył do jej szeregów. Tłumaczy, że w latach 90. była to powszechna praktyka. Do partii werbowano m.in. nauczycieli i lekarzy. – Gdy odmówiłem członkostwa, zacząłem dostawać pogróżki – wspomina. – Bałem się o rodzinę. Zdecydowałem, że uciekniemy z kraju. Nie było to łatwe, bo wyjechać za granicę mogli tylko Irakijczycy zajmujący się handlem zagranicznym. Znalazłem jednak na to sposób: kupiłem kilkadziesiąt obrazów olejnych od znanego bagdadzkiego artysty. W urzędzie celnym zapytano mnie, dlaczego nie eksportuję portretów Saddama Husajna. Na szczęście zdobyłem się na refleks i odparłem, że podobizna wodza jest bezcenna i nie powinna być na sprzedaż – dodaje z uśmiechem Salim.



JINAN I NASH

Choć Jinan i Nash są w Stanach od ośmiu lat, wciąż nie mogą ułożyć sobie życia. Nash ima się dorywczych prac. Jinan kończy kurs na opiekunkę socjalną.



SALIM GORO I WALEED ALYADAKO

Obaj są członkami rady parafialnej. Waleed uciekł z Iraku w 2008 r., gdy jego rodzina stała się ofiarą porywaczy. Najpierw porwano dla okupu jego syna, a po jego uwolnieniu próbowano porwać Waleeda. Uciekli do Syrii, a potem trafili do USA w ramach programu przesiedleń ONZ.



BASHAR I SUHAIR

W Iraku Bashar pracował w ministerstwie ds. ropy naftowej, a Suhair wykładała chemię. Nie spodziewali się, że będą musieli zaczynać od nowa.

Mężczyzna ostatecznie dostał pozwolenie na wyjazd i razem z rodziną przyjechał do USA.

Zaczynamy od zera

Historia Salima brzmi jak z filmu. Podobnie zresztą jak opowieść Jinan i Nasha, małżeństwa z Bagdadu, których życie bezpowrotnie zmienił zamach bombowy. Pamiętają ten dzień dokładnie: to był 23 lutego 2009 r. Nash siedł do pracy, gdy nastąpił wybuch. Mężczyzna został ranny: odłamek utknął w okolicy kręgosłupa i naciskał na nerw odpowiadający za ruch lewej nogi. Nie mógł chodzić. Po dwóch miesiącach pojechał z żoną do Maleszji, gdzie w prywatnym szpitalu przeszedł operację. Niestety zbyt długo zwlekał i nie udało się uniknąć komplikacji. Nash do dziś nie może za długo stać ani dźwigać ciężarów.

Po operacji Jinan i Nash wrócili do Bagdadu. Kilka miesięcy później dostali list z pogrózkami. – Napisano w nim, że mamy natychmiast opuścić dom, inaczej zginą nasi bliscy – wspomina Jinan. – Przeprowadziliśmy się do krewnych w innej dzielnicy. Ukrywaliśmy się przez ponad rok. Decyzję o opuszczeniu Iraku podjęliśmy, gdy doszło do zamachu bombowego na kościół Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Bagdadzie [31 października 2010 r. – red.]. Mieliśmy dość, nie chcieliśmy żyć dalej w strachu. Dwa miesiące później wyjechalśmy do Jordanii.

Małżeństwo znalazło się w grupie ok. 91 tys. Irakijczyków, którzy w latach 2008-13 dostali się do USA w ramach prowadzonego przez ONZ programu przesiedleń. To największa grupa irackich uchodźców przyjęta przez amerykańskie władze. Wcześniej, po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej (1990-91), USA udzieliły ochrony ok. 12 tys. Irakijczyków.

Choć Jinan i Nash są tu od ośmiu lat, wciąż nie mogą ułożyć sobie życia. On chwytą się dorywczych prac, ona kończy kurs na opiekunkę socjalną i wierzy, że dzięki temu znajdzie lepszą pracę.

– W Iraku prowadziłem dwie firmy, mieliśmy dostatnie życie. Tutaj zaczynamy wszystko od zera – mówi ze smutkiem Nash.

Nawet Wielkanoc – zwykle okazja do radosnego świętowania dla Irakijczyków z El Cajon – podczas epidemii COVID-19 będzie inna niż wszystkie.

© MARTA ZDZIEBORSKA

WOJCIECH

Bonowicz: Tęsknimy



NAUCZYCIELKA PISZE DO UCZNIÓW: „Zadaję Wam te zadania, ale tak naprawdę to czekam na dzień, kiedy znów spotkamy się w klasie”. Ktoś obok domofonu nakleja kartkę: „Jeśli nie możesz wyjść, zrobimy Ci zakupy. Dzwon pod r8”. Księża wywieszają na kościele banner: „Tęsknimy za Wami”. Człowiek, kiedy chce być wielki, potrafi być wielki.

Poszedłem na długi spacer wzdłuż rzeczki mojego dzieciństwa, która już dawno wyschła. Kiedyś była zapewne młynówką, potem kanałem doprowadzającym i odprowadzającym wodę z filtrowni. W czasach, kiedy było w niej dużo wody, złapała mnie za nogę, ściągnęła z niej but, taki wysoki, nad kostkę, i ukryła głęboko w mule. Dziś w miejscu, gdzie to się stało, w suchym rowie leżą puste butelki i mnóstwo innych śmieci.

Miejsca, po których kiedyś biegałem, zabudowały się. Ciekawe, ilu ludzi zmieści się jeszcze w tej dzielnicy? Na spacerze spotykam głównie mężczyzn po pierwszej bani i matki pchające wózki. Mężczyźni uśmiechają się i zagadują, zawsze z przepisowej odległości. Matki rozmawiają przez komórki. Czasem przejedzie jakieś dziecko na rowerku, a za nim pilnujący je dorosły. Nawet psy nie podchodzą i nie obwąchują. Grupa robotników nad wykopem w milczeniu przygląda się czemuś, co leży na dnie.

Tęsknimy. Już nawet nie wiadomo, za czym bardziej. Jedni tęsknią za prawdą, inni za dotykiem. Coraz liczniejsi tęsknią za pracą, bo właśnie ją stracili. Pojawiają się ogłoszenia: „Poszukuję jakiejkolwiek pracy za jakiejkolwiek pieniądze”. Ludzie modlą się, żeby nadszedł przelew. Inni modlą się, żeby nikt z ich bliskich nie trafił do szpitala. Jeszcze inni po prostu się modlą. Wiara w zasadzie też jest tęsknotą.

W takich chwilach człowiek myśli, że dobrze byłoby wszystko, co nas otacza, opisać raz jeszcze. Może czemuś nie przyjrzelśmy się uważnie. Nawet najsztudniej opisy nie uchwycą zmieniającego się życia. Nawet fotografie kłamią, coś dopiero mówić o słowach. A przecież bez opisów nie sposób się obejść. Matki popychające wózki też opisują do telefonów to, co widzą. Czy po tym kryzysie będziemy uważniejsi? Ludzie tak bardzo się nie zmieniają, mówią antropologowie. Kiedy w końcu świat ruszy z miejsca, wszystko będzie jak dawniej. Owszem, silni będą jeszcze silniejsi, a słabi słabsi. Jeśli przeżyją. Ale nawet ci, którzy przeżyją, niczego się nie nauczą. Może częściej będą myli ręce, to wszystko.

To nie ja tak myślę. Ja tylko łapię dobiegające mnie głosy.

Ratuje nas poczucie humoru. „Jeżeli coś mnie w ciągu najbliższych tygodni wykończy nerwowo i ostatecznie zniszczy – pisze na Facebooku znajoma – to z pewnością nie będzie to strach, lęk, nuda, marazm, frustracja, wściekłość, bezsilność, przygnębienie, smutek, brak motywacji, wypalenie. Będzie to za długa grzywka”. Trzeba śpiewać hymny pochwalne na cześć drobnych gestów życzliwości i na cześć tych, którzy potrafią żartować. Również na cześć tych, którzy mówią nam prawdę o naszej sytuacji. Odstępy między ludźmi są teraz większe. Wszyscy, którzy – choćby symbolicznie – skracają ten dystans, są naszymi dobroczyńcami.

Trzeba też śpiewać hymny pochwalne na cześć tęsknoty. Na razie zachowujemy się jak obcy. Potem znów zaczniemy się obejmować na powitanie, głaskać po włosach i twarzy, całować. ©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Zapraszamy
na „Lekcje
czytania”



„NIEŚMIERTELNY”

w nowym odcinku cyklu „Domowe lekcje czytania”

W ramach „Domowych lekcji czytania” rozmawiamy o literaturze, która jest niezbędnym elementem dobrego życia. Jak czytać, żeby lepiej myśleć i działać?

Jeśli chcecie się tego dowiedzieć, zapraszamy w każdą **środę o godzinie 12.00** do uczestnictwa w lekcjach transmitowanych na żywo na [Facebooku](#) /LekcjeCzytania – zachęcamy również do zadawania pytań w komentarzach.

W **środę 8 kwietnia** czytamy i rozmawiamy o opowiadaniu „Nieśmiertelny” Jorgego Luisa Borgesa.

Tekst pochodzi z książki Borgesa „Alef”, której nowe i poprawione wydanie w tłumaczeniu Andrzeja Sobola-Jurczykowskiego ukaże się wkrótce w wydawnictwie PIW.

Spotkanie poprowadzi GRZEGORZ JANKOWICZ.

BĄDŹCIE Z NAMI!



TYGODNIK
POWSZECHNY

Fundacja Tygodnika Powszechnego potrzebuje Państwa wsparcia. Bezpośrednich wpłat można dokonać pod adresem powszech.net/dar przez FaniPay.



Dziękujemy!

NIE GRAŁY JEJ SURMY BOJOWE

On poszedł na wojnę, ona została z dziećmi, pod okupacją.
Spotkali się dopiero osiem lat później.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

PAWŁA OWIEWAŁA HEROICZNA AURA. Powtarzano, że podczas I wojny światowej służył w Legionach, potem walczył na froncie polsko-ukraińskim i zaraz potem z bolszewikami w roku 1920. Pod koniec sierpnia 1939 r. znów został zmobilizowany i niewiele brakowało, by trafił do Katynia. Ale przedostał się do Rumunii, stamtąd do Francji, do polskiej armii na Zachodzie, a po francuskiej klęsce – do Anglii. Zdjęcia zrobione w czasie, gdy jego jednostkę wizytowali generał Sikorski i książę Kentu, przechowywano w rodzinie jak relikwie.

Gdy w 1939 r. Paweł wyruszał na wojenną odyseję, zostawił w Zamościu żonę Janinę z trójką dzieci: niepełnosprawną Moniką, Tomaszem i dopiero co urodzoną Ewą. Janina ukończyła studia, ale ponieważ była żoną wziętego lekarza (i oficera rezerwy), wcześniej nie pracowała. Teraz, by zdobyć środki na utrzymanie, zajęła się handlem.

Między Francją i Zamościem

Listowny kontakt udaje się małżonkom nawiązać w grudniu 1939 r. (mimo wojny listy docierają, np. przez Czerwony Krzyż). Paweł pisze, że wieść o ucieczce Janiny z dziećmi przed nacierającymi Niemcami była dla niego przyczyną wielkiego niepokoju. Czy pojmował, jak dramatyczne mogły być jej przeżycia? Luft-

waffe bombardowała Zamość, panował chaos. Polskie oddziały próbowały mia- sto odbić, walczone na ulicach. Wkrótce zajęli je Sowietci. Potem, po ustaleniu granicy niemiecko-sowieckiej, wrócili Niemcy. Najeźdźcy z obu armii, a wraz z nimi lokalne szumowiny, grabili ludność. Brakowało wszelkich artykułów, rosły ceny.

W dalszej części listu Paweł zaznacza, że o niego nie należy się martwić, czuje się dobrze, jest w obozie w Rumunii. Być może pisał tak, by nie narażać żony (listy szły przez niemiecką cenzurę), bo z dokumentów – zachowanych w londyńskim Instytucie Polskim – wynika, że był już wtedy w stacji zbornej na terenie Francji.

Wśród dokumentów jest notatka, w której Paweł zdaje sprawę z załatwionych w Rumunii formalności wyjazdowych. Kończy ją informacją: „Na wyjazd otrzymałem od płk. Mniszka 3500 lei. Jechałem samochodem państwowym, powierzonym mi przez Ambasadę Polską w Bukareszcie dla przeprowadzenia do Paryża”. Córki zapamiętały, jak wspominając po latach tamtą podróż wtrącał żartobliwie, że chętnie odbyłby raz jeszcze tę atrakcyjną eskapadę. Jechał przez południe Europy luksusowym autem marki Buick.

W kolejnych listach z Francji Paweł nadal zapewnia: „Jestem zdrow, nic mi

nie grozi” (na froncie zachodnim trwa zastój, niemiecka ofensywa ruszy w maju 1940 r.). Dodaje: „Mam wyrzuty, że Wam może być gorzej i Ty musisz się martwić o dzieci. (...) Wolny czas, którego mamy bardzo dużo, spędzamy na nauce języków i robimy ładne wycieczki”.

Pisząc do rodziców mieszkających w Lublinie Paweł wspomina, że ucieszyła go wieść o założonym przez żonę sklepie. „Może łatwiej będzie Wam się utrzymać” – pokrzepia bliskich i może siebie. Pokrzepień takich jest w jego listach więcej, np. gdy wspomina przyjazd matki Janiny z Warszawy do Zamościa (można się domyślać, że dla opieki nad dziećmi). „Będzie Wam razem raźniej” – komentuje.

W tym czasie niemieckie represje w Generalnym Gubernatorstwie są coraz brutalniejsze. Lekarz Zygmunt Kłukowski ze Szczepieszyna na Zamojszczyźnie, który prowadzi dziennik, notuje w grudniu 1939 r.: „Żyjemy – bez przesady – nie z dnia na dzień, lecz z godziny na godzinę”. I dalej: „Często zdarza się, że [Niemcy] każą opuścić mieszkanie w ciągu paru godzin i pozwalają zabrać tylko rzeczy osobiste, a całe urządzenie i meble trzeba zostawić”.

Monika, najstarsza z dzieci, zapamiętała, jak pewnego dnia zjawił się w ich mieszkaniu Niemiec. Nakazał wyprowadzkę. Przesiedleni zostali z centrum na



Janina z dziećmi, od lewej: Moniką, Tomaszem i małą Ewą. Zamość, okres niemieckiej okupacji.

niśmy się załadować w La Rochelle. Odległość przeszło 100 km. (...) Na pierwszym większym postoju zameldowałem, że około 30% [żołnierzy] ma zatarte nogi i dalszy marsz będzie bardzo trudny, a następnego dnia zupełnie niemożliwy. Ja osobiście miałem duży pęcherz na lewej stopie oraz dwie rany”.

I dalej: „Maszerowaliśmy do wieczora – kiedy przyszedł po nas aut. Była to już ostatnia chwila. Szedłem ostatnim tchem. W głowie mi się kołowało (...). Przyleciało kilka bombowców i atakowali w straszny sposób. (...) Na przestrzeni około 500 m przed załadowaniem się, co najmniej 10 razy musieliśmy się kłaść na ziemi, aby ukryć się przed lotnikami. Całe szczęście, że Niemcy omylili się i zaatakowali inny okręt, który spłonął. Gdyby nie ta omyłka, niewiele zostałoby z nas. Warunki na okręcie były ciężkie. (...) Schodziłem w dół po drabinie jak do grobu. Zdawałem sobie sprawę, że przy storpedowaniu lub zbombardowaniu – nie wyjdę już stamtąd. Byłem tak zmęczony, że położyłem się na płaszczu na podłodze zobojętniały na wszystko. Całą noc tak przebyłem. Spać nie można było, bo działka na okręcie, karabiny maszynowe i działka przeciwlotnicze seriami stałe strzelały. (...) Początkowo mieliśmy jechać do Liverpoolu (...), ale po otrzymaniu radiogramu, że pokazały się łodzie podwodne niemieckie, skierowano nas do portu Plymouth”.

Stamtąd Paweł trafił do Szkocji, gdzie armia polska formowała się na nowo. Dostał przydział do 1. Brygady Strzelców. Listy do rodziny słał na różne sposoby: przez angielski Czerwony Krzyż, przez znajomego z Ameryki, przez firmę Cook.

W tym czasie, pod zbliżoną do notatki Pawła datą, Klukowski pisał: „Wyczerpuje nas (...) niepewność, co z nami będzie już nie za miesiąc, czy za tydzień, lecz nawet za godzinę. Żyjemy pod nieustannym strachem rewizji, aresztowania, bicia, uwięzienia, (...) ograbienia, no i rozstrzelania”. Klukowski opisuje pogarszające się warunki życia i ciągłe łapanki na ludzi, wywożonych do III Rzeszy na przymusowe roboty.

W takich okolicznościach Janinie zapewne niełatwo czyta się zdania z listu męża: „Mieszkam w pięknym mieszkaniu u miłych ludzi. (...) Nie odczuwam

peryferie. Tamtej zimy mrozy sięgały poniżej minus 20 stopni, brakowało opału.

Twój czar nade mną trwa

Po listach z początku 1940 r. następuje dłuższa przerwa. Zapewne spowodowana wojną, która wybucha na nowo: zaatakowana w maju Francja szybko się zała-

muje, w czerwcu podpisuje akt kapitulacji. Wojska brytyjskie i polskie ewakuują się za kanał La Manche, za chwilę zacznie się powietrzna bitwa o Anglię.

Przeżycia z tego czasu Paweł opisał w dzienniku: „Wszystkie oddziały kierowały się do najbliższych portów i ładowały się na statki angielskie. My win-

ARCHIWUM RODZINNE PIOTRA SAUTERA-ZAWADZKIEGO 44

→ zupełnie, że gdzieś daleko jest straszna wojna”.

Choć Janina jest wielbicieleką poezji, kolejne wyznanie może brzmieć dla niej chyba abstrakcyjnie: „Janka, jak wrócisz zmęczona do domu, przeczytaj sobie – Twój czar nade mną trwa. Nic od tych wierszy ująć nie mogę, a nawet można byłoby nieco dopisać, gdybym umiał tak pięknie pisać jak Słowacki”.

Jest mi wstyd

Paweł nie trafił do oddziałów bojowych (być może ze względu na wiek lub profesję lekarza, potrzebnego także na zapleczu). Spędził w Szkocji całą wojnę. W jego listach powtarzają się zapewnienia, że nic mu nie grozi i na niczym nie zbywa, że jedyną dokuczliwością jest rozłąka z rodziną. Pocieszeniem są ustawione na widoku zdjęcia i rozpamiętywanie spędzonych przed wojną wspólnych chwil. O innego rodzaju pocieszeniu wspomina w liście do córki Moniki: „Dumny jestem z Jani, że tak dobrze sobie radzi. Inni koledzy moi są w gorszym położeniu, bo żony ich są bardzo niezaradne i często przysyłają listy ze skargami. Ja jestem o Was zupełnie spokojny”.

Ostatni zachowany wojenny list Pawła pochodzi z marca 1942 r. (kolejne zapewne nie dotarły już do adresata; realia okupacji były coraz straszniejsze). Pisze w nim: „Jestem na tym samym miejscu, zajmuję się swoją lekarską robotą i wstyd mi, że Ty martwisz się i zabiegasz koło dzieci, a ja tu prowadzę sobie spokojny, wygodny żywot”.

W tym samym miesiącu Klukowski notuje: „Życie nasze przebiega teraz w atmosferze śmierci, gwałtu i bezprawia. Ludność jest sterroryzowana, gnębiona coraz mocniej. Bez końca mnożą się ofiary”. Niemcy w tzw. Generalplan Ost dokonują już wysiedleń Polaków we wsiach wokół Zamościa (ma to być niemiecki obszar osadniczy), rusza też operacja wymordowania polskich Żydów. Dorosła Monika będzie potem wspominać sceny, które widzi podczas likwidacji zamojskiego getta.

Matka zabrała ją, by odzyskać jej płaszcz, oddany żydowskiemu krawcowi do naprawy. Gdy przemycali się przez getto, rozgrywał się tam horror bestialstwa, którego one również mogły paść ofiarą. Jednak płaszcz był w ówczesnych warunkach na wagę złota, dziecko nie mogło bez niego zostać. Monice, która



Po ewakuacji z Francji: Paweł melduje się gen. Gustawowi Paszkiewiczowi, dowódcy I. Brygady Strzelców, jako starszy lekarz batalionu przeciwpancernego. Szkocja, sierpień 1940 r.

potrafiła barwnie opowiadać, gdy wspominała tamto przeżycie, brakowało słów. Utrwaloną w pamięci grozę wyrażały na koniec już tylko jej wpatrzone bezradnie w przestrzeń oczy.

W dzienniku Klukowskiego można przeczytać, że Polacy wiedzieli, co dzieje się z Żydami (tych z Zamojszczyzny wywożono do obozu zagłady w pobliskim Bełżcu), i że powszechny był lęk, iż z Polakami stanie się to samo. Wzmagająca go kontynuowana na wielką już skalę niemiecka akcja wysiedlania polskiej ludności, połączona z badaniami rasowymi. Szczególnie dzieci: te uznane za rasowo wartościowe porywano, zmieniano ich tożsamość i wywożono do Rzeszy.

Polski lekarz, który uzyskał dostęp do spisu dzieci, które Niemcy zamierzali przebadać, skontaktował się z Janiną i przekazał informację, że jej syn jest na liście. Wedle rodzinnego przekazu Janina uciekła z Zamościa jeszcze tego samego dnia – do Warszawy, gdzie Monika ulokowana została u rodziny męża. Ona z Tomaszem i Ewą zagościła u swej matki, a potem wystarała się o własne mieszkanie.

Płaszcz zgubiłam, misia doniosłam

Gdy w Warszawie wybuchło powstanie, oba mieszkania zostają zniszczone podczas bombardowań. Ewa zapamiętała tulaćkę po piwnicach, przebieganie pod ostrzałem przez ulicę, krzyki rozpacz,

gdy wejście do piwnicy zostało zasypane. Zapamiętała gorączkowe przebijanie ścian i ludzi obsypanych pierzem z rozprutej pierzyny.

Przeżyć Janiny z tamtych dni, podobnie jak większości jej przeżyć z okresu okupacji niemieckiej, można tylko się domyślać. Jednak nietrudno jest wyobrazić sobie, jak wielki musiał być wtedy jej wysiłek, gdy wobec braku pożywienia, wody i skrajnego zagrożenia walczyła o przetrwanie własne, dzieci i swojej starej matki. Była tak wyczerpana, że gdy ogłoszono, jeszcze przed kapitulacją, iż cywile mogą opuścić miasto, zdecydowała się to zrobić, mimo strachu – wiedziano wszak o niemieckich mordach.

Wedle relacji Ewy, podczas przechodzenia przez linię walk Niemcy oddzielili Janinę od dzieci i matki. Uratowała ją znajomość niemieckiego i przekupienie żołnierzy złotem, które przechowywała w zawieszonym na szyi woreczku. Ewa niosła ze sobą pluszowego misia i płaszcz, którego mama kazała jej pilnie strzec. – Płaszcz zgubiłam, misia oczywiście doniosłam – opowiadała Ewa.

Osadzono ich w obozie w Pruszkowie, skąd po jakimś czasie zostali przetransportowani pociągiem pod Łowicz i wysadzeni nocą w szczerym polu. W Łowiczu pomocy udzieliła im nauczycielka, która zgodziła się, by u niej zamieszkały.

Janina nadal musiała wykazywać się zaradnością. Znosiła do domu pozyskane gdzieś części do baterii, które dzieci kleiły,

a ona sprzedawała je na targu. Po upadku powstania wyprawiła się do Warszawy w nadziei, że uda się odzyskać cokolwiek z mieszkania. Zastała wypalone ruiny. – Bardzo nam się wtedy żyło biednie – wspominała Ewa.

Gdy serce odmawia

Z końca lipca 1945 r. pochodzi list Janiny do brata: „Już nie mogłam tkwić tak beznadziejnie. Pojutrze znowu wybieram się na Wybrzeże (okolice Gdańska) i tam chcę się na razie zatrzymać. Jadę sama (...). O dzieciach na razie tylko mogę marzyć, bo musimy rozejrzeć się, czy damy radę wyżyć. Wyżywienie jest bardzo trudne i drogie, a ja na razie mam posadę, która mi da bardzo mało, dzięki niej od razu mogłam o mieszkanie starać się i dostałam skromne 3-pokojowe z jednym pokojem zajęтым przez sublokatora (...). W ogóle pojechałam tam za późno. Trzeba było już w kwietniu wędrować, a wtedy można było urządzić się możliwiej. Mam tu znowu propozycje inne – wyjazd do Zbąszynia, do Świebodzina, gdzie jest znajomy inspektor P.U.R [Powiatowy Urząd Repatriacyjny] i sama właściwie nie wiem i w rozterce jestem, bo ten Gdańsk przeraża mnie trochę, że jednak nie dam rady. (...) Tam za Zbąszyniem można by gospodarstwo wziąć czy jakiś interes większy”.

Najwcześniejszy list Pawła z tego czasu datowany jest na styczeń 1946 r.: „Po długim milczeniu znowu wiadomość od Was. Po wszystkich cierpieniach, jakie przeszłaś, pisziesz spokojny list, że wszystko w porządku, że pracujesz, masz mieszkanie i dzieci uczą się. Kochanie moje najdroższe, przecież zdaję sobie sprawę, jakie piekło przeszłaś w Warszawie, a następnie sama jedna z trojgiem dzieci tułałaś się zanim osiadłaś w Nowym Porcie. (...) Nic dziwnego, że Twoje biedne serce odmawia Ci już czasami posłuszeństwa. Kochana, trzymaj się jeszcze, wierzę, że niedługo będziemy razem. Z różnych powodów nie mogę jeszcze być z Wami, ale gdybyś Janka uważała, że obecność moja jest tam konieczna, to natychmiast zaczęłabym robić starania o wyjazd. (...) Ja ciągle jestem na tym samym miejscu. Pracuję w szpitalu i czuję się dobrze”.

Wzmianki o problemach Janiny z sercem powtarzają się odtąd w korespondencji.

Z listów można też wnosić, że jej pierwsze – wtedy tylko krótkie – spotkanie z mężem nastąpiło na przełomie lutego



i marca 1946 r. On pływał jako lekarz na okrętach transportujących z Anglii do Nowego Portu zdemobilizowanych polskich żołnierzy, którzy zdecydowali się wracać do pojałtańskiej Polski. Żonie i dzieciom pozwolono odwiedzić Pawła na pokładzie.

Dzieci wspominały, że matka koniecznie chciała wyjechać z nimi z Polski opowanej przez komunistów. Ślad tego znajduje się w liście Pawła: „Zdecydowany jestem przyjechać, bo boję się, że gdyby nawet obiecywali, że rodziny będą mogły tu przyjechać, to będzie to trwało bardzo długo”. Podobno Janina podjęła

Janina w prowadzonym przez siebie sklepie w Zamościu, okres niemieckiej okupacji. Poniżej: Janina i Paweł w Sannikach pod Łowiczem, gdzie Paweł prowadził praktykę lekarską. Lata przedwojenne.

starania o opuszczenie kraju nielegalnie, ale nic z tego nie wyszło.

Do lichej urzędniczej pensji dorabiała, handlując samogonem.

W maju 1947 r. Paweł pisał: „Jestem już w obozie przejściowym i czekam na moją kolejkę do wyjazdu”. W tym czasie Janina od pół roku przebywała już w szpitalu. Serce odmawiało posłuszeństwa. Miała wówczas 42 lata.

Zawsze jest możliwość...

Dziennik, który prowadzi wtedy Janina, pulsuje niepokojem. Stara się zagłuszać teraźniejszość wspomnieniami szczęśliwych chwil sprzed wojny. Bywa autoironiczna: „Chcę dobrych owoców (winogron), dobrych słodkich rzeczy, wina. Jestem niepoprawna, nigdy zadość moim chęciom. Nie należę do tych kobiet, które »nie potrzebują«, »nie wymagają«. Chcę, chcę, pragnę! Mimo że taka chora ofiar!”.

Na ogół jest jednak źle. Ma kłopoty ze snem, doskwiera jej szpitalna jednostajność i poczucie, że zdrowie się nie poprawia. Z początku żyła się na swą sytuację „samotnej kobiety” i przedłużające się wiadomości o repatriacji męża.

Gdy pod koniec stycznia 1947 r. otrzymuje wreszcie depezę „Wracam”, zaczyna się dla niej czas zniecierpliwionego wyczekiwania. Robi optymistyczne plany na przyszłość.

Ale przepisuje także cytaty z lektury: „Wszystko może się potęgować (...) i nigdy człowiek niezdolny jest rzec, że wyczerpał jakąś groźbę do samego dna. Zawsze zostaje możliwość pogłębienia poprzedniej granicy, przekroczenia krańców własnej wytrzymałości, zdawałoby się ostatecznie naciągniętej”.

■ ■ ■
Paweł wrócił w czerwcu 1947 r. Janina nadal przebywała w szpitalu. Zdążyli ze sobą tylko porozmawiać. Nikt nigdy nie dowiedział się, o czym była ta ich ostatnia rozmowa.

Janina zmarła tego samego dnia.

Dzieci wspominały, że ojciec całą noc przesiedział nieruchomo w fotelu. Rano jego włosy były całkiem siwe.

© PIOTR SAUTER-ZAWADZKI



Edward Hopper „Poranek na przylądku Cod”, 1950, olej na płótnie. Ze zbiorów Smithsonian American Art Museum.

TRZY LEKCJE NA KWARANTANĘ

W tym, co się teraz dzieje, ukryta jest ważna wiadomość.
Taka, przed którą udawało się nam dotąd schować.

NATALIA DE BARBARO

CZAS PRZEDPANDEMICZNY DAWAŁ RÓŻNE DROGI UCIECZKI, przebrania, rolę, pokusy i dostatki. Dawał rozrywki, czelendże, photoshopy i osiągi. Co robić teraz, kiedy wiele z tego zostało zmiecione?

Możemy ten czas po prostu przetrzymać. Wstrzymać oddech i trwać na bezdechu, aż oczy nam wyjdą z orbit. „Znieść”. „Przetrwać”. „Nie zwariować”. Wielu używa teraz tych słów. W praktyce w dużej mierze oznacza to – „przeklikać”. Obstawiam, że wiesz, jak to się robi: scrollujesz Facebooka, karmisz się newsowym fast foodem, angażujesz w dyskusje o wirusie, prosisz (najpierw grzecznie) dzieci, żeby przestały ci wchodzić na głowę, powtarzasz na zmianę słowa: „masakra”, „pandemia”, „korona”, obwieszczasz bliskim, że zaraz wyjdiesz z siebie.

W ten sposób można żyć kilka tygodni czy miesięcy, a potem szukać sposobów, żeby wrócić do świata sprzed pandemii. Albo do jakiejś w miarę porządnej makiety, jeśli go już nie będzie.

Nie wiem, co mają teraz robić inni. Ale wiem, jakie zadanie stawiam przed sobą. Chcę przejść przez to świadomie. Czuję, że coś, co teoretycznie od dawna wiedziałam, teraz naprawdę się we mnie wydarza. Że mnożą się lekcje, które mogą dostać, i pytania, które chcę zostawić otwarte. Tych lekcji i pytań będzie więcej.

LEKCJA PIERWSZA:

Cierpienie jest prawdziwe i dzieje się każdego dnia

Na stronie worldometers.info zobaczyłam, aktualizowane na bieżąco, statystyki śmierci na naszej planecie. Teraz, kiedy to piszę, zbliża się południe. Dzisiaj już 15 tys. ludzi umarło z głodu. Czekaj, nie. Już 16 tysięcy. 1482 osoby popełniły samobójstwo. Czekaj, nie. Już 1489. 1787 zginęło w wypadkach drogowych, 12 tys. zmarło na raka. Liczby pokazują skalę cierpienia, ale przecież w każdej pojedynczej tragedii ból nie ma skali – jest bezbrzeżny. Świat jest pełen cierpienia i śmierci, codziennie, w każdym kraju.

Ale, jak pisał Miłosz w wierszu „Wieczór”, „nie ja, nie moje”. Tak długo, jak się da, dopóki nie stanie na naszym progu, wielu z nas patrzy na cierpienie zza szyby. Ludzie na łodziach, ludzie w ruinach zbombardowanych domów, starzy, samotni ludzie na wysokich piętrach bez windy. „Nie ja, nie moje”.

A teraz chorzy z Wuhan, Bergamo i Nowego Jorku weszli do naszych jadalni i siedli przy naszych stołach. „Myłeś ręce? Ale porządnie myłeś? 30 sekund?”. Okazało się, że cierpienie z telewizora może dopaść też mnie. Zbliża się – w każdym razie tak czujemy, niesieni symbolicznym, archetypicznym potencjałem Pandemii. Dotyka ona tego, co dla człowieka fundamentalne. Czy Inny jest wrogiem, czy przyjacielem? Czy niesie mi miłość, czy śmierć? Czy świat jest bezpieczny? Czy jesteśmy bezradni wobec choroby? Nawet jeśli statystycznie większym ryzykiem jest wciąż jeszcze moment, kiedy siedzimy za kierownicą samochodu, którym jedziemy do apteki, niż moment, kiedy z tego samochodu wysiadamy, niebezpieczeństwa ruchu drogowego są bardziej oswojone i nie dotyczą w nas tego wszystkiego, czego dotknął koronawirus.

Cierpienie jest prawdziwe. Powtarzam to sobie, bo czuję, że nie chcę tego usłyszeć. Ale kiedy usłyszę, pytanie, które chciałabym sobie postawić, brzmi: „Co ja na to?”.

Odradzam sobie i innym poczucie winy. To miałkie i niepożyteczne uczucie. „Oni nie przestaną być głodni od tego, że ty będziesz się martwić, że jesz” – jak trzeźwo powiedział kiedyś mój przyjaciel, kiedy spytałam nad sushi, czy nie głupio mu, że my tu sobie jemy, a ktoś głoduje.

No więc – nie dla poczucia winy. Ale to, że ludzie wokół cierpią, stawia przed nami jednak jakieś zadanie. Niektórzy – lekarze, wolontariusze w hospicjach, dzieci starych rodziców, od lat smarujący ich odleżyny i karmiący rosołem – znaleźli już odpowiedź. Sąsiadki mojej teściowej, która zmarła w pierwszy dzień zamknięcia szpitali dla odwiedzających – one, które od lat codziennie przychodziły do niej z zupą, ciastem i lekarstwami – znalazły odpowiedź. Przede mną to pytanie jest wciąż otwarte. Chcę o nim pamiętać. Co ja na to, że na świecie jest tyle cierpienia? Że było obecne też wcześniej i że nie ustanie, kiedy koronawirus zniknie z żółtych pasków w telewizorze?

LEKCJA DRUGA:

Nie jestem swoimi rolami. Moje role można uchylić

Tyle lat ciulania: tytuły naukowe, wyniki sprzedaży, karty kredytowe, listy publikacji; białe koszule i wełniane marynarki w naszych szafach, grafiki jakże pochlebnie ciasne od spotkań i zajęć. „Człowiek planuje, a Bóg się śmieje”, głosi żydowskie przysłowie. Najwyraźniej dostarczaliśmy Mu innych powodów do śmiechu, bo pozwalał nam, czasem przez lata, żyć w przekonaniu, że decydujemy o tym, co się wydarza.

Wielu z nas było zrosniętych z rolami, które pełniimy. Wielu z nas dalej teoretycznie te role pełni – nikt nam tytułów naukowych ani bogatych CV nie odebrał – ale jednak, kiedy tak siedzisz w nadgryzionych przez psa kapturach w swoim starym fotelu, a żona krzyczy, że miałeś kupić zapas mleka, to już te role trochę się rozchodzą.

To, co się stało, pokazuje, jak ulotne są moje wykony i osiągi. Miałam pełen grafik i nagle puff... Czy mam jeszcze zawód? Czy już go straciłam? Ile to wszystko potrwa? – powtarzamy to pytanie, bo nie chcemy być w „nie wiadomo”, kiedy przez tyle lat budowaliśmy nasz domek z kart, czyli poczucie kontroli. Zostaliśmy niejako zapędzeni do praktyki duchowej podobnej do tej, którą przechodzą buddyjscy mnisi, kiedy mozolnie, przez wiele godzin tworzona przez nich mandala zostaje w parę sekund zmieciona.

„Cierpienie zmniejsza się dopiero wtedy, gdy podajemy w wątpliwość to, że w ogóle istnieje miejsce, w którym moglibyśmy się ukryć” – napisała buddyjska nauczycielka Pema Cziedryn. Ale czy na pewno chcemy się tego uczyć? „Oddajcie mi moje role!”, krzyczy raczej nasze ego. „Maski, peruki, koturny, przybywajcie!” – pisał Miłosz w cytowanym już wierszu. Oddajcie mi moje plany, moje załatanie, moje dochody, bo co ze mnie bez nich zostanie? Co zostaje, kiedy zdejmemy kostiumy i zmyjemy makijaż naszym ulubionym płynem micelarnym? Kim ja w ogóle jestem wtedy, kiedy odpadną ze mnie role? Jeżeli, jak powiedziała autorka „Biegającej z wilkami” Clarissa Pinkola Estés, „jedyną niezniszczalną rzeczą, jaką posiadamy, jest dusza”, co wiemy o swojej? I na to pytanie nie chcę znaleźć ostatecznej odpowiedzi: chcę, żeby ten czas otwierał je we mnie.

LEKCJA TRZECIA:

Nie wiadomo, co się wydarzy.

Nasze „wiem” było, jest i będzie iluzją

⇒ „Nosimy w sobie głębokie przekonanie, że z jakiegoś powodu nie powinniśmy podlegać zmianom: nasi ukochani nie powinni umierać, nie powinniśmy stracić pracy, a złe rzeczy nie powinny się nam przytrafiać – mówi w dostępnym na YouTube wykładzie Robina Courtin, najbardziej obcesowa buddyjska mniszka, jaką kiedykolwiek widziałam. – Jeśli popatrzymy na swoje życie i przebadamy je pod tym kątem, zobaczymy, że to normalne, iż ludzie umierają, tracą pracę – tak się po prostu dzieje. Ale wszystko w nas protestuje i próbuje to odwrócić, jak gdyby to był jakiś błąd (...) Jeśli mam śliczną filizankę, którą dostałam po babci, staje się ona dla mnie bardzo ważna. Im bardziej jestem do niej przywiązana, tym mocniej wierzę, że ona się nie rozbije – więc kiedy się rozbije, jestem zrozpaczona. Dlaczego cierpisz, Robino? Och, bo moja piękna filizanka się rozbiła. Nie, nie, powie na to Budda: cierpisz nie dlatego, że filizanka się rozbiła, rozbiła się, bo taka jest jej natura. Cierpisz, bo wierzyłaś, że nie powinna się rozbić i że się nie rozbije”.

Kiedy pojawia się perspektywa straty, budzi się w nas lęk. Budowaliśmy fasadowe poczucie kontroli, fałszywe „wiem”. A teraz zostaliśmy wrzuceni w „nie wiem” i „nie mam kontroli”. Odkrywamy lęk w skali pandemicznej. Moja osobista perspektywa jest taka, że ponieważ mam w sobie rys lękowy, wielokrotnie bałam się, kiedy inni wokół byli spokojni. W międzyczasie naczylałam się książek o lęku, nachodzi-

łam na jogę, namodliłam i narozmawiałam się z tymi, którzy „robią w lęku”, więc, chcąc nie chcąc, zostałam pewnego rodzaju specjalistką. W te dni, paradoksalnie, prawie nie czuję lęku – odkrywam natomiast, jak wiele go jest wokół mnie; że nosi go w sobie każdy, także ci, którzy wydawali mi się nieustraszeni. Czyli nie tylko ja się boję?

Nie wiem, kiedy i jak wróci do mnie mój lęk, ale jakby co, mam parę pożytecznych odkryć.

Po pierwsze, lęk jest energią fizyczną. Zanim obrośnie słowami i zamieni się w historię o tym, co straszego mi się przytrafi, jest kulka, motkiem energii w moim brzuchu (być może Ty czujesz go gdzie indziej), falą rozchodzącą się po ciele. Nie ma innej drogi niż przez sam środek tej energii. Nie podobała mi się ta propozycja i szukałam innej – ale wszyscy, którzy piszą i mówią o lęku, twierdzą to samo: wejdź w sam środek i oddychaj. Lęk karmi się naszym przed nim oporem, lękiem przed lękiem. Jeśli wejdziemy w niego, możemy odkryć, że osłabł – jak wtedy, kiedy, po wahaniu na brzegu pomostu w obawie przed zimną wodą, w końcu do niej wskoczysz i z każdym ruchem będzie cieplejsza.

„Wejść” w emocję oznacza więc zanurzenie w samą fizyczną energię, nie w myśli o tym, co się wydarzy. „Emocja nie będzie narastać, jeśli oderwiemy ją od jej »fabuły« – mentalnego komentowania tego, co przeżywamy” – pisze Pema Chedryn w książce „Miejsca, które budzą lęk”. Nie jest to łatwe, ale zamiast skoku z pomostu, można przynajmniej zanurzyć czubek stopy w wodzie przy brzegu. Nawet to oznaczałoby kilka głębokich oddechów, zamiast kolejnego kliknięcia

na pandemiczne wiadomości.

Drugie odkrycie pochodzi z książki psychologa poznawczo-behawioralnego Roberta Leahy’ego, „Lekarstwo na zmartwienie”. Napisał on o przewrotnym mechanizmie, któremu teraz podlegamy – uznajemy, że zmartwienie się o przyszłość wyeliminuje niepewność. „Wierzymy, że możemy rozważyć wszystkie możliwe zagrożenia; zmniejszyć poczucie niepewności, gromadząc informacje i rozpatrując wszystkie alternatywy. To, oczywiście, tylko zwiększa nasze poczucie braku kontroli. Tak więc niepokoimy się jeszcze mocniej”.

Inny, pokrewny mechanizm polega na tym, że uznajemy lęk za czynność zapobiegawczą – czynność, a nie emocję. Tak więc dopóki się boimy, wydaje się nam, że w jakiś sposób chronimy tym strachem siebie i tych, których kochamy. Choć mechanizm wydaje się surrealistyczny, codziennie przekonuję się o jego prawdziwości. „Już nie wytrzymałam i wyłączyłam w końcu telewizor” – napisała na Facebooku moja znajoma. Dlaczego trzymamy te telewizory włączone?

Większość mediów wykorzystuje te mechanizmy – nasz strach jest ich

Jak dać radę

OGRANICZ czas przed ekranem. Kiedy jesteśmy w lęku, potrzebujemy naszego wewnętrznego rodzica, który wprowadzi ochronne reguły. Ile razy dziennie potrzebujesz wejść na stronę z informacjami? Dwa razy? Dziesięć? Cokolwiek przyjmiesz, postaraj się tego trzymać; a jeśli się nie uda – następnego dnia próbuj od nowa.

POMYŚL o tym, co Cię uspokaja. Rób tego dwa razy więcej – w takiej formie, w jakiej to możliwe. Chodźcieś na jogę? Ćwicz online. Szukaj tego, co Cię regeneruje, ale nie ogłupia (można odróżnić jedno od drugiego np. po tym, że to, co nas regeneruje, jest trudne „na wyjściu”, ale

dobrze „na wyjściu”: nie chce mi się zebrać do treningu, ale po nim czuję się lepiej; ze scrollowaniem Facebooka czy wiadomości jest odwrotnie).

POGADAJ. Powiedzcie sobie z bliskimi, czego wam trzeba, żeby przejść razem przez ten nietypowy czas. Możliwe, że potrzebujesz swojego „kawałka podłogi”. Wielu z nas nie ma swojego pokoju, który byłby naturalną granicą prywatności.

Ale może masz w domu parawan albo choćby fotel, który, możecie się umówić, będzie tylko twój – i kiedy w nim siądziesz, będzie to znak, że potrzebujesz pobyć sam.

ZADZWOŃ do trzech osób, które masz w sercu, ale z którymi od dawna nie

miałeś kontaktu. Kiedy weźmiesz parę oddechów, ich imiona zaraz się pojawią. Spytaj, jak się mają.

POŚLUCHAJ swojej duchowej intuicji. Ona jest introwertyczką i nie pcha się do głosu. Mówi tylko wtedy, jeśli zrobimy jej miejsce. Siądź w tym fotelu, który – jak uzgodniłeś – jest teraz tylko twój. Wtóż stopery albo słuchawki. Oddychaj i słuchaj. Zadań te pytania, które chcesz zadać. Jeśli żadne nie przychodzi Ci do głowy, skorzystaj z mojej listy: Czego potrzebuję się teraz nauczyć? Co chce być zobaczone? Co dzisiaj mówić do mnie świat? Co chcę w sobie pożegnać? Dla czego chcę zrobić w sobie miejsce? Poczekać na odpowiedź tyle, ile trzeba.

strawą. Jeśli jakiś tytuł wzbudził Twój niepokój, prawie na pewno w niego klikniesz. Większość z nas robi to kilkadziesiąt razy dziennie. Robimy to, po pierwsze, bo wierzymy, że w ten sposób się uspokoiimy (no i jak – udało się?). Po drugie, czujemy, że ta nadczujność jest wyrazem naszej odpowiedzialności. Kiedy czytam komentarze pod swoimi tekstami, widzę, że jeśli tylko piszę o budowaniu wewnętrznego dystansu, napotykam na oskarżenia, że lekceważę niebezpieczeństwo, tak jakby pozostawianie w zbiorowym bezdechu ratowało świat przed zagładą, a wzięcie oddechu go na tę zagładę skazywało. „Uśmiechasz się? Nie widziałaś, co się dzieje w Bergamo?”.

A jednak wydaje się, że bardziej przydamy się światu spokojni niż spanikowani; że nie stoimy przed wyborem między paniką a rzucaniem się w ramiona nielicznym przechodniom ponuro zapatrzonym w wiodący ku spożywczakowi chodnik; że jest jakieś trzecie miejsce, w którym można sobie siedzieć w naszych na ogół ciepłych i sytych domach, przestrzegając reguł, ale nie szalejąc ze strachu.

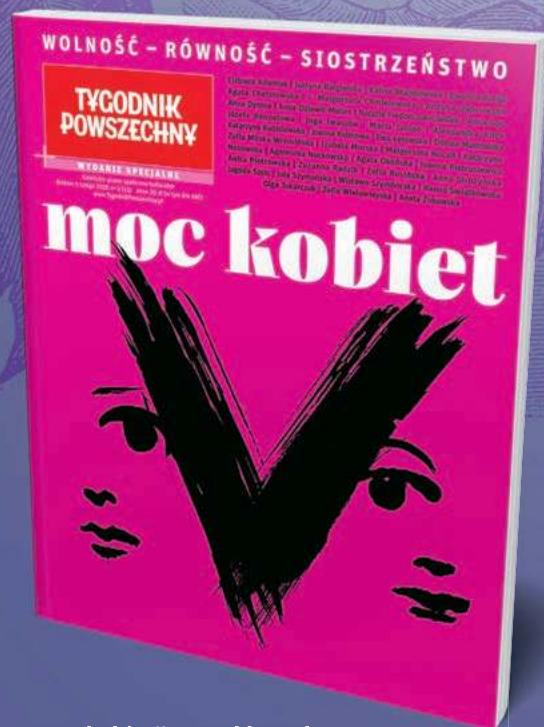
„Świat nie jest dziełem ciemności i nie do ciemności zostaliśmy powołani (...) Twoje serce może wyżej, może dużo wyżej” – powiedział kilka tygodni temu o. Jan Andrzej Kłoczowski. Być może uda nam się odnaleźć w swoich sercach to „wyżej”? Być może uda nam się przejść przez ten czas z otwartymi oczami, chociaż grunt pod naszymi nogami jest chwiejny?

Jak pozostać w kontakcie ze swoim wewnętrznym spokojem? To trzecie pytanie, które codziennie chcę mieć przed sobą.

Myślę, że świat jest – netto! – nie lepszy i nie gorszy niż przed pandemią. Kiedy popatrzymy na ten czas za rok, za dwa lata, nasze życie będzie inne. Czy wiemy, że gorsze? W psychologicznym procesie, któremu podlegamy, tak się dzisiaj wydaje. Jednak kiedy pytam ludzi na szkoleniach o najważniejsze, najbardziej rozwojowe wydarzenie w ich życiu, wszyscy bez wyjątku mówią o czymś trudnym – czymś, czego na początku nigdy by nie wybrali. „Kiedy epidemia się skończy – napisał David Grossman w „La Repubblica” – niewykluczone, że będą osoby, które nie zechcą wrócić do poprzedniego życia. Że ktoś, mogąc pozostać, porzuci miejsce pracy, które przez lata go przytłaczało i niszczyło. Ktoś zdecyduje się opuścić rodzinę, współmałżonka, partnera. Urodzić dziecko albo nie mieć dzieci. Zrobić *coming out*. Ktoś zacznie wierzyć w Boga, a inny przestanie w niego wierzyć”. Nie mamy pełnej kontroli nad tym, jak przejdziemy przez to doświadczenie. Ale może uda się nam w tym czasie zrobić dla siebie i innych coś więcej, niż tylko wstrzymać oddech.

© NATALIA DE BARBARO

Autorka jest psycholożką i trenerką. Prowadzi warsztaty dla kobiet oraz szkolenia z komunikacji i przywództwa.



Wydanie specjalne „Moc kobiet” BEZ TABU, BEZ LUKRU



”

*Macierzyństwo jest boskie,
w sensie najzupełniej
dosłownym: hebrajskie
rahamim, miłosierdzie
Boga, pochodzi od rehem –
macica.*

JUSTYNA BARGIELSKA

„Moc kobiet” – w sklepach
z dobrą prasą i na powszech.net/mockobiet

weź, czytaj!

WYDAWCA



WSPÓŁWYDAWCA



PARTNERZY



POŻAR POD WODĄ

Stąпам po gruzach życia – ani trochę nie dramatyzuję.
Oto jak las może płonąć bez ognia.

SZYMON DROBNIAK Z AUSTRALII

TUTAJ NIE MA PRZESYPUJĄCEGO SIĘ MIĘDZY stopami piasku. Plaża pozornie jak każda inna, wielki półksiężyc bieli. Lekko różowiejąca w świetle zachodzącego słońca. Wyspa Lady Musgrave, jedna z najdalej na południe wysuniętych części Wielkiej Rafy Koralowej, zasypia.

Mógłbym być dzieckiem – buszować po tej plaży, przeczesać jej zawartość niecierpliwymi palcami. Byłaby to dla mnie skrzynia skarbów, niesamowitych i niezrozumiałych kształtów. Mógłbym być zniecierpliwionym turystą – wtedy byłaby to plaża-koszmar, usłana kłującymi podeszwy stóp kostropatymi kamieniami.

Ale jestem biologiem. Chrzęst, który słyszę pod stopami, potrafię nawet biologicznie zaklasyfikować. Wiem, jakie królestwo i jaka gromada tak chrzęści – i wiem, że jest to dźwięk nieodwracalności, braku powrotu – przynajmniej w irytująco krótkiej skali czasowej mojego własnego życia. A najgorsze jest to, że wiem, czym jest ta plaża – podobna do tysięcy innych na brzegach Australii, Sri Lanki, Indonezji... To cmentarzysko. Rumowisko dziwnych szczątków, filigranowych struktur będących najpiękniejszymi kościotrupami naszej planety.

W XIX w. zachwycił się nimi Ernst Haeckel. Ogarnięty manią opisywania symetrii, struktury, fraktalności przyrody – pokochał m.in. te drobne organizmy, irytująco statyczne dla nas, ludzi, przyzwyczajonych do ekscytowania się przyrodą w ruchu.

Stąпам po gruzach życia – ani trochę nie dramatyzuję. Oto jak las może płonąć bez ognia.

W okowach grawitacji

Nurkowanie na rafie koralowej to coś, na co my, ludzie, nie jesteśmy przygotowani. Wychowujemy się w mocnym uścisku grawitacji naszej planety. W świecie, z którym jesteśmy oswojeni, ucieczka spod tej ciężącej nam siły wiedzie przez sztywność. Nawet tego nie zauważamy, choć już to, że z wyprostowania ciała zrobiliśmy jeden z atrybutów bycia człowiekiem, o czymś świadczy. Pomijamy nieświadomie przejawy sprzeciwiania się dominacji sił przyciągania: ignorujemy jako oczywistość węzły i pasma drewna zamknięte w łodygach roślin, wyprężające pnie drzew wysoko, byle bliżej słońca. Napompowane płynami i osadzone na twardych wapiennych szkieletach ciała kręgowców – ewolucyjnie ukształtowane do opierania się grawitacyjnemu przyciągnięciu – nie zaskakują.

Nurkując na rafie koralowej, musimy na nowo nauczyć się logiki przestrzeni i życia wyjętych z tego grawitacyjnego krajobrazu. Pozbawione szkieletu bezkręgowce formy po prostu poddają się fizyce. Musimy przywyknąć, że ich kształt jest płynny i zmienia się z każdym wodnym prądem, z każdym zafalowaniem morskiej toni. Kasujemy ze swojej świadomości lądowe kolory – wszystko filtrowane jest przez wszechobecny turkus przejrzystej wody, wszystko wygląda jak odmalowane w dziwnym technikolorze. I wszystko uwolnione jest od pionowej dominacji tej jednej siły: na rafie koralowej liczą się wszystkie kierunki. Każdy ma swoich amatorów, swoje uporządkowane stada, chmary życia podążającego

nie byle bliżej nieba, ale wszędzie tam, gdzie prowadzą niewidzialne linie wodnych autostrad.

No i wreszcie – są one. Krajobraz zlany z lasem, lasem rosnącym we wszystkich kierunkach i we wszystkich odmianach matematycznej symetrii. Koralowce – jakby skonstruowane jako ilustracja każdej geometrii, każdego ruchu wody i kierunku działania. Niektóre są jak wyprężone, tysiącletnie drzewa, z dziwną korą nie korą, pociętą tajemniczymi wzorami. Inne rozrastają się na boki jak wielkie plastry pszczelego miodu albo tworzą sklepienia katedr z dobrze nam znanymi z architektury rozwiązaniami w postaci żebrów sklepień czy łukowatych przesł. Jeszcze inne po prostu są, przypominając pofalowane mózgi czy zamrożone na nieistniejącym wietrze falbany.

Jestem biologiem, ale też biomatematykiem, dlatego wszędzie próbuję dostrzec rozwiązania dziwnych systemów równań, parametryczne krzywe i kawałki fraktali. I nie potrafię wyjść z podziwu, jak to wszystko zostało policzone i wbudowane w krajobraz. Całe to bogactwo zanurzone jest w wiecznie ruchomej wodzie, a mimo to sprawia wrażenie zastygłego w letargu i w ciszy.

Prastara relacja

Trudno uwierzyć, że te miliardy kształtów i kierunków stanowią świadectwo życia i nieustającej aktywności

→

Wielka Rafa Koralowa,
Queensland, Australia



→ mikroskopijnych organizmów, niewiele większych od łebka od szpilki. Koralowce to bliscy krewniacy meduz, żebroplawów i stułbi. Małeńkie, zaopatrzone w kilka, kilkanaście ramion polipy koralowców tworzą gigantyczne kolonie i obudowują się warstwami węglanu wapnia, tworzącego nierealistyczne struktury i kształty. Choć pozornie niemal martwe, koralowe konstrukcje tętnią życiem – tyle że znacznie wolniejszym i dyskretniejszym od naszego.

Koralowe kolonie w ciągu setek i tysięcy lat konstruuja całe archipelagi. Obrastając wylaniające się z oceanu wulkaniczne lądy, tworzą wokół nich rojące się od życia podwodne oazy, a po kolejnych tysiącach lat „zatapiają” powoli erodujące wyspy, pozostawiając po sobie rajskie atole. Karol Darwin był pierwszym, który dostrzegł i zrozumiał ten prastary cykl wznoszenia i erozji koralowych konstrukcji. Był też jednym z pierwszych badaczy bogactwa koralowych form.

Kiedy przepływa się nad rafą, zaskakuje jej wielobarwność. Węglan wapnia budujący szkielet rafy powinien być śnieżnobiały – ale to kolor, którego z reguły nie widać. Nie bez powodu. Koralowce to organizmy funkcjonujące w bardzo delikatnej, bardzo starej relacji z innymi organizmami – glonami.

Endosymbioza – jak nazywamy ten rodzaj przyjaźni między dwiema formami życia – w przypadku koralowców polega na posiadaniu we wnętrzu swoich komórek fotosyntetyzujących glonów zwanych zooxantellami. Dostarczają one koralowemu partnerowi ponad 80 proc. substancji odżywczych. Relacja jest wzajemna: koralowce w rewanżu kąpią swoje glony w koktajlu z dwutlenku węgla i amoniaku, zasilając ich fotosyntezę i produkcję białka. Glony nadają też koralowcom kolor, od beżowo-zielonego do wszystkich odcieni żółci, a nawet jaskrawej purpury. Na tej kruchej, niezwyklej relacji opiera się funkcjonowanie ekosystemu dającego schronienie gigantycznej bioróżnorodności płytkich, tropikalnych wód oceanicznych.

Epizody blaknięcia

Kiedy w listopadzie i grudniu, na początku australijskiego lata, płynęły deszczowe lasy Nowej Południowej Walii i Wiktorii, nikt nie miał wątpliwości, że mamy do czynienia z jedną z największych katastrof ekologicznych w histo-

Blaknięcie rafy można odwrócić.

Jeśli temperatura wody wróci do normy i oceaniczne glony zdążą wnikać do koralowców, zanim te umrą z głodu.

rii tego kontynentu. Szare, zadymione dni i krwistoczerwone zachody słońca fotografowane przez turystów w największych australijskich miastach były tylko groteskowym śladem dramatu rozgrywającego się ledwie kilkadziesiąt kilometrów poza granicami metropolii. Wrażenie katastrofy było tym większe, że żywioł połykał drzewa w zastraszającym tempie.

Trudniej zauważyć, że równie niszczący – jeśli nie bardziej katastrofalny – pożar od lat trawi ekosystemy, które płonąć nie powinny. Od lat 80. zeszłego wieku Wielką Rafę Koralową dotykają coraz częstsze, coraz drastyczniejsze epizody tzw. blaknięcia (ang. *coral bleaching*). Przyczyna? Przede wszystkim podnosząca się w zastraszającym tempie temperatura oceanów oraz podążająca za nią inne przekształcenia oceanicznego ekosystemu: zmiana składu glonów planktonicznych, postępujące zakwaszenie wód morskich, redukcja nasycenia wody tlenem.

W wyższej temperaturze (czasami wystarczy nawet ogrzanie się przybrzeżnych wód o 1-2 stopnie Celsjusza) symbiotyczne zooxantelle opuszczają swoich koralowych towarzyszy. Pozbawione ich obecności koralowce blakną, bieleją, odslaniając blade kolor wapiennych szkieletów. I zaczynają głodować – w końcu większość ich życiowej energii pochodziła właśnie od glonowych współlokatatorów. Rafa umiera. A sytuacji nie poprawiają związane także z globalnym ociepleniem niszczycielskie cyklony i sztormy, uszkadzające nadbudowane przez tysiąclecia bariery koralowych szkieletów.

To jest śmierć przytłaczająca. Nauuczony doświadczeniem, wskazując do wody w okolicach Wyspy Lady Musgrave spodziewam się obezwładniają-

cego koloru, chmar ryb, toczących się po dnie wielkich jeżowców. Ale niebieska toń jest martwa. Gdzieś w oddali, tuż za granicą widoczności, rozmyta przez dziesiątki metrów oceanicznej wody, majaczy ta zdrowa rafa, milcząca – ale i krzycząca całym swoim życiem i harmidrem. Tu została najeżona znajomymi kształtami kanciasta bryła.

Cisza tutaj jest martwa, smutna, szara. Rozgałęzione struktury wyglądają podobnie, ale szybko okazuje się, że coś się zmieniło. Koralowe wielościany są jakby przybrudzone, niektóre połamane, zawalone pod własnym ciężarem, zgruchotane w zaścielające dno kopce koralowego rumoszu. Ta część rafy przyjęła na siebie uderzenie jednej z największych fal upałów, jakie dotknęły w ostatnich latach wschodnią część australijskiego wybrzeża.

W termicznym stresie

Kiedy latem 2016 i 2017 r. naukowcy patrzyli na mapy temperatury oceanicznej wody, z przerażeniem obserwowali czerwone owale rozlewające się z dnia na dzień w tych najpłytszych, bogatych w koralowce rejonach. Jak gigantyczne oka na oceanicznym rosale, komórki temperatury o 2-4 stopnie wyższej niż otoczenie oblewały najbogatsze i najstarsze części południowych rubieży Wielkiej Rafy Koralowej.

Blaknięcie koralowców jest procesem odwracalnym – jeśli temperatura wody odpowiednio wcześniej wróci do normy i oceaniczne glony zdążą wnikać do koralowców, zanim te umrą z głodu. Strefy podgrzanej wody u wybrzeży Australii potrafią jednak przez wiele tygodni utrzymywać koralowy ekosystem w stanie termicznego stresu, doprowadzając polipy koralowców na skraj śmierci głodowej – i ostatecznie zabijając rafę. Opróżnione z koralowców wapienne szkielety teoretycznie mogą zostać zasiedlone przez nowe polipy, jednak w ciepłej wodzie, blisko powierzchni – a więc oblane intensywnym światłem słonecznym – białe konstrukcje szybko pokrywają się brudnym osadem innych morskich glonów, które stopniowo zatykają pory w koralowym szkielecie i ostatecznie uniemożliwiają odbudowę kolonii. Osłabione brakiem kolonijnych mieszkańców, erodowane przez glony i naruszane przez sztormy i cyklony, rafy koralowe pękają i walą się pod własnym ciężarem na dno

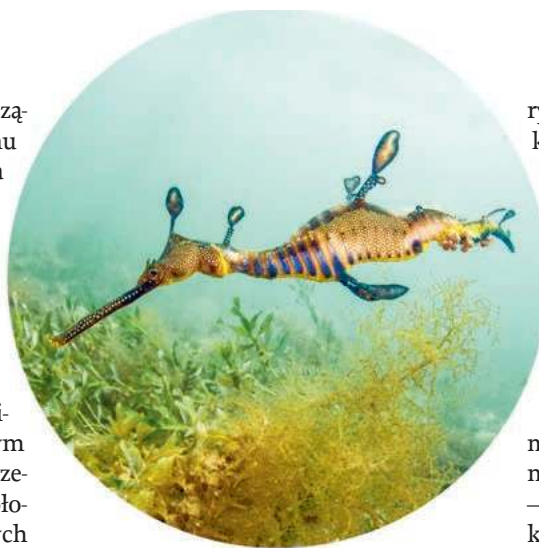
oceanu, a wynoszone na brzeg dają początek plażom-cmentarzyskom, smutnemu świadectwu niegdyś kipiącego od życia ekosystemu.

Zniszczenie, jakie wiąże się z blaknięciem i śmiercią raf koralowych, przyćmiłoby pewnie pożary trawiające lądowe lasy. Rify są domem dla około 25 proc. wszystkich oceanicznych gatunków zwierząt. Są miejscem rozrodu i dorastania niezliczonych gatunków ryb o kluczowym znaczeniu ekonomicznym. Ale – w przeciwieństwie do lasów i dżungli – położone są znacznie dalej od politycznych debat i naszych codziennych wyborów. W percepcji człowieka rify koralowe – i całe oceaniczne życie – zawsze były „gdzieś tam”, i „gdzieś tam” zawsze jakoś powinny sobie poradzić. Jednak smutna rzeczywistość jest taka, że w przeciągu kilkudziesięciu lat możemy bezpowrotnie stracić w s z y s t k i e ekosystemy koralowe naszej planety.

Spotkanie ze smokiem

Niedzielne popołudnie, Shelly Beach w Sydney roi się od rodziców z dziećmi, psów, sprzedawców lodów, surferów i biegaczy. Życie toczy się na wąskim półksiężycu rozgrzanego piasku. Mało kto zapuszcza się w spokojną wodę zatoki dalej niż na kilka metrów. Pewnie dlatego, że mało kto wie, co kryje pod sobą powierzchnia Cabbage Tree Bay Aquatic Reserve. Leżę na falującej wodzie i pozwalam oceanowi nieść mnie dalej i dalej od plaży.

Pode mną jak niemy film przewija się piaszczyste dno, kolczaste kiście jeżowców, porzucone perłowe muszle, falujące minimeduzy. Jakież 20-30 metrów od brzegu piaszczyste dno zaczyna porastać... trawnik? Sunę dalej, trawa się zagęszcza, falujące odwzorowanie kwietnej łąki otacza mnie ze wszystkich stron. Między wiotkimi blaszkami liści pulsują mieniające się czerwienią i błękitem mątwy. Spomiędzy kęp trawy wypływa – nie, wyłania się – no właśnie co? Wiem – dla niego tu przypląnałem. Dziwny stwór z rodzaju *Phyllopteryx*, krzyżówka przerysowanego konia, liściastego wodorostu i fantastycznego potwora w neonowych kolorach – zatacza dostojny łuk, i niewzruszony moją obecnością odpływa w trawiastą dal. Jeśli chcesz spotkać smoka (precyzyjnie mówiąc – smoka morskiego, *sea dragon*), u wybrzeży No-



Smok morski (*Phyllopteryx taeniolatus*), półwysep Mornington, Australia

wej Południowej Walii masz duże szanse. Jeszcze masz szanse.

Problem podgrzewających się oceanów nie dotyczy tylko raf koralowych, choć one – ze względu na swoje specyficzne wymagania, kapryśnych endosymbiotycznych partnerów i położenie w klimacie bardzo niestabilnych regionach tropikalnych – są na to podgrzewanie najwrażliwsze. Inne unikatowe morskie ekosystemy również gotują się na powolnym ogniu katastrofy klimatycznej. Szczególnie jest to widoczne właśnie tutaj, w Australii, która w 2019 r. pobiła wszelkie rekordy i zanotowała najwyższe temperatury w historii swoich pomiarów.

Australijskie oceany od lat odczuwają konsekwencje tych niekorzystnych zmian. Tylko w ciągu ostatnich kilku lat drastycznej redukcji uległy m.in. unikatowe podwodne łąki porastające piaszczyste przybrzeżne wody Nowej Południowej Walii. Siedliska magiczne – i kluczowe dla lokalnej bioróżnorodności. Podobnie jak rify koralowe, podwodne łąki są skarbcem niezwykłych gatunków, filtrem pochłaniającym rozpuszczony w wodzie oceanicznej dwutlenek węgla i buforem dającym pełnomorskim gatunkom schronienie w czasie gwałtowniejszych zdarzeń pogodowych na oceanie.

Niestety – podwodne łąki są również smakowitym kąskiem dla obcych gatunków roślinożernych ryb, które masowo napływają w te wody, zachęczone ocieplaniem się morza. Podobnie jak w przypadku raf, po przebogatyach morskich łąkach pozostają łyse, ciche i puste równiny, wyjałowione przez agresywnych

rybich najeźdźców, огоłocone z wszystkiego, co utrzymywało ich bogactwo.

Gaszenie pożaru

Wykresy obrazujące wzrost średniej temperatury Ziemi powinny dla każdego z nas być dramatycznym wezwaniem do działania. Życie w Australii – na kontynencie, który obecnie wiezie prym w tempie zmian klimatycznych i w rozmiarach powodowanych przez nie katastrof ekologicznych – jest dla obserwatorów współczesnego klimatu podwójnie trudne. Australia, dzięki swojemu położeniu na styku tropikalnych, umiarkowanych i subantarktycznych wód oceanicznych, jest epicentrum morskiej bio- i ekoróżnorodności. Ale taka koncentracja biologicznego bogactwa, wrażliwego na bezprecedensowe zmiany ziemskiej temperatury, oznacza, że możemy je w całości utracić za jednym zamachem.

Te wyjątkowe morskie ekosystemy „płoną” równie dramatycznie – choć niewidzialnie – jak australijskie lasy. Czy kolejne pokolenia będą mogły spotkać się z podwodnymi konstrukcjami koralowców, zamieszkanymi przez tysiące gatunków? Czy będą mogły spotkać najprawdziwszych morskich smoków, spokojnie żeglujących wśród falujących morskich traw?

Biolodzy nie przekreślili jeszcze przyszłości tych najcenniejszych, najdelikatniejszych oceanicznych ekosystemów. Coraz więcej wiemy o koralowcach, o ich – wcześniej nieznaną – plastyczności, o zdolnościach adaptacyjnych. Podejmujemy pierwsze próby „wychowywania” koralowców bardziej odpornych na wysokie temperatury, tolerujących tymczasowe podgrzania oceanicznych wód i dających nadzieję na zachowanie rafowych ekosystemów. Ale są to tylko nieporadne próby łatania tego, co powinniśmy naprawiać u samych podstaw, uderzając wprost w przyczyny globalnego ocieplania się klimatu.

Kolejne 10-15 lat będzie kluczowych – to one zdecydują o tempie ocieplania się naszej planety w perspektywie następnych stu lat, i to one zdecydują o przyszłości podwodnych katedr, morskich lasów, oceanicznych smoczyczych łąk. Czy będzie to wyrok śmierci, czy nadzieja na przyszłość – w stu procentach zależeć będzie od nas.

© SZYMON DROBNIĄK

Strzeż się oszusta!

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Mnie to akurat nie dotyczy, bo jestem wyjątkowo inteligentny, bardzo przystojny i ponadprzeciętnie skromny. Zapewne doskonale jeżdżę też na nartach, ale musiałbym kiedyś spróbować, żeby się o tym przekonać.

WSZYSCY INNI MAJĄ JEDNAK TENDENCJĘ do komicznego wręcz przeceniania własnej wartości. W pewnym badaniu aż 94 proc. wykładowców akademickich uznało się za lepszych od średniej. Myślicie, że nauczyciele to osobowości narcystyczne? Badanie przeprowadzone na imponującej próbie miliona uczniów i studentów ujawniło, że w zasadzie wszyscy uznawali, że ponadprzeciętnie dobrze dogadują się z innymi, a 70 proc. przypisywało sobie lepsze od średniej zdolności przywódcze. W tej kategorii absolutnym zwycięzcą jest jednak badanie, w którym niemal wszyscy kierownicy uznali się za ponadprzeciętnie dobrych. Badanie przeprowadzono w szpitalu. Na sprawcach kolizji drogowych leczących urazy powypadkowe.

Wygląda na to, że nasze zdolności oszukiwania się w kwestii własnej wspaniałości są w zasadzie nieograniczone. Każdy z nas chce uważać, że jest „najmądrzejszy w pokoju”, że pozwoli sobie pożyczyć tytuł książki Thomasa Gilovicha i Lee Rossa.

Najfajniejszy pies w całej dzielnicy

To właśnie Gilovich rzucił niedawno wyzwanie setkom badań jednoznacznie potwierdzających, że wszyscy oszukujemy się co do własnych zalet. Bo może ludzie wcale nie wierzą w to, że są przystojni, mądrzy, a każdy z nich pokonałby na torze Robert Kubicę? Może po prostu cynicznie wciskają kit ankierom, zdając sobie sprawę z rzeczywistych proporcji własnych cnót i zdolności. Gilovich wraz z Elanor F. Williams przygotowali sprytny test mający raz na zawsze rozstrzygnąć, czy ludzie faktycznie oszukują siebie, czy może raczej psychologów. Nie tylko zapytali badanych, czy uważają, że wypadli w teście ponadprze-

ciętnie dobrze, ale też stworzyli im okazję postawienia pieniędzy na własne przekonania. A więc twierdzisz, że wynik twojego testu na inteligencję czy cechy przywódcze był lepszy od średniej? A może od 75 proc. konkurentów? Świetnie. Ale czy naprawdę w to wierzysz? Czy podtrzymasz to przekonanie, kiedy w grę wchodzi nagroda pieniężna?

Co się okazało? Niemal wszyscy badani serio traktowali swą ponadprzeciętną inteligencję i charyzmę. Byli tak przekonani o własnej wspaniałości, że z chęcią postawili na to pieniądze. Wiadomo: rozum jest najsprawiedliwiej rozdzielonym dobrem na świecie. Nikt nie skarży się, że ma go za mało. Albo raczej, jak ujął to Thomas Schelling, zdobywca Nagrody Banku Szwecji im. Alfreda Nobla w dziedzinie ekonomii: każdy ceni sobie co innego – sprawni kierownicy cenią sobie sprawność, ci uprzejmi uważają, że to kultura jest ważniejsza. Każdy mierzy się taką skalą, na której wypada najlepiej. „W ten sposób każdy dzieciak może mieć poczucie, że ma najfajniejszego psa w całej dzielnicy”.

Tak dobry, że aż zły

A więc ludzie uważają się za mądrzejszych, fajniejszych i bardziej lubianych, niż są w rzeczywistości. Ale co właściwie wynika z tego dla naszego codziennego życia? Otóż całkiem sporo. Istnieją np. liczne badania pokazujące destruktywny wpływ takiej błędnej samooceny własnych kompetencji na zaufanie do ekspertów czy polaryzację polityczną. Media społecznościowe, w których każdy może przez chwilę poczuć się ekspertem od skoków narciarskich, wirusologii albo strategii politycznej, doskonale ujawniają zasięg problemu, zarazem umiejętnie żerując na naszych narcystycznych uroje- niach. Liczne eksperymenty wykazały, że



błędne przekonanie o własnych kompetencjach i zakresie wiedzy prowadzi do zaciętrzewienia, okopania się na swoich pozycjach, a nawet agresji. Klasyczna sytuacja z Twittera albo imienin cioci.

Znacznie ciekawsze są jednak te obszary, w których oszukiwanie się przybiera mniej oczywiste formy. Weźmy np. zjawisko „pozwalania sobie na zło” (*moral self-licensing*). Nie da się go chyba zdefiniować lepiej, niż zrobiono to w podtytule ważnego artykułu opublikowanego przez grupę badaczy z Uniwersytetu Stanforda „Moral Self-Licensing: When Being Good Frees Us to Be Bad” („Gdy bycie dobrymi sprawia, że pozwalamy sobie na bycie złymi”). Zarówno nasz mózg, jak i kultura podsuwają nam poręczne narracje i modele poznawcze, które pozwalają nam na czynienie zła przy zachowaniu poczucia, że „w głębi” pozostajemy osobami dobrymi. Pomyślmy tylko o wszel-



ORBON ALIJA / GETTY IMAGES

kich teoriach równowagi, w ramach których dobre czyny wymazują czy równoważą te złe. Albo o rozdzielaniu „natury” od „postępków” – ogólnie jestem dobrą osobą, złe uczynki tylko mi się przytrafiają (nie to, co mój sąsiad, który czasem może i robi coś dobrego, ale w głębi duszy to paskudny typ).

Altruści jedzą niezdrowo

Przeświadczenie o własnej dobroci może mieć wymierne negatywne skutki. W jednym z eksperymentów naukowcy dali części badanych okazję, by w symulowanej rozmowie o pracę zatrudnić czarnoskórego kandydata, który wyraźnie bił na głowę konkurentów. Kiedy później badanych z tej grupy proszono o ocenę innej, znacznie bardziej nieoczywistej sprawy, wykazywali zachowania dyskryminacyjne częściej niż ich koleżanki i koledzy, którym nie dano wcze-

śniej szansy zademonstrować braku uprzedzeń. Wyglądało to tak, jak gdyby odhaczenie pola z napisem „nie jestem rasistą” momentalnie uwalniało część badanych od potrzeby kontrolowania swoich uprzedzeń. Inne eksperymenty wykazały podobny wpływ poczucia własnej moralności w wielu innych mniej i bardziej istotnych sferach życia. Na przykład badani, którym stworzono szansę na dokonanie altruistycznego czynu, chętniej sięgali później po niezdrowe przekąski niż ci, którym nie dano możliwości podbudowania wcześniej poczucia własnej wartości.

Dominic D.P. Johnson, autor książki „Overconfidence and War” („Nadmierna pewność siebie i wojna”) idzie jeszcze o krok dalej, dokonując analizy wpływu samooszukiwania się na rozwój konfliktów zbrojnych. Demonstruje, że w sytuacji poprzedzającej wojnę słabości jednej

lub obydwu stron są zwykle oczywiste z punktu widzenia racjonalnej analizy. A jednak mechanizmy samooszukiwania się liderów oraz, co gorsza, mechanizmy podtrzymywania tych przeświadczeń wbudowane w struktury zarządzania sprawiają, że obie strony żywią fałszywe przekonania o własnym potencjale. Johnson sugeruje, że przekłuwanie narcystycznego balonu złudzeń może być w wielu przypadkach najlepszą drogą prowadzącą do pokojowych rozwiązań. Gdy znika iluzja własnej potęgi, pojawiają się wątpliwości. Te zaś prowadzą do postawy ugodowej.

Jeżeli dodać do tego fakt, że zbiorowości – państwa czy narody – także podatne są na zjawisko *moral licensing*, dostajemy gotowy przepis na katastrofę lub zapobieganie jej. Gdy karmimy obywateli i polityków poczuciem wyjątkowości, wspałości i nieomylności – wcześniej czy później skoczmy sobie do gardeł. Jeśli jednak otwarcie stawimy czoła temu, co trudne, niejednoznaczne, przeszłym słabościom i niepewności dotyczącej przyszłości, szanse na pokój i porozumienie wzrosną błyskawicznie.

Może jednak samooszukiwanie się nie jest tak złe, jak by się mogło wydawać? Może za cenę kilku niezdrowych przekąsek (a od czasu do czasu wojny) dostajemy od naszego mózgu coś cennego? Jak przekonuje Shelley Taylor, autorka książki „Positive Illusions” („Pozytywne złudzenia”), „stawianie w prawdzie” czy „poszukiwanie prawdy o sobie” może być najbardziej przereklamowanym towarem naszych czasów. Pewna doza pozytywnych złudzeń jest niezbędna do stworzenia motywacji, rozbudzania odwagi i zachowania zdrowych relacji społecznych.

Najgorzej zaś, kiedy nasz wewnętrzny oszust obraca się nieoczekiwanie przeciw nam...

Syndrom oszustki

„Dotarło do mnie, że jestem oszustką. Ta myśl nie wynikała z jakiegoś wyraźnego rozumowania, w ogóle z niczego nie wynikała: po prostu się pojawiła (...). Jestem oszustką, bo nie pracuję tak, jak wszyscy inni. Nie czytam klasyków do poduszki, właściwie to niczego nie czytam (...) Nie jestem socjologką, bo nic nie wiem o socjologii. Nie jestem w nią wystarczająco zaangażowana, by zanurzyć się w ideach i przemyśleniach wielkich mistrzów (...). →

⇒ Nie wiem tego, co powinnam wiedzieć, i nie potrafię się zmusić do robienia badań tak, jak powinno się je robić”.

To przejmujące wyznanie socjolożki Pameli Richards zostało umieszczone w książce Howarda S. Beckera pod mało ponętym tytułem „Warsztat pisarski badacza”. (Nigdy nie wiesz, gdzie natrafisz na prawdziwy skarb!) To nie przypadek, że w tym jednym rozdziale Becker oddał głos koleżance, ale o tym zaraz. Na razie pomówmy o tobie. Bo to może być także twój koszmar. Miliony ludzi na świecie dopadają dokładnie takie myśli. Często przychodzą w nocy, nieoczekiwanie. Wiążą się z atakami paniki, brakiem zdolności do rzetelnej oceny własnych kompetencji i irracjonalnym przekonaniem o wybitnych zdolnościach i zaangażowaniu wszystkich dookoła. To syndrom oszusta (*impostor syndrome*) – forma samooszukiwania się dużo bardziej podstępna niż przeświadczenie o własnej wspaniałości.

Alfred Mele, filozof specjalizujący się w badaniu tego zjawiska, proponuje wyróżnienie dwóch form samooszukiwania się – „prostej” i „zakręconej” (*twisted*). W wersji prostej wmawiamy sobie coś, co jest dla nas przyjemne; przekonujemy się o czymś, w co chcielibyśmy wierzyć. Osoba chora okłamuje się, że jest zdrowa. Zdradzany małżonek robi wszystko, żeby nie dostrzegać niepokojących sygnałów. Po zakupie nieruchomości zamykamy oczy, uszy, a nawet nos na jakiejkolwiek objawy, które mogłyby nam zasugerować, że może nie dokonaliśmy jednak najlepszego wyboru. Forma zakręcona samooszukiwania to wyższa szkoła jazdy. Tu z kolei wmawiamy sobie czarny scenariusz. Z pewnością mam raka, małżonek mnie zdradza, a to dziwne trzeszczenie w piwnicy to niechybny znak, że mój dom wkrótce się zawali. To właśnie do tej kategorii należałoby zaliczyć syndrom oszusta.

Zjawisko jest poważne zarówno co do zasięgu, jak i co do skutków. Badania prowadzone przez dziesięć lat na dużej grupie studentów medycyny (a później lekarzy) ujawniły przerażającą skalę zjawiska w świecie medycznym. Objawy syndromu oszusta wykazywała niemal jedna trzecia badanych. Przekładało się to wyraźnie na poziom stresu i tempo wypalenia zawodowego. Co szczególnie ważne, syndrom oszusta rozkładał się nierównomiernie między płciami. Doświadczała go niemal połowa uczestniczących w bada-

Błędne przekonanie
o własnych kompetencjach
i zakresie wiedzy prowadzi
do zacietrzewienia,
okopania się na swoich
pozycjach, a nawet agresji.

Klasyczna sytuacja z Twittera albo imienin cioci.

niu kobiet przy niecałych 24 proc. mężczyzn. Inne badania ujawniły z kolei, że nieproporcjonalnie często doświadczali go studenci reprezentujący mniejszości etniczne.

W doborowym towarzystwie

Prototyp lekarza funkcjonujący w naszej wyobraźni to starszy, biały mężczyzna. Pacjenci oceniają odpowiadających prototypowi lekarzy jako bardziej godnych zaufania. Okazuje się jednak, że te same złudzenia dotyczą samych medyków. Ci, którzy patrząc w lustro, widzą obraz odleglejszy od prototypu, wmawiają sobie wbrew faktom, że są gorsi, mniej wartościowi i profesjonalni od kolegów i koleżanek. Oto kolejny racjonalny, oparty na badaniach powód, by dbać o używanie żeńskich form nazw zawodów, różnorodność rasową w książeczkach dla dzieci oraz (jak słusznie zwróciła uwagę Hannah Fry, specjalistka od algorytmów) wywierać naciski na Google’a, żeby po wpisaniu w wyszukiwarce „lekarz” ukazywały nam się domyślnie obrazy reprezentujące możliwie bogaty wachlarz cech. Tak zwana poprawność polityczna, o której nietrudno sobie dziś wyrobić złe zdanie, to nie ideologiczna fanaberia, lecz skuteczne narzędzie do budowania świata, w którym znaczna część populacji nie będzie ograniczona w realizacji swojego potencjału przez proste złudzenie poznawcze. Trudno być dobrą chirurgką czy wybitnym naukowcem w świecie, w którym trzeba nieustannie iść pod wiatr, wyobrażając sobie, że ktoś taki jak ja w ogóle może się w tej roli spełnić. Głos wewnętrznego oszusta, podpowiadający nam, że jesteśmy beznadziejni, potrafi być donośny!

Co ciekawe, wygląda na to, że ten oszukańczy głos do wszystkich przemawia prawie tymi samymi słowami. „Zaraz się wyda”, „nie powinnam tu być, to tylko przypadek”, „nie zasługuję na to, co mnie spotyka” – dziesiątki takich wypowiedzi zgromadziła Valerie Young, autorka popularnej książki na temat kobiet i syndromu oszusta (a właściwie – oszustki). Jeżeli jesteś jedną z tysięcy kobiet, które co dzień idą do pracy z taką właśnie myślą, to pora odetchnąć. Nauka wyraźnie sugeruje, że problem nie leży w twoich kompetencjach, lecz w podsycanym przez kulturę złudzeniu poznawczym. To taki narcyzm na opak.

Przywoływane w książce Young badania potwierdzają, że nawet kobiety, które odniosły spektakularny sukces, mają tendencję do umniejszania własnej wartości. Niektóre dane sugerują nawet, że to właśnie ludzie, którzy osiągnęli w życiu najwięcej, pracowali najciężej i obdarzeni są największymi talentami, okazują się szczególnie podatni na syndrom oszusta. Nawet najlepsze spośród nas prześladuje to straszliwe uczucie, że „cała moja kariera, wszystko, co osiągnęłam, to jedno wielkie oszustwo”.

Otóż nie! Oszustwem jest to, co powtarza ten wewnętrzny głos. Spójrz na to w ten sposób: czy naprawdę wierzysz, że wszyscy ci ludzie, którzy sprawdzali twoje egzaminy, wręczali ci dyplomy, pochwalali i zatrudniali cię na kolejnych stanowiskach, są kompletnymi idiotami? Może lepiej przestań się oszukiwać i po prostu zaufaj im następnym razem, kiedy powiedzą ci, że jesteś świetna!

Złudzenie introspekcji

Mój ulubiony moment w opisie wielu genialnych eksperymentów psychologicznych przychodzi znieca. Najlepsze wydarza się właśnie wtedy, kiedy myślimy, że kurtyna opadła, a przedstawienie jest skończone. Przypuśćmy, że czytamy o badaniu, którego uczestników poddano manipulacji za pomocą subtelnego bodźca. Przed eksperymentem kazano im rzucić kostką, podsunęto jakąś liczbę, zasugerowano metaforę, złośliwie wstrzelono się w moment, gdy akurat byli głodni. Analiza statystyczna pokazała, że bodziec miał olbrzymie znaczenie. Wyższy wynik na kostce albo ssanie w żołądku przekładały się na surowszy wyrok wydany przez sędziego; sugestia,

że „przestępczość jest jak wirus”, zwiększała skłonność do uznawania resocjalizacji za skuteczniejszą od karania i tak dalej. I właśnie w momencie, gdy z niedowierzaniem kręcimy głową nad łatwością, z jaką nasz rzekomo myślący gatunek poddaje się topornym manipulacjom, wydarza się najlepsze. Otóż badani zapytani o przyczyny swoich decyzji nieodmiennie ignorują zaimplementowany przez eksperymentatorów bodziec. Nie tylko dają się zmanipulować, ale też twierdzą, że za ich werdyktem stoi analiza danych i skomplikowany proces decyzyjny, że tak trzeba, że tak powinni zrobić, w ostateczności – że taką mieli fanaberię. (Co ciekawe, bez trudu przyjmujemy przy tym do wiadomości, że wszyscy inni poza nami są na manipulację podatni.)

Nawet do całkowicie irracjonalnych, przypadkowych czy zmanipulowanych decyzji potrafimy błyskawicznie dorobić racjonalizację, dzięki której będziemy w stanie przekonać samych siebie, że doskonale wiemy, dlaczego uczyniliśmy to czy owo. Właśnie to złudzenie introspekcji – poczucie, że sami dla siebie jesteśmy przezroczystości – jest moim zdaniem najciekawszą formą samooszukiwania się. I kluczem do zrozumienia wszystkich pozostałych.

Naukowa wartość większości pomysłów Zygmunta Freuda została dziś jednoznacznie obalona. A jednak jego najważniejsze odkrycie – choć w sposób nie-

dosłowny – wciąż zachowuje swą moc. Skandaliczny i rewolucyjny charakter teorii Freuda opierał się właśnie na zaniegowaniu zasady introspekcji, a więc na stwierdzeniu, że nie jesteśmy wewnętrznymi spójni i przezroczystości dla samych siebie. Przed czasami Freuda powszechnie uznawano, że aby dowiedzieć się, czemu Jaś ukradł jabłko z sadu Małgosi, najlepiej było zapytać Jasia. Chłopiec mógł oczywiście skłamać, ale za pewnik uznawano, że Jaś zna prawdę na temat własnych działań. Mógł oszukać mamę i tatę, ale siebie nie oszukał. Freud kompletnie wywrócił to przekonanie. Otóż ludzka jaźń to niezwykle skomplikowana maszyna do oszukiwania samego siebie. Jaś jest ostatnią osobą, która może wiedzieć, czemu tak naprawdę zrobiła to, co zrobiła. (Dlatego właśnie Jaś powinien zapłacić doktorowi Freudowi kilkaset koron, by ten pomógł mu w dostępie do ukrytych warstw jego nieświadomości.)

Wielogłos

Freud wciąż jeszcze wierzył, że gdzieś tam w serduszkach Jasia istnieje ostateczna, prawdziwa prawda. Współczesna nauka pokazuje, że nie mamy do czynienia z nieświadomością i świadomością, tylko raczej z wielością jaźni czy głosów, które nieustannie negocjują naszą wewnętrzną rzeczywistość. Jest jaźń doznająca i jaźń komponująca opowieści, są różne systemy poznawcze, kulturowe i społeczne wzorce oraz scenariusze... Żaden z tych

głosów w naszej głowie nie ma monopolu na prawdę. Aktualne postrzeganie naszego samopoczucia, kompetencji czy wspomnień z wakacji to skomplikowana wypadkowa tych głosów zależna od tego, jaką wagę w danym momencie przypisujemy każdemu z nich.

Wygląda więc na to, że największym kłamstwem, jakie sobie opowiadamy, jest to, że istnieje jakaś ostateczna prawda o nas samych. Jaś myśli, że nie lubi Małgosi, ale w rzeczywistości ją lubi. Otóż nie. Jeżeli jakiś wniosek płynie z tych wszystkich przywoływanych wcześniej badań, to właśnie taki, że Jaś może lubić Małgosię i nie lubić jej zarazem. Może być też dobry i zły, kompetentny i leniwy, może własne sukcesy i porażki mierzyć wieloma różnymi miarami.

Zamiast poszukiwać prawdy o sobie (albo przeciwnie, bezkrytycznie wsłuchiwać się w najbardziej pochlebne głosy), warto więc ćwiczyć się w dostrzeganiu całego tego chóru. Warto przezwyciężać „iluzję przezroczystości” i odkrywać wewnętrzne konflikty interesów. Nie szukaj prawdy i kłamstwa, lecz staraj się zrozumieć dynamikę wewnętrznego sporu. Wsłuchaj się w siebie. Ale nie w poszukiwaniu głosu prawdy, lecz wielogłosu i jego nieoczywistych harmonii. Im lepiej go zrozumiesz, tym łatwiej ci w życiu będzie.

A może wcale nie? Może tak tylko sobie wmawiam?

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Już dziś rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto” umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego” osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny



TYGODNIK
POWSZECHNY



MUCHTY BARACHTY

LIDIA MIEŚCICKA, PSYCHOTERAPEUTKA:

Nie wolno iść przed pacjentem, tylko z nim. Obok.
Wspólnie badać szlak. Nie wiedzieć lepiej, bo nigdy się nie wie lepiej,
nawet o sobie się nie wie lepiej.

JUSTYNA DĄBROWSKA: Lidko, ile masz lat?

LIDIA MIEŚCICKA: Poczekaj. Muszę się zastanowić. Wiesz, na co dzień w ogóle o tym nie myślę, ale teraz ze zdziwieniem muszę stwierdzić, że zbliżam się do dziewięćdziesiątki. No tak! Za kilka dni skończę 87 lat.

W ogóle tego wieku – w środku – nie czuję. Moja mama, która umarła mając lat 98, mówiła pod koniec życia, że kiedy była młodsza, myślała dużo o śmierci, a potem jej przeszło. Mówiła, że się jej nie boi, ale boi się umierania. Zresztą umarła bardzo świadomie i w jednej chwili. Byłam z nią wtedy, wyszłam po coś do kuchni, za chwilę wróciłam i ona już nie żyła. Nie zdążyła się nawet przestraszyć.

A Ty myślisz czasem o swojej śmierci?

Teraz myślę, bo rok temu wzięłam psa ze schroniska i mam jednostronną umowę z Panem Bogiem, że będę żyła tak długo, żeby tego psa nie trzeba było oddawać. On musi być pierwszy. Przecież byłoby okropne, gdybym mu umarła – bardzo się przywiązał. Chciałabym mu tego oszczędzić, ale oczywiście będzie, co będzie. To mój jedenasty pies. Wszystkie wzięłam z ulicy. Lubię zwierzęta, karmię ptaki. Widzisz, kupiłam czarny słonecznik dla sikorek, taki najbardziej lubią. Powinny zjeść dużo przed nocą, bo inaczej umierają. Wiedziałaś? Patrz, jak dziobią te ziarenka.

LIDIA MIEŚCICKA jest absolwentką Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Warszawie, specjalistką II stopnia w psychiatrii. Od 1968 r. pracuje jako psychoterapeutka. Posiada certyfikat psychoterapeuty Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego i Polskiego Towarzystwa Psychologicznego oraz certyfikat superwizora Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Pracuje w warszawskim ośrodku INTRA. Jest autorką książek: „Nie poddawaj się smutkowi”; „Być matką dorosłych dzieci”; „Pracoholizm”.

Jest tu jeden kot, sąsiadów, zawsze rano sprawdzam, czy nie siedzi pod karmnikiem. Kartoflami w niego rzucam.

Wracając do twojego pytania – żyję. Widzę, że wiele rzeczy robię wolniej, muszę brać jakieś leki i to jest dość nudne. Irytuje mnie fakt, że ciało mnie zdradza. Ale ponieważ nie choruję na nic strasznego, to tak bardzo się nie przejmuję. Pracuję, to mnie bardzo ożywia.

Skąd wiedziałaś, że chcesz robić to, co robisz?

Pojęcia nie miałam. Poszłam na medycynę, bo chciałam być jak Korczak, jego książki zrobiły na mnie kiedyś ogromne wrażenie. Ale nie myślałam wtedy ani o psychiatrii, ani tym bardziej o psychoterapii. Pewnie nawet nie znałam wtedy tego słowa.

Zacząłam pracować jako terapeutka przez przypadek. Urodziłam drugą córkę, byłam z nią trochę w domu, a potem musiałam wrócić do pracy. W szpitalu na Dolnej był akurat wolny etat. Przyjęli mnie i tam po raz pierwszy zobaczyłam, czym jest psychoterapia. Bardzo mi się to spodobało.

Co konkretnie?

Okazało się, że bardzo mnie ciekawi życie innych. Wiesz, często po wojnie stawałam w Warszawie na wiadukcie i patrzyłam z góry na te w połowie zburzone domy. Nie wiem, czy to jeszcze pamiętasz, ale one były jakby przepołowione, widać było ich wnętrzności, odsłonięte i na wpół zburzone mieszkania. Każde było inne, miało innym kolorem pomalowane ściany, widać było fragmenty mebli... Stałam i wyobrażałam sobie ludzi, którzy tam mieszkali, w tych różnokolorowych mieszkaniach.

To były odsłonięte wnętrza czegoś, co zostało zrujnowane.

Robiły na mnie ogromne wrażenie. Pamiętam, jak tuż po wyzwoleńiu stoję w oknie naszego mieszkania i patrzę na podwórze, w inne okna. I widzę, jak matka kąpie małe dziecko. Pamiętam siebie patrzącą na tę scenę, bardzo symboliczną, prawda? Życie mnie zawsze fascynowało.



→ Ty też jesteś pełna życia.

Po prostu żyję. Nie rozpamiętuję przeszłości, nie boję się przyszłości. Jest, jak jest. Zawsze tak było, jako dziecko też tak miałam.

Miałam różne trudne doświadczenia, nigdy mi nie przyszło do głowy, że będę dwukrotnie rozwiedziona. Ale stało się. Nie rozpamiętuję strat.

Nie było momentów, że było Ci bardzo trudno? Z pierwszego małżeństwa wyszłaś sama.

W pierwszym małżeństwie przez trzynaście lat mieszałam z teściami. I w pewnym momencie odkryłam, że to jednak jest dla mnie strasznie ważne, żeby mieć swój dom. Chciałam być panią domu. Wiesz, kiedy ktoś na przykład dzwonił do drzwi, to mu otwierałam, on mówił: szukam pani takiej i takiej, a ja mówiłam: zaraz poproszę, i prosiłam teściową. A potem się okazało, że tu chodziło o mnie. Nigdy nie poczułam się tamtą osobą, więc odeszłam z dwójką dzieci. Były ze swoim ojcem do końca jego życia w dobrym kontakcie.

To musiało wymagać dużej determinacji.

Sama się sobie dziwię. Mnie to niosło po prostu.

Co Cię niosło?

Miałam silne przekonanie, że to, co robię, jest słuszne. Córkę zresztą do dziś mówią, że to była bardzo dobra decyzja. Wzięłam dziewczynki, ich pościel i tyle. Zamieszkałyśmy u mojej mamy. To był rok 1969, pracowałam już wtedy jako psychoterapeutka. Może dzięki psychoterapii, zadając innym pytania, na które także sama sobie odpowiadałam, odkryłam, że we mnie jest część mojego ojca? Przedtem nie miałam świadomości, że to we mnie jest. Mój ojciec był osobą niezależną, która bardzo chciała mieć własny dom, własne miejsce w życiu.

Byłaś nieszczęśliwa.

Nie byłam szczęśliwa, tak mogę powiedzieć. Okazało się, że mam dużą potrzebę autonomii. Chciałam w swoim domu móc zachowywać się swobodnie, nie musieć się liczyć z tym, że kogoś obudzę. Jak wyszłam za mąż, to przestałam grać, bo miało być cicho. Sprzedałam pianino. Żałuję.

Zrozum mnie dobrze, nie chcę się zalić. Tam wszyscy byli dla mnie dobrzy, ale byłam córką tamtej rodziny, nie byłam żoną. Jak już sama urodziłam córkę, to byłam szczęśliwa, że to nie jest syn, bo teściowa mówiła wciąż: „W naszej rodzinie rodzą się sami chłopcy”. A ja urodziłam córkę i pomyślałam sobie: „A w mojej rodzinie niekoniecznie rodzą się synowie”.

Potem związałam się z drugim mężem i to mi bardzo pomogło.

On był wtedy żonaty jeszcze.

Był nieszczęśliwy. Tak przynajmniej mówił. Choć jak odchodził potem ode mnie, to mówił podobnie.

Jak to jest być zostawioną po trzydziestu kilku latach małżeństwa?

To jest także i jego opowieść. I pewnie zupełnie inna od mojej. Nie spodziewałam się tego. To znaczy widziałam, że

coś się dzieje, ale nie myślałam, że się rozstaniemy. Potem myślałam, że widocznie jest jakaś sprawiedliwość w świecie: stało mi się to samo, co ja kiedyś komuś zrobiłam. Kiedy mąż odszedł ode mnie, miałam 68 lat. Mama już nie żyła i chwala Bogu. Chwilę przed swoją śmiercią mówiła, że nigdy nie widziała tak dobrego małżeństwa jak nasze. To byłby dla niej straszny cios.

Jak się odnalazłaś?

Zostałam sama, w tym mieszkaniu. Wszystko zostało, jak było, oprócz rzeczy z jego pokoju, w którym mieszkał przez ostatnie miesiące. Kiedy się pakował, wyszłam z domu, żeby na to nie patrzeć, i żeby on się nie czuł skrzepowany, zobowiązany. Chciałam, żeby to była jego sprawa. Poszłam na „Quo vadis”, bo to był najdłuższy film, jaki wtedy wyświetlali.

Byłaś zła?

Nie. Myślałam tylko o tym, żeby jak najdłużej nie wracać do domu. Przyszłam, zastałam pusty pokój. Odplakałam swoje. Kiedy się dowiedziałam, że postanowił się ze mną rozstać, ale jeszcze tu mieszkał parę miesięcy, to rzeczywiście było upiorne. Wtedy byłam zła, bo przecież mógł się gdzieś wyprowadzić, nie narażać mnie na to, żebym słuchała jego rozmów telefonicznych...

Już dwadzieścia lat mieszkasz tu sama.

Strasznie długo, to fakt. Teraz mi się zdaje, że zawsze tak było. Mąż wystąpił o rozwód z jego winy, płaci alimenty. Na sprawie rozwodowej pani sędzia i ławniczki pytały: „Jak pani mogła nie walczyć o to małżeństwo?”. Ale przecież skoro mąż mówi, że już nic nie ma między nami, to o co mam walczyć? Dziś mogę powiedzieć, że jestem mu właściwie wdzięczna. Bo mi tu dobrze. Wtedy oczywiście wszystko to bardzo przeżywałam. Nasz związek trwał 33 lata.

Co pomogło się pozbierać?

Kiedy się dowiedziałam, że mąż odchodzi, odszukałam księdza Romana Indrzejczyka. Nie znałam go, ale pamiętałam rozmowę Ewy Berberyusz z nim zatytułowaną „Bardzo lubię spowiadać”. Ten wywiad zrobił na mnie wielkie wrażenie. Będąc wtedy osobą daleką od Kościoła, poszłam do niego. Tak z ulicy. I pomógł mi. Słuchał, nigdy nie krytykował, nie robił żadnych uwag przeciwko mnie. Po prostu był przy mnie. Pobłogosławił mnie na ten rozwód.

Jest coś takiego?

Był moim przyjacielem i pomógł mi wrócić do Boga. W taki nienarzucający się, dobry i ciepły sposób. Dzięki niemu znalazłam otuchę i czuję ją do dzisiaj.

Masz jakąś rekomendację dla kobiet, które są w podobnej sytuacji?

Hm... chciałabym im powiedzieć, że zawsze jest jakiś dalszy ciąg. Że życie nie kończy się w momencie, kiedy coś strasznego się dzieje. Tylko najpierw trzeba przez to przejść. Nie tylko przez fakty, ale przez uczucia, przez ból. Trzeba się z tym spotkać, a potem rozstać.

Jeszcze chciałabym powiedzieć, że zemsta nie jest dobrą drogą. To nic nie daje. Złość przemija, a zemsta to jest coś,

z czym się zostaje. Na szczęście mnie to ominęło.

A jak sobie poradziłaś ze śmiercią brata?

W ogóle sobie nie poradziłam. Myśmy byli bardzo związani. Zawsze mogliśmy na siebie liczyć. Jemu pierwszemu opowiadałam o swojej chorobie, o swoim rozstaniu jednym, drugim. Nigdy nic złego mi nie powiedział.

Pod koniec życia był już bardzo chory, każdy ruch go bolał. Byłam u niego w szpitalu przed śmiercią. Był straszny upał, ja go chłodziłam, myłam. Teraz muszę przerwać, bo będę płakać... Wiesz, jak się z nim wtedy żegnałam, to mnie pocałował w rękę. Pierwszy raz tak zrobił w całym naszym życiu. I ostatni.

Bardzo mi go brakuje. Co jakiś czas łapię się na tym, że jest jedyną osobą, do której mogłabym zadzwonić i powiedzieć: „Pamiętasz, jak nasza babcia mówiła »muchty barachty«”? Dziś nikt już tego nie zna. Z tym właśnie nie mogę się pogodzić, że już go nie ma. A razem z nim nie ma naszego dzieciństwa. Zniknęło.

Jesteś jedną z najstarszych psychoterapeutek aktywnych zawodowo.

Pracuję już 60 lat i nadal to bardzo lubię. Jestem wciąż ciekawa innych ludzi. To jest ciekawość, a nie ciekawskość. I ciekawie jest też widzieć zmianę w człowieku. Ona nie wynika z tego, co mówię, tylko z tego, co się między nami dzieje, takiego szczególnego kontaktu – otwartego, nieocenającego, autentycznego.

Terapia to jest wchodzenie razem z pacjentem na górę i schodzenie z nim razem, ale już inną drogą. Pamiętam, żeby nie iść przed pacjentem, tylko z nim. Obok. I badać wspólnie ten szlak. Nie wiedzieć lepiej, bo nigdy się nie wie lepiej, nawet o sobie się nie wie lepiej. Ta praca mnie bardzo ożywia.

Stosunek do pacjentów mam chyba podobny jak do moich dzieci. Ja w ogóle lubię ludzi i chyba dla wielu jestem ważna. Zobacz, jakie mi tu drobiazgi znoszą. Wzruszające, co?

Wdzięczni są może?

Nawet nie wiem za co. Wspieram po prostu. Towarzyszę. Wiesz, spotkanie z każdym człowiekiem to jest oddzielna historia. Tu się nigdy nic nie powtarza.

Z kim nie mogłabyś pracować?

Ze sprawcami przemocy. Wiesz, ja w czasie wojny byłam świadkiem naprawdę strasznych, okrutnych rzeczy... Widziałam szubienice, widziałam, jak mordują ludzi, egzekucje na ulicy... Coś się wtedy ze mną stało, bo wiele rzeczy mogę znieść, ale nie jestem w stanie znieść okrucieństwa. Bardzo mocno reaguję na wszelkie jego przejawy.

Zdarzyło się, że przekazałam komuś do terapii matkę, której córeczka wyrwała sobie włosy z głowy. Ta kobieta nie miała serca dla tego dziecka, a ja nie mogłam tego znieść. Teraz może byłoby inaczej, może bym znalazła do niej drogę.

Lubię ludzi i chyba dla wielu jestem ważna.

Zobacz, jakie mi tu drobiazgi znoszą. Wzruszające, co?

Nawet nie wiem za co.

Po prostu im towarzyszę.

Spotkanie z każdym to oddzielna historia.

Może sama miałaś wtedy małe dzieci?

Tak. Właśnie dlatego nie mogłam.

Wracają wspomnienia z czasu wojny?

Coś dziwnego mi zostało, opowiem ci. Kiedy przejeżdżam koło sądów na Lesznie, a co niedziele jadąc do kościoła przejeżdżam tamtędy, zawsze mam myśl, że tam była granica między życiem a śmiercią. Z jednej strony było getto, z drugiej strona aryjska. To jest dla mnie takie strasznie dojmujące, sama nie wiem dlaczego. W czasie okupacji jeździłam tramwajem z mamą do przychodni – miałam gruźlicę wtedy – i po drodze mijałyśmy tam właśnie mur getta. Pytałam mamę o ten mur i nie otrzymałam odpowiedzi. I mam do dziś to dziwne poczucie winy, nie wiem skąd.

Czemu czujesz się winna?

Temu, że coś takiego było możliwe. Takie czyste zło.

Wiedziałaś, że przez sądy jest przejście?

Nie. Teraz wiem, bo czytam dużo na ten temat i to mnie obchodzi. Dużo o tym myślę. Pamiętam rozmowę z jakimś znajomym o wojnie i obozie koncentracyjnym dla dzieci w Krakowie. On w pewnym momencie zapytał, czy to były polskie dzieci, a ja powiedziałam: „Boże, wszystko jeszcze może się powtórzyć, jeśli takie pytanie można zadać! Przecież wszystko jedno, jakie to były dzieci! To był obóz dla maluchów oddzielonych od rodziców! Po prostu czysty koszmar”.

Dreczę mnie myśli, że wszystko może się powtórzyć. Zresztą na świecie przecież ciągle coś się dzieje.

Tutaj widzisz zdjęcie mojego syna Samuela Mitabazi z Rwandy, to była tzw. adopcja serca. Jego rodzice nie zginęli w masakrze, tylko zwyczajnie umarli i on został sam. Ja miałam wtedy jakieś 70 lat i napisałam do tej organizacji, żeby mi nie dawali małego dziecka, ponieważ sama nie wiem, ile pożyję. Zdecydowali, że prześlą mi pod opiekę 14-letniego Samuela. Przez cztery lata pisaliśmy do siebie, zdjęcia wysyłał mi, on odpisywał. Jak skończył 18 lat, to poszedł w świat. Nie wiem, co się z nim dzieje.

To jest pytanie, co możemy zrobić wobec zła.

Cokolwiek dobrego. Cokolwiek.

Lidko, co jest tak naprawdę warte starania w życiu?

Prawda. Nieudawanie przed sobą, że jest dobrze, kiedy jest źle. Ani że jest źle, kiedy jest nieźle. Z tego wszystko inne wynika. Można powiedzieć, że najważniejsza jest miłość, przyjaźń, ale one też pochodzą od prawdy. Chociaż ona może czasem boleć, straszyc.

Czym straszyć?

Spotkaniem z nieciekawymi uczuciami. Ale to też jest prawda o nas. I tak jest w porządku.

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Z „Tygodnikiem” na majówkę!

Zamów prenumeratę z dostawą do domu

22 kwietnia 2020 ukaże się podwójne wydanie „Tygodnika Powszechnego” na majówkę. Niezależnie, gdzie ją spędzisz – w domu, na balkonie czy w ogródku – dostarczymy „Tygodnik” do Twojej skrzynki pocztowej! Zapraszamy do skorzystania z promocji **#tygodnik na majówkę**, w ramach której otrzymasz **w cenie zwykłej prenumeraty** na 3 miesiące – także natychmiastowy, miesięczny dostęp online oraz prezent – jubileuszowy notes „Jerzy Turowicz. Książka do pisania”.

Chcielibyśmy, by „Tygodnik Powszechny” był tą przestrzenią, w której będziecie się dobrze czuli i w której z przyjemnością spędzicie tegoroczną majówkę i kolejne wiosenne tygodnie.

Zespół „Tygodnika Powszechnego”

Tylko **I20 zł**

a w tym:

- 13 numerów wydania papierowego
- dostęp cyfrowy online – GRATIS
- PREZENT – jubileuszowy notes „Jerzy Turowicz. Książka do pisania”



Co zyskujesz? Zobacz szczegóły wiosennej promocji i zamów na stronie:

powszech.net/tygodniknamajowke

UWAGA! Aby mieć pewność rozpoczęcia prenumeraty na czas
– złóż zamówienie **przed 14 kwietnia 2020!**

Kontakt w sprawie prenumeraty:

Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 668 479 075 lub e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl – wydania drukowane

Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 lub e-mail: kontakt@powszechswiat.pl – wydania cyfrowe

Regulamin prenumeraty i promocji na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation

weź, czytaj!



DOKUMENT



KSIĄDZ BONIECKI

Tam, gdzie rozbiję swój namiot,
jestem w domu



Aleksandra Potoczek:

Czy nadążaliśmy?

Mimo sympatii, jaką ksiądz

nas z czasem obdarzył, do końca zdjęć nie potrafił się przyzwyczaić, że czasami trzeba na nas zaczekać, bo kamery ważą swoje...



...no i wraz z operatorem
zdaliśmy sobie sprawę,
że jednak kiepsko biegamy.

Biegny: Adam Palenta, Aleksandra Potoczek,
Szymon Sinoff i Tomasz Kochan.
Rudki na Ukrainie, maj 2019 r.

DEBET DOBREGO SPOTKANIA

ALEKSANDRA POTOCZEK, REŻYSERKA FILMU „XABO”:

Ksiądz żyje w świecie skrajnie dwubiegunowym: w świecie pełnym harmidru, setek pytań, telefonów – i w świecie ciszy, ze swoją wiarą i z tym bagażem, który ludzie przynoszą mu podczas spotkań.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

ANITA PIOTROWSKA: Młoda reżyserka, wchodząca w świat dokumentu, zdecydowała się zrobić film o ks. Adamie Bonieckim. Kim on dla Ciebie jest?

ALEKSANDRA POTOCZEK: Nie wiem, czy umiem na tak osobiste pytanie odpowiedzieć, zresztą mowa tu o kimś, kto w moim życiu odegrał wiele ról.

Ja po prostu bardzo lubię swojego bohatera, choć nasłuchiwałam się od różnych osób, że dla filmu to jednak nie-dobrze (*śmiech*). Dla mnie ks. Adam jest przede wszystkim postacią, o której mogłabym powiedzieć, że życzyłabym so-

bie, ażeby wszyscy ludzie, którzy tłumnie go otaczają, postępowali tak jak on. Jestem wdzięczna, że użyczył mi dostępu do świata spraw ważnych i pozwolił mi zamknąć się w tym świecie na trzy lata. Dziś zapewne pełni dla mnie rolę trochę ojcowską. Wiem, że zawsze mogę do niego przyjść i o coś zapytać, choć – jak mawia w filmie – „nie nadużywam, żeby nie zanudzać”.

W 2006 r. powstał dokument Agnieszki Arnold „Dzięki Bogu za Bonieckiego”. Ty chciałaś nakręcić film zupełnie inny.

Jedyne, co wiedziałam od początku, to jakiego filmu nie chcę nakręcić. Nie interesował mnie na pewno film biograficzny czy portret ks. Adama w oczach innych. Chciałam, żeby to była intymna, kameralna historia. Od razu też odrzuciłam takie tematy, jak kontrowersje wokół księdza, zakaz jego wypowiedzi w mediach czy cały ruch społeczny stojących w jego obronie, skądinąd bardzo słuszny. Postanowiłam zrobić film jeszcze przed nałożeniem na niego kolejnego zakazu, mogłam więc wszystko obserwować z dość bliskiej perspektywy. To tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, jak ważna jest postać księdza i jakiego rodzaju potrzeby w ludziach rozbudza. Chciałam nakręcić film o człowieku, który żyje w dwóch rzeczywistościach: w świecie totalnego oddania innym, swoistego „uzależnienia” od rozmowy – i w świecie własnym, bardzo osobnym, nie do końca możliwym do uchwycenia. Z czasem pojawiło się jeszcze kilka innych ważnych tematów.

Jakimi argumentami przekonałaś księdza do udziału w filmie? Podobno nie było łatwo.

Początki zapowiadały się dobrze. Do księdza przyprowadziła mnie bliska znajoma Maja Kuczińska, jego współpracowniczka z „Tygodnika”. Poręczyła za mnie, przedstawiła w lepszym niż trzeba świetle, poprosiła księdza o wyrozumiałość i otwartość. Ksiądz powiedział, że się zastanowi, ale generalnie był na nie, nie



W Potworowie, gdzie znajdował się majątek rodzinny, w którym ks. Adam Boniecki spędził pierwsze lata życia.
Od lewej: Maria Fredro-Boniecka i Aleksandra Potoczek, maj 2019 r.

widział sensu ani potrzeby. Najgorsze, że ja to jego nastawienie rozumiałam – że film będzie dla niego tylko utrapieniem. Wracałam jednak z tym pomysłem jeszcze wiele razy i w końcu ksiądz zgodził się, żebym jeździła za nim po Polsce na spotkania z czytelnikami – ale bez kamery i tak, żeby mnie nie widział. A on tymczasem będzie się za mnie gorąco modlił, żebym zrezygnowała. I tak zaczął się etap, który miał w sobie coś ze śledztwa, bo ksiądz nie mówił nam wtedy, gdzie bywa.

Od razu założyłam, że odpuszczam wszelkie metody pracy dokumentalnej z bohaterem, których mnie uczono.

Wiedziałam też, że wyszukanyimi argumentami, pochlebstwami czy zaprzeczaniem się na siłę nic nie wskóram. Projekt rozwijałam na kursie dokumentalnym w Szkole Wajdy i przez ponad pół roku przychodziłam na zajęcia mówiąc, że jeszcze nie wyciągnęłam kamery. Wszyscy bardzo mnie wspierali, ale w duchu pewnie załamywali nade mną ręce. A księdza przekonałam chyba wytrwałością.

Zaskakiwało go i bawiło, że niespodziewanie zjawiam się w różnych miejscach. Po jakimś czasie nadał mi przydomek „cień” i przedstawiał jako osobę o chorobliwej pasji. Po dwóch latach zostałam „panią reżyser”, choć zawsze mówił to z odpowiednim uśmiechem. Wydawało mi się, że po prostu machnął na mnie ręką – „jak chce, niech jeździ” – ale

z czasem chyba to polubił i nawet troskał się o naszą filmową gromadę.

A „z punktu widzenia dokumentu” co wydało Ci się najbardziej intrygujące w tej postaci?

Od początku najbardziej interesowała mnie wspomniana już „podwójność” księdza, objawiająca się w kilku wymiarach. On naprawdę uwielbia ludzi, są jego paliwem, bycie z ludźmi to jego zawód i misja, bez względu na to, czy czerpią z tego tyle, ile by mogli, czy jest to postawa raczej „fanowska”.

Ksiądz pewnie by się skrzywił na to określenie, ale takich ludzi jest całkiem sporo – im po prostu dużo daje sama jego obecność, możliwość zadania mu pytania, bo czasem odpowiedź schodzi na dalszy plan. Myślę, że on to szanuje i tego nie ocenia. Z drugiej strony, dostrzegłam u księdza pewną niezależność, niedostępność, może introwertyzm. Zostało mi w głowie to, co po dłuższym przebywaniu z naszym bohaterem napisał mi Adam Palenta, doświadczony dokumentalista, jeden z dwóch wspaniałych operatorów, którzy pracowali nad tym filmem. Powiedział mianowicie, że ks. Boniecki jest najtrudniejszym jego bohaterem, bo nie sposób go kamerą przeniknąć. I że nieraz podczas realizacji zdjęć wyczuwał granicę, którą ksiądz pozwoliłby przekroczyć chyba tylko Bogu.

Jeśli brzmi to patetycznie, to dodam, że między oboma Adamami nawiązała

się na planie specyficzna relacja – bliska, ale oparta na szorstkiej sympatii, wypełniona sarkastycznym humorem. Tym bardziej zapamiętałam te słowa.

W filmie próbujesz zrozumieć fenomen Adama Bonieckiego.

Fascynowało mnie, co takiego jest w tej postaci, że tłumy lgną do niej po receptę na dobre życie.

Pamiętam, że jeszcze na etapie dokumentacji, kiedy ksiądz zgodził się, że bym mu towarzyszyła w spotkaniach, i miał szczerą nadzieję, że mnie to zniechęci, przysłałam na jedno z takich spotkań w POLIN. Na miejscu byłam dwie godziny wcześniej, co dało mi wtedy, jak policzyłam, miejsce tysięcy w kolejce osób będących w nadkomplecie, a których muzeum nie mogło wpuścić ze względów bezpieczeństwa. Przy bramkach trwały negocjacje ze strażnikami, z góry skazane na niepowodzenie. Były kłótnie, prośby, opowieści o przebytej podróży, odwoływanie się do sumień strażników i do Najwyższego. Były też nielegalne próby ominięcia bramek, czyli sceny z pozoru komediowe, ale unosił się taki duch, jakby ci ludzie przyszli po coś bardzo dla nich ważnego. I dla kogoś, komu instytucja, do której sami przynależą, nie chce dać pełnego głosu. Ci ludzie ten głos mu dali.

Na spotkaniu padały różne pytania, czasem z gotową tezą: o zły rząd, o patologię w Kościele, ale były także pytania ➔



Ks. Adam Boniecki: Nie chcę ludzi ze sobą wiązać.

W tym punkcie im się przydałem, potem nasze drogi, które raz się przecięły, się rozchodzą. Wiem zresztą, mam nadzieję, że jeśli znów będę im potrzebny, to mnie znajdą.

Po lewej: W restauracji na trasie Warszawa–Kraków, poniżej z Aleksandrą Potoczek i Grażyną Makarą podczas zdjęć na Ukrainie. Powyżej: Coroczny wyjazd z klubami „TP”, Kalnica, wrzesień 2019 r.

→ bardzo osobiste: jak żyć, w co wierzyć? Uświadomiłam sobie, że ludzie oczekują od księdza przede wszystkim dialogu o zwykłych ludzkich sprawach, o wartościach. My wszyscy mamy dzisiaj „debet” dobrej rozmowy.

Nakręciłaś dokument o kapłanie, który po partnersku rozmawia nie tylko z innymi autorytetami – z s. Małgorzatą Chmielewską czy prof. Bogdanem de Barbaro – ale też z przypadkowo spotkanymi ludźmi. Wyłania się z tego filmu postać nieustraszonego pielgrzyma.

Czy trudno za nim nadążyć?

Ksiądz jest właściwie cały czas w ruchu i w podróży.

Pamiętam wyjazd o szóstej rano ze stolicy, po drodze spotkanie z młodzieżą, kilkaset kilometrów za kółkiem i wieczorny chrzest na Pomorzu. Rodzice chrzestnego zadeklarowali, że albo dziecko ochrzci Boniecki, albo nie ochrzci go wcale. Z kolacji po chrzcie wyszliśmy z operatorem skonani, około godziny dwudziestej trzeciej, ale ksiądz został.

Następnego dnia o szóstej w miejscowym kościele odprawił mszę i pojechał dalej.

To świetnie brzmi jako anegdota, ale wiele razy byliśmy z ekipą zadziwieni patrząc na księdza – ile może wytrzymać bez jedzenia, na ile pytań w ciągu jednej doby odpowiedzieć. Ale także złośczeni, że ludzie tego nie dostrzegają. Często, po wyczerpujących dniach w podróży, próbowaliśmy interweniować, prosić księdza, by nie dawał się tak zamęczać.

Odpowiadał tylko z przekąsem: „Znałeś się ci, co nie męczą”. Na początku śmiałam się, że te spotkania z księdzem są jak koncerty rockowe, ale po „koncertach” było jeszcze odbieranie prywatnych telefonów, prośby o kolejne *selfie*, wizyty u chorych, pomoc tym, którzy na ten moment pomocy oczekiwali, i zwykła praca duszpasterska. A także rozmowy, rozmowy, rozmowy.

Czy nadążaliśmy? Mimo sympatii, jaką z czasem ksiądz nas obdarzył, do końca zdjęć nie potrafił się przyzwyczaić, że czasami trzeba na nas zaczekać, bo kamery ważą swoje i chwilę zajmuje ich ustawie-

nie. No i wraz z operatorem zdaliśmy sobie sprawę, że jednak kiepsko biegamy.

„xABo” powstał w dużej mierze dzięki hojności prywatnych darczyńców, co świadczy o tym, że taki film jest po prostu ludziom potrzebny.

Na szczęście znalazło się wiele osób, które bezinteresownie się w ten projekt zaangażowały, wkładając swój czas, energię, cierpliwość i pieniądze. Ale na naszej drodze pojawiali się nie tylko przyjaciele Adama Bonieckiego. Byli też jego antyfan.

Oczywiście, w dużej dysproporcji wobec tego, co przynosi prawdziwe życie, bo obecność kamery ma przemożny wpływ na kulturę osobistą. Kilka z takich przypadkowych spotkań z antyfanami udało się zarejestrować i znalazły się w filmie. Mimochodem wyłania się z niego współczesny obraz Polski podzielonej.

Swoim filmem nie stworzyliście księdzu pomnika. Bohater nie jest też typem dobrotliwego staruszka.



Ks. Adam Boniecki: Każdy z nas niesie walizkę rozpacz, która dotyczy spraw niespełnionych, niedokonanych, źle dokonanych. (...) Może to jeszcze trudniejsze dla wierzącego, żeby nie wycofać się z tego okropnego chwilami życia, żeby nie zaprzestać budowania dobra.

Po lewej: Z Mają Kuczmąską na dworcu kolejowym w Gdańsku, czerwiec 2019 r.

Nie jest, i to właśnie tworzy z niego pełnowymiarowego bohatera. Staraliśmy się nie naruszać jego odrębności, a jednocześnie przebić się przez jego publiczny wizerunek. Pokazać, że bywa zmęczony, znudzony, strapiiony, rozczłuszczony, że za szybko jeździ autem i jada w McDonalddie. Ksiądz miewa też ostre riposty, co często wprawia w osłupienie tych, którzy przychodzą po „dobrotliwość”. Przede wszystkim jednak potrafi, nie obrażając przy tym swego rozmówcy, pokazać mu, że być może nie ma racji.

Próbowaliśmy także uchwycić napięcia tkwiące w nim samym. Z jednej strony, jest częścią Kościoła i choć czasem ich drogi się rozchodzą, pozostaje mu wierny, a z drugiej – bywa postrzegany jako wywrotowiec, który tej instytucji przysparza kłopotów i musi się z nią mierzyć. Mimo to ks. Adam stara się przede wszystkim pozostać sobą i konsekwentnie podąża drogą, którą kiedyś wybrał.

„xABO” to film-rozmowa, ale także film o milczeniu – kolejne wyzwanie dla twórców.

Milczenie, czyli momenty, w których ksiądz jest sam ze sobą i ze swoim Bogiem, to temat, który chyba najdłużej „obracałam” w głowie. Jedną ze scen zrealizowaliśmy nocą w kaplicy, podczas czuwania na rekolekcjach, w całkowitej ciszy, schowani za organami. I była to chwila, w której poczułam, że to, co wydawało mi się nieopowiadalne, jednak uda

się opowiedzieć. Chciałabym wierzyć, że się udało. Ksiądz żyje w świecie skrajnie dwubiegunowym: w świecie pełnym hamidru, setek pytań, telefonów – i w świecie ciszy, ze swoją wiarą i z tym bagażem, który ludzie przynoszą mu podczas spotkań. Jak filmowymi środkami pokazać wiarę, dialog z Bogiem i czy da się to zrobić właśnie przez milczenie – to było największe wyzwanie.

Kamera zatrzymuje się w filmie przed bramą klasztoru. Czy napotkaliście na jakiś opór ze strony instytucji?

Nigdy nie chciałam dokumentować klasztorowego życia. Tak jak nigdy nie planowałam, żeby zakaz wypowiedzi nałożony na ks. Adama przez jego przełożonych zakonnych był przedmiotem filmu.

To temat, który przetoczył się przez media, a ja wołałam zrobić film trochę wbrew temu, co samo się narzuca. Podczas naszych rozmów z przełożonym Zgromadzenia Księży Marianów stało się jasne, że nie będziemy mieli dostępu do życia zakonnego i ta sprawa została uczciwie od początku postawiona. Przełożony upewnił się również, czy nie jestem dziennikarką telewizyjną i czy na pewno realizujemy film dokumentalny, a nie sensacyjny materiał reporterski. I życzył mi szczęścia.

Mój dokument w założeniu miał być „rozmową w drodze”, dlatego życie klasztorne zostawiłam jako coś, co dzieje się

bardziej w słowach. Temat zakonny pojawia się w filmie, ale jako naturalne środowisko księdza – choć podróż, w jaką ruszył po Polsce, jest jednak konsekwencją wspomnianego zakazu.

Nakręciliście kilkaset godzin fascynującego materiału, z czego powstał siedemdziesięciminutowy film.

Czego nie udało się w nim zmieścić?

Nie weszła m.in. rozmowa z Ewą Negrusz-Szczęsną, wdową po Piotrze Szczęsnym, czego bardzo mi szkoda. Wyprawa na wieś do domu pomocy dla byłych więźniów, prowadzonego przez ks. Józefa Krawca, to też wyjątkowy dla mnie materiał.

Bardzo żałuję zdjęć ze wspólnej podróży na Ukrainę, która w filmie znalazła się tylko w małym fragmencie, nieosadzonym w miejscu i czasie, kiedy ksiądz odprawia mszę w pustym wiejskim kościele. Z sentymentem wspominam tamtą podróż, bo te kilka dni na Ukrainie i dziewięć godzin oczekiwania na granicy sprawiły, że poczuliśmy się jak prawdziwa ekipa, i zwyczajnie, mimo trudów, było nam razem dobrze. Widocznie ta podróż miała spełnić funkcję inną niż filmowa. Do znudzenia będę opowiadać historię, kiedy koło trzeciej w nocy, po kolejnych dyskusjach z celnikami, wróciliśmy do samochodu i zastaliśmy księdza śpiącego, ale ręką ochraniającego naszą kamerę. Wtedy poczułam, że chyba jesteśmy z filmem w dobrym miejscu.



Ks. Adam Boniecki: Do jakiego Boga się nie modłę? W jakiego Boga nie wierzę? W Boga, który czyha, by przytłapać człowieka na grzechu czy słabości. W Boga, który potępia rzeczy materialne. W Boga, który kocha cierpienie...
Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Rudkach na Ukrainie, maj 2019 r.

⇒ Jak zareagował ks. Adam, kiedy obejrzał gotowy film?

Bardzo się tym stresowałam i wiele razy w trakcie wspólnej projekcji zadawałam sobie pytanie: „Jakie ja mam prawo opowiadać o czyimś życiu?”. Bo przecież film zawiera jedynie moje wyrywkowe spojrzenie na bohatera. Gdyby zapytać o chwilę, kiedy chciałam wycofać się z robienia tego dokumentu, to był właśnie ten moment, podczas specjalnego pokazu dla księdza. Obaw miałam mnóstwo i myślę, że opowiadanie dziś o nich byłoby czymś na kształt neurotycznej spowiedzi. Tymczasem ksiądz zareagował na film bardzo dobrze. Powiedział, że czuł się, jakby oglądał film nie o sobie. Że wciągnął się i chwilami zapominał, iż to on jest na ekranie. Podziękował mi też, że nie dostał laurki ani hymnu pochwalnego. Było to dla mnie bardzo ważne.

„xABO” należy do tej kategorii filmów, które mają moc prawdziwego spotkania. Albo działają niczym medytacja. „To film na nasze czasy” – mówią ci, którzy już go widzieli. Jak się osiąga taki efekt?
 O to trzeba zapytać bohatera.

© Rozmawiała ANITA PIOTROWSKA

ALEKSANDRA POTOCZEK jest reżyserką filmów dokumentalnych, programów o tematyce filmowej i kulturalnej, wykładowcą w SWPS w Warszawie. Absolwentka UJ, PWSFTviT i Wajda School. Jej film dokumentalny „Voyage, voyage” (2017), opowiadający o Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie, zdobył nagrodę na festiwalu Cannes Corporate Media & TV Awards i na World Media Festival w Hamburgu. Jest laureatką nagrody Phil Epistemoni (Przyjacielowi Nauki) przyznawanej przez Kolegium Rektorów Szkół Wyższych Krakowa.



Powyżej: Ekipa filmowa w Bieszczadach – Hubert Betlej, Aleksandra Potoczek i Adam Palenta, wrzesień 2019 r. Obok: ks. Adam Boniecki chroni kamerę, polsko-ukraińskie przejście graniczne, trzecia nad ranem, maj 2019 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Przyjaciele „TP”,

prace nad filmowym portretem księdza Adama Bonieckiego dobiegają końca. Premiera filmu odbędzie się na przełomie maja i czerwca podczas internetowej edycji 60. Krakowskiego Festiwalu Filmowego. Niezwłocznie po otwarciu kin w całej Polsce film – dzięki współpracy z dystrybutorem, firmą Gutek Film – trafi na ich ekrany. Później przyjdzie czas na VoD i telewizję.

Oczekując na premierę, chciałbym podziękować tym, bez których film by nie powstał. Przede wszystkim ks. Adamowi Bonieckiemu – za to, że zgodził się, aby przez blisko trzy lata towarzyszyła mu ekipa filmowa.

Dziękuję Aleksandrze Potoczek, pomysłodawczyni, autorce scenariusza i reżyserce filmu – za to, że przyszła do nas ze swoją własną wizją takiego portretu ks. Bonieckiego. Za to, że uznała środowisko „Tygodnika” za naturalnego partnera w tej przygodzie. I przede wszystkim – za efekt Jej pracy.

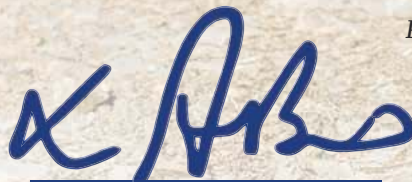
Dziękuję też wymienionym poniżej członkom ekipy filmowej oraz zespołu projektowego z „Tygodnika” i Fundacji TP.

Podziękowania zechcą przyjąć koprodukcji filmu: TVN S.A. oraz Krakowskie Biuro Festiwalowe – operator Regionalnego Funduszu Filmowego w Krakowie. Za patronat honorowy nad filmem dziękujemy Prezydentowi Miasta Krakowa prof. Jackowi Majchrowskiemu.

I wreszcie wyrazy najgłębszej wdzięczności chciałbym przekazać osobom i instytucjom, dzięki którym zgromadziliśmy fundusze na pokrycie kosztów niemal trzyletniej produkcji filmu. Partnerom, Mecenasom, Sponsorom i dwóm tysiącom Darczyńców: uczestnikom zbiórki na Facebooku oraz darczyńcom bezpośrednim, którzy przekazali darowizny na nasz rachunek bankowy. Dziękujemy Państwu za zaufanie. Jesteśmy przekonani, że film spełni Wasze oczekiwania.

Aleksander Kardys
Producent filmu,

Prezes Fundacji Tygodnika Powszechnego



KSIAZDZ BONIECKI

SCENARIUSZ I REŻYSERIA: Aleksandra Potoczek

WSPÓŁPRACA REŻYSERSKA: Adam Palenta

ZDJĘCIA: Adam Palenta, Szymon Sinoff

MONTAŻ: Marcin Sucharski

DŹWIĘK: Tomasz Kochan

MUZYKA: Hania Rani

KIEROWNIK PRODUKCJI: Lidia Barankiewicz

PRODUCENT WYKONAWCZY: Agnieszka Iskra

OPIEKA ARTYSTYCZNA: Vita Żelakeviciute

INSPIRACJA: Maja Kuczińska

WSPÓŁPRACA OPERATORSKA:

Paweł Chorzępa, Andrzej Starszewski

DŹWIĘK NA PLANIE:

Hubert Betlej, Wojciech Fularz, Janusz Wiglusz

WSPÓŁPRACA NA PLANIE: Dawid Drożdż

WSPÓŁPRACA MONTAŻOWA: Michał Hermański

KOREKCA BARWNA: Tomasz Poznański

REŻYSERIA DŹWIĘKU: Robert Docew

POSTPRODUKCJA CYFROWA:

Multilab – Krakowski Park Technologiczny

EFEKTY SPECJALNE: Robert Bigos
POSTPRODUKCJA DŹWIĘKU: Spot – Muzyczne Studio

Produkcyjne, Magda Mitoń

FOTOSY: Grażyna Makara

FUNDRAISING: Patryk Stanik

PROMOCJA: Fine Day Promotion

Agnieszka Rostropowicz-Rutkowska

WSPÓŁPRACA:

Małgorzata Banasiewicz-Kawka,

Bartosz Pietras, Jacek Prusak, Robert Styczeń,

Grzegorz Trochanowski, Paweł Ziemilski

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA:

Maja Kuczińska, Michał Kuźmiński,

Piotr Mucharski, Anita Piotrowska,

Jacek Ślusarczyk, Marcin Żyła

WSPÓŁPRACA PRODUKCYJNA:

Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,

Iwona Kuciel, Tatiana Matysiak,

Edyta Płachta, Katarzyna Wilk

Specjalne podziękowania od autorki filmu zechcą przyjąć:

Lidia Barankiewicz, Milenia Fiedler,

Anna Gawlińska, Anna Goc, Jarosław Kamiński,

Waldemar Krzyszkowiak, Maja Kuczińska,

Ewa Negrusz-Szczęsna, Anita Piotrowska,

Anna Piór, Jarosław Potasz, Grażyna Potoczek,

a także Maciej Cuske, Marcel Łoziński,

Vita Żelakeviciute

oraz uczestnicy kursu DOK PRO

w Szkole Wajdy 2017/18 i 2018/19:

Adam Buka, Jakub Duszyński,

Łukasz Kowalski, Mikołaj Lizut, Ania Mazerant,

Martyna Peszko, Luis Perez Sorribes,

Anastazja Tycha, Agnieszka Wołowczyk,

Łukasz Woś

PRODUKCJA:



SPONSOR GŁÓWNY:



WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie

SPONSORZY:



MECENAT:



DYSTRYBUCJA:



PARTNER:



KŁĘBEK

IWONA CHMIELEWSKA, ILUSTRATORKA I PISARKA:

Przed czterdziestką, kiedy pozbyłam się włosów,
otworzył się w mojej głowie jakiś kanał,
do którego ważne rzeczy spływają,
a niepotrzebne z niego wylatują.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Są króciutkie.

IWONA CHMIELEWSKA: Jeszcze niedawno nie było ich wcale.

I jak to jest?

Kiedys ich już nie miałam. Przed skończeniem 40. roku życia poczułam nieodpartą chęć, by ogolić głowę. Zadzwoiłam po przyjaciółkę, by natychmiast przyszła z maszynką.

Zdziwiła się?

Trochę. Bo to było zupełnie nieracjonalne, nie miało uzasadnienia. Ale pomyślałam, że jak to teraz zrobię, otworzą się nowe możliwości. Chodziło o te zawodowe. Bo w życiu osobistym zamieszalo się, lecz miłość była: byłam już z drugim mężem, miałam małego synka, moje czwarte dziecko.

A to radykalne cięcie włosów?

Kiedy po latach polecałam do Korei Południowej, dowiedziałam się, że postąpiłam jak mnich buddyjski. Ogolenie głowy jest jak otwarcie się na siły płynące z góry i skupienie się na wnętrzu. Tej świadomości trzymałam się przez kolejne lata.

A rok temu, w maju, miałam mieć spotkanie autorskie. Byłam już po pierw-

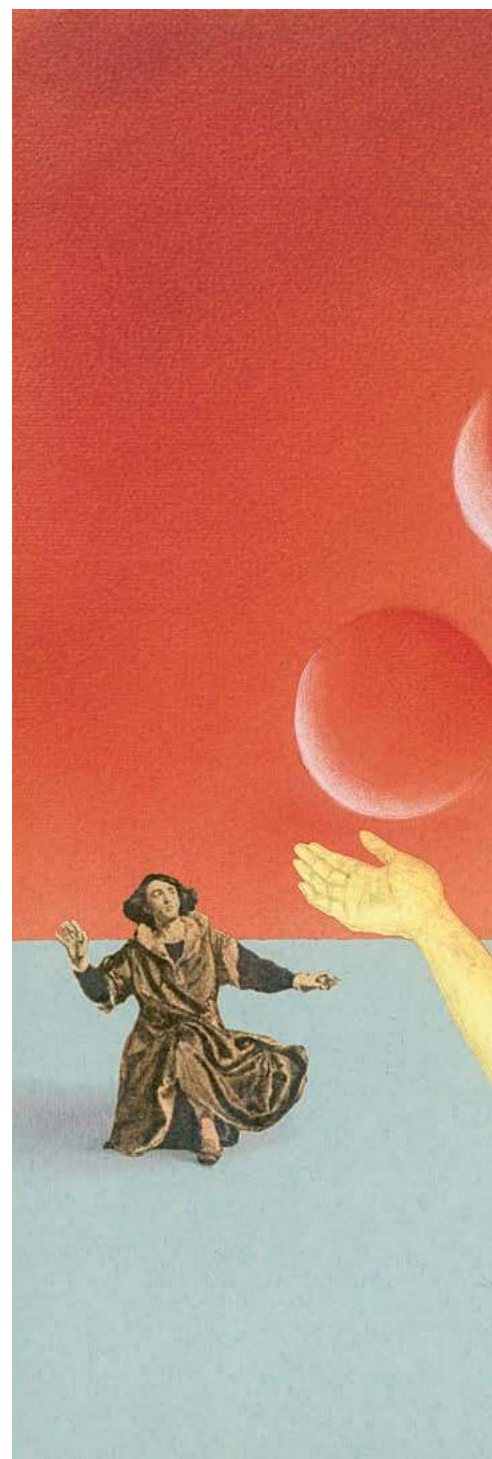
szej chemioterapii. Myślałam: „Włosy na pewno mi nie wyjdą, nie, nie, to nie może mnie dotyczyć. Teraz wklepię sobie taką super odżywkę”. Wklepałam, po czym wyjęłam całą garść razem z tą odżywką. To było godzinę przed spotkaniem – nie mogłam go odwołać.

I?

Po spotkaniu zadzwoniłam do córki, przyjechała i ogoliła mnie. Został półcentymetrowy meszek, ale i on zaczął się sypać – po tygodniu moja głowa stała się lśniącem kolanem. Nie było to przyjemne.

Potem, na Dzień Matki, dzieci kupiły mi piękną perukę: włosy, o jakich zawsze marzyłam, fryzura Meg Ryan z filmu „Masz wiadomość”. Tylko że przyszły upały i Meg zaczęła spływać potem. A po chemioterapii byłam do tego stopnia osłabiona, że dosłownie czułam, jak peruka ściska mi łeb. Nie dałam rady jej nościć. Więc zaczęłam szyć czapki – bawełniane, fikuśne, patchworkowe. To pomogło – gdy zakładałam czapkę na głowę, czułam się chroniona przed wzrokiem ciekawych. Choć myślę, że to od razu widać.

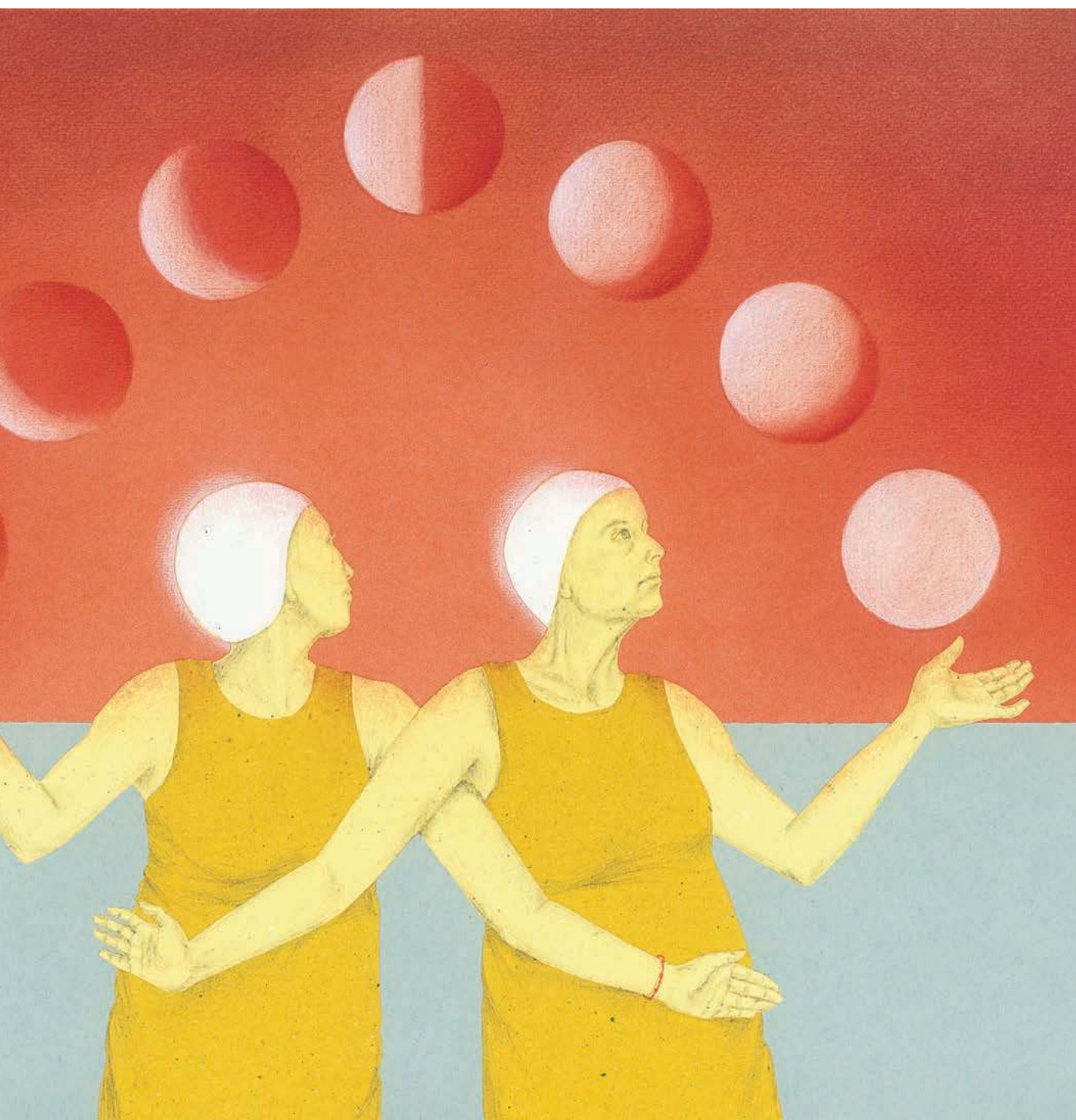
Pytali?



Czasem mieli pytanie w oczach. Najpierw było mi z tym źle, a potem normalnie.

A co z peruką?

Przedwczoraj obiecałam ją koleżance, która jest po drugiej chemioterapii. Bardzo się ucieszyła i powiedziała: „Od dziecka marzyłam, by być blondi” (jest brunetką).



IWONA CHMIELEWSKA

Ilustracja z książki Justyny Bargielskiej „Obie”, Wydawnictwo Wolno, 2016 r.

Peruka idzie dalej w świat!

Służyć innej kobiecie. A wtedy jeszcze, w maju, po mojej drugiej chemioterapii, nagle zmarł mąż córki. Kochany młody człowiek...

Trudno mi o tym mówić, ale wtedy wszyscy – moje dzieci, moi bliscy, przyjaciele moi i mojej córki – poczulśmy, że jesteśmy istotami społecznymi. Bo sądzimy, że jesteśmy wolnymi, niezależ-

nymi istotami, prawda? A tak nie jest. Kiedy zupełnie opadłam z sił i po chemii nie dawałam rady samodzielnie wsiąść do samochodu i wrócić do domu, zobaczyłam, jak bardzo jestem bezradna i zależna...

I ta cała trudna sytuacja – żałoby po zięciu i mojego leczenia – uświadomiła mojej rodzinie, jak bardzo potrzebujemy sobie pomagać, być blisko i na nowo o te

relacje zadbać. By się o siebie troszczyć. Bo gdy dzieci są dorosłe, te relacje jakoś kostnieją.

Wpadają w koleiny?

Coś w tym rodzaju. A moja córka po mężu odziedziczyła domek w Borach Tucholskich – to takie szczęście w nieszczęściu. Zaproponowała: „Mamusi, a może byście tam pojechali?”. I pusty →

→ domek w środku lasu, nad jeziorami, okazał się dla mnie cudownym sanatorium. Bo moje leczenie zaczęło się, kiedy było piękne upalne lato, a odporność wariowała – musiałam na siebie szczególnie uważać. Po każdej chemii jechałam do domku w Borach i czułam się tam szczęśliwa.

To było prawdziwe schronienie?

Bardzo to doceniam... I to nie tylko od momentu, kiedy zaczęłam się leczyć. Ciągłe się otaczałam i otaczam książkami o Zagładzie, o obozach, o wojnie, o tym, że ludziom było i jest trudno. Czuję wdzięczność, kiedy otwieram kran, z którego leci woda, w piekarni mogę kupić chleb, a gdy patrzę na talerz zupy... Ach nie, nie powinienam tego mówić.

Proszę...

Gdy patrzę na pełny talerz, to myślę sobie, ilu ludzi tą zupą mogłoby się najęść. Albo ilu ludzi mogłoby się położyć na podłodze mojego pokoju. Tak naprawdę wewnątrz jestem przygotowana do przetrwania.

To znaczy?

Mam w sobie mentalny umiar: potrafię się ograniczyć, cenić to, co mam. Dziś, kiedy ogłoszono pandemię, przypomniałam sobie stan wojenny i kartki na żywność. Przeszliśmy przez to wszyscy w moim pokoleniu.

I wcale nie było tak źle.

Nawet było bliżej: ludzie częściej ze sobą rozmawiali, choć nie mieli tych cudownych komunikatorów, spotykali się, przychodzili w odwiedziny bez zapowiedzi. Teraz, niestety, tego najbardziej brakuje. Ale mamy za to internet i telefony.

A co książkami o Holokauście? Bo nie tylko je Pani czyta, ale i tworzy: „Pamiętnik Blumki”, „Dopóki niebo nie płacze” czy „Mama zawsze wraca” z Pani ilustracjami do tekstu Agaty Tuszyńskiej.

Ja jestem wielką życiową szczęściarą. A ponieważ jesteśmy jak naczynia połączone, powinienam troszeczkę tego szczęścia upuszczać i dzielić się nim w ten sposób, że biorę na siebie cudze nieszczęścia.

Oj, nie...

Nie wiem, czy to mądre i właściwe podejście, ale tak mam. Mam czworo zdro-

Jestem życiową szczęściarą.

A ponieważ jesteśmy jak naczynia połączone, powinienam troszeczkę tego szczęścia upuszczać i dzielić się nim w ten sposób, że biorę na siebie cudze nieszczęścia.

wych dzieci, mam kochającego męża, którego też bardzo kocham, mam gdzie mieszkać, mam pracę, która jest moją pasją... Mam dobra, a są ludzie, którzy tego albo nie mieli, albo nie mają. Nie umiem organizować akcji charytatywnych, nie jestem wolontariuszką, nikogo nie ratuję – co mogę zrobić, to podzielić się swoim spokojem. Mam sporą odporność w przeżywaniu trudnych historii. Niektórzy znajomi mówią: „Ja bym tego w ogóle nie mógł czytać, nie opowiadaj o tym, nie chcę tego nawet słyszeć...”. I nie wiem, na czym to polega – jestem dosyć delikatna, a jednocześnie mam grubą skórę. To może głupie, co powiem, ale czasem czuję, jakby był nade mną palec wskazujący: „Ty masz to zrobić, bo jesteś do tego zdolna, ty będziesz wiedziała, jak innych przeprowadzić przez tę historię”.

Pełna zgoda, swoimi książkami przeprowadza nas Pani przez okrutny świat.

No, niektórzy mówią, że dlatego dostałam raka, właśnie z powodu stresu. Ale ja tak nie uważam: on jest z innych, niewiadomych powodów. Jest darem, który poszerzył mi świadomość. Chociaż... Ten stres jest duży, przyznaję. Pracując nad książką „Mama zawsze wraca” prawie w ogóle nie spałam.

Od napięcia?

I od odpowiedzialności. Cały czas fabryka pracuje w głowie: „Jak to zrobić? Jak to pokazać? Jak nikogo nie urazić?”. Niepewność połączona z odpowiedzialnością właśnie.

Zaczęło się od „Pamiętnika Blumki”, potem było „Dopóki niebo nie płacze”, teraz „Mama zawsze wraca”. Czy mam prawo tego dotykać jako szczęśliwa

osoba w XXI wieku, co ja o tym wiem, czy umiem to pojąć i pokazać?

Holokaustu nie da się zrozumieć.

I też nie da się opowiedzieć o Holokauście ukończyć. Ona jest bezkresna. Obok piwnicy, w której ktoś się ukrywał, była inna piwnica, albo szafa, albo ziemianka... I poza tymi piwnicami działo się tyle strasznych rzeczy. Opowieść o Holokauście rozchodzi się na zasadzie fraktalowej. I ja, żeby być uczciwą i szczerą, muszę się chwycić czegoś niepewnego i swojej bezradności.

Określam to jako „poezję”. Bo poezji nie musimy rozumieć: czujemy ją i pod wpływem doznania zaczynają nam płynąć łzy. Dotknięte jest w nas to coś, pierwotne i szczerze. Tworząc książkę, zamknięty, niezmienialny twór, który wypuszczam w świat, mam doprowadzić do tego, by ludzie mogli nałożyć na tę historię o mamie, która zawsze wraca, swoje prywatne doświadczenia, wzruszenia. Dlatego muszę być zdyscyplinowana i granice, które sobie stawiam na początku pracy, ratują moją opowieść przed chaosem.

W Pani biblioteczkę widzę „Wystarczy” Szymborskiej, ostatni jej tomik. To są wiersze, które pomagają w pracy?

W czasie leczenia czytałam głównie poezję. Nie tylko Szymborskiej, ale też Zagajewskiego, młodych poetów. Na długie narracje nie miałam siły. Może to wynikało z osłabienia, a może właśnie z potrzeby umiaru, zwężonego widzenia świata. W pewnym momencie poczułam, że nie mogę już nic czytać, że wolę patrzeć na chmury, na gałęzie, na cienie. Jeszcze wtedy nie miałam psa, niestety.

Kiedy pojawił się pies?

Po operacji, to był koniec listopada. Ale w Borach Tucholskich miałam ptaki.

Budziły Panią o czwartej rano?

To było lato i wtedy ptaki trochę już milkną. Ale rano i wieczorem krzyczą żurawie. Z zachwytem obserwowałam też ciche ptaki. Wie pani, że kowalik z pnia drzewa zbiega głową w dół? Mistrz świata ten kowalik!

A pies?

Najpierw muszę powiedzieć o naszej Pumie, która wiele lat była chora na padaczkę i odeszła jako 16-letnia staruszka.



IWONA CHMIELEWSKA

Ilustracja z książki „Na wysokiej górze” Krystyny Miłobędzkiej i Iwony Chmielewskiej, Wydawnictwo Miejskie Poznań, 2017 r.

Wszyscy bardzo przeżywaliśmy jej chorobę, a mąż wziął na siebie zanieśenie Pumi do uspienia. Potem przez dwa lata nie miałam psa. Nie mieliśmy siły przeżywać po raz kolejny tego, że zwierzęta odchodzą szybciej niż my. I teraz, kiedy nagle pojawiła się możliwość, że możemy jeździć do domku w Borach Tucholskich, oboje poculiśmy, choć o tym nie mówiliśmy, że tutaj brakuje psa.

W listopadzie, dzień po operacji, siedziałam na szpitalnym korytarzu, podłączona jeszcze do tych rurek, butelek, i próbowałam złapać zasięg. Zaczęłam na portalu z ogłoszeniami oglądać pieski. I zobaczyłam Lukę ze schroniska pod Włocławkiem, a w jej oczach całe cierpienie świata i jednocześnie jego wielkie piękno. Wszyscy, którzy mają zwierzęta, wiedzą, o czym mówię. W najgłębszej tajemnicy zadzwoniłam do Jagi, mojej młodszej córki. Mówię: „Jaguś, zobacz,

jest taki piesek, co o nim myślisz?”. Gdy Jaguś zobaczyła Lukę, natychmiast odpowiedziała: „Jedziemy po nią!”. I zadzwoniła do... Głos mi się łamie, przepraszam.

Zadzwoniła do męża i reszty moich dzieci, i już wieczorem byli pod Włocławkiem. Okazało się, że Luka ma swoją historię.

Proszę opowiedzieć.

Gdy zabraliśmy ją ze schroniska, miała około ośmiu, może dziewięciu miesięcy. Była już matką, choć była jeszcze dzieckiem – zaszła w ciążę podczas pierwszej cieczki i urodziła w krzakach sześcioro szceniąt. Dzielnie je wykarmiła, pieski zostały adoptowane, a Lusi nikt nie chciał.

A myśmy się w niej zakochali od pierwszego wejrzenia. Trzeba było jednak poczekać, bo Luka musiała zostać wysterylizowana w schronisku. Bardzo odpowie-

dzialne podejście. I tak się złożyło, że nasze współrzędne przecięły się: Luka przyjechała do nas po swojej operacji, a ja byłam dzień po wypisie ze szpitala. Razem lizaliśmy swoje rany.

Luka była zapchlona, zakleszczona, chuda, smutna i zmęczona karmieniem, chociaż ogonkiem ciągle leciutko kręciła. Gdy weszła z wolontariuszami ze schroniska do naszego domu, już na wycieraczce położyła się i zasnęła.

Ojej.

Potem tylko spała, wykończona karmieniem i operacją. Przez dwa tygodnie nie wydała z siebie żadnego głosu. Gdy zaprowadziliśmy ją do weterynarza, była przeszczeniła, dawała sobie zrobić USG i zastrzyki. Nigdy nie spotkałam takiego psa. Pumcia była nadpobudliwą histeryczką, a Lusiu to ufnosć i spokój na czterech łapach. Moja terapeutka.

Pani naprawdę jest szczęściarą.

Trochę się boję tej miłości, ona jest szalona. Żadnego zwierzęcia do tej pory tak bardzo nie kochałam. Co będzie, jak Luka będzie żyła krócej niż ja? Jak jej się stanie jakaś krzywda?

Proszę przepędzać złe myśli.

Staram się, choć z natury jestem katastrofistką, taka Filifionka.

Chyba nie do końca. Pani nie mówi: chorowałam, Pani mówi: byłam leczona.

Guz został wykryty w czasie rutynowego badania. Kobiety z nowotworem piersi najczęściej o nim nie wiedzą, bo to nie boli, nie daje żadnych oznak. Moją zmianę nawet trudno było wyczuć, guz umiejscowił się w węzle chłonny. Tak że czułam się bardzo dobrze i w momencie, jak dostałam pierwszą chemię, to poczułam się właśnie leczona.

Chemia jest życiodajną trucizną, to cudowny pomarańczowy eliksir zwalający człowieka z nóg. A ja jestem prymitywną pacjentką: o nic nie pytam, niczego nie czytam, nie dowiaduję się, nie chcę o niczym słyszeć. Na początku leczenia, jeszcze przed pierwszą chemią, różni ludzie niosący pomoc zarzucili mnie alternatywnymi metodami. I źle to na mnie działało, rozbijało od wewnątrz. A w momencie, kiedy oddałam się w ręce onkologów, pomyślałam: „Ja jestem fachowcem w swojej dziedzinie, a państwo jesteście



IAN CHMIELEWSKI

IWONA CHMIELEWSKA (ur. 1960)

jest autorką i ilustratorką wydawanych w wielu krajach książek dla dzieci i dorosłych, twórczynią autorskich picturebooków (m.in. „Pamiętnik Blumki”, „Dwoje ludzi”, „Oczy”). Nagrodzona m.in. Złotym Jabłkiem na Biennale Ilustracji w Bratysławie (2007) oraz trzykrotnie prestiżową Bologna Ragazzi Award (2011, 2013 i 2020). W 2020 r. została nominowana do Nagrody im. Andersena, przyznawanej przez IBBY. Współautorka warstwy wizualnej wystawy „W Polsce króla Maciusia” w Muzeum POLIN. W marcu nakładem Dwóch Sióstr ukazała się książka „Mama zawsze wraca” z jej ilustracjami do tekstu Agaty Tuszyńskiej.

→ w swojej”. Na głos tego nie powiedziałam, bo ja tylko słucham i robię, co mi każą. I czuję wielką wdzięczność. Uwierzyłam, że to leczenie mi pomoże: w pół roku odbyłam 16 chemioterapii, potem operacja, dalej 20 naświetlań. Teraz jeszcze raz na trzy tygodnie biorę jakiś cud w zastrzyku. Jestem już silna, jest dobrze.

Nawet bardzo dobrze, bo w lutym otrzymała Pani w Bolonii nagrodę w kategorii New Horizons za tekst i ilustracje do książki „Kołysanka dla babci”.

„Kołysanki” nie udało się wydać w Polsce, nie było ku temu sprzyjających warunków. To dosyć droga w produkcji książka o nietypowym wielkim formacie. Dlatego moja koreańska przyjaciółka i agentka, Jiwone Lee, pokazała ją ogromnemu wydawnictwu BIR mieszczącemu się na Gangnam, w najbogatszej dzielnicy Seulu. I w BIR powiedzieli, że to od razu biorą i mają zamiar za „Kołysankę” dostać Bologna Ragazzi. Dla mnie to było obciążenie: „Boże, przecież to niemożliwe, po co ta presja, od razu się denerwuję”. A gdy już dowiedziałam się o nagrodzie, to nie powiem, że się nie zdziwiłam, ale pomyślałam: „Aha, dzieje się to, co miało się zdarzyć”.

Babciu, dziękuję ci, bo to dzięki tobie.

Bo książka jest o Pani babci Huldzie – łódzkiej włókniarce, pracującej przy krosnach na trzy zmiany.

I jeszcze o Łodzi, i o Pabianicach – moim rodzinnym mieście. O łódzkich

włóknarkach nigdy nie docenianych, o ich prostym życiu.

Babcia Hulda to sama czułość, dobro i oddanie innym. Moja mama, jako sierota wojenna, urodziła mnie młodo, nie miała jeszcze 20 lat. I nie miała wzorów w byciu matką. I ja, i mnie przysparzała właśnie babcia Hulda, mama taty. Słyszała pani o tym, że podobno my, kobiety, dziedziczymy cechy z linii po mieczu – jesteśmy *alter ego* naszych babć ze strony męskiej? I w naszym przypadku to się zgadza, mamy podobną osobowość.

Czyli?

Obie jesteśmy trochę nieobliczalne. Babcia Hulda miała w sobie coś z anarchistki. Przykład? Piłkę, toczącą się po drodze, potrafiła kopnąć wysoko do nieba. Albo nauczyła się nowego przepisu i ku zdumieniu wszystkich serwowała wymyślne danie.

Jednocześnie była wychowana tradycyjnie, jej rodzice przyjechali z Austrii do Łodzi, do tej ziemi obiecanej. W domu mieli warsztat tkacki, przy krosnach pracowało ich ośmioro dzieci, w tym babcia Hulda.

„Kołysanką” chciałam pokazać małą i skromną historię na tle tej wielkiej, i opowiedzieć ją poprzez tkaniny. Proszę się rozejrzeć wokół siebie, wszędzie one są – to obicia krzesel, zasłony, chodniki, ubrania, poduszki, ściereki kuchenne, ręczniki, pościel... „Kołysanką” chciałam opowiedzieć o losie łódzkich kobiet, otulić je tak, jak one nas otulały. Po babci mam miłość do tkanin.

Stąd mnóstwo tkanin w Pani szafie?

Sklepy z używaną odzieżą to mój żywioł, dzięki nim mam kolekcję tkanin znoszonych i z historią, których używam do tworzenia książek. Do ilustracji w „Kołysance...” nie miałam aż tylu tkanin po babci. Pomogli mi znajomi, którzy wiedzieli, że robię taką książkę. Od Danusi z Pabianic dostałam rodzinne pamiątki po jej babci i ciociach, od Halinki stare wzorniki kordonków. A od Ady Augustyniak, filozofki, twórczyni książek, dostałam węzełek skarbow z przedwojennej pasmanterii w Głownie, należącej do jej prababci.

No a Pani babcia?

Śpiewała „O Tannenbaum”, uczyła mnie nie tylko niemieckich piosenek, ale też gotować, szyć, dziergać... Jak to babcie uczyć tego swoje wnuczki. Byłam jej jedyną dziewczynką wnusią – lustreczkiem przyszłości, a ona była moim lustrem przeszłości. Mnóstwo czasu spędzałyśmy razem. Poza tymi wszystkimi pracami, które babcie robią na emeryturze, by dzieci wracające ze szkół i dorośli z pracy mieli gotowy obiad na stole, bardzo dużo czytała, szyła, robiła na drutach. Nic wielkiego, a wszystko.

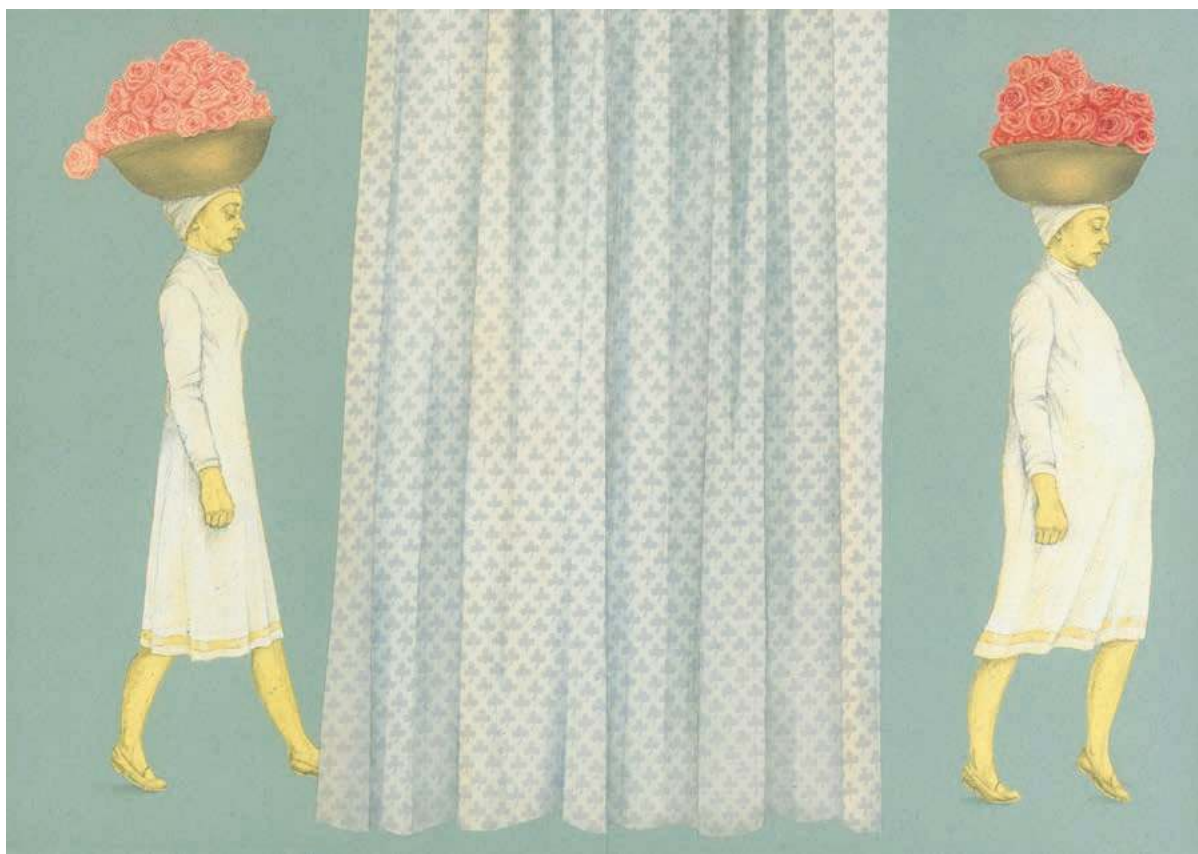
A Pani anarchia?

To jest raczej anarchinka, nie jakaś wielka anarchia.

Lubię stawiać ludzi w nieoczekiwanych sytuacjach. Łamać schematy, przeciwstawiać się systemom. Moje dzieci były narażane na tego typu zachowania swojej matki, których się może wstydzili, ale miałam ideę, by trochę im mieszać.

Po co?

Wydawało mi się, że stawianie ich w paradoksalnych, nietypowych sytuacjach, takich, że nagle zmienia się cały kontekst, umocni je, że będą przygotowane na to, że świat nie jest oczywisty. To były raczej zabawy, a moja przekora, kwestionowanie zastanych schematów może pomogły im w ten sposób, że nie są podatne na manipulację, myślą niezależnie. Chyba zastanie po powrocie ze szkoły ogolonej na zero matki musiało być dla nich nieprzyjemne. Teraz też czasami robię coś bardzo dziwnego, czym mój mąż bywa zaskoczony. Na przykład potrafię go znieśc boleśnie ugryźć. Ale proszę tego nie pisać...



Ilustracja z książki Justyny Bargielskiej i Joanny Chmielewskiej „Obie”, Wydawnictwo Wolno, 2016 r.

Napiszę, dobrze?

Ech.

Jeszcze chciałam zapytać, czy wtedy, jak ogoliła Pani włosy przed czterdziestką, w Pani życiu nastąpiła zmiana?

Nastąpiła. Zaczęłam robić ludziom portrety. I tu wiadomość dla Urzędu Skarbowego: oczywiście na czarno. Zrobiłam ich ponad 50, brałam za nie grosze, ale wtedy to był dla mnie finansowy ratunek. Nie chcę, by odbierano mnie jako nawiedzona, ale opowiem... Wystarczyło mi przysłać imię, zdjęcia i datę urodzenia. Bo ja nie robiłam tradycyjnych portretów, tylko metaforyczne – z oknem pokazującym drogę życiową. Okazywało się, że trafiałam. Kiedyś zrobiłam portret góralce, o której wiedziałam tylko, jak ma na imię i że pomaga ludziom. Nic więcej. I w jej oknie zrobiłam świerk – jakby naginała jego czubek i wieszała na nim gwiazdę. I co się okazało? Że góralka ma na nazwisko Świerk.

Ludzie mnie zaczęli pytać: a skąd to wiedziałaś? Ja odpowiadałam szczerze, że nie mam pojęcia. Albo taka historia: do „Na wysokiej górze” Krystyny Miłobędzkiej zrobiłam ilustracje. Z panią Kry-

styną spotkałyśmy się na Targach Książki w Poznaniu, na premierze książki. Pani Krystyna ogląda ilustracje i pyta: „A skąd pani wiedziała, że ja miałam takiego właśnie psa? Skąd pani wiedziała, że ten pies, kiedy wchodził po schodach, bardzo cierpiał, bo miał chorą łapę?”

Bo ja namalowałam w tym tomiku złotego psa wchodzącego po schodach.

No skąd to Pani wiedziała?

Ale ja naprawdę nie wiem. Może stąd, że gdy skupiam się maksymalnie na swojej pracy, to robię głęboki *research* i pewne wątki przychodzą same. Dzieje się to poza mną – cały świat mi pomaga i przynosi rozwiązania.

I wtedy, przed czterdziestką, kiedy pozbyłam się włosów, myślę, że otworzył się w mojej głowie jakiś kanał, do którego ważne rzeczy spływają, a niepotrzebne z niego wylatują. To właśnie wtedy zaczęłam robić te metaforyczne portrety. Potem odważyłam się na książki autorskie. Ponieważ nikt ich nie chciał w Polsce wydawać, trafiłam do Korei Południowej, gdzie dowiedziałam się, że w moje urodziny, które przypadają 5 lutego, jest tam pierwszy dzień wiosny. Dawniej dziewczynki urodzone 5 lutego, zanim jeszcze

wyszły z pieluszek, miały już kolejkę kandydatów na męża.

A czy będzie książka o włosach?

Mąż mnie namawia, by powstało „Królestwo dziewczynki 2”.

„Królestwo dziewczynki” to książka o pierwszej miesiączce.

Już wymyśliłam pierwsze zdanie: „W życiu kobiety przyszedł ten dzień, gdy poczuła zmianę...”.

Aż mnie ciarki przeszły.

Na razie ta opowieść jest zwinięta w kłębek, którego nie chcę i boję się rozwijać.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



Cud w czterech ścianach

DOROTA KOZIŃSKA

Genialnej muzyki napisanej na Wielkanoc jest co niemiara. Genialnych wykonani – również. Szukajcie, to znajdziecie. Również w zakamarkach YouTube’a.

WYGLĄDA NA TO, ŻE PRZED TEGO-roczną Wielkanocą wszyscy zadumają się nad kruchością życia i niepewnością czasów, w jakich przyszło nam funkcjonować. W takich sytuacjach muzyka naprawdę łagodzi obyczaje, a skoro najgorsze przed nami, warto skorzystać z tej autoterapii.

Straconego sezonu w operach i filharmoniach, odwołanych festiwali, unieważnionych przez siłę wyższą wyjazdów kulturalnych nic już nam nie przywróci. Pierwsze tygodnie epidemii melomani spędzili w przestrzeni wirtualnej, przebiegając w bezpłatnych streamingach przedstawień i koncertów.

Satysfakcji było co niemiara, obwarowanej jednak pewnymi ograniczeniami: większość instytucji udostępnia swoje skarby na niespełną dobę, oferta mimo wszystko jest niezbyt szeroka i skierowana przede wszystkim do „wzrokowców”. Wielbiciele kameralistyki, muzyki dawnej oraz współczesnej są w znacznie gorszej sytuacji. Pozostaje im przeczesywać niezmiernie zasoby serwisu YouTube (co wymaga pewnej wprawy i nie zawsze zaspokaja wyśrubowane oczekiwania wyposażonych w najwyższej klasy sprzęt audiofilów, ale warto!), zdać się na gust radiowców albo wysupłać parę groszy na zakupy w sieci.

Choć nikt nie wie, co będzie jutro i czy budowana latami kariera nie rozsypie się jak domek z kart – polecam ostatnie rozwiązanie. Nie tylko z uwagi na atawistyczną przyjemność obcowania



Próba „Pasji wg św. Łukasza” Krzysztofa Pendereckiego w reżyserii Grzegorza Jarzyny, w Alvernia Studios. Alvernia k. Krakowa, 29 marca 2012 r.

nizacji pomocowej, rezygnacją z refundacji za niewykorzystany bilet do opery albo właśnie legalnym zakupem w sieci – nie będzie dokąd wracać, kiedy zaraza wygaśnie.

Takie maleńkie dobro z pewnością zostanie wynagrodzone. A ci, którzy muszą liczyć się z każdym groszem, mogą pomóc inaczej: pożyczając płyty, korzystając z bezpłatnych serwisów i niosąc potem nowinę innym melomanom: żeby pamiętali, z jaką twórczością i z jakimi wykonawcami warto mieć do czynienia w lepszych dniach, które z pewnością kiedyś nastaną.

Tymczasem przed nami Wielki Tydzień, w którym nie nacieszymy się muzyką ani w kościołach, ani podczas wielkanocnych festiwali, do których zdążyliśmy się już pochopnie przyzwyczaić. Smutek i żal, ale zarazem wyjątkowa okazja, by ułożyć sobie ten muzyczny czas po swojemu i przeżyć go w pełni w czterech ścianach najprzytulniejszej sali koncertowej świata – swoim własnym domu. Dla pogubionych w natłoku informacji przygotowałam kilka praktycznych wskazówek i nieoczywistych czasem sugestii.

Dzień po dniu

Jeśli ktoś ma potrzebę słuchania muzyki na Wielki Tydzień zgodnie z porządkiem roku liturgicznego, proponuję zacząć od skarbów powiązanych z nabożeństwem ciemnej jutrzni, czyli *officium tenebrarum* – odprawianego w niektórych świątyniach przed świtem w Wielki Piątek i Wielką Sobotę. Od wieków towarzyszył mu obrzęd ustawiania trójkątnego świecznika, tzw. triangułu, z piętnastoma zapalonymi świecami – oraz dodatkowych sześciu świec na ołtarzu. Po każdym psalmie gaszono jedną świecę na triangule, po każdym wersecie kantyku „Benedictus” – jedną ze świec ołtarzowych. Na dźwiękach antyfony „*Christus factus est pro nobis*” chowano za ołtarzem ostatnią świecę Chrystusową i w kościele zapadała kompletna ciemność.

Oprawę muzyczną tych nabożeństw stanowiły opracowania starotestamento-

wych Lamentacji Jeremiasza – w niektórych tradycjach niezwykle kunsztowne. Wielbicielom Thomasa Tallisa polecam klasyczne nagranie Pro Cantione Antiqua z roku 1984, czyli z epoki wyznaczania złotych standardów historycznego wykonawstwa muzyki renesansowej. Z nowszych interpretacji na szczególną uwagę zasługuje mroczne i bardzo wyraziste ujęcie Tenebrae Consort z roku 2014 – warto też wspomnieć, że ten sam zespół rok wcześniej nagrał pełne bolesnych dysonansów i szokujących kontrastów chromatycznych „Tenebrae responsoria” Gesualda.

Barok francuski wykształcił odrębny gatunek *leçons de ténèbres* – z wirtuozowsko potraktowanymi głosami solowymi z towarzyszeniem *basso continuo*. Jest w czym wybierać: ja wciąż mam sentyment do zniewalająco pięknych „lekcji” Marca-Antoine’a Charpentiera w interpretacji II Seminario Musicale pod dyktando Gérarda Lesne’a (2008). Modernistom polecam opracowania nieliturgiczne, choćby mało znane „Treny” Strawińskiego (w pierwszej kolejności przychodzi mi do głowy nagranie Collegium Vocale Gent, ze względu na udział fenomenalnej Ewy Wolak), albo dostępny w serwisie YouTube „Kadis” Krzysztofa Pendereckiego z Festiwalu Warszawa Singera w 2010 r. – utwór, który wobec niedawnej śmierci kompozytora nabrał całkiem nowych znaczeń dla wielbicieli jego twórczości.

Pasje

Emblematyczne arcydzieło muzyki pasyjnej, Bachowska „Pasia według św. Mateusza” zabrzmiała po raz pierwszy w Wielki Piątek 1729 r. w lipskim kościele św. Tomasza. Do tego czasu opowieść o męce Chrystusa zdążyła już przejść długą drogę, nie tylko w liturgii.

Misteria pasyjne upowszechniły się w Europie w XII wieku, organizowane przez miejskie bractwa cechowe i specjalnie w tym celu powoływane bractwa Męki Pańskiej. Pod koniec XV stulecia zaczęły się różnicować poszczególne style tej muzyki: styl responsoryjny, oparty na dialogu Ewangelisty z Jezusem oraz innymi postaciami dramatu, polifoniczny styl motetowy oraz styl *Summa Passionis*, w którym łączono fragmenty Ewangelii z apokryfami.

Kto ciekaw, niech zajrzy do dysko-

z plikami dźwiękowymi najwyższej jakości oraz z elegancko wydаныmi i pełnymi cennych informacji książeczkami dołączanymi do płyt CD, krążków DVD i Blu-ray – ale również przez wzgląd na późniejsze zmartwychwstanie świata muzycznego. W ten trudny czas trzeba tym dobitniej sobie uświadomić, że artyści nie są maszynkami do grania, śpiewania i komponowania, lecz czującymi i wrażliwymi ludźmi, w przeważającej większości wolnymi strzelcami, których obecny kryzys dotknie bardziej niż biurokratów na ciepłych posadach.

Warto pamiętać, że za ich sukces odpowiadają też bohaterowie drugiego planu, m.in. menedżerowie, pracownicy obsługi technicznej, reżyserzy dźwięku, profesjonalni krytycy, publicyści muzyczni i tłumacze. Jeśli teraz ich nie wesprzemy – choćby niewielkim datkiem dla orga-

→ związanych z różnymi tradycjami (katolicka „Pasja Mateuszowa” Orlanda di Lasso w przemawiającym do wyobraźni nagraniu zespołu Musica Ficta z 2009 r.; luterkańska „Pasja Janowa” Joachima a Burck, czerpiąca pełnymi garściami z tradycji polifonii flamandzkiej i z włoskich madrygałów – w pięknym ujęciu Vox Luminis z roku 2017). Warto wrócić do Heinricha Schütza, najwybitniejszego kompozytora niemieckiego przed Bachem, którego pasje zaskakują surowym anachronizmem kontrapunktycznym zestawionych głosów, użyciem skal modalnych, rezygnacją z *continuo* i zespołu instrumentalnego – gorąco polecam niekazitelną pod względem wokalnym i rewelacyjne technicznie nagranie Ars Nova Copenhagen pod dyрекcją Paula Hilliera z 2010 r.

Zanim skończy się jak zwykle – czyli na słuchaniu do upadłego niezrównanej „Pasji Mateuszowej” Bacha – zachęcam do pogodzenia się z dziełem, do którego niezaskuszenie przylgnęła etykieta utworu niekompletnego, przerwane w połowie zamysłu. Genialna zapowiedź „Mateuszowej”, czyli „Pasja Janowa” BWV 245, porwie każdego miłośnika Bacha już początkowym, opartym na muzycznych i retorycznych antytezach chórem „Herr, unser Herrscher”, dobitnie uzmysławiającym paradoks chwały i upodlenia Jezusa – zwłaszcza w mistrzowskiej interpretacji English Baroque Soloists i Monteverdi Choir pod batutą Johna Eliota Gardinera (2011). A kiedy już przyjdzie do „Pasji według św. Mateusza”, po oczywistych wyborach w postaci nagrań Gardinera, Jacoba i Minkowskiego radzę wrócić do nagrań archiwalnych – m.in. interpretacji pod batutą Karla Richtera z 1958 r., z udziałem monachijskich zespołów bachowskich oraz doborowej stawki solistów, na czele z Ernstem Haefligerem, Dietrichem Fischerem-Dieskauem i Hertha Töpper. Czas epidemii to dobra pora, by wyzwolić się spod obowiązującego dzisiaj dyktatu wykonawstwa historycznego i ocenić przebogata tradycję ujęć arcydzieł Bacha z nieco szerszej perspektywy.

A potem sięgnąć po rozmaite wersje „Brookes Passion”, czyli pasje do libretta Bartholda Heinricha Brockesa – w pierwszym rzędzie po kompozycję Händla, w świeżej interpretacji Academy of Ancient Music pod Richardem Egarrm z 2019 r., w następnej kolejności po pasję Telemanna z RIAS Kammerchor i Akade-

Tym, co powinno
zmartwychwstać
w tegoroczną Wielkanoc,
jest nadzieja.
Myślę, że nikt z sąsiadów
nie będzie miał za złe,
jeśli odrobinę podkreślimy
potencjometrię
i poczujemy się
jak w prawdziwej świątyni.

mie für Alte Musik Berlin pod dyрекcją René Jacobsa (2009).

Dla złąknionych nowszych brzmień proponuję na ten trudny czas oratorium szwajcarskiego kompozytora Franka Martina „Golgotha” z 1949 r. – napisane ponoć pod wrażeniem akwaforty Rembrandta „Trzy krzyże”. To gęste dzieło, pełne odniesień do Bacha – ale też do twórczości Debussy’ego – wyjątkowo pięknie brzmi w wykonaniu Cappelli Amsterdam oraz Chóru i Orkiestry Filharmonii Estońskiej pod batutą Daniela Reussa.

Ciekawe, czy ktokolwiek zna „La Pasión Según San Marcos” Osvalda Golijova – argentyńskiego potomka rumuńskich Żydów, który połączył wszystkie wymienione tradycje w żywiłowym misterium, nagrany w 2010 r. przez solistów i połączone zespoły z Wenezueli, z Marią Guinand za pulpitem dyrygenckim.

Komu bardziej po drodze z Ewangelią św. Jana, niech sięgnie po pasję Sofii Gubajduliny (choćby w prapremierowym wykonaniu ze Stuttgartu, z 2000 r., pod dyрекcją Giergijewa), kto woli św. Mateusza, niech posłucha, co zrobił z tym tekstem Chińczyk Tan Dun w utworze „Water Passion After St. Matthew”, wykorzystując m.in. mongolski śpiew alikwotowy i brzmienie chińskiej okaryny xun (zarejestrowanym w 2002 r., z udziałem muzyków solowych oraz RIAS Kammerchor pod batutą kompozytora).

Penderecki i inni

W te święta nie powinno też zabraknąć w naszych domach „Pasji Łukaszej” Pendereckiego – najlepiej z premierowej rejestracji pod kierunkiem Henryka

Czyż, ze wstrząsającą kreacją Andrzeja Hiolskiego w roli Jezusa (reedycja na płytach CD ukazała się w 2010 r.). Właśnie w ten utwór Penderecki włączył wcześniejsze „Stabat Mater” na trzy chóry mieszane, zasługujące na uwagę choćby ze względu na znamienity zwrot w jego stylu kompozytorskim i nawiązanie do wielowiekowej tradycji opracowań XIII-wiecznej sekwencji franciszkańskiego mistyka Jacoponego da Todi.

Od niezmiernego korpusu twórczości Pendereckiego proponuję wrócić przede wszystkim do wersji „Stabat Mater” Antonia Vivaldiego, na której tle błędnie większość pozostałego dorobku Rudego Księdza z Wenecji (albo w klasycznej interpretacji Christopha Hogwooda z 1978 r., albo w nowszym o prawie trzy dekady ujęciu Ricercar Consort ze znakomitym kontratenorem Carlosem Meną). Osobiście mam wielki sentyment do „Stabat Mater” Pergolesiego i z ciekawością sięgnę po świeżo wydaną płytę Les Talens Lyriques pod dyрекcją Christophe’a Rousseta.

Wielbicielom arcydzieła Rossiniego, o którym Heinrich Heine pisał z przekąsem, że zważywszy na tematykę jest „zbyt przyziemne, zmysłowe i beztroskie”, przewrotnie poleć sześciopłytowy boks przedwojennych nagrań Duńskiej Radiówki, gdzie znajdują wprawdzie tylko niewielki fragment tego „Stabat Mater”, ale za to z udziałem wielkiego austriackiego tenora Juliusa Patzaka i pod batutą Egista Tanga. A oczywiście i tak skończę zasłuchana w „chłopskie requiem” Karola Szymanowskiego – zapewne w ujęciu Simona Rattle’a z 1993 r., z lśniąco jak klejnot na tle reszty obsady Elżbieta Szmytką w partii sopranowej. To nagranie „Stabat Mater” – jeden z czterech monograficznych albumów City of Birmingham Symphony Orchestra poświęconych twórczości kompozytora – przyczyniło się waleń do przywrócenia jego muzyce zasłużonej pozycji na mapie kultury światowej.

Cicha Sobota, głośna Niedziela

W tym roku Wielka Sobota ma szansę naprawdę stać się dniem ciszy i oczekiwania. Melomani mogą ten czas wykorzystać na słuchanie zaniedbywanych utworów „świętecznych”. Miłośnikom kameralistyki polecam gorąco powrót do „Siedmiu ostatnich słów Chrystusa na krzyżu” Haydna – dzieła na wskroś retorycznego,

zgodnego z oświeceniową wizją świata jako mechanizmu skończonego, w którym nawet rozpamiętywanie męki Zbawiciela przebiega w spokojnej, nieledwie pogodnej atmosferze spełnienia. Jeśli ktoś przegapił barwną i pełną niuansów interpretację katalońskiego Cuarteto Casals z 2014 r., warto nadrobić zaległości.

Wielbiciele dużych form mają wreszcie pretekst, by nasłuchać się do woli II Symfonii Mahlera – muzycznego traktatu o kondycji ludzkiej, opatrzonego później podtytułem „Zmartwychwstanie”, od tytułu wiersza Klopstocka, wykorzystanego we fragmentach w piątej części utworu. Ja bez namysłu wybiorę nagranie Concertgebouw pod batutą Bernarda Haitinka z 1968 r. – z udziałem Aafje Heynis, jednego z najpiękniejszych głosów ubiegłego stulecia.

Entuzjaści opery mogą dalej zachwycać się Cudem Wielkopiątkowym z III aktu „Parsifala” Wagnera (choćby w legendarnym wykonaniu z Bayreuth z 1964 r., z Hansem Knappertsbuschem za pulpitem) albo wyprzedzić czas liturgiczny i przeżyć Wielkanoc w sycylijskiej wiosce z „Rycerskości wieśniaczej” Mascagni

(polecam niesłusznie zapomnianą rejestrację z 1957 r. pod dyktando Alberta Eredego, z udziałem Tebaldi, Björlinga i Bastianiniego).

Tym, co powinno w pierwszym rzędzie zmartwychwstać w tegoroczną Wielkanoc, jest nadzieja. Myślę, że nikt z sąsiadów nie będzie miał za złe, jeśli odrobinę podkreślimy potencjometrię i pocujemy się choćby przez godzinę jak w prawdziwej świątyni albo sali koncertowej. W ten dzień lepiej nie eksperymentować z repertuarem, warto za to poszukać wykonań wyjątkowych. Z zaskakująco nielicznych rejestracji „Oster-Oratorium” BWV 249 Bacha wybrałabym na tę okazję albo przejrzystą i pełną wigoru interpretację Retrospect Ensemble pod dyktando Matthew Hallsa z 2014 r., albo – prawem kontrastu – porywające archiwalne nagranie pod batutą Eugene’a Ormandy’ego: z chórem Temple University i Filadelfijczykami oraz Maureen Forrester i Richardem Lewisem w obsadzie (z 1963 r., dostępne także na płytach CD i w plikach dźwiękowych MP3).

Za to w nagraniach „Mesjasza” Händla – ze słynnym chórem „Hallelujah”

i tradycją wstawania z miejsc, kulturowaną w Wielkiej Brytanii od czasu, gdy na równe nogi zerwał się król Jerzy II podczas prawykonania w Londynie – można przebierać jak w ulegawkach. Ja proponuję soczystą lukasówkę w postaci ujęcia The Sixteen pod dyktando Harry’ego Christophersa z 2008 r. lub aromatyczną bonkrete w słodkiej zalewie Collegium 1704 pod batutą Václava Luksa z roku 2019 – także ze względu na udział naszego znakomitego tenora Krystiana Adama. A jeśli komuś jeszcze mało, może pójść na całość i kupić 32-płytowy boks nagrań Fritza Wunderlicha dla Deutsche Grammophon (2016) – słuchania będzie na cały sezon, włącznie z tegoroczną Gwiazdką, oby już nie w kwarantannie.

Zdaje sobie sprawę, że moje sugestie są skrajnie subiektywne. Z drugiej jednak strony może nakłonić Państwa do dalszych poszukiwań. Każdy słyszy inaczej, inaczej też przeżywa tajemnicę Męki i Zmartwychwstania. W tym roku doceramy cud życia, bez którego tracą znaczenie wszystkie sekrety ludzkiej egzystencji.

© DOROTA KOZIŃSKA

TYGODNIK
POWSZECHNY

Podkast Powszechny

Autorski podkast „Tygodnika Powszechnego” Nowe cykle – zapraszamy do słuchania



„Rozmowy o byciu razem”

Wojciech Mann w pierwszej rozmowie po odejściu z „Trójki”, Anna Dymna o bliskości i potrzebie wspólnego milczenia.

Do swojego autorskiego cyklu zaprasza Katarzyna Kubisiowska.



LEKtura

Grzegorz Jankowicz wybiera dla Państwa najciekawsze książki i zastanawia się, w jaki sposób pomagają nam one w zrozumieniu zjawisk oraz procesów zachodzących w naszej rzeczywistości. Słowem: dlaczego warto je dziś czytać.

WSPÓŁPRACA



Audiodelic

powszech.net/podkast



weź, słuchaj!

Przebudzenie mocy

MONIKA OCHĘDOWSKA

Szczerość ukorzenia. Takim świadectwem dojrzałości, w rytmie żwawych bębnow wyczarowujących wiosnę, zaczyna się najnowsza płyta Pauliny Przybysz pt. „Odwilż”.

LUBI RZADKIE SŁOWA. WSŁUCHUJĄC SIĘ w napisane przez nią teksty trudno uwierzyć, że wszystkie te piętrowe, eufoniczne frazy kładzie ot tak, w kilku ruchach, grubym pędzlem. Jako doświadczona raperka ufa sile wewnętrznego monologu, czerpie z najdziwniejszych, czasem surrealistycznych bodźców i skojarzeń. Gdy w trakcie pracy nad płytą „Chodź tu” jej mikrofonem próbuje zawładnąć napastliwa para much, a sytuacja robi się nerwowa jak podczas testu słynnego pilota z opowiadań Stanisława Lema, unieszkodliwia owady, wplatając je w puentę utworu. I opisująca małżeńskie zwarcia piosenka bezpiecznie ląduje na krążku jako „Pirx”.

Trwa jeszcze zima, gdy „przybysz z kosmosu”, jak o sobie wtedy śpiewa, z całą rodziną przenosi się za miasto. W starym domu, do którego się wprowadza, wszystko żyje, drży, oddycha. Gdy w salonie ktoś robi krok – rozdzwania się wypełniony naczyniami kredens. Pod ciężarem stóp skrzypią wysłużone deski. Nie sposób nie czuć organicznego związku z tą przestrzenią, współzależności. Nagrywa w małym studiu na poddaszu, z którego rozpościera się widok na korony drzew uginające się pod ciężarem śniegu. Przy mikrofonie pochrapuje pies. To tutaj, z przerwami na długie spacery, powstaje utwór „Senność”. „Za rogiem jest las – śpiewa w nim – potężny stary klon”.

Codziennie podpatruje drzewa, które w coraz mocniejszym słońcu zaczynają wreszcie skrzyc się topniejącym śniegiem. Wtedy uświadamia sobie, że z ufnością wrasta nie tylko w nowy krajobraz i własne ciało, ale też język. Nagrywając dotąd przede wszystkim po angielsku, jako RiTa Pax i Pinna wela, przeglądała repertuar możliwych ról i wcieleń, szukała swojego głosu. *Language of detachment*, nazwaliby to uczucie badacze słów – je-

zyk oderwania. Słowa, których nie uczuliśmy się od kołyski, nie pozwalają wydobyć z naszych trzewi ładunku emocjonalnego tak wydatnie jak rytm mowy, którą zwykliśmy nazywać pierwsze zabawy, namiętności, wspomnienia. To wrażenie towarzyszy jej na koncertach – czuje, że angielszczyzna nie dotyka słuchaczy nawet wtedy, gdy teksty piosenek wyświetla w animacjach, za swoimi plecami.

Dlatego nagrywaną tamtej zimy płytę zaśpiewa już w całości po polsku, bardziej – jak mówi – przy skórze. Bo najważniejsze, co można zrobić, gdy pozwalamy ludziom wejść sobie „w paszczę i myśli”, to rzetelnie wywiązywać się ze swoich obowiązków. Szczerość ukorzenia. Takim świadectwem dojrzałości, w rytmie żwawych bębnow wyczarowujących wiosnę, zaczyna się najnowsza płyta Pauliny Przybysz „Odwilż”.

Siła siostr

Jako Sistars zaczęły grać 20 lat temu. Tak dawno, że ich pierwsza kaseta „Siła siostr” była jednym z eksponatów wystawy „Zajawka” w Muzeum Śląskim poświęconej hip-hopowi. W skład zespołu, poza kończącymi właśnie klasę wiolonczeli siostrami Natalią i Pauliną Przybysz, weszli Bartek Królik, Marek Piotrowski i Marcin Ułanowski. Debiutancki materiał grupy, doceniony przez słuchaczy i krytyków, podbił listy przebojów i sprzedaży, a nagrania dotarły do pierwszego miejsca listy OLIS (oficjalnej listy sprzedaży detalicznej polskiego Związku Producentów Audio-Video).

„Siła siostr” zdobyła Fryderyka w kategorii hip-hop, nagrodę Radia Eska, telewizyjną Superjedynekę i statuetkę Trendy. Zespół wygrał także w konkursie premier na festiwalu w Opolu. Druga płyta „A.E.I.O.U.”, bardziej soulowa i funkowa, tylko potwierdziła siłę siostr Przybysz, a Paulinę, wykonującą „Inspirations” – jedno

z najlepszych w tamtym czasie polskich neosoulowych nagrań – porównywano do amerykańskiej piosenkarki Jill Scott. Sama przyznaje, że bliżej jej do Missy Elliott czy tria TLC.

Po dwóch świetnie przyjętych albumach siostry Przybysz postanowiły rozpocząć solowe kariery, Królik i Piotrowski przeszli do rockowo-funkowego zespołu Łąki Łan, a Ułanowski został perkusistą Moniki Brodki, Artura Rojka oraz Ballad i Romansów. Paulina nakładem własnej wytwórni Penguin Records wydała dwa albumy jako Pinna wela – oba nominowane do Fryderyków w kategorii „Album roku hip-hop/reggae/R&B” i docenione za oprawę graficzną autorstwa Marcina Karolewskiego. Potem przyszedł czas na kilkuletni anglojęzyczny projekt RiTa Pax. Album „Chodź tu”, już pod nazwiskiem jego autorki i z gościnnym udziałem Katarzyny Nosowskiej, ukazał się w 2017 r.





SILVIA POGODA / MATERIAŁY PRASOWE

Paulina Przybysz, lipiec 2019 r.

Pomimo różnych marek, brandów i języków, wszystkie odsłony i wcielenia Pauliny Przybysz mają wspólny mianownik ultraczułej zmysłowości z pogranicza R&B, popu i hip-hopu. Na ostatnich płytach mocno wybrzmiewa pochwała życia *offline*, krytyka wojen i przemocy oraz wiara w siłę kobiet i siostrzeństwa. „Dzielne kobiety” (tytuł jednego z utworów na płycie „Chodź tu”) dadzą sobie radę, cokolwiek się zdarzy – przekonuje Przybysz. Ale jednocześnie namawia do odpuszczania i opuszczania gardy, okazywania słabości i wrażliwości, zaakceptowania zmarszczek i menopauzy, pozwolenia sobie na bycie zarówno „przesłodzoną królową”, jak i „leniwą klabzdrą”. Szuka akceptacji dla „ciepłych, miękkich kilogramów”, ma dystans do wizualnej obsesji „gładkiej buzi”.

Niepopularne? „To jeden z najmniej radiowych kawałków” – potwierdza w refrenie „Dzielnych kobiet”. Najwyraźniej

popularność nie jest jej fetyszem. Gdy trzy lata temu śpiewała, że tak bardzo boi się nudy, że zapragnęła jej naprawdę doznać i „wróci, jak trochę podrośnie”, nie było w tym kokieterii. Z wydaniem gotowej „Odwilży” czekała rok, by – jak przyznaje w wywiadach – nie przeszkodzić siostrze w promocji jej ostatniego projektu.

Idźmy wolniej

Okładkę „Chodź tu” wypełniał biały wrzask. „Odwilż” jest cicha. Ale jakiś niepokój tę ciszę podgryza. Czerwone tło, jak ze słynnego fotosu zującej gumę Irène Jacob z „Czerwonego” kawałka trylogii Krzysztofa Kieślowskiego, oglądane przez mokrą od deszczu szybę zapowiada walkę żywiołów. I rzeczywiście – ta nawołująca do „zwolnienia taśmy” muzyka nasączona jest zgiełkiem popkultury. Słuchać na niej zarówno radość z małych spraw, jak i czający się lęk przed nieokreślonym zagrożeniem. „*Winter is coming*”

– pobrzmiewa złowieszczo refren „Zimy”. „Gra o tron” to nie jedyny serial, o którym można sobie przypomnieć słuchając „Odwilży”. Wykonywaną w duecie z Ryfą Ri (jedną z najciekawszych polskich raperów) piosenkę „XX” zainspirowała „Opowieść podręcznej” na motywach powieści Margaret Atwood.

Zakorzeniając nasze lęki w popkulturze, Przybysz lokuje się blisko przesłania najnowszej płyty Artura Rojka. Najprawdopodobniej jedyna apokalipsa, która nas czeka, to powtarzane do znudzenia newsy na jej temat, produkowane przez telewizyjne kanały informacyjne. Rozczarowani? „Miał być obrazek z Biblii, jeźdźcy i chóry trąb – relacjonuje na „Kundlu” Rojek – a tu z morza wyłazi armia plastikowych fok”. Jak wygląda życie w czasach klimatycznej katastrofy? Gdzieś tam „świat już trawi pożar” (Przybysz), ale ty „masz wolne, zjesz, zapalisz, potem zrobisz sobie zdjęcie i innego końca świata nie będzie” (Rojek).

Nie doświadczamy rzeczywistości bezpośrednio, zamiast tego chłoniemy jej niezliczone, zmultiplikowane i coraz bardziej dystopijne obrazy, gubiąc gdzieś „bezwartunkowy pierwotny instynkt”. Najwyraźniej popełniliśmy błąd, idźmy wolniej, róbmy więcej prostych rzeczy. Umiesz „być prawdziwie”? Czy to jeszcze jest możliwe?

„Odwilż” to opowieść o nieustannym starciu dobra ze złem. O przewidywalnej wojnie nowocześniejszych plemion, która zapewnia nam jedną z podstawowych potrzeb – poczucie bezpieczeństwa. To plemię podpowiada, jak reagować na wydarzenia i kogo słuchać, by mieć zdanie na każdy temat – szczególnie taki, o którym nie mamy pojęcia. „Czuję się mała, gdy leci »Gra o tron«, za mało czytałam, by umieć wybrać rząd” – śpiewa Przybysz, broniąc kolejnej kompletnie niemożliwej postawy – zwątpienia. Gdy rzeczywistość „wygląda jak fatamorgana”, a „konceptcja świata jest rozmyta”, warto wykonać krok w tył.

Przekonanie o tym, że wszystkiego jest za dużo i dzieje się za szybko, najsilniej wybrzmiewa w protest songu „Minimalizm”. Warto obejrzeć teledysk do tego utworu nagrany z użyciem kamery 360 stopni, który dobitnie uświadamia, że jakkolwiek byśmy obracali swoim iPhone’em, nigdy nie zobaczymy pełnego obrazu świata. Zamknijmy oczy, zanim pokażą kolejną reklamę. ©P

Miecz Omara

WOJCIECH JAGIELSKI

Muzea Zachodu są pełne skarbów przywiezionych z Afryki, Azji czy Ameryki Południowej. Teraz, kiedy niegdysiejsi kolonizatorzy biją się w piersi, muszą odpowiedzieć na pytanie: czemu nie chcecie ich zwrócić?

ODDAJCIE, COŚCIE ZABRALI” – DOMAGAJĄ SIĘ OD EUROPY AFRYKANIE, KTÓRYCH NAJCENNIJSZE SKARBY, DZIEŁA SZTUKI I ŚWIADECTWA HISTORII ZOSTAŁY WYWIEZIONE W EPOCE KOLONIALNEJ DO PARYŻA, LONDYNU, BRUKSELI I BERLINA. EUROPA, KTÓRA SIĘ NA KOLONIACH DOROBİŁA, BIJE SIĘ W PIERSI I PRZYSIĘGA, ŻE WSZYSTKO ODDA. ALE TAK NAPRAWDĘ NICZEGO ZWRACAĆ NIE CHCE. A PRZYNAJMNIEJ NIE ZAMIERZA SIĘ SPIESZYĆ.

Zamknięta historia

„To wielki dla nas dzień... pamiętny” – wykrztusił prezydent Senegalu Macky Sall, powoli wydobywając zakrzywioną szablę ze zdobnej, skórzanej pochwy. „A to dopiero początek...” – ściszoną głosem dodał jego gość, francuski premier Édouard Philippe. Wysoki prawie na dwa metry i chudy, przypominał marabuta, gdy nachylał się do ucha senegalskiego prezydenta. Wyglądało to, jakby biały wielkolud składał czarnoskóremu przywódcy pokłon.

Senegalczyk wpatrywał się nabożnie w przyniesioną mu na czerwonej poduszce szablę, sławny miecz Omara, świętego i uczonego męża, a zarazem wielkiego wodza, który w XIX stuleciu stanął na drodze przybyłym z Francji najeźdźcom, podbijającym kolejne kraje w Sahelu i nad atlantyckim wybrzeżem na zachodzie Afryki.

Pobożny *el hadži* Omar Saidou Tall wywodził się z pasterskiego, znanego z wa-

leczności ludu Fulanich i przewodził na zachodzie Afryki sufickiemu bractwu Tidżanija. W 1857 r. na jego czele stawiał opór Francuzom (w Indiach wybuchło w tym czasie powstanie sipajów, w Chinach – druga wojna opiumowa, w angielskim Sheffield założono pierwszy

na świecie klub piłkarski, a w Krakowie – gazownię i miasto rozświetliły nocą uliczne latarnie na gaz). Nie dał się pokonać Francuzom i dopiero w 1860 r. podpisał z nimi honorowy pokój (Giuseppe Garibaldi jednoczył wtedy Włochy, w Ameryce Abraham Lincoln został wybrany na prezydenta, a w Warszawie powstało Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych). Cztery lata później zaginął bez wieści w górach Bandiagary, w położonym w pobliżu Mopti Kraju Dogonów, należącym do dzisiejszego Mali. Zastąpił go syn, Ahmadou, a Francuzi, łamiąc pokój, podbili Bandiagarę.

To wtedy wywieźli do Paryża miecz Omara, drogocенności, kufry i dywany z jego domu, a także całą jego bibliotekę. „Książki, mam nadzieję, też zwrócą” – mruknął potomek Omara, *el hadži* Mamadou Mactar Thiam, przeglądając



„Brązy z Beninu” – kolekcja dzieł sztuki afrykańskiego Królestwa Beninu (XV–XIX wiek), wywiezionych do Anglii przez wojska brytyjskie w 1897 r., British Museum w Londynie, listopad 2018 r.

się, jak premier Francuzów uroczyste zwraca szablę pradziadka.

Francuz nie mógł przyjechać do Dakaru z pustymi rękami. W sytuacji bez wyjścia postawił go jego przełożony, prezydent Emmanuel Macron, który odwiedzając dwa lata wcześniej inną dawną francuską kolonię Burkina Faso, niedysiejszą Górną Wolte, obiecał, że zrobi wszystko, by do końca swojej pierwszej pięcioletniej kadencji Afryce zostało zwrócone to, co w epoce kolonialnej jej skradziono, wszystkie korony, trony, berła i miecze afrykańskich władców, dzieła sztuki i historyczne pamiątki. „Historia Afryki nie może być zamknięta w muzeach w Europie – oznajmił Macron. – Należę do pokolenia Francuzów, dla którego zbrodnie europejskiego kolonializmu są niepodważalne”.

Już wtedy złożył solenne przyrzeczenie prezydentowi Beninu, że zwróci jego państwu przetrzymywane we Francji królewskie trony z Abomeju, dawnej stolicy królestwa Dahomeju. Nie wypadło więc, żeby premier Philippe wybrał się do Afryki z niczym. Tym bardziej że miecz Omara i tak znajdował się już w Dakarze, wypożyczony do Muzeum Czarnej Cywilizacji, otwartego z fanfarami rok po afrykańskiej podróży Macrona i złożonej przez niego deklaracji.

Raport Macrona

Macron, człowiek młody, ledwie 40-letni, o liberalnych poglądach i lewicowej, jak na dzisiejsze czasy, wrażliwości, zdawał się szczerze wierzyć w potrzebę naprawienia szkód i zadośćuczynienia krzywdom z epoki kolonialnych podbojów. Jako prezydent liczył też, że tym symbolicznym,

ale niezbyt przecież kosztownym gestem wkupi się w serca Afrykanów i ich przywódców, zaskarbi sobie ich przyjaźń i życzliwość dla politycznych i gospodarczych interesów Francji. Nie miałby wielkich szans, gdyby o afrykańskie względy miał rywalizować jedynie grubością portfela czy wojskową potęgą. Tym bardziej że w przeciwieństwie do Amerykanów, Chińczyków, Rosjan, ale także Hindusów, Turków czy arabskich szejków znad Zatoki Perskiej obciążałaby go dodatkowo kolonialna hipoteka.

Po powrocie z Afryki do Paryża prezydent kazał przygotować sobie spis afrykańskich skarbów we francuskich muzeach, a także raport, w jaki sposób zwrócić je prawowitym właścicielom i zasłużyć na ich wdzięczność. Raport na zlecenie napisali francuska historyczka sztuki, Bénédicte Savoy i pochodzący z Senegalu ekonomista, muzyk i pisarz Felwine Sarr.

W 2019 r. gotowy raport spoczął na biurku Macrona. Kwerenda wykazała, iż wszystkie niemal najcenniejsze dzieła sztuki, które należałoby uznać za skarby afrykańskiej kultury i historii, zostały z Czarnej Łądy wywiezione, a prawie 100 tys. z nich znajduje się we Francji, z czego trzy czwarte w muzeum sztuki kultur pozaeuropejskich, mieszczącym się w Paryżu, nad Sekwaną, przy nabrzeżu Branly, pod numerem 37, niedaleko wieży Eiffla. W muzeum, oczku w głowie byłego mera Paryża (1977-95) i prezydenta (1995-2007), zmarłego przed rokiem Jacques’a Chiraca, gaullisty i wielbiciela „sztuki prymitywnej”, zebrano ponad ćwierć miliona eksponatów z Afryki, Azji, Oceanii i obu Ameryk.

„Jeśli o któreś z nich upomni się prawowity właściciel, wszystko trzeba będzie bezwarunkowo zwrócić, ponieważ większość eksponatów pochodzi z wojennego lub kolonialnego rabunku” – przeczytał prezydent w raporcie. Autorzy zalecali pilną zmianę francuskiego prawa, tak by nie zabraniało muzeom wyzbywać się zbiorów bez specjalnego pozwolenia, a do tego czasu zwracać eksponaty Afrykanom na zasadzie wypożyczenia (tak właśnie, z Paryża do Dakaru, trafił miecz Omara i wciąż czeka, aż francuscy deputowani uchwalą stosowne przepisy).

„Nie idzie o to, by opustoszyć francuskie muzea, ale żeby zapewnić afrykańskie. Żeby młodzi w Afryce mieli dostęp



DAN KITWOOD / GETTY IMAGES

→ do własnego dziedzictwa kulturowego, stanowiącego przecież o tym, kim są” – napisali badacze.

Afrykańskie muzea

W ostatniej dekadzie zeszłego stulecia, kiedy zacząłem podróżować do Afryki jako dziennikarz, przybytki kultury, teatry, muzea, galerie, a nawet zwyczajne księgarnie spotykało się równie rzadko jak nosorożce w parkach narodowych. Inna sprawa, że jako dziennikarza wysyłano mnie do Afryki zwykle tam, gdzie działy się ludzkie tragedie, a nie tam, gdzie ludzie żyli w miarę długo i szczęśliwie.

Znajomi dziennikarze z Lagos, Kinszaszy, Chartumu czy Kampali podpowiadali, że aby oglądać afrykańską sztukę, powinienem raczej wybrać się do londyńskiego British Museum czy paryskiego Luwru. W Londynie, Nowym Jorku, Paryżu, Brukseli i Berlinie łatwiej też było posłuchać i spotkać afrykańskich pisarzy i muzyków. Tam żyli, tworzyli, wydawali płyty i książki. A jeśli im się powiodło, zostawali na Zachodzie na zawsze, by spieniężony sukces przekuć w dostatnie, a przede wszystkim spokojne i przewidywalne życie, co w afrykańskich ojczyznach nie było już takie proste.

Afryka dopiero podnosiła się z zapaści mrocznych dekad lat 70. i 80., gdy wpłatała w globalną zimną wojnę pogrążyła się – z nielicznymi tylko wyjątkami – w biedzie, tyranii, złodziejstwie, zafananiu, wojnach i rzeziach. „Zmarnowane dekady”, bo tak ochrzczono tamte dziesięciolecia, uśmierciły, zdawało się na zawsze, nadzieje i marzenia z lat 60., gdy Afryka powstała jako kontynent niepodległych państw. Większość z nich nigdy wcześniej nie istniała w obecnych granicach i pod obecnymi nazwami. I zapewne nigdy by nie powstała, gdyby nie zamorscy najeźdźcy, którzy dzieląc między siebie Czarny Ląd, sami wykreślili granice, nie zważając na miejscowe uwarunkowania.

Chcąc nie chcąc, młode, w ogromnej większości sztuczne państwa szukały nowej tożsamości, odwołując się do starych kultur i królestw Mali, Ghany, Beninu, Sokoto, Konga czy Zimbabwe. Nie brakowało planów jeszcze ambitniejszych. Pierwszy prezydent Ghany Kwame Nkrumah przekonywał, że Afryka, jak Ameryka Północna, powinna się zjednoczyć w jedno, kontynentalne państwo.

W 1966 r. prezydent Senegalu Léopold Sédar Senghor, jeden z nielicznych myślicieli i poetów, których rodacy wybrali sobie na przywódców (za jego panowania w latach 1960-80 Senegal wydawał na kulturę jedną czwartą państwowego budżetu), ogłosił Dakar tymczasową stolicą Czarnej Cywilizacji. Powiedział to, uroczyście otwierając Festiwal Sztuki Czarnych, na który zjechali cesarz Etiopii Haile Selassie, Wole Soyinka z Nigerii, który jako pierwszy afrykański pisarz otrzymał literackiego Nobla, amerykański arcymistrz jazzu Duke Ellington, a także Aimé Césaire, poeta z karaibskiej Martyniki, z którym Senghor stworzył ruch Negritude, „murzyńskości”, głoszącej afirmację cywilizacji i kultury czarnego człowieka.

Zamiast renesansu, Afrykę czekał jednak upadek. Nkrumah, głosiciel afrykańskiej jedności, jako prezydent przerodził się w zadufanego dyktatora, a dwa miesiące przed festiwalem w Dakarze został obalony wskutek wojskowego puczu. Podobny los stał się udziałem większości afrykańskich przywódców, którzy posmakowawszy władzy, z wizjonerów, marzycieli i ludowych bohaterów przemieniali się w satrapów. Kres ich nieudanym rządów kładli generałowie. Potem generałów obalali pułkownicy, pułkowników – porucznicy. W końcu przyszedł czas rządów sierżantów i kaprali. Afryka grzęzła w tyranii, przemocy i nędzy. Nikt nie myślał o kulturze, gdy stawka w grze było przetrwanie. A afrykańscy przywódcy nie żądali od Londynu czy Paryża zwrotu pomników historii, lecz nowych pożyczek i karabinów.

Dopiero koniec zimnej wojny i ćwierćwiecze demokratycznych i gospodarczych reform doprowadziło do tego, że spora część afrykańskich państw dźwignęła się z upadku. Nie wszystkim, rzecz jasna, los poprawił się w równym stopniu – przepaści między garstką bogaczy a ubogimi nigdzie nie są tak ogromne jak w Afryce. Globalizacja jednak sprawiła, że nawet w tych krajach, w których niewiele się zmieniło na lepsze, pojawiły się enklawy, zasiedlane przez nowe, zamożne, zapatrzone w Zachód, a nierzadko na Zachodzie wychowane elity, zarówno biznesowe, jak intelektualne. Uznały one, że w swoich oazach w Kinszasie, Lagos czy Nairobi mogą wieść życie niczym różniące się od tego, jakie wiodły dotąd w Londynie czy Paryżu. To głównie za ich

sprawą i ich duchowych potrzeb i aspiracji z Afryki znów zaczęły dochodzić do Europy żądania zwrotu dzieł sztuki, będących dziedzictwem kulturowym Czarnej Łądy.

Przez ostatnie pół wieku na podobne roszczenia Europa odpowiadała pytaniem o muzea i galerie, w których Afryka przechowywałaby i wystawiała zwrócone skarby. „W Afryce nie ma muzeów” – przekonywali kustosze z Londynu, Paryża i Berlina. Trudne do zbitcia argumenty przytaczali zwłaszcza Belgowie. Kongo było zamorską posiadłością najpierw króla Belgów, Leopolda, a potem Belgii. Na żądanie kongijskiego tyrana Mobutu Sese Seko (1965-97) Belgowie przekazali mu prawie 150 eksponatów z muzeum w podbrukselskim Tervuren. Mobutu najpierw sam wybrał ze zbiorów co cenniejsze rzeczy, potem do grabieży przystąpili jego dworzanie, a resztki zrabowali powstańcy, którzy w 1997 r. zajęli Kinszasę i odebrali mu władzę.

Wojny, rewolucje, a także rządy tyranów i kleptokratów zawsze były gratką dla marszandów spod ciemnej gwiazdy. Wiosną 2001 r., gdy rządzący Afganistanem talibowie strzelali z czołgów do wykutych w skałach Bamjanu posągów Buddy i rozbijali przedmuzeumskie eksponaty w kabulskim muzeum narodowym, w pakistańskim Peszawarze, w hotelach i na bazarach, na każdym kroku wpadało się na zachodnich poszukiwaczy skarbów i łatwych fortun, którzy za becen skupywali od afgańskich watażków przemycane przez granicę starożytne arcydzieła. Podobnie działo się w Bagdadzie, gdy podczas inwazji amerykańskiej splądrowano tamtejsze muzea, a także w Kairze podczas ulicznej rewolucji z czasów Arabskiej Wiosny. W Afryce kradzieżą i przemytem zajmowali się też przekupni dygnitarze.

Jednak wraz z powstaniem nowych elit w Afryce pojawiły się nowe, nieustępujące zachodnim rezydencje, restauracje, bary, kluby czy pola golfowe, a także galerie i nowiutkie muzea. W Lagos, Beninie (mieście w Nigerii), Kinszasie, Akrze, Lomé. W grudniu zeszłego roku w Dakarze uroczyście otwarto Muzeum Czarnej Cywilizacji, mające przedstawiać zarówno dziedzictwo kulturowe Afryki, jak współczesne arcydzieła tworzone przez czarnoskórych z całego świata. Zdawało się, że sen starego prezydenta Senghora ziścił się po ponad pół wieku.

To skandal, ale...

Dzisiaj, od pamiętnego przemówienia Macrona minęło ponad dwa i pół roku. Półtora – od publikacji zamówionego przezeń raportu, zalecającego bezwzględny zwrot Afrykanom skarbów ich kultury. Pół roku upłynęło od otwarcia Muzeum Czarnej Cywilizacji w Dakarze. I choć słowa Macrona uznano za zapowiedź rewolucji, nie wywołały trzęsienia ziemi, a co najwyżej burzę. I niewiele tak naprawdę zmieniły.

Francuz, bez dwóch zdań, wywołał poruszenie. W zachodnich stolicach przestraszano się, że jeśli Paryż zacznie zwracać Afryce jej dzieła sztuki, Londyn, Berlin, Bruksela, Rzym i Haga będą musiały pójść w jego ślady. Pojawiła się nawet obawa, że jeśli zwrot dzieł sztuki zostanie uznany za sprawiedliwe i słuszne zadośćuczynienie za zbrodnie i krzywdy z czasów kolonialnych, poszkodowani, a więc nie tylko Afryka, lecz cała niezachodnia część świata, zażądają, by Europa, która dorobiła się na tym wyzysku, podzieliła się z nimi także swoim bogactwem.

Słowa Macrona dały początek nowej debacie o kolonializmie, spadku po nim i moralnej zań odpowiedzialności, a także o dekolonizacji, która powiodła się jedynie w sferze polityki, ale już nie w sprawach gospodarki i kultury. Padło wiele strzelistych deklaracji, błyskotliwych pomysłów, aktów pokuty, celnych ripost i trudnych do podważenia argumentów za i przeciw. Ale poza słowami na Zachodzie wszystko pozostało bez zmian.

Dyrektorzy muzeów z Wielkiej Brytanii, zwłaszcza z Wielkiej Brytanii, ale także samej Francji przyznają, że to skandal, iż wskutek kolonializmu skarby kultury i historii Afryki, ale także zniewoleni ludzie i ludzkie szczątki, odrąbane głowy i skalpy afrykańskich wodzów zostały wywiezione do Europy jako wojenne łupy, naukowe eksponaty czy osobliwości. Wiele z nich zostało najzwyczajniej w świecie zrabowanych lub wyłudzonych za bezcen. Nie sposób ich jednak dziś zwrócić, bo po latach, gdy troszczo się o nie w Europie, stały się choć w części także jej własnością, a przepisy europejskich państw zabraniają muzeom pozbywania się eksponatów bez zgody rządów.



Relikwiarz ludu Bakota z Gabonu,
XIX-XX w., drewno i miedź,
Muzeum Vieille Charité w Marsylii,
Francja

AFP / EAST NEWS

Zlecony przez prezydenta
Macrona raport wykazał,
że wszystkie niemal
najcenniejsze skarby
afrykańskiej kultury i historii
zostały z Czarnego Łądu
wywiezione, a prawie
**100 tysięcy z nich
znajduje się we Francji.**

Zresztą, mówią w Europie, w dzisiejszych czasach, gdy świat, także za sprawą imperiów, stał się jedną globalną wioską, wasze zabytki są też częścią naszej wspólnej historii i tożsamości, są tak samo wasze, jak nasze. I trzeba je pokazać jak największej liczbie ludzi. A dokąd więcej ich przyjeżdża? Do Kinszasy czy Londynu i Paryża? Zamiast zwracać dzieła sztuki Afryce, Europie łatwiej byłoby je wypożyczać. Na takie rozwiązanie nie zgadzają się jednak Afrykanie, twierdząc, że może to im zostać poczytane za dobrowolne wyzwanie się własności i usankcjonowanie kradzieży.

W dodatku w wielu przypadkach nie sposób ustalić prawowitych właścicieli. Co zrobić z przesławnymi Brązami z Beninu? Chodzi o ponad 3 tys. figurek, rzeźb i płaskorzeźb, z których prawie tysiąc znajduje się dziś w londyńskim British Museum, pół tysiąca w Berlinie, a reszta została rozprzedana i rozdana, rozjechała się po całym świecie – figurka głowy Królowej Matki z poniemieckich zbiorów znajduje się np. w Muzeum Narodowym w Szczecinie. Zostały zrabowane w XIX stuleciu przez Brytyjczyków podczas krwawej ekspedycji karnej. Czy oddawać je potomkom ich właścicieli, króla Beninu? Czy też władzom Nigerii, której w tamtych czasach nie było, ale w której skład wchodzi dziś ówczesne królestwo Beninu, niemające zresztą nic wspólnego ze współczesnym państwem Benin, odwołującym się do jego tradycji?

O wywiezione w świat znaleziska z piramid, Doliny Królów i Luksoru upominają się Egipcjanie, zwrotu świadectw swojej przeszłości domagają się Benin i Nigeria, Kamerun i Mali, Etiopia i Kenia, Namibia i Kongo. Zwrotu zabytków żądają potęgi – Chiny i Indie, a także mieszkańcy małej Wyspy Wielkanocnej, z której Brytyjczycy wywieźli jeden ze słynnych kamiennych posągów. Grecy nie mogą się doprosić od Brytyjczyków oddania marmurów wykradzionych z Partenonu przez lorda Elgina, brytyjskiego ambasadora na dworze tureckiego sułtana w czasach, gdy Grecja była prowincją Imperium Osmańskiego.

„To wszystko nie jest takie proste” – kręca głową w Europie. Nikt nie mówi, że Europa nie zwróci niczego Afryce. Ale nie mówi też, kiedy ani jak zamierza to zrobić. „Trudna sprawa... złożona. Ale trzeba o tym rozmawiać... bezwzględnie... trzeba rozmawiać”. © WOJCIECH JAGIELSKI



Daisy Haggard jako Ally
w serialu „Rodzice” (odc. 3)

HBO / MATERIAŁY PRASOWE

Wystarczająco dobrzy

ANITA PIOTROWSKA

„Rodzice” nie traktują rodziny jako źródła cierpień – choć znajdują się i tacy, którzy zobaczą w tym serialu skuteczny środek antykoncepcyjny.

JAK ŻYĆ W RODZINIE I PRZETRWAĆ? To pytanie stawiają sobie dziś szczególnie rodzice dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym. Dziesięcioodcinkowy serial komediowy „Rodzice” może pełnić pod tym względem funkcję terapeutyczną. Pod warunkiem, że komuś wcześniej nie zwiędła uszy od nadmiaru wiązań i gróźb rzucanych czasem w stronę tych, których najbardziej się kocha. Ale niech pierwszy rzuci kamieniem (pilotem?) w telewizor ten, kto nigdy nie miał ochoty zadusić swoich milusińskich. Najlepiej przy pomocy ciężkiej kołdry w słodkie tygryski.

Polski tytuł nie oddaje wieloznaczności oryginału. Słowo „*The Breeders*” uru-

chamia bowiem dodatkowy, „zootechniczny” kontekst, w którym rodzice mają w sobie coś z hodowców i rozpłodowców jednocześnie. Produkcja stworzona przez Chrisa Addisona, Simona Blackwella i Martina Freemana, czyli speców od brytyjskiej komedii telewizyjnej, nie traktuje jednak rodziny jako źródła cierpień, a rodzicielstwa jako bezdusznej hodowli – aczkolwiek znajdują się i tacy, którzy zobaczą w tym serialu skuteczny środek antykoncepcyjny.

Zasadniczo to opowieść o tym, jak bardzo potrafimy być niedoskonalimi dla siebie nawzajem w roli rodziców oraz dzieci, rzecz bowiem traktuje o trzech pokoleniach współczesnych londyń-

czyków z klasy średniej. I robi to bez eufemizmów, raczej w duchu antypopradników i niesfornych blogów rodzicielskich niż kina rodzinnego czy typowo rozrywkowego sitcomu. Stanowi przy tym bardzo niekonwencjonalną pochwałę podstawowej komórki społecznej. Takiej, która nie zawsze daje się sformatować i nie zawsze da się lubić, jakkolwiek w tym przypadku potrafi dać to, co najważniejsze. Czyli bliskość i poczucie bezpieczeństwa.

Ally (Daisy Haggard) i Paul (gra go współtwórca serialu Freeman, znany też jako Bilbo Baggins z „Hobbita”) należą do kategorii rodziców, których łatwo byłoby nazwać dojrzałymi-niedojrzałymi. Oboje „z przeszłością” i już po czterdziestce (choć ciągle jeszcze na dorobku, bo czasy są ciężkie), wyluzowani i żyjący na kocią łapę, teoretycznie winni mieć w sobie pokłady cierpliwości. Dwójka kilkulatków przewróciła co prawda do góry nogami ich swobodne dotychczas życie, lecz oboje już zdążyli się wyszumieć. Tymczasem z dnia na dzień muszą stać się srogimi pogromcami domowego chaosu, strażakami gaszącymi bez kasków rzeczywiste i wymaginowane pożary, anarchistami i konserwatystami w jednej osobie, lojalnymi partnerami w związku i zaciekłymi wrogami na polu bitwy o jeszcze jedną godzinę snu.

Serial pokazuje także ich niepewne funkcjonowanie w bliskim starciu ze szkołą, szpitalem czy opieką społeczną – ileż się trzeba nagimnastykować, by nie wyjść na rodzinę patologiczną! Nieważne jednak, że kubeł na śmieci pobrzkuje rankiem haniebną liczbą butelek, a przyzwolony sąsiad rzuca wymowne spojrzenia. Filmowy dom wariatów przeistacza się na naszych oczach w rodzinę daleką co prawda od ideału, acz przecież wystarczająco dobrą.

Bez lukru, za to z typowo wyspiarskim sarkazmem, „Rodzice” odtwarzają na ekranie wielce niepoprawną codzienność londyńskich przeciętniaków. Cierpkie poczucie humoru nie uznaje tu żadnych świętości – z równą swobodą żartuje się z *in vitro*, depresji poporodowej i eutanazji, co z kredytów, ubezpieczeń i emerytur. Brytyjska szkoła filmowego realizmu, który nigdy nie lekceważy tła

społeczno-ekonomicznego, odcisnęła tu swoje piętno – aluzja do Kena Loacha pojawia się dosłownie.

Karykaturalnie zrazu wypada konfrontacja Paula i Ally z ich własnymi rodzicami, którzy również nie mieszczą się w schemacie pocziwych dziadków i babć. Wśród nich na szczególną uwagę zasługuje wątek Michaela, ojca marnotrawnego Ally, który po latach nieobecności zjawia się nagle bez środków do życia i zagrzeżdża u córki, bo „dorosłość nie jest jego mocną stroną”. Grany przez Michaela McKeana stary utracjusz reprezentuje pokolenie niegdysiejszych dzieci kwiatów, lecz postać ta niesie ze sobą znacznie więcej niż obyczajowy folklor.

Prawdziwym przekleństwem pary głównych bohaterów, prócz dzieciaków z turbodoładowaniem, jest ciągle analizowanie, czy ja sam/sama jestem w tej rodzinie wystarczająco dobry/dobra. Tej męczącej samoświadomości nie miała w takim stężeniu generacja ich rodziców. Jeśli kogoś gorszy nieparlamentarny język Paula i jego krewki temperament, niechaj wyobrazi sobie, jak musiał wyglądać jego rodzinny dom, z pewnością doskonale wytłumiony i zdyscyplinowany, w rzeczywistości naładowany tzw. bierną agresją. I o tym też wspomina się w kaśliwych żartach.

Miedzy wierszami wylania się także obraz wzgardzonego wyścigu szczurów i dziedziczonych aspiracji – niezrealizowanych ongiś przez siebie z braku możliwości czy w geście buntu, po czym nieświadomie przelewanych na własne dzieci. Czyisty banal? Jego zaprzeczeniem jest z pewnością piąty i szósty odcinek serialu, w których rodzina, a zwłaszcza małutkie dzieci, muszą zmierzyć się z tematyką śmierci. Na przykładzie zmarłego chomika o imieniu Groszek dokonuje się oswajanie śmierci „większej”, a zarazem akt głębokiego rozrachunku i trudnego przebaczenia. Sama zaś załoba okazuje się procesem zbyt skomplikowanym i zbyt indywidualnym, by szukać dla niej gotowych sukien.

Wszystko to rozgrywa się w nielinearnie podanych scenkach i niezobowiązujących, dwudziestokilkuminutowych odcinkach – w sam raz tyle, by zdążyć między nastawieniem rosołu a kolejnym rozpaczliwym rzutem oka do szkolnego Librusa. Ot, taka mała odtrutka na zalewające internet ponure serialowe dystopie, a przy okazji na przymusowe rodzinne ścieśnienie i rodzicielskie wyrzuty sumienia. ©

RODZICE (*The Breeders*) – reż. Ben Palmer.
Prod. Wielka Brytania/USA 2020. Dostępny na HBO GO.

WARTO ZOBACZYĆ W TV

1. Marek Edelman... i była miłość w getcie



Dokumentalny, reż. Jolanta Dylewska, Polska/Niemcy 2019, Canal+ Dokument, 11 IV, 20.30, 13 IV, 21.25

Dokument twórczyni „Polin” ma premierę telewizyjną w przededniu 77. rocznicy żydowskiego powstania. Opowiada o tym, jak bardzo silna w czasie marnym może być potrzeba bliskości, również tej fizycznej. Pierwowzorem były wspomnienia Edelmana spisane przez Paulę Sawicką. Sceny fabularyzowane reżyserował Andrzej Wajda.

2. Nie ma nas w domu



Dramat, reż. Ken Loach, Wielka Brytania 2019, VoD
Dziś, kiedy prekariusze wszystkich krajów

jeszcze bardziej niepewnie spoglądają w przyszłość, historia opowiedziana przez brytyjskiego reżysera nabiera szczególnej aktualności. Zadłużony ojciec rodziny podejmuje pracę w firmie kurierskiej i wpada w pułapkę „uberyzacji”. Kino solidarności społecznej w najlepszym wydaniu.

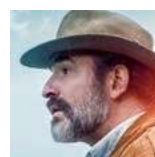
3. Le Mans '66



Dramat, reż. James Mangold, USA 2019, VoD

Nawet ci, którzy mają alergię na wyścigi samochodowe, znajdą tu coś dla siebie: opowieść o szorstkiej męskiej przyjaźni, pojedynku dwóch koncernów motoryzacyjnych z Europy i USA jako metaforę kapitalizmu, a do tego kawał wysokooktanowego kina akcji, w którym główne role grają Matt Damon i Christian Bale.

4. Deerskin



Komedia, reż. Quentin Dupieux, Francja 2019, VoD

Dla zmęczonych ciężkimi tematami proponujemy silną dawkę surrealizmu przebranego w zamszową kurtkę z frędzlami. Bohaterem filmu jest grany przez Jeana Dujardina mężczyzna w średnim wieku, obsesyjnie zakochany w swoim wdzianku z jeleniej skóry, co czyni zeń seryjnego mordercę i domostę filmowca w jednym.

W stronę
Marii i Wojciecha Zielińskich

oraz Ich

Dzieci

kierujemy nasze słowa, myśli i modlitwy
przepełnione najgłębszym, gorącym i serdecznym
współczuciem z powodu śmierci

Syna i Brata

Franciszka

Jesteśmy razem z Wami

PRZYJACIELE ZE ZNAKU

POŻEGNANIE

JAN

Klata:

Żeby niczego nie było



PANACEUM NA PANDEMIE: TAK ZROBIĆ, ŻEBY niczego nie było. Panaceum należy koniecznie zaaplikować w trybie konferencji prasowej, bez możliwości zadawania pytań. Pytania mnożą wątpliwości, sięją zamęt i defetyzm, pytania nie miesz-

czą się w scenariuszu władzy, pytania są zbędne, po prostu. Nie pytajmy o źródła prawa w Polsce, nie szukajmy dziury w płocie do lasu, po prostu skombinujmy sobie gumowe rękawiczki oraz maseczkę i oglądajmy w telewizji, jak dobrze jest u nas, a jak źle w Unii. Nie przeszkadzajmy rządowi rządzić, a prezydentowi się dobrze prezentować. Przecież zarówno rząd, jak i prezydent mają już teraz wszystkie narzędzia, żeby zarządzać. Słowo staje się ciałem w trybie konferencji prasowej.

Egzegezą słów premiera i ministra zajmują się na polskich ulicach patroli mędrców w mundurach, mądrość rządzących wyszła na spotkanie swym zbłąkanym owieczkom: „Daję 500 mandatu i [ch...]”, ewentualnie: „Ja tam [j...] ludzi po 500 zeta i [ch...]. Niech [k...] siedzą w domu”. Statystyka ma być zrobiona, nawet bez maseczek i rękawiczek dla policjantów. Swobodę to mogą sobie mieć myśliwi, bo oni heroicznie, hucznie i z lubością pomagają rolnikom w czasie epidemii. Odpowiedzialność zbiorowa gracko egzekwowana przez władze na narodzie polskim budzi entuzjazm „publicznych” mediów, zaprawdę dobry to pan, co wszystkiego zabrania, przetrzucając odpowiedzialność dookoła, jak leci.

Zaprawdę nasze władze są rozważne i liberalne, podziękujmy im zdalnie, w formie wrzucenia koperty, przecież teraz nie czas na jakieś pięknoduchowskie fanaberie typu mnożenie pytań czy dbanie o formę, formę określa władza. „To nie o to chodzi, żebyśmy utrzymywali formę” – my nie, wy tak. Przecież macie wszystkie potrzebne narzędzia, żeby nas utrzymywać w swojej formie. Wrzuciliście je sobie niepostrzeżenie, pod przykrywką „tarczy”, o drugiej w nocy, z pogwałceniem prawa. Nie pierwszym i nie ostatnim, oczywiście, więc kto by się tym przejmował, gdy wokół taki koniec świata. Nadszedł kwiecień, dla Polaków niebezpieczna pora. ©

Lektor:

Rozmowy o dobrym życiu



■ **Błażej Strzelczyk**
MOJA ŻONA
GŁASZCZE JEŻE.
ROZMOWY MAŁŻEŃSKIE
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2019, ss. 198.

SZUKAŁEM KSIĄŻKI, KTÓRA mogłaby dzisiaj nieść pociechę, nie będąc równocześnie ucieczką od naszego świata. No i znalazłem. Piśzę o niej nie dlatego, że jej autora znam z redakcji „Tygodnika” (obecnie pracuje we Wspólnocie „Chleb Życia” s. Małgorzaty Chmielewskiej) i w dodatku lubię, tylko dlatego, że jest po prostu dobra. I optymistyczna, ale optymizmem nieuładzonym i niezaspraszającym kantów.

Pomysł prosty: trzydziestoletni singiel rozmawia z parami małżeńskimi o długim stażu. Niekiedy bardzo długim. Joanna i Jan Kulmowie byli razem przez 66 lat, umarli niedawno w niewielkim odstepie czasu. Staż małżeński Hanny i Antoniego Gucwińskich jest podobny. Czasem chodzi o związek pierwszy i jedyny, czasem poprzedzony innymi. Małżonkowie bywają równolatkami, jak Ludwika

i Henryk Wujcowie, Elżbieta i Przemysław Malzahnowie czy Anna i Tadeusz Sobolewscy, ale niekiedy dzieli ich spora różnica wieku, jak Henrykę Krzywonos i Krzysztofa Strycharskiego czy Małgorzatę Goetz i Karola Modzelewskiego. Wiele więc różnic – nawet wspólne pasje nie zawsze łączą, jak w przypadku mieszkających w Białowieży Malzahnów, przyrodniczek i leśników: podpuszczani przez rozmówcę, spierają się o Puszcę. Z kolei psycholożka Justyna Pronobis-Szczylik pod wpływem męża, onkologa Cezarego Szczylika, zajęła się psychoonkologią, a Wujcowie nie tylko studiowali razem fizykę, ale później oboje zaangażowali się w opozycję. O tym, że Gucwińscy wspólnie pracowali w ZOO wrocławskim, wszyscy chyba pamiętają – w spotkaniu z nimi żywy udział bierze rodzina jeży (to o nich mowa w tytule). Gdyby potraktować rozmowy Błażeja Strzelczyka

jak sondaż socjologiczny, próbka jest różnorodna. Oczywiście nie są to ankiety, a celne, choć lakoniczne pytania trafiają w ważne punkty i czasami działają jak katalizator ukrytych napięć. „Czego pan ode mnie wymaga? Mam się biczować?” – pyta nieco poirytowany Ludwik Wilczyński, taternik, alpinista i himalaista, pytany o wyjazd w Alpy dziesięć dni po urodzeniu przez Barbarę Wilczyńską ich pierwszego syna. Grażyna i Wojciech Jagielscy spokojnie już opowiadają o przeżyciach kryzysie, którego źródłem była wykonywana przez Wojtka praca korespondenta wojennego. Jest o rozładowywaniu konfliktów, wybaczeniu, czułości i seksie. A przede wszystkim o tajemnicy wieletniego bycia razem i wspólnego godzenia się z przemijaniem. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Pęd pędu



MIAŁEM WINNICĘ. NIE ROSŁA NA ŻY-
znym pagórku, jak ta opiewana przez
Izajasza w 5. rozdziale jego księgi, sym-
bolizująca niewdzięczny Izrael. Czy-
tamy wszak o niej, iż zamiast wino-
gron „cierpkie wydała jagody”, na co

Pan zapowiedział: „Pokażę wam, co uczynię winnicy mo-
jej: rozbiore jej żywopłot, by ją rozgrabiono; rozwałę jej
ogrodzenie, by ją strutowano”. Moja winnica porastała
tylko ściany wąskiego studziennego podwórka kamie-
nicy. Przyszli, spuścili się na linach z dachu i pęd po pę-
dzie odrywali ją od muru, tnąc co grubsze ramiona piłą.
A grube były, że hej. Jeśli moje rozeznanie w dziedzinie
uprawy winorośli zwanej botanicznie „szlachetną” na
coś się przyda, to oceniam, że rosło to wszystko przynaj-
mniej od lat czterdziestu.

Może i była nieszlachetna, ale tworzyła w lecie falu-
jącą wyściółkę. Ciasne, niewesołe podwórko stawało
się w wietrzne popołudnia egzotyczną wyspą. Pochła-
niała wszystko, łapczywie, beczelnie. W porze kwit-
nienia ekosystem bzyczał basowo od pszczoł, pogłos
nieustannego zapyłania mącił w głowie. Puszczona
na żywioł płodność: ta winorośl na jesieni wydawała
z siebie dziesiątki tysięcy owoców, po kilka pesteczek
w każdej jagódce. A ty ile dzieci po sobie, sybaryto, po-
zostawisz?

Liście czerwieniały i spadały, tworząc czerwono-
żółty dywan, który – jeśli się go szybko nie sprzątnęło,
zamieniał się ku uciesze robaków w burą biomasę. Na
łysych pędach zostawały przysuszone grona i z nadej-
ściem zimy mogłem odnowić bliższą znajomość z są-
siadem kosem, który wraz z małżonką metodycznie je
oskubywał.

To był zwykły kos, a przez okno wpadało ścierkowo
bure światło galicyjskiego poranka. Ale symboliczna
moc gron wyświeślała mi coraz to inne obrazy. Choćby
ptaki wśród kiści na mozaice w kościele św. Witalisa
w Rawennie z połowy VI w. Tam spogląda na nas Ju-
stynian, dumny, że udało mu się pozbierać resztki roz-
sypanego sto lat wcześniej Imperium Rzymskiego.
Jego cesarstwo ogarnęła dżuma (ta z XIV w. nie była
wcale pierwsza – tzw. plaga Justyniana nawracała aż
do ok. 750 r.). Cesarz wprawdzie przeżył, ale zdoby-
cze na Zachodzie weszły w długi proces dezintegra-
cji. Rawenna pozostała pod władzą Bizancjum, ale
w większości północnej Italii rozgościli się na dobre
Longobardowie, których imię słyszymy dziś setki
razy, gdy mówią nam o lombardzkiej tragedii.

Długo potem, na wzór kościoła św. Witalisa,
cesarz Karol zbudował kaplicę w Akwizgranie,

gdzie odbywają się dziś pompacyjne obchody europej-
skiej jedności... ale już dość tej gonitwy skojarzeń wokół
zwykłego dzikiego wina. To był chwast, zżerał elewację,
rozpulchniał tynk, brudził, jest tuzin powodów, dla któ-
rych sumienny właściciel w trosce o budowlę pozbywa
się czegoś takiego. Każdy chce mieszkać w solidnym
domu, po to wołamy specjalistów od cegieł i wapna. Lecz
uznanie prymatu inżynierii z jej bezduszną racjonalno-
ścią nie oznacza, że teraz nie mogą powtarzać za Izaja-
szem, iż zostawili mi pustynię, na której trudno będzie
zamieszkać.

Poddaliśmy się myśleniu zarządców zdrowia publicz-
nego, którzy obarczeni koszmarną odpowiedzialnością,
ale i przyduszeni strachem, że to wszystko i tak nie wy-
starczy, postrzegają ludzi jako kropeczki ze słynnej ani-
macji pokazującej sens dystansowania społecznego.
Kropeczki, które trzeba rozsunać, zamrozić. Gdyby się
tylko dało, najlepiej, by nawet stałe pary przestały dzie-
lić łóżę i stół.

Trzeba się temu poddać z lojalności dla wspól-
noty, ale nikt nie zabroni powtarzać, że to jest
okrutne i zabija kawałki duszy. Świadomość tego
jest warunkiem, byśmy w każdej sytuacji prakty-
kowali bycie istotą czującą i głodną innych. By-
śmy włączali w sercach i umysłach respirator, któ-
rego nie kupi za nas żaden, nawet najsprawniejszy
minister.

Zszedłem pod wieczór na pobożowisko po wy-
cinie, wziąłem kilka gałązek, wstawiłem do wody.
Wkrótce poszukam bezpiecznej ściany, przy któ-
rej wkoję je w ziemię. Winorośl to bardzo dzielna
forma życia – zakorzenia się byle gdzie, rozłazi
w każdą szparę, szuka wody choćby na żwirze i gru-
zie. Odbije. Odbijemy.

*Czy wy też dobrze słyszycie, ile pędu ku życiu
jest w botanicznym „pędzie”? Niech nas napędzą
pierwsze wiosenne **szparagi**. Samo ich zdobycie
będzie trudem, zatem nie próbujmy sobie komplikować
życia bardziej, zachowując kreatywność
na lepsze czasy. Ot, wystarczy doprowadzić je
do jadalności przez obróbkę termiczną – białe
gotuję na parze, zielone, po obraniu wolę upiec skro-
pione **oliwą** w brytfance przykrytej folią. A potem
zając się jakimś sosem i dodatkami. Możemy usma-
żyć na maśle **jajko** sadzone, zdjąć je delikatnie, na tej
samej patelni położyć parę szparagów, przełożyć
na wierzch jajko, natrzeć sporo **parmezanu**
i podgrzać wszystko razem, aż się ser trochę stopi
– to tzw. szparagi po mediolańsku. Albo połać je
genialną słoną wersją sosu **zabaione**: w garnuszek
wstawiony do większego garnka z wodą wbijamy
4 **żółtka**. Podgrzewamy wodę, ale nie wyżej niż
do 80 st. C, cały czas ubijamy żółtka trzepaczką,
dolewając 60 g **stopionego masła**. Kiedy zacznie
się to robić już kremowe, pomalutku dolewamy około
50-70 ml bardzo wytrawnego **białego wina**, wciąż
kręcąc, aż dalej zgęstnieje. Solimy i doprawiamy
pieprzem, można dosypać garść **parmezanu**.*

ZMYŚŁY



POCHWAŁA KOLACJI

Doprawdy, nie trzeba wam teraz seriali,
telewizji ani gier planszowych.
Liczy się tylko chęć domowników do rozmowy przy stole.

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI



Katarzyna Gintowt „Kwarantanna”, olej na płótnie, 2019 r.

ZANIM BĘDZIE O PRZYJEMNOŚCIACH, ZACZNIJMY OD KULTOWEGO włoskiego filozofa. 26 lutego tego roku Giorgio Agamben ogłosił w dzienniku „Il Manifesto” artykuł, w którym sugerował, że „gorączkowe, irracjonalne i całkowicie nieuzasadnione środki bezpieczeństwa” przyjęte przez włoski rząd w związku z epidemią COVID-19 nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, lecz potwierdzają wyłącznie jego diagnozę „stanu wyjątkowego jako normalnego wzoru rządzenia”. Tak jak wcześniej terroryzm dawał rządowi świętą pretekst, by stosować wyjątkowe środki ostrożności, tak teraz „wynalazek epidemii stwarza doskonałą okazję do tego, by środki te rozszerzyć bez żadnych ograniczeń”.

Ostatecznie „ograniczenie swobody narzucone przez rządy akceptuje się w imię pragnienia bezpieczeństwa, które zostało stworzone przez te same rządy, które teraz interweniują, by je zaspokoić”.

Gdy okazało się, że wirus, zwłaszcza we Włoszech, jest realny, nie wymyślony, Agamben opublikował 17 marca na blogu prowadzonym przez tłumacza jego dzieł na język angielski, Adama Kotsko, komentarz do swojej wypowiedzi: „Pierwszą rzeczą, którą w oczywisty sposób pokazuje fala paniki paraliżująca życie kraju, jest to, że nasze społeczeństwo wierzy jedynie w nagie życie. (...) Jest oczywiste, że Włosi skłonni są poświęcić praktycznie wszystko – normalne warunki życia, relacje społeczne, pracę, nawet przyjaźnię, uczucia, przekonania religijne i polityczne – jeśli w grę wejdzie choroba. Nagie życie – i groźba jego utraty – nie jest tym, co ludzi jednoczy, lecz zaślepia i oddziela. (...) Czym jest społeczeństwo, które nie ma innych wartości poza przetrwaniem? (...) Drugą rzeczą, nie mniej niepokojącą niż pierwsza, ujawnioną przez epidemię z dużą klarownością, jest to, że stan wyjątkowy, do którego rządy od dawna już przywykły, zaiste stał się zwyczajną kondycją. W przeszłości zdarzały się znacznie poważniejsze epidemie, nikt jednak ani myślał, by z tego powodu ogłaszać stan zagrożenia jak obecny, w którym ograniczono swobodę poruszania się. (...) Społeczeństwo, które żyje w permanentnym stanie zagrożenia, nie może być wolnym społeczeństwem”.

Pomińmy wadliwy argument historyczny: każda wielka epidemia w przeszłości wywoływała radykalne środki ostrożności i podczas epidemii hiszpanki w Stanach miasta, które odizolowano od świata, a w nich ludzi od sfery publicznej, przetrwały. Miasta zaś, w których nie podjęto żadnych środków zapobiegawczych – wymarły.

Pomińmy też fakt, że stan wyjątkowy tym różni się od stanu zagrożenia epidemicznego, że zawiesza prawa konstytucyjne, czego ten drugi nie robi. Nigdzie tam, gdzie wprowadzono stan zagrożenia epidemicznego, nie zawieszono konstytucji, co jest niezbędnym warunkiem mówienia o stanie wyjątkowym.

Paranoja Agambena

Według Agambena rząd zawiesza normalne funkcjonowanie społeczeństwa, bo chce na tym zbić polityczny kapitał, redukując życie społeczne do minimum, czyli do zwykłej troski o przeżycie, która pozbawia nas moralnych instynktów troski o życie wspólne. W tej wizji świata złowrogi rząd niczego innego nie robią, tylko knują spisek przeciwko wolnościom obywatelskim. Agamben nie bierze pod uwagę prostego faktu, że tylko centralne (a więc sterowane przez rząd) planowanie strategii zaradczej może przynieść jakiegokolwiek skutki, co najlepiej widać w Stanach, które rekordową liczbę zakażeń osiągnęły głównie z powodu indolencji rządu federalnego. Jedynie rząd dysponuje obecnie środkami niezbędnymi do zapobiegania katastrofie, wobec czego pozbawienie go z zasady prerogatyw jest politycznym kretynizmem i humanitarnym bezhołowiem.

To nie rząd – jakkolwiek rząd lokalny – jest dziś problemem, bo nie on odpowiada za globalne usieciwienie, bez którego niemożliwa jest globalna epidemia. Odpowiada za to Kapitał, który nie dba o to, co obmyśli sobie jakiegokolwiek

→ rząd. To Kapitał wespół ze wspierającymi go Mediami dyktuje nam reguły życia codziennego, nie rząd. W Ameryce „party zero” odbyło się w zamożnym domu w zamożnym stanie Connecticut, skąd 50 uczestników rozjechało się po całym świecie, niosąc ze sobą zarazki złej nowiny. A gdzie jest najmniej przypadków zarażenia w Stanach? Tam, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Donaldowi Trumpowi nie zależy na kontrolowaniu Amerykanów, ale na tym, by Kapitał (a więc i jego biznes) nie poniósł większych strat. Nic dziwnego więc, że impas w negocjacjach na rzecz uruchomienia gigantycznego pakietu ratunkowego dla amerykańskiej ekonomii nie mógł długo być przewyciężony w Senacie, gdyż Republikanie byli zainteresowani ratowaniem wielkiego biznesu, Demokraci zaś kładli nacisk na kompensację utraty miejsc pracy lub obniżki stawki godzinowej.

Bo ludzie tracą pracę; brakuje łóżek w szpitalach (nie brakowałoby, gdyby rząd rzeczywiście chciał „leczyć” wszystkich chorych), wielkie firmy, uratowane przez rząd od upadku, mogą teraz dyktować warunki zatrudnienia albo sterować rynkami, od których każdy rząd, nawet ten najbardziej wpływowy ekonomicznie, jest uzależniony. Przecież Mark Zuckerberg jest potężniejszy od każdego premiera czy prezydenta i prawdziwy stan wyjątkowy nastanie, dopiero gdy zamknie się Facebooka.

Tak, kultowym Agambenem zajmujemy się tutaj, żeby pokazać, jak dalece nasza epoka zgłupiała.

Samokwarantanna

Giorgio Agamben nie dopuszcza do myśli sytuacji, w której ktoś zechce sam ograniczyć swoją wolność, by nie narażać innych, by jak najszybciej pohamować rozprzestrzenianie się epidemii, by uratować starszych ludzi, szczególnie narażonych na zakażenie, i by skupić się na tym, co dla wszystkich najcenniejsze, a więc więzach społecznych. Gdy, według Agambena, mamy do wyboru albo zamknięcie się w domu, albo wyjście na ulicę i antyrządową manifestację, jasne jest, że kto zostanie w domu, musi być albo idiotą, albo niewolnikiem. Niemożliwa jest dlań do pomyślenia taka sytuacja, w której etyczność może realizować się w zamknięciu, w dobrowolnym odosobnieniu. To wszystko jest nie do pomyślenia w ramach filozofii, dla której albo jesteśmy moralnymi jednostkami, bo jesteśmy w grupie, albo walczymy jedynie o własne przetrwanie, więc szkoda w ogóle o nas gadać.

Ludzie boją się, to jasne, trwają w niepewności, to też oczywiste, ale różnica między ich lękami spowodowanymi wirusem a codziennymi lękami jest tylko ilościowa, nie jakościowa.

Nasza szesnastoletnia córka, która w przyszłym roku idzie na studia, boi się, że epidemia jej w tym przeszkodzi, bo wie, że wszystkie nitki są ze sobą dziś ściśle powiązane, ale i tak bez wirusa ma dość lęków spowodowanych presją społeczeństwa, które kompetycję ceni bardziej od kompetencji. I my nie umiemy tych obaw – w obu przypadkach – skutecznie wykorzystać, bo kondycja amerykańskiego nastolatka objuczona jest wieloma ciężarami.

Blizniaków dotyczy to inaczej, bo choć przejście od szkoły podstawowej do ogólniaka jest łatwiejsze – zresztą w Ame-

ryce też stresujące, bo tu ważyć się może przyszła kariera – to dla nich najważniejszym problemem jest brak żywego kontaktu z rówieśnikami: gadania, wygłupiania się, strojenia żartów z innymi, pomagania sobie w lekcjach, śpiewania, tańczenia, pozowania, czyli tego, co jest treścią życia wszystkich nastolatków.

Wiedzą jednak, że istnieje solidarność przez zaniechanie. Jeśli COVID-19 coś w nas rzeczywiście zmienił, to przekonanie, że człowiek społecznie zaangażowany musi iść z innymi w pochodzie, żeby manifestować swoją wolność. I jeśli coś przed wieloma odkrył, to to, że powstrzymanie się od aktywności może znaczyć równie wiele, co sama aktywność, a nawet więcej. I to także, że wycofanie się z przestrzeni publicznej nie musi być powodem do wstydu, jak chciałby Agamben, lecz wręcz przeciwnie, znakiem społecznej roztropności. Prawdziwe życie obnażone to życie tych, których nie chroni już sterany układ immunologiczny – i to właśnie życie powinniśmy solidarnie chronić.

Jednostka i społeczeństwo

Izolacja w nowożytnej kulturze Zachodu zawsze miała dwa oblicza. Więzienie wynaleziono późno, bo we wczesnym wieku XIX, w tym samym mniej więcej czasie, co szpitale psychiatryczne. Rewolucja francuska, a zwłaszcza okres jakobińskiego terroru, była ostatnim wielkim widowiskiem publicznego karania i europejska nowoczesność, stropiona tym krwawym horrorem, postanowiła utajnić wymierzanie kary. Zrobiła to odłączając ją od życia publicznego i umieszczając w miejscu zamkniętym przed wzrokiem gawiedzi.

W tym samym jednak czasie jednostka zaczęła d o b r o w o l n i e wycofywać się z życia publicznego, izolując od społeczeństwa, znajdując dla swoich lęków usprawiedliwienie w wyższości moralnej albo artystycznym geniuszu. Mottem takiej samoizolującej się jednostki było „Społeczeństwo, gardzę tobą i nienawidzę!”, co w przypadku uwiecznionego intelektualisty czy artysty nabierało charakteru politycznego i zmieniało „społeczeństwo” w znienawidzoną formę rządu. To właśnie ona stworzyła współczesną, mocną i zgubną opozycję izolującej się lub izolowanej jednostki i izolującego społeczeństwa albo rządu.

Jeśli więc COVID-19 cokolwiek zmienił, to zmiana ta dotyczy właśnie nowoczesnej opozycji między jednostką i społeczeństwem, w której nie ma miejsca dla relacji międzyludzkich opierających się władzy. Albo człowiek stoi w opozycji do społeczeństwa, które – za pomocą rządu – ma nad nim władzę, albo stara się zdobyć władzę i wtedy musi się ze społeczeństwem zbratać przeciwko tym jednostkom, które dopuściły się zdrady społecznego interesu. Tę opozycję jednostki i społeczeństwa wygrywają wszystkie reżimy autorytarne na rzecz dzierżonej władzy, to jasne, ale trzeba i o tym pamiętać, że kto skupia się na jednostce przeciwko władzy, ten niechący podtrzymuje ten sam system, którym pogardza.

Cały czas poruszamy się między jednostką i społeczeństwem, a to dlatego, że uwierzyliśmy, iż życie społeczne toczy się jedynie między tymi dwoma biegunami. To właśnie przekonanie może stać się najbardziej znaczącą ofiarą koronawirusa, na czym wszyscy moglibyśmy tylko zyskać.

Absolutna pojedynczość

Wirus nie oszczędza nikogo, wiadomo. Ludzie umierają, tracą bliskich, pracę, pieniądze, rutynę, zaufanie. Ale kryzys objawia się przede wszystkim w formie braku i utraty, dla jednych niezauważalnych, dla innych bardzo dotkliwych. Tak, COVID-19 pokazuje nam dobitnie, że świat nie jest równo podzielony: jedni kryzysu nawet nie zauważą, drudzy on wykończy.

Ale przecież dokładnie tak samo jest z życiem, co każe nam przypuszczać, że nierówność, o której mowa, nie jest w pierwszym rzędzie nierównością ekonomiczną. Jednych życie przeraża, innych nie. Jednym nie daje szans, drugim szans daje aż za dużo. Jedni się w nim odnajdują, drudzy nie bardzo. Jedni będą je chwalić, mimo że śmiercią jest podsyte, drudzy właśnie dlatego, że do śmierci zmierza, będą je potępiać. Jedni będą nim ryzykować, inni znowu będą je starannie ochraniać.

W tym sensie można powiedzieć, że każdy kryzys zdrowotny obnaża nasz stosunek do życia, tyle że nie jest to – jak chciałby Agamben – życie nagie, czysto biologiczne. W naszym życiu chodzi j e d y n i e o przetrwanie, o podtrzymanie aktywności organicznej, o uchylenie się śmierci. Przyznajmy: nie jest to przypadek epidemii, która nas dotknęła. Wzrost liczby ofiar wynika bardziej z niewydolności metod zapobiegawczych niż z zabójczego charakteru wirusa, który daje się zwalczyć, o ile zastosowane zostaną skuteczne środki. COVID-19 nie stanowi zagrożenia dla całej ludzkości. Tam, gdzie hojnie zbiera śmiertelny plon, nastąpiło naruszenie systemu immunologicznego społeczeństwa, które nie dość uwagi poświęciło na swoją ochronę. Nie zbudowało odpowiedniej liczby szpitali, zabrakło respiratorów, nie wbudowało w swój system społeczny mechanizmów kompensacji dla najbardziej zagrożonych – wreszcie – nie wykazało społecznej solidarności, która tutaj działa nie przez łączenie się ludzi, lecz rozłączanie, nie przez bycie razem, lecz bycie osobno.

Taka solidarność jednak wymaga radykalnej zmiany sposobu myślenia o sobie i innych, a zmiana ta zacząć się może w momencie, w którym porzucenie świata nie będzie traktowane jako dopust boży, lecz okazja, nie jako zerwanie ze społeczeństwem, lecz jako szansa przekształcenia więzi, jakie nas z nim łączą, nie jako ucieczka ze sfery publicznej w prywatną, lecz jako zamazanie granic między nimi.

Dla ludzi, dla których dom jest miejscem starannie oddzielonym od pracy, przymusowa kwarantanna jest doświadczeniem całkowitej konfuzji. To oczywiście konsekwencja nowoczesnego podziału na to, co prywatne, i to, co publiczne, która umacnia w ludziach przekonanie, że kto zostaje w domu (kobieta, żona), ten nie pracuje, choćby wykonywał dziesiątki ciężkich czynności. Z tego względu „zdalność” pracy wydaje się być wymarzoną ratunkiem od pogmatwania granic: równy dystans dzieli nas od współpracowników („o, jak bardzo żałuję, że nie możemy być razem w tak trudnej chwili!”) i od domowników („córeczko, nie przeszkadzaj, tatuś pracuje!”). Wreszcie możemy stać się jednostką prawdziwie wirtualną, bo pozbawioną jakiegokolwiek spo-

Prawdziwa groźba,

która zjawia się z wirusem COVID-19, to absolutna pojedynczość. Radykalne oddzielenie myślenia o jednostce od myślenia o społeczeństwie.

lęcznego zakorzenienia, ani tam, ani tu. To jest rzeczywista groźba, która zjawia się z wirusem COVID-19: absolutna pojedynczość. Radykalne oddzielenie myślenia o jednostce od myślenia o społeczeństwie.

Co to jest przyjemność

Taką absolutną pojedynczość od wielu lat szykują nam media społecznościowe. Konsekwencją jest przekonanie, że jednym z najskuteczniejszych sposobów opierania się presji społecznej jest mnożenie indywidualnych przyjemności.

Musimy przecież jakoś odpocząć od stresu, musimy się jakoś rozerwać, musimy jakoś zapomnieć o tym, co na zewnątrz, odnowić się, zregenerować, naładować akumulatory wyczerpane zmaganiem ze światem, społeczeństwem. A nic tak nie sprzyja wzniesieniu przyjemności jak kompulsywne oglądanie Nefliksa, Hulu, Amazon Prime i innych kanałów streamingowych, bo nic innego tak skutecznie nie zawiesza upływu czasu i nic tak skutecznie nie izoluje nas od świata, jak oglądane ciurkiem 5 sezonów serialu kryminalnego.

Kwarantanna zmieniła nasze doświadczenie czasu i przestrzeni, nie zmieniła jednak naszego stosunku do przyjemności. Książki poszły w kąt, bo trzeba sobie za dużo nawyobrażać. Netflix podsuwa przyjemności niezapoeśredniczone i niech nas nie zmyli fakt, że posługuje się medium filmowym. Telewizja, czyli wizja na odległość, już dawno umarła. Dziś przyjemność czerpiemy z hiperwizji, wizji wzmoczonej, nieprzerwanej, ciągle obecnej, której nadajemy komiczny pozór wieczności. Tym właśnie są przyjemności w epoce postmedialnej: ciągłym strumieniem wrażeń izolującym nas od świata.

Co to więc jest „przyjemność”? Historycznie rzecz biorąc, w naszym języku „przyjemność” bierze się – jak dowodził Aleksander Brückner – ze słowa „przyjma”, czyli czegoś odwrotnego od „ujmy”. Ujma na honorze to coś, co honorowi jest odjęte. Przyjma z kolei jest tym, co się – jak łatwo wykombinować – przyjmuje. Przyjemność jest indywidualna, ale jest też pasywna, co podkreślali zawsze – całkiem zasadnie – wszyscy krytycy hedonizmu. Przyjmuje w siebie wrażenia, zamiast coś robić na zewnątrz, zamiast działać, zamiast coś zmieniać poza nami. Kto siedzi godzinami przed telewizorem albo komputerem i poddaje się wrażeniom płynącym z ekranu, jest modelowym przykładem jednostki zaprogramowanej na przyjemność i nie zmienia tego faktu intensywna obecność w mediach społecznościowych, która daje jednostce fałszywe alibi aktywności.

Modelowym odbiorcą mediów w świecie postmedialnym (czyli takim, w którym medium się bierze w nawias, a nie uwypukla) jest p r z y j e m n i a c z e k: Ja skupione na czerpaniu przyjemności z jednokierunkowego strumienia wrażeń. Takie Ja będzie każdą ingerencję czegoś lub kogoś od siebie różnego traktować jako zakłócenie możliwej przyjemności. Tak zresztą rozumował Freud, gdy tłumaczył narodziny przemocy. Człowiek reaguje gwałtownie, gdy mu się zakłóci przyjemność, która jest niczym innym, jak tylko brakiem

→ cierpienia, czyli podwyższonej dawki ekscytacji. Ktoś, kto tę dawkę wzmacnia, czyli każdy, kto przychodzi ze swoimi sprawami z zewnątrz, zakłóca przyjemność płynącą z izolacji od świata. Kogoś takiego tylko palnąć w łeb.

Ratunek w kolacji

Można jednak inaczej ułożyć znajome klocki: społeczeństwo nie jest t a m, na zewnątrz, lecz zaczyna się t u, w domu.

Dom jest miejscem, w którym dokonuje się codzienna socjalizacja: trudna sztuka podtrzymywania relacji między ludźmi, z którymi się – z jednymi z wyboru, z innymi z konsekwencji tego wyboru – żyje. Jeśli rodzinę zdefiniujemy jako grupę osób zmuszonych przez ograniczenie miejsca do znalezienia kompromisu między jednostkowymi potrzebami i zbiorowymi wymaganiami (albo jednostkowymi przyjemnościami i zbiorowymi obowiązkami), to wtedy jasne stanie się gładkie przejście między rodziną i polityką. Pokaż mi swoją rodzinę, jak funkcjonuje, jak zachowuje się w czasach kryzysu, jak ustala relacje między przyjemnościami i obowiązkami, a powiem ci, jakiej polityki jesteś zwolennikiem. Albo inaczej, w najbliższym mi języku: pokaż mi, jak jecie kolację, a powiem ci, o jakim społeczeństwie marzysz.

U mnie w rodzinnym domu, jak w innych polskich domach, nie jadało się kolacji razem, każdy milczkiem opróżniał rondel. Tylko świętom przypadał przywilej gromadzenia nas wszystkich przy stole, ale wtedy czuło się, że odświętność, jak to w polskim obyczaju, przesłania prawdę o tym, jak żyjemy razem. Nawet niedzielny rosół tej smutnej prawdy o kruchych związkach polskiego społeczeństwa nie mógł zamaskować.

Odkąd żyję w USA w pięcioosobowej rodzinie (takiej, jaką dawniej była moja), kolacja stanowi główny punkt rodzinnego spotkania i przestrzegamy tego bardzo pilnie. Jestem pewny, że fundamentalna zmiana w moich poglądach i zainteresowaniach politycznych idzie w parze z ustanowieniem naszej domowej instytucji kolacji, która działa raz lepiej, raz gorzej, ale, jak na razie, działa.

Każdy z nas przychodzi z innego świata i na godzinę przynajmniej, mniej więcej od dziewiętnastej, ogłaszamy zawieszenie broni. Czasem trudno z tym na początku, bo każdy jeszcze siedzi mentalnie w swoje norze (pięć nor to niemało), ale robimy, co możemy, żeby z tych nor się wzajem powyciągać i wejść na wspólny grunt, gdzie każdy może coś powiedzieć, starając się własne gniewy i zadrżnienia z pomocą innych obłaskawić. Czasami dajemy za wygraną, bo nory przyciągają za mocno, ale więcej dni dowodzi skuteczności naszej instytucji.

Rozmowa, bardzo często o polityce, to jednak tylko część rodzinnej polityki. Owszem, najważniejsza, bo tylko tak można zetknąć ze sobą różne, całkiem niezgodne ze sobą światy (trzy kultury przy stole: polska, portorykańska, amerykańska), ale nie jedyna. U jej początków tkwi gotowanie, u jej końca – sprzątanie. Ja gotuję, dzieci sprzątają ze stołu, ładują zmywarkę, Rosie doprowadza kuchnię do ładu.

Ktoś gotuje, ktoś inny sprząta, podział obowiązków jest jasny i oczywisty, i czasem się z Rosie zamieniamy: ona go-

Fundamentalna zmiana w moich poglądach i zainteresowaniach politycznych idzie w parze z ustanowieniem naszej domowej instytucji kolacji.

tuje, ja sprzątam, na czym znacznie lepiej wychodzę, bo po jej gotowaniu niewiele jest do sprzątania. Kolacja to nie rutynowa kulinarna zapchajdziura, ale instytucja rodzinna, w której każdy powinien widzieć wyrażenie swojej roli. Jeśli kolację dobrze obmyślić, to niezależnie od tego, co się gotuje i co się je (bo to, o czym mówię, nie jest kwestią portfela, ale zwykłych chęci i gotowości), może być to czas i miejsce, w którym jednostkowe przyjemności ustąpią wspólnotowym radościom.

Każdy może i powinien zabrać głos, każdy może i powinien powiedzieć, co mu dolega, nikt nie powinien się czuć z rozmowy wyłączony, nawet jeśli, jak to często bywa, nie ma nic do powiedzenia. Ja gotuję i podaję do stołu, ale to Rosie trzyma całą rozmowę, do której czasem się włączam, czasem nie. Tradycyjne role rodzinne uległy u nas odwróceniu: mężczyzna obsługuje, kobieta dyryguje i trudno powiedzieć, gdzie się który archat zaczyna, a gdzie kończy. I nie ma żadnego znaczenia, co jest na stole, choć ma znaczenie, czy ktoś to przygotował sam, czy przyniósł gotowe.

Czytam wypowiedzi różnych ludzi, którzy nie wiedzą, co ze sobą zrobić w niezagospodarowanym przez innych czasie kwarantanny. Robią to lub owo, w gruncie rzeczy cokolwiek, co tylko przyjdzie do głowy lub na co czasu nie mają, gdy pracują poza domem. A to chleb upieką, a to zagrają z dzieckiem w domino, a to film na National Geographic obejrzą. Ludzie miotają się od jednego fetysza do drugiego, tęsknie wyglądają końca epidemii.

Warto jednak może w tym czasie pomyśleć inaczej: zamiast chwycić się przypadkowych kół ratunkowych, może dobrze byłoby coś we własnym domu ustanowić, coś, co mogłoby przetrwać czas epidemii i funkcjonować również dobrze poza nim. Nie trzeba wam subskrypcji, gier planszowych, telewizji czy innych gadżetów. Liczy się tylko chęć domowników do rozmowy przy kolacyjnym stole. To ona jest pierwszym krokiem do społecznej edukacji dzieci, do politycznej rozważli dorosłych i do drobnych przyjemności towarzyszących nam zwierząt, które wylizują do cna talerze po kolacji.

Każdemu jego i jej przyjemności, nie ma tu żadnych reguł narzucanych z góry i dobrze jest samemu wymyślać własne, takie mianowicie, które by nas ze sobą powiązały. To, wbrew pozorom, jest najtrudniejsze, bo najczęściej myślimy o przyjemności jak Freud: każdy inny jest naszej przyjemności niepotrzebnym zakłóceniem, zbędnym nadдатkiem w procesie odcinania się od zewnętrznego świata.

Tu właśnie, w takim rozumieniu przyjemności, które odbija nowoczesny konflikt jednostki i społeczeństwa, widzę przyczyny wielu współczesnych utrapień. Z nich bodaj najdotkliwsze rodzą się wtedy, gdy nasza absolutna jednostkowość nie chce za żadne skarby podzielić się swoją przyjemnością z innymi absolutnymi jednostkami, które w zawieszonym milczeniu żują niesmaczny kawałek mięsa i zastanawiają się, jak go po kryjomu wypłuć i iść do swojego pokoju czytać Giorgia Agambena.

W dziuplach

MAREK BIEŃCZYK

**Drobniutka przyjemność; przez sekundę
zamiast Atlasa świat dźwigały wiewiórczęta.
Przyszły z krainy ulotnych drobiazgów.**

DOSTAŁEM MAILA OD REDAKTORA Z PYTANIEM, CO MI DZISIAJ sprawia przyjemność. Zerwałem się po sportowemu do odpowiedzi, lecz niestety szybko sflaczała; piszę z wnętrza pękniętej futbolówki. Trudno grać dalej, zwłaszcza w centrum miasta, gdzie zielone murawy zakazane. Przypomina się przestrzeń z „Pustyni Tatarów” Buzzatiego: zamknięta, oblężona twierdza, tylko wroga nie widać. Gdzieś jest, napięcie i lęk rosną, ale kiedy wróg przyjdzie i uderzy, którądy się wedrze – nie wiadomo.

Po co tu jednak porównywać, gromkie analogie literackie przyjemności ani ukojenia nie dają. Wszędzie wokół padają znane tytuły: „Dżuma”, „Miłość w czasach zarazy”, „Dekameron”, „Śmierć w Wenecji”, „Strach w kulturze Zachodu” czy „Dziennik roku zarazy” Daniela Defoe, książka prawdziwie wybitna, na tyle wybitna, że zwalnia z obowiązku pisania własnego dzisiaj dziennika epidemii. Tak, wszystko już było, przodkowie o wszystkim opowiedzieli i lojalnie uprzedzili (bo przodkowie to ci, co uprzedzają), ale cóż z tego. Jak na dzisiaj, przyszłość to przeszłość, tylko cokolwiek gorzej. Dzwony biją tak głośno i wiadomo komu.

Zatem *unde voluptatem*? W chwili, gdy przyszedł mail, przeglądałem „Tragiki”, wspaniały poemat barokowy Agrippy d'Aubignego, by sprawdzić, jak to się czyta dzisiaj. Tytuł nie myli, i tu chodzi o straszne rzeczy, wojny religijne. Oto nadchodzi czas apokalipsy dla książąt wszelkiej maści:

*Gdy czas pomsty nadejdzie, sam Baranek Boży
We lwa zamieniony ryknie i grzywę nasroży,
Wnet te króle żelazną miotłą powymiała,
Precz te bożki nadęte wytłucze ze świata!
Lecz i was razem z nimi. Pod pioruna ciosem
Co wielkie i co małe jednym ginie losem;
Nie tylko harde dęby i cedry wyniosłe,
Też i ziółko na palec od ziemi odrósł,
Też krzaczek, też i róża z pączka rozwinięta
I w dziuplach wiewiórczęta i w gniazdach pisklęta.
Uwięźnie jeleń w liściach zwalonej korony,
Postrada legowisko odynieć spłoszony,
Przepadną pszczele ule i pastusza chata,
Pod drzewem żyjesz – strzeż się, bo drzewo przygniata.*

Ten mały fragmencik przełożyła Wisława Szymborska. Przełożyła pięknie, lecz nie wspominałbym o Agrippie d'Aubigné, gdyby nie „wiewiórczęta”. Przyłgnałem do tego słowa jak do latającego dywanu; przez chwilę dało się na nim pobujać przyjemnie w obłokach.

Na początku sądziłem – i tym głębsze biłem pokłony – że to sama tłumaczka wymyśliła to słowo. „Wiewiórczęta” byłyby, dedukowałem, barokowym imieniem „wiewiórceczek”. Wymyślając je tak świetnie, Szymborska podkreślałaby barokową estetykę poematu, swoim poetyckim instynktem dorzucałaby mu w przekładzie dodatkową wartość, jeszcze jeden brylancik. Aniołkowie w języku barokowym, zacząłem sobie wyobrażać pod wpływem tej domniemanej inwencji, stać by się mogli aniołczętami, a na przykład sarenki sarnięczętami.

Oczywiście to nie jest neologizm stworzony przez Szymborską; po prostu nie pamiętałem, czy raczej nie wiedziałem, że takie słowo w polszczyźnie – choć bardzo rzadko używane – istnieje. Istnieją wiewiórczęta, tak jak istnieją owczęta. Po bożym świecie przechadzają się nie tylko owieczki i wiewióreczki, lecz również ich wersje najmniejsze, przedszkolne.

Trudno; pomysł Szymborskiej i tak jest przedni, „wiewiórczęta” brzmią w tym wyliczeniu Agrippy d'Aubignego wspaniale. We francuskim oryginale mamy zwyczajną „wiewiórkę w dziupli”, żadnego zdrobnienia, o które we francuszczyźnie zresztą bardzo trudno. Tłumaczka dla potrzeb trzynastozgłoskowca musiała użyć czterosylabowego zdrobnienia, lecz nie postawiła na bardziej ograne „wiewiórceczki” (trochę za słodkie, za pieszczotliwe, trochę za bardzo „basiu basiu”), tylko na słowo paradoksalnie twardsze, choć odnoszące się do wiewiórceczki dziatwy; dające też dodatkowy napęd w postaci wewnętrznego rymu: „wiewiórczęta-ptaszęta”. I samo w sobie ładniejsze, bardziej też filozoficzne czy egzystencjalne, przez co lepiej pasujące do tonu poematu. Na takim drobiazgu widać natychmiast mistrzostwo tłumacza.

No więc wiewiórczęta. Polazłem zaczerpnąć powietrza na skwer w pobliżu domu, daleko od ludzi, bliżej zwierząt. Nigdy nie widziałem tu wiewiórek – a były. Pobliskie Łazienki zamknięto, może te dwie przeniosły się tutaj. Ożywione wiosną, miały mnóstwo roboty do wykonania, bardzo zaafetowane. Dorosłe wiewiórki, ale dla mnie wiewiórczęta w bliskim spotkaniu przez medium Wisławy Szymborskiej.

Drobniutka przyjemność; przez sekundę wiewiórczęta zamiast Atlasa dźwigały świat. Przyszły z krainy ulotnych drobiazgów, nieistotnych szczegółów, szybkie shoty do łknięcia, słuszne widły z igły. Dla dyletanta absolutu przyszły w sam raz, choć na tak krótko.

Więc jednak literatura. Lek-tura, jak głosi „Podkast Powszechny”. Bo jeszcze są te „białe słonie” u Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, które opowiedziałbym przy okazji. ©



ADOBE STOCK PHOTO

Z ogromnym bólem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

profesora
Krzysztofa Pendereckiego

Dla świata był Geniusem, dla artystów Mistrzem,
dla nas również Przyjacielem.

Pani Elżbiecie Pendereckiej wraz z Rodziną
składamy wyrazy
głębokiego współczucia.

MUZYCY I DYREKCA
NARODOWEJ ORKIESTRY SYMFONICZNEJ
POLSKIEGO RADIA W KATOWICACH

29 marca 2020 roku
odszedł

profesor
Krzysztof Penderecki

honorowy członek Stowarzyszenia Autorów ZAiKS,
jeden z najwybitniejszych polskich twórców
ostatnich dekad.

Odnaczony Medalem
Stowarzyszenia Autorów ZAiKS,
Nagrodą Specjalną
i Nagrodą 100-lecia ZAiKS-u.

Kultura polska
poniosła niepowetowaną stratę.

Rodzinie i Bliskim
wyrazy współczucia

składają

PREZES, RADA,
ZARZĄD I DYREKCA
STOWARZYSZENIA AUTORÓW ZAiKS

Z głębokim żalem i bólem żegnamy

ś.†P.
profesora
Krzysztofa Pendereckiego

jednego z najwybitniejszych kompozytorów
w historii muzyki, którego twórcza droga
ściśle związana była z losami naszej instytucji,
dyrektora artystycznego Filharmonii Krakowskiej
w latach 1988–1990,
autora dzieł, które zespołom filharmonii
dane było prezentować po raz pierwszy światu,
czyniąc z nich ambasadorów
polskiej kultury muzycznej
w najtrudniejszych dla niej samej czasach.
Wielkiego humanistę i erudyte,
który pojmowanie sensu życia zawierał
zarówno w swojej twórczości, jak i w miłości
do rodziny i przyrody, którą się otaczał.

Ukochanej żonie Profesora, Pani Elżbiecie
Pendereckiej, jego Rodzinie i Bliskim
oraz wszystkim Artystom
przeżywającym Jego stratę
składamy wyrazy najgłębszego żalu
i szczerę kondolencję.

DYREKCA, ZESPOŁY ARTYSTYCZNE
I PRACOWNICY FILHARMONII
IM. KAROLA SZYMANOWSKIEGO W KRAKOWIE

Marysi i Wojtkowi

wyrazy głębokiego współczucia

Jesteśmy z Wami

PRZYJACIELE

IWONA I PIOTR BEAUPRE
JAGA BEAUPRE
KASIA I ALEK JANICCY
KASIA I TOMEK JANOWSCY
KASIA KOLENDA-ZALESKA I GRZESIEK ZALESKI
MAJKA I TOMEK LANGIER
ANIA I PAWEŁ MACIUKIEWICZOWIE
ANIA I JACEK OSUCHOWSCY
NATALA POTOCKA
JOANNA I ZBYSZEK SZEWCZYK
AGNIESZKA I ROBERT MAKŁOWICZOWIE

40x awangarda

TYGODNIK
POWSZECHNY

DODATEK
SPECJALNY

TP 15/2020

Redakcja Michał Sowiński

Rok 2020 jest dla Cricoteki szczególnie ważny – w nadchodzących miesiącach będziemy obchodzić czterdziestolecie istnienia instytucji i trzydziestą rocznicę śmierci Tadeusza Kantora. Z tej okazji chcielibyśmy przypomnieć Państwu historię Cricoteki w rozmowie Dariusza Kosińskiego z Michałem Kobiatką, a także przejrzeć się w oczach współpracujących z nami artystek i kuratorów.

OD 6 LAT siedzibą Cricoteki jest ikoniczny budynek, który nadał nowy rys Podgórzcu i Krakowowi, podobnie jak czyniła to przez lata Kantorowska sztuka i charyzma. Jako dyrektor miałam przyjemność towarzyszyć ewolucji instytucji i kształtowaniu jej nowej wizji. Mój tekst miał mieć inny charakter, podobnie jak odmienna była jeszcze do niedawna sytuacja wokół nas. Chcieliśmy w dniu wydania tego numeru „Tygodnika”, wspólnie z moim zespołem i publicznością, cieszyć się z nowo otwartej wystawy stałej. Tymczasem jesteśmy zmuszeni do redefinicji wspólnego dla tegorocznych działań Cricoteki hasła: „Trudne przeszłości, niepewne przyszłości”.

PRZEZ NOWĄ EKSPOZYCJĘ planowaliśmy wspólnie z Państwem spróbować odpowiedzieć na pytanie o to, jak bieg historii determinuje twórczość. Liczyliśmy, że będziemy mogli zaprosić odwiedzających do szczególnego,

Natalia Zarzecka
na wewnętrznym dziedzińcu
Cricoteki, Kraków

FOT. GRAŻYNA MAKARA

aktywnego doświadczenia wystawy i wspólnego badania, w jaki sposób sztuka naznaczona zagrożeniem może być prezentowana dzisiaj. Nie sądziłimy, że teraźniejszość tak dobitnie spuentuje naszą pracę.

ZAPRASZAM więc na razie serdecznie do lektury tekstów poświęconych Cricotece, a gdy tylko będzie to możliwe, na ulicę Nadwiślańską, na wystawę „Tadeusz Kantor. Widma”. Wierzę, że w tym ważnym roku będziemy jeszcze mogli spotykać się wielokrotnie: podczas koncertów, spektakli, teatralnych projekcji, międzypokoleniowych zajęć i warsztatów edukacyjnych oraz innych, nowych inicjatyw, nad którymi dla Państwa pracujemy.

NATALIA ZARZECKA, DYREKTOR CRICOTEKI

PARTNER

cricoteka ⁴⁰

Nie deformować

MICHAŁ KOBIAŁKA:

Dziś pod słowem „Cricoteka” kryje się wieloznaczny, nomadyczny świat myśli i refleksji, który pozwala nam, widzom, wyrazić nasze wątpliwości, lęki, protesty i... nadzieje.

DARIUSZ KOSIŃSKI: 19 stycznia 1980 roku przy ulicy Kanoniczej 5 w Krakowie otwarto Ośrodek Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora „Cricoteka”. Przez 40 lat to niewielkie archiwum zmieniło się w potężną instytucję, od roku 2014 zajmującą jeden z najbardziej charakterystycznych nowych krakowskich gmachów. Dziś Cricoteka jest jedną z kilku nietypowych, hybrydowych – jak się je czasem nazywa – instytucji kultury teatralnej, łączących wiele trudnych do uzgodnienia funkcji. Spróbujmy na początek przyjrzeć się tej ewolucji. Jak zmieniał się charakter Cricoteki, jakie momenty jej rozwoju uznałbyś za zwrotne i przełomowe?

MICHAŁ KOBIAŁKA: Można tę historię podzielić na trzy okresy – każdy inny, autonomiczny, ale nawiązujący do podstawowych dyrektyw Tadeusza Kantora.

W pierwszym, pomiędzy 19 stycznia 1980 a 8 grudnia 1990 r., on sam zarządził Ośrodkiem. W tym też czasie wyłaniał się jego kształt i rola. Początkowo na zbiory Cricoteki składały się obiekty teatralne i kostiumy przekazane z Krzysztoforów, a także materiały należące do Kantora: programy, afisze, maszynopisy tekstów, fotografie, recenzje. Później rozpoczęto konserwację i rekonstrukcję obiektów Teatru Cricot 2. Kiedy w 1984 r. kupiono wideo i kamerę, Ośrodek zaczął dokumentować działalność teatru. Z biegiem lat Kantor formułował roczne plany pracy. Od 1986 r. głównym zadaniem miało być gromadzenie zapisów audio i wideo działalności Cricot 2, katalogowanie i opracowywanie recenzji, a także zebranie pism Kantora.

Śmierć artysty 8 grudnia 1990 r. rozpoczyna następny etap działalności Cricoteki – już w innych warunkach kulturowych i historycznych. Zmienia się też

stosunek do dzieła artystycznego, które, jak na Zachodzie, zaczyna funkcjonować jako część „przemysłu kultury”, jak by to nazwał Theodor Adorno. Działalność Cricoteki i Archiwum, prowadzonego przez Annę Halczak, a potem przez Małgorzatę Paluch-Cybulską, to w tym drugim okresie – do otwarcia nowego budynku na Nadwiślańskiej w 2014 r. – szalenie precyzyjna praca, szczegółowo opisująca poszczególne okresy twórczości, a także cenne inicjatywy edytorskie, uzupełnianie zbiorów, systematyczna publikacja kalendarzów i wiele innych.

Kolejni dyrektorzy Ośrodka (Janusz Jarecki, Krzysztof Pleśniarowicz, Marek Świca i Natalia Zarzecka) w dynamiczny sposób tworzą nowe konstelacje twórczości Kantora. Jego dziedzictwo było w tym okresie przedmiotem formacji i transformacji dzięki kuratorskim, artystycznym i instytucjonalnym działaniom ludzi, którzy pomimo śmierci artysty nadal byli

Iza Szostak

Moje relacje z Cricoteką rozpoczęły się od zaproszenia do projektu Anny Królicy, realizowanego w ramach programu kuratorskiego „Maszyna choreograficzna”. Wzięłam wtedy na warsztat język maszyn budowlanych („Balet koparyczny” – obok na zdjęciu Iza Szostak i Paweł Sakowicz, 2015 r.), a także koncepcję przeskalowanego, hybrydalnego ciała (kostiumu), jednocześnie zderzając go z konstruktywizmem twórcy Bauhausu – nic więc dziwnego, że twórczość Kantora okazała się wtedy naturalnym kontekstem. Wracając myślą wstecz – w tamtym okresie, gdy interesował mnie proces sterowania i manewrowania maszyną oraz eksploracja zagadnień sprawowania władzy podmiotu za pośrednictwem przedmiotu, miałam znikome pojęcie o pracach Kantora. Studiowałam w Holandii, więc bliższe mi były postulaty XX-wiecznego tańca amerykańskiego czy manifesty ruchu postmodern, które w połowie lat 90. wkroczyły na europejską scenę sztuki tańca. To dzięki Cricotece wszedłam głęboko w świat Kantora – uniwersum niekończących się inspiracji. ©



GRZESIEK MART / CRICOTEKA

z nim i działalnością Cricot 2 związani bardzo intymnie.

Etap trzeci rozpoczął się 12 września 2014 r. wraz z otwarciem nowej siedziby Cricoteki na brzegu Wisły, między Kazimierzem a placem Bohaterów Getta, niedaleko Muzeum Sztuki Nowoczesnej MOCaK i Fabryki Schindlera. Już samo miejsce nadaje Cricotece dodatkowy wymiar, wyznaczony przez istotne dla współczesnej kultury polskiej instytucje i punkty pamięci historycznej. Budynek, zaprojektowany przez krakowski zespół IQ2 Konsorcjum, z jednej strony jest gestem odwołującym się do tej historii, z drugiej w sposób jednoznaczny nawiązuje do jednego z bio-objektów Kantora – człowieka niosącego stół: stare budynki elektrowni są jakby „opakowane” monumentalnym stołem nowoczesnego gmachu.

Jak pisał sam Kantor: „Stosunki dzieła sztuki–przestrzeń–widz muszą stworzyć nową całość, która zamknie te trzy elementy, czyli będzie nowym dziełem sztuki i muzeum”. Te trzy elementy stanowią o nowym kierunku działalności Ośrodka Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora – Cricoteki. „Dzieło sztuki” to nie tylko przedmioty, maszyny i kostiumy związane z Teatrem Cricot 2, które zostały pokazane w kolejnych wystawach („Kolekcja”, „Dzieciństwo”, „Marioneta”, „Rzeźba” i, otwierana wkrótce, „Kantor – Widma”), ale także nowoczesne propo-



ARCHIWUM PRYWATNE

MICHAŁ KOBIAŁKA jest dziekanem i profesorem teatrologii w Department of Theatre Arts & Dance na Uniwersytecie w Minnesocie w USA. Od lat zajmuje się teatrem Kantora, któremu poświęcił dwie książki.

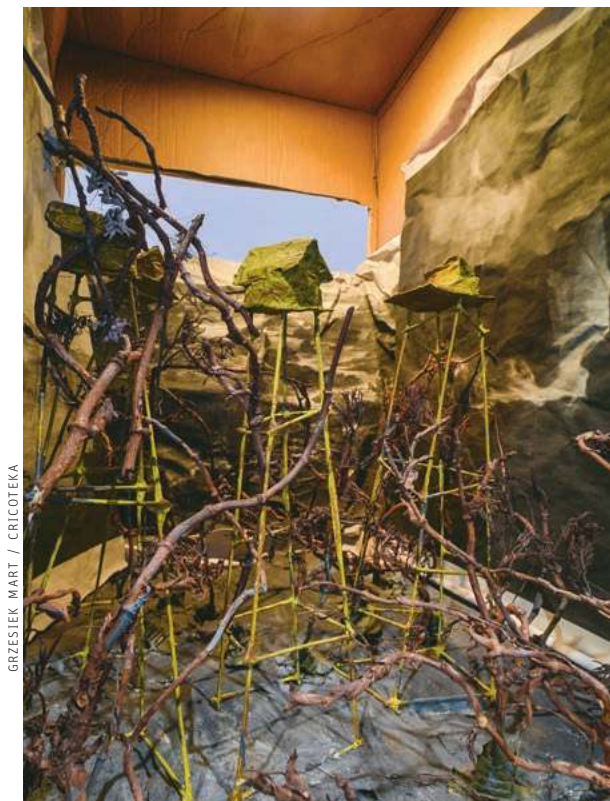
zycie kuratorskie odwołujące się do twórczości Kantora, do współczesnego myślenia o funkcji muzeum i do performatyki: „Radykalne języki”, „Muzeum migrujące”, „Maszyna choreograficzna”, „Polifonia”, „Rollercoaster”, „Cholernie spadam”, „Schlemmer/Kantor” i inne.

To właśnie do tej przestrzeni wystawienniczej wprowadzony jest widz, który może prześledzić, jak w nieoczywisty dla niego sposób koncepcje artystyczne Kantora są włączane w szerokie spektrum innych koncepcji artystycznych, historycznych czy filozoficznych. Umoż-

liwiają one poruszanie się w obszarach różnych typów wiedzy i praktyki artystycznej oraz zdania sobie sprawy, że dialektyczne spięcie pomiędzy twórczością Kantora a tymi, którzy chcą dalej budować, nie polega tylko na wydobyciu różnic między nimi, ale także na spojrzeniu na naszą współczesność i to, jak ona reaguje na Kantora.

Dzięki tym trzem etapom odkrywamy dziś pod słowem „Cricoteka” wieloznaczny, nomadyczny świat myśli i refleksji, który pozwala nam, widzom, wyrazić nasze wątpliwości, lęki, protesty i... nadzieje. Odziedziczyliśmy Kantora. To trudne dziedzictwo, ale dzięki niemu jesteśmy w stanie zrozumieć skomplikowaną przeszłość, która pulsuje w kulturze i we współczesności.

Z okazji otwarcia Cricoteki Kantor sformułował na piśmie kilka podstawowych postulatów dotyczących jej wyjściowego charakteru i misji. Mam wrażenie, że jak na kogoś, kto tyle lat zajmował się pamięcią, jej złożonością, a nawet niemożliwością, są one wręcz naiwne. Kantor pisze, że pamięć to „przekaz wysyłany w przyszłość następnemu pokoleniu”, że przekazu tego nie wolno zniekształcać, a w teatrze Cricot 2 „pamięcią” jest archiwum, które ma być „żywe”. Mam z tymi stwierdzeniami problem, ➔



GRZESIEK WART / CRICOTEKA

Joanna Zielińska

Pracowałam w Cricotece w szczególnym momencie, bo podczas powstawania jej nowej siedziby. Przygotowywałam instytucję do nowych zadań programowych. Wcześniej zajmowała się ona niemalże wyłącznie upowszechnianiem wiedzy na temat Kantora, a współcześni artyści bardzo rzadko pojawiali się w jej orbicie – chciałam to zmienić. W ten sposób planowaliśmy też dokonać reinterpretacji samego Kantora. Wyzwanie było olbrzymie. Oprócz pracy merytorycznej, trzeba było także na nowo zaplanować logistykę, czyli przestrzeń – dla samej sztuki, ale również dla nowej widowni (na zdjęciu „Diorama” Marvin Gaye Chetwynd). Pracując z dziełami Kantora chciałam zerwać z podejściem historycznym i archiwalnym, interesował mnie bowiem jego olbrzymi potencjał dla praktyk artystycznych takich jak post-performans. Kantor wciąż jest zaskakująco aktualny, trzeba tylko spojrzeć na niego z odpowiedniej perspektywy. ©

→ który – jak sądzę – jest też problemem Cricoteki. Zaczniemy od pamięci. Jak pogodzić skomplikowany dramat pamięci, będący jednym z głównych tematów teatru Kantora, z mocno sformułowanym nakazem nieznieszczenia przekazu? Jak pogodzić Kantora-artystę z Kantorem-założycielem własnego muzeum?

Tekst, o którym wspominasz, to wstęp do biuletynu Teatru Cricot 2 z marca 1986 r. Masz rację – Kantor mówił, że pamięci/przekazu nie wolno znieszczać. Ale to nie wszystko. Pisz także, że przekaz „można odrzucić, ale nie można go deformować”. To ostatnie zdanie jest kluczem. Dziś dzięki dziedzictwu Kantora – przedmiotom, maszynom, kostiumom, notatkom, fotografiom, manifestom – a także żywemu Archiwum, w którym powraca to, co zostało zapomniane – jesteśmy w stanie całość odrzucić, ale nie możemy jej deformować. Można odrzucić idee Kantora, które zrodziły się w opozycji do historii, w proteście przeciw zmuśfikowanym wartościom, ale deformowanie ich na własny użytek, z czym spotykam się ostatnio, jest uproszczeniem złożonej myśli artystycznej Kantora.

Począwszy od „Umarłej klasy” (1975), w kolejnych przedstawieniach podejmowana jest refleksja nad tym, co, jak i dla

czego pamiętamy. Odchodząc od tradycyjnego podejścia do pamięci i jej funkcji – od Freuda po dzisiejsze *memory studies* – Kantor rzuca nam wyzwanie, by o wszystkim pamiętać, ale jednocześnie wszystko zapomnieć. Ta rada z 12. „Lekcji mediolańskiej” stanowi część mnemotechniki, która daje nam możliwość, jak to on nazywał, „powtórki”. Ta powtórka, niezgodna z oryginalną wersją, pozwoli nam ujrzyć to, co robimy teraz, jako przekaz „odrzucony”, ale nie „zdeformowany” w Kantorowskim sensie tych słów.

Tak więc Kantor-artysta i Kantor związany z Archiwum nie przeczą sobie. Przeciwnie: dają nam poczucie dynamicznego, wielowarstwowego doświadczenia idei, przedmiotów i maszyn ujawniających jego konstelację artystyczną i performatywną. Więcej – tworzą aktywne otoczenie, wplątujące dzisiejszego twórcę i widza w pożyteczne perypetie poznawcze. Kantor ma nadzieję, że ten przekaz zostanie odkryty; możliwe, że przeprowadzi się jego korektę, może też zostać odrzucony, nie powinien być jednak beżmyślnie deformowany.

Dzisiejsza Cricoteka, spełniając wyjściowe obowiązki naszkicowane przez Kantora, funkcjonuje zarazem jako ośrodek rozwoju kultury współczesnej: miejsce realizacji własnych

i gościnnych projektów, prezentacji przedstawień niekoniecznie bezpośrednio związanych ze sztuką i dziedzictwem Kantora, spotkań i dyskusji. Z jednej strony ta podwójność wydaje się nieunikniona, jeśli chcemy, by było to miejsce żywe. Z drugiej – rodzi niebezpieczne napięcie, związane z ryzykiem nadużywania patrona. Jak według Ciebie należałoby działać w takim polu napięć?

Działalność performatywna Cricoteki jest rzeczywiście bogata. Oprócz działań związanych bezpośrednio ze sztuką i dziedzictwem Kantora (przede wszystkim warsztaty i pokazy prac byłych aktorów Cricot 2: Ludmiły Ryby, Marie Vayssière, Teresy i Andrzeja Węlnińskich, Romana Siwulaka, Bogdana Renczyńskiego czy Andrzeja Kowalczyka), dzisiejsza Cricoteka prezentuje przedstawienia i działania niekoniecznie bezpośrednio odnoszące się do sztuki i dziedzictwa Kantora. Do tej kategorii zaliczyłbym takie projekty jak „Maszyna choreograficzna” (projekt taneczny skupiony na refleksji o pracy artysty z ciałem), „Polifonie” (projekt dźwiękowy obejmujący performanse i spektakle) czy też „Rollercoaster”, które wprowadziły gotowe elementy rzeczywistości ruchowej, audialnej i wizualnej do całej przestrzeni Cricoteki, by odślo-

Paulina Ołowska

To było otwarcie. Wystawa „Nic 2 razy” – wspaniała aranżacja i imponująca lista międzynarodowych artystów, kuratorsko przygotowana przez Joannę Zielińską. Nie wyobrażałam sobie dla tej ekspozycji piękniejszego muzeum – miejsca łączącego w jednym teatr, sztuki wizualne i performans. Sztuka Kantora zawsze wydawała mi się za bardzo dominująca, ale jednocześnie fascynująca, bo wielowątkowa. Uwielbiam archiwum Cricoteki, ekspozycję przedmiotów ze spektakli. A w samym teatrze Kantora najbardziej chyba ceniłam spontaniczność i rozmach gestu. Zainspirowana Cricoteką, stworzyłam magazyn „Pavilionesque”, którego pierwszy numer wydany został przez Cricotekę i oficynę Mundin, ze wspaniałym otwarciem w Jamie Michalika (obok, 2016 r.). Magazyn ma właśnie wskazywać na bliskość sztuki współczesnej oraz teatru wraz z jego scenografią – obecnie pracuję nad trzecim numerem pisma. Wszystkiego najlepszego, Cricoteko! ©



GRZESIEK MART / CRICOTEKA



BARTOSZ CYGAN / CRICOTEKA

nić inne wymiary percepcyjne. Także cykle wykładów poświęcone twórczości artystów, którzy zmagali się z podobnymi problemami twórczymi (na przykład projekt Anny Róży Burzyńskiej „Gra z Kantorem”). Osobnym zjawiskiem jest Festiwal Kultury bez Barrier, wybiegający poza tradycyjne ramy prezentacji dziedzictwa Kantora, chociażby poprzez oprowadzanie po wystawach z audiodeskrypcją i pomocami dotykowymi. Zbiorowo można je nazwać tytułem jednego z projektów: „Kto inspiruje? Tadeusz Kantor!”.

A na Twoje pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Są jedynie artystyczne i intelektualne peregrynacje w przestrzeni Cricoteki, miejsce wspólne dla twórczości Kantora i współczesnych eksperymentów. To właśnie te eksperymenty, ponieważ nie są (i nie mogą być) epigońskim promowaniem autentycznej twórczości Kantora, stanowią próbę podjęcia współczesnego dialogu międzypokoleniowego. Tak długo, jak ten dialog jest żywy, a nie popada w bezmyślną deformację, tak długo, jak prowokuje nas, a nie zmienia w pasywnych konsumentów sztuki, tak długo, jak tworzy nowe relacje i pozwala na nowo zdefiniować funkcje ruchu, materii, przestrzeni, dźwięku, by spojrzeć na teatr, performans, spektakl czy też świat z innego punktu widzenia, jestem gotów borykać

Kantor-artysta i Kantor
związany z Archiwum
nie przeczą sobie.
Wręcz przeciwnie:
wzajemnie się inspirują
i uzupełniają.

się z niebezpieczeństwami wiążącymi się z podwójnością, o której wspominałeś.

W tekście „Créateur: la nécessité de la transmission”, będącym jednym z „aktów założycielskich” Cricoteki, Kantor pisał, że gromadzone w niej archiwa „będą służyć kiedyś tym, którzy będą chcieli dalej budować”. To z jednej strony oczywiste pragnienie – by ktoś kontynuował rozpoczętą drogę. Z drugiej jednak jest to bardzo problematyczne, bo kontynuowanie twórczości o tak mocnej autorskiej sygnaturze jak Kantorowska natychmiast popada w zagrożenie wtórnością i zależnością. Czy taka kontynuacja w ogóle jest możliwa?

Wydaje mi się, że w tym stwierdzeniu Kantora nie chodzi o epigońskie budowanie czegoś, co byłoby kontynuacją jego teatru. To „budowanie dalej” rozumiem

jako poszukiwanie materii teatru, z którą Kantor się zmagał. A ta „materia teatru” to płaszczyzna, na której spotykają się różne poetyki teatralne i performatywne: Teatr Autonomiczny, Teatr Informel, Teatr Zerowy, Teatr Happeningowy, Teatr Niemożliwy, Teatr Śmierci. Nie chodzi mi tutaj o imitacje czy podrabianie, ale o włączenie do materii kantorowskiego dyskursu miejsc i poetyk nieprzewidywanych, które otwierają pole naszej percepcji i wyzwalają nową energię poznawczą.

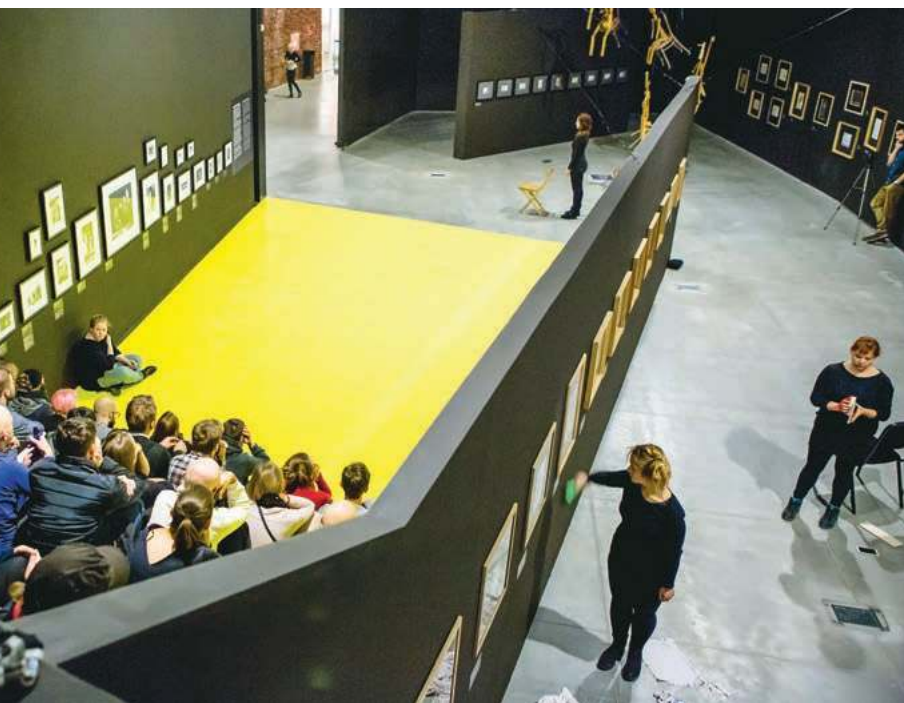
Ważne, by Ośrodek Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora Cricoteca był w awangardzie i tworzył przestrzeń otwartą, która jest w stanie wspierać działalność twórców nietradycyjnych form i idei teatru. Mam nadzieję, że zgodzimy się z Kantorem, który w swoim czasie powiedział:

*Wszystko, co robiłem w sztuce,
było odbiciem mojej postawy
wobec wypadków,
które działały się wokół mnie,
sytuacji, w której żyłem,
moich lęków,
mojej wiary w to, a nie co innego,
mojej niewiary w to, co do wierzenia
było podawane,
mojego sceptycyzmu,
nadziei.*

(TADEUSZ KANTOR, „JA REALNY”)

Lekcja warta zapamiętania.

© Rozmawiał DARIUSZ KOSIŃSKI



Zorka Wollny

Jakiś czas temu zrealizowałam wraz z Anną Szwajgier performans „Koncert Kantorowski” (obok na zdjęciu, 2016 r.). Projekt od początku powstawał z myślą o przestrzeni, jaką oferuje Cricoteca. Każde miejsce ma swoją specyfikę, daje inne możliwości – choćby na poziomie rozchodzenia się dźwięku, który w naszej pracy był kluczowy. Wraz z Anną tworzymy muzykę konkretną, bazującą na dźwiękach wydawanych przez najróżniejsze przedmioty i obiekty. Kantorowska atmosfera panująca w Cricotece zainspirowała nas do stworzenia kompozycji mocno rytmicznej, mechanicznej wręcz, do tego nasyczonej suchymi, trzaskającymi odgłosami. Takie dźwięki mogą budzić nasz niepokój, wytrącać nas z równowagi, ale ostatecznie składają się w piękną kompozycję. W ten sposób – i dzięki tej przestrzeni – stworzyliśmy utwór wyprowadzony z wyobraźni Kantora. ©

STANISŁAW

Mancewicz:

Bociany przyleciały



KLE KLE, CHCIAŁOBY SIĘ ZAWOŁAĆ PODCZAS telewizyjnej lekcji poświęconej istocie średnicy, lekcji wyświetlanej w telewizji – z naciskiem to zaznaczamy – publicznej. Oto doczekaliśmy się w naszym systemie edukacyjnym dyplomowanych na-

uczycieli matematyki nieodróżniających średnicy od obwodu, ptasiego gniazda – dodajmy. Kle kle – powtórzmy, bo wiosna idzie i bociany przybywają do ojczyzny naszej. Niosą do gniazd swych, w zawiniątkach, nowych obywateli Rzeczypospolitej Polskiej skądś, z Egiptu chyba. No więc oczywiście czekamy teraz na lekcję biologii, w której telewizja publiczna i jej edukatorzy pouczą nasze dzieci, kto z kim, jak i gdzie, oraz skąd się w gnieździe biorą dzieci właśnie. To nie jest kretyński żarcik, to jest po prostu oczywiste i jak najbardziej realne. Kle kle.

Podobnie wstrząsające są lekcje z plastyki czy może historii sztuki, i te uczące nie wiadomo czego, w trakcie których jakaś kobieta zachęca naszych milusińskich do zgadywania, cóż to ona akurat robi. Przesadza rośliny? Macha łopata? Po co? A wszystko w takt muzyczki z filmu „Miasteczko Twin Peaks”. Kto tego wszystkiego nie widział, ten doprawdy niczego w życiu nie widział, kto nie przeczytał oświadczenia Telewizji Polskiej stojącego zdecydowanie w obronie krytykowanych nauczycieli, heroicznie, w godzinie próby będących na froncie edukacyjnym, ten doprawdy niczego w życiu nie przeczytał. Kto wieszczy nadlatujące nowe średniowiecze, ten doprawdy niczego o średniowieczu nie wie, kto płaci abo-

nament i obejrzał choćby sto razy sylwestra w Zakopanem, ten nie wie, za co płaci. Komu się wydaje, że państwo winno dawać rękojmię poziomemu czegokolwiek, a zwłaszcza edukacji, ten nie jest z tej upadłej już jednak planety. Kto pyta, czym się różni edukacja młodzieży w mniemaniu prezesa TVP od rozrywki wedle jego gustu, słusznie pyta. Niczym.

Owe lekcje, dostępne dziś dla każdego ciekawskiego, budzą grozę. Nie bójmy się tu tego określenia, to nie jest ani przesada, ani egzaltacja. Budzą grozę znacznie większą niż prezes, jego język, pomysły i jego koledzy, większą nawet niż epidemia, o której zasięgu de facto w Polsce nic nie wiemy, bo niby skąd mamy wiedzieć i po co.

Można mniemać, że do transmitowanych zajęć wybrano ludzi ani nie najmniej, ani nie najbardziej kompetentnych. Wybrano zapewne poziom średni, dostępny bez mozolnych poszukiwań i bez selekcji. Są to po prostu nauczyciele pierwsi z brzegu. Z dyplomami pierwszych z brzegu szkół wyższych, ale ciekawsze jest przecież, że ze zdanymi też maturami. Te audycje wreszcie i po prostu wyjaśniają wszystko, nad czym zastanawiają się od lat mądrzy i wykształceni ludzie, głowiący się, skąd tak zasadniczy upadek intelektualny rzesz, skąd płaskoziemstwo, powszechna wiara w czary i przesady, antyszczepionkarstwo i tym podobne masowe zjawiska bądź przekonania. Stąd.

Posyłając dziecko do szkoły, okazujemy ufność państwu, oddajemy je w ręce państwowych urzędników z poczuciem misji zwanej powołaniem. Założeniem owego oddania jest wiara, że są to ludzie kompetentni. W tym mniemaniu tkwimy, dopóki dziecko nie przyniesie ze szkoły informacji bądź umiejętności szokujących. Wtedy też się pocieszamy, że to drobnostka, przypadek bądź wypadek. W opowieści milusińskich relacjonujących, co tam było w szkole, wierzymy, ale co innego wierzyć, a co innego na własne oczy i uszy doznać.

Powtórzmy, poziom tych lekcji wyjaśnia wszystko, co nas w państwie polskim niepomniecznie dziwi, a nielicznych bardzo martwi. To nie są żarty, niestety. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ





Fundacja
Dorastaj z Nami

REKLAMA

Mój **TATA**
zginął na służbie

Pomóż mi dorosnąć
do nowego życia

PRZEKAŻ MI 1%

KRS 0000 361265

dorastajznami.org

DROGA DO DOROŚŁOŚCI

REKLAMA



**ZACZYNA SIĘ
OD TWOJEGO 1%**

NATALIA
STUDIUJĄCA MAMA

BYŁA PODOPIECZNA
SOS WIOSEK DZIECIĘCYCH

Opieka, stabilność i poczucie bezpieczeństwa, to wartości które odegrały ważną rolę w drodze do samodzielności i dorosłości podopiecznych SOS Wiosek Dziecięcych. To wartości, które nabierają ogromnego znaczenia, zwłaszcza teraz w obliczu kryzysu, z którym przyszło nam się zmierzyć. Pragniemy zapewnić, że robimy wszystko co w naszej mocy aby zadbać o bezpieczeństwo dzieci, młodzieży oraz rodzin, które są pod naszą opieką. Prosimy, nie zapomnij o opuszczonych i osieroconych dzieciach w tym trudnym czasie. Przekaż 1% podatku wpisując nasz **KRS 0000 056 901**.



**SOS WIOSKI
DZIECIĘCE**

www.dziecisos.org

POMÓŻ I PRZEKAŻ 1%
KRS 000 056 901